

EMILIE RICHARDS

ODNALEZIONE UCZUCIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Babci nie można było żadnym sposobem zmusić, by otworzyła drzwi. Normalne. Tessie nie pozostawało nic innego, jak czekać. Zrezygnowana usiadła w skrzypiącym bujanym fotelu. Ranek był upalny, cień na ganku raczej umowny, ale czas nie całkiem stracony. Ze swojego punktu obserwacyjnego mogła ogarnąć wzrokiem niemal cały świat babki, zatoczyć spojrzeniem, by wiedzieć o nim wszystko, co powinna wiedzieć.

Po pierwsze, jak na zakątek w Dolinie Shenandoah, uchodzącej za cud natury, mogło być tu nieco ładniej.

Nie dane było Tessie przeprowadzić do końca ledwie zaczętej oceny, bo oto skrzypnęło okno gdzieś nad jej głową.

- Ciągłe tu jesteś, panienko? Nie zapraszałam cię. A tego też nie potrzebuję!

Tessa, nauczycielka angielskiego w szkole średniej, miała trzydzieści siedem lat i dość dawno przestała być „panienką”, słusznie jednak uznała, że moment nie jest po temu, by zgłaszać obiekcje czy wprowadzać korekty terminologiczne.

Ledwie przebrzmiały słowa Helen Henry, coś zabębniło o blaszany dach, ale zamiast wyczekiwanego deszczu, na ziemię poleciały kulki papieru. Tessa próbowała je policzyć: przynajmniej tuzin. Chwila wiele mówiącej ciszy i kolejne pół tuzina.

Okno nad gankiem zamknęło się z trzaskiem.

Tessa czekała, ale papierobicie skończyło się równie gwałtownie, jak się zaczęło. Podniosła się i sięgnęła po pierwszą z brzegu kulkę, która wylądowała na stopniach ganku, i rozprostowała ją. Dwie kobiety i mężczyzna na polu golfowym, wszyscy szeroko uśmiechnięci, wpatrzeni w obiektyw...

- „Ciesz się złotym wiekiem z Green Springs - przeczytała na głos. - Zaczynj nowe życie od dzisiaj”.

Zmięta na powrót kartkę, zadając sobie pytanie, ile podobnych ulotek jej matka, Nancy Whitlock, musiała wysłać babce w ostatnich tygodniach.

Nie doczekawszy się kolejnego zrzutu, wróciła na bujak i zajęła się przerwana tak niefortunnie oceną krajobrazu.

Już wyjeżdżając z niewielkiego Toms Brook, zachwycała się krajobrazem. Wzgórza, ciche doliny, pastwiska z bydłem na wpół uśpionym żarem, łąki, a na nich swobodnie puszczane konie, kwitnące

krzewy wzdłuż drogi i ciemnogrnatowe, ciemnozielone góry na widnokręgu - idylla w stanie Wirginia, rustykalny sztafaż do rodzajowych pejzaży albo pocztówka z agrowakacji.

Farma jej babki, prażona bezlitosnym słońcem, znajdowała się, niestety, już poza kadrem sielskiego obrazka.

Susza, która dotknęła okolicę, tutaj szczególnie dała się we znaki. Żadnej nadziei, że w Dzień Niepodległości, a do czwartego lipca zostały raptem trzy dni, zboże na polach będzie sięgać do kolan. Pole naprzeciwko domu babki, które miała przed oczami, wyglądało jak wieloakrowa szkółka schorowanych, spalonych słońcem roślin. Tylko słoneczniki trzymały się dzielnie. Jeśli nie spadną obfite deszcze, zboża nie miały żadnych szans.

I ten potworny, duszący upał. Wirginia zawsze słynęła z upałów, ale Tessa, która w końcu tutaj się urodziła i wychowała, nie pamiętała tak upalnego lipca, jak w tym roku.

Czekając, aż babka ewentualnie zmieni zdanie, wypociła chyba całą butelkę mineralnej. Absolutnie martwe, stojące powietrze. Ani jednej pszczoły. Błonkówki, które ulepiły sobie mały zamek pod dachem, podniosły mosty zwodzone i zamknęły się w swojej warowni z błota. Nawet sójki błękitne zawarły pokój z krukami. Teraz jedne i drugie drzemały pewnie wspólnie gdzieś w koronach dwóch klonów rosnących na podwórzu Helen.

Okno zaskrzypiało znowu.

- I to też możesz sobie zabrać, jak już tu jesteś! - zawołała babka.
- Myślisz, że trzeba mi wydumanych prezentów od ciebie?

Koszula nocna, za nią szlafrok, prezenty od Tessy na ostatnie urodziny babki, spłynęły na krzew pnącej róży, która zarastała jak chciała pergolę i poręcz schodków. Można by pomyśleć, że zapomniana róża ocknęła się po latach i w histerycznym, bolesnym wysiłku nagle urodziła dwa wielkie kwiaty w delikatnych odcieniach różu i fioletu.

- Albo prezentów od twojej matki? - dodała Helen.

Tessa miała nadzieję, że rodzicielka nie sprezentowała babce ani fortepianu, ani sejfu. Ucieszyła się, kiedy w dół sfrunął czerwony sweter i wylądował na krzaku obok róży.

Okno zatrzasnęło się na powrót.

Zlana potem Tessa zapatrzyła się ze stoickim spokojem w dalekie szczyty Massanutten Mountains. Ani zamykające Shenandoah Valley

pasmo gór Alleghenie, ani gór Massanutten nie nadawały się na widokówki. Były zbyt dotykalne, realne, zamieszkałe od stuleci przez twarde farmerów. Strome zbocza były dla nich wyzwaniem, któremu musieli sprostać, a łagodne kotliny czymś w rodzaju nagrody.

Cała dolina Shenandoah była żywym świadectwem, że idealizowana przez miliony mieszczuchów wieś istnieje jednak nadal, rzeczywista i różna od jej wyobrażeń.

Ale dzisiaj życie zniknęło w tajemniczy sposób z Fitch Crossing Road. Przez cały czas, kiedy Tessa siedziała na ganku, pocąc się i prosząc w duchu, by babka wreszcie otworzyła ramiona i zaprosiła ją do środka, drogą nie przejechał ani jeden samochód, a kiedy jadąc tutaj, skręciła z trasy numer 11 w kierunku Shenandoah River, jej mała zielona toyota stała się królową szosy; żadnego traktora, żadnych wozów drabiniastych z sianem, żadnych smarkaczy zwariowanych na punkcie konnych przejażdżek.

Jakby jej babka Helen miała całe Fitch Crossing dla siebie. Gdyby umarła w tym domu, a wszystko wskazywało na to, że w swoim uporze tak właśnie uczyni, miała wszelkie szanse zamienić się w dobrze wysuszoną mumię, zanim ktoś by się zorientował, że dokonała żywota.

Okno znowu zaskrzypiało i Tessa oczami wyobraźni zobaczyła średniowiecznych wojów lejących wrzący olej z wież obronnych na głowy oblegającego mury wroga. Wyprostowała się, położyła dłonie na kolanach i starała się rozluźnić napięte mięśnie karku.

- I tego też nie zapomnij zabrać! - oznajmiła Helen.

Jeśli pierwszy papierowy atak mógł się kojarzyć z gradobiciem, to ten przypominał raczej prószący śnieg. Wielobarwny, pastelowy śnieg. Jeden maleńki płatek opadł na deski ganku: kawałek czeku, jednego z wielu, które posyłała matka, jednego z wielu, których Helen Henry nigdy nie realizowała.

Tessa czekała, kiedy okno znowu się zatrzaśnie. A kiedy rzeczywiście się zatrzasnęło, zaczęła kręcić głową we wszystkie strony, próbując rozluźnić zdrętwiałe mięśnie.

Helen już nie zajmowała się farmą. Old Stoneburner Place - i tak chyba miało się nazywać to miejsce po dzień Sądu Ostatecznego - nigdy nie było pokazowym gospodarstwem, bardziej chłopską ziemią, którą pierwsi zaczęli uprawiać niemieccy imigranci. To oni ścięli drzewa, żeby postawić pierwszą chałupę, karczowali grunt pod

uprawę przy pomocy mułów i całego zastępu synów, marzli tu na kość w zimowe noce i męczyli się pod rozpalonym niebem w skwarne letnie dni.

Helena, Stoneburnerówna, obrabiała gospodarstwo niemal sama przez z górą sześćdziesiąt lat. Jakoś wiązała koniec z końcem i trwała na tej ziemi mimo rosnących podatków; radziła sobie. Do czasu.

Podwórze było zapuszczone. Idąc do domu, Tessa musiała omijać głębokie koleiny, tak głębokie, że widać było rury kanalizacyjne. Kwiaty, które kiedyś rosły przed gankiem, lilie i peonie, dawno zdławiły chwasty i dziczki, płot wokół warzywnika zapadł się, deski zbutwiały, części sztachet brakowało w ogóle.

Sam dom wyglądał niewiele lepiej. Nie różnił się wiele od tysięcy mu podobnych w Wirginii. Długi, szeroki ganek od frontu, dach kryty blachą, szalowanie z desek wymagające ciągłego malowania, siatkowe drzwi od strony zewnętrznej, dopiero za nimi właściwe.

Dzisiaj, znowu jak tysiące mu podobnych, chylił się ku upadkowi i tylko gruntowny, bardzo gruntowny remont elewacji mógł go uratować. A co działo się wewnątrz? Trudno zgadnąć. Wnętrze było jedną wielką tajemnicą, czarną dziurą pełną ponurych ewentualności.

Wszystko, co Tessa wiedziała, co w ogóle ktokolwiek wiedział, pochodziło z informacji przekazanych jej matce przez sąsiada Helen.

Kiedy Nancy Henry Whitlock powtarzała córce tamtą rozmowę, szybko rzucała kolejne zdania, jakby bała się, że może nie dobrać do końca.

- Nie wiem, jakim cudem Ron Claiborne zdobył mój numer telefonu, w każdym razie jakoś go zdobył. No więc zadzwonił i mówi - tutaj Nancy zaczęła naśladować jego głos: - „Madame, ja bardzo przepraszam, ale muszę to powiedzieć, że z pani mamusią kiepsko. Całkiem przestała wychodzić z domu i nikogo nie wpuszcza do środka, ale coś tam przez drzwi udało mi się dojrzeć. Serce mi po prostu stanęło. Ona... taka zawsze dbała o porządek... Do przesady. Pani rozumie, co chcę powiedzieć?

Nancy na moment przerwała i dodała z lekkim oburzeniem, już swoim głosem:

- Jakby podejrzewał, że nie rozumiem. Tessa do tej pory nie była pewna, co wprawilo

matkę w większą zgrozę: sama informacja czy też informator, który uznał za konieczne ją przekazać. Claiborne? Pijus i nic dobrego! Claiborne nadający na Henry?

Tessa była oczywiście pierwszą osobą, do której Nancy zadzwoniła, skończywszy rozmowę z Claiborne'em. Boże broń, żeby Nancy zmierzyła się z tym czy jakimkolwiek innym problemem samodzielnie. Nie, Nancy w chwilach trudnych odwoływała się do określonego rytuału: załamywanie rąk i trzepotanie dłońmi, zaciskanie zębów, powtarzane jak pacierz: „Mówiłam ci, że to się źle skończy” oraz „Gdyby ktoś chociaż raz mnie posłuchał...”.

A sam problem? Ani Tessa, ani Nancy nie znały jego wymiaru. Helen nie zgodziła się wpuścić Nancy i ojca Tessy, Billy'ego, nie mogli więc sprawdzić, co Claiborne miał na myśli. Kiedy zagrozili, że zawiadomią szeryfa i służby sanitarne, babka łaskawie spotkała się z nimi przy dystrybutorze wody w markecie Waltona i Smoota.

Wedle słów Nancy, jej matka Helen wyglądała jak strach na wróble, ale dla Nancy, która każdego ranka poświęcała bitą godzinę na swoją toaletę, każdy, kto miał choć jeden kosmyk włosów nie na miejscu, zasługiwał na miano flejtucha.

W dodatku Helen przyjęła nieproszonych gości bardzo kwaśno, ale to akurat nie była żadna nowina. Kiedy miała dobre dni, dało się o niej powiedzieć, że jest osobą przebojową, twardą, trzeźwo myślącą, ale dobre dni miała rzadko i lepiej do niej pasowały takie określenia, jak kłótniwa i wredna.

Tak więc, do tego przynajmniej miejsca, nowiny nie były właściwie żadnymi nowinami, potem jednak nastąpił gwałtowny zwrot w opowieści. Helen - Tessa ciągle nie mogła w to uwierzyć - otóż Helen przyznała, że ma coraz mniej sił. Wypytywana cierpliwie przez Billy'ego odpowiadała, że nie, nie daje sobie rady, że nie, w domu nie jest tak czysto jak powinno być, że owszem, nie bardzo wie, co dalej począć.

Helen Stoneburner Henry, emerytowana superwoman w podomce, przyznała, że tak, niewykluczone, że przydałaby się jej - być może - jakaś pomoc.

Tessy przy tym nie było, ale bez tego wiedziała, co musiało doprowadzić do starcia. Billy wyciągał z Helen słowo po słowie, a Nancy, ani chybi, powoływała się na lokalne przepisy, cytowała rozmowy z urzędnikami z wydziału zdrowia, różne skrzętnie zbierane

informacje na temat procedur prowadzących do uznania osoby starszej za zniedołężniałą.

Zakończyła prawdopodobnie okraszonym pochwałami wyliczeniem wszystkich po kolei domów spokojnej starości znajdujących się w promieniu dziesięciu mil od Richmond.

W każdym razie ze słów ojca wynikało, że w Helen wstąpiła furia.

- Dopóki żyję - miała oświadczyć - nie dam się umieścić w żadnym domu starców, choćby luksusowym, w dodatku o setki mil stąd. I żadnego z was więcej nie wpuszczę do swojego domu. Chyba że przyjedzie z wami Tessa. Ona jedna ma trochę rozumu!

I Tessa czekała spokojnie, kiedy zacznie się zabawa, która wcale jej nie bawiła. Ironia losu, też mało zabawna, rzuciła ją między dwie kobiety, od których wołała trzymać się z daleka. Miała spędzić resztę wakacji, obserwując, jak tańczą naprzeciw siebie niby dwóch bokserów na ringu.

Na domiar wszystkiego, jeśli dom wyglądał wewnątrz tak samo jak na zewnątrz, przez cały lipiec i sierpień będzie musiała doprowadzać tę ruinę do względnego porządku.

Ale jakie to właściwie miało znaczenie? Co takiego czekało na nią w domu w Fairfax? Nic. Nic i nikt.

Obłok kurzu był znakiem, że na Fitch Crossing Road istnieją jednak jakieś formy życia. Obróciwszy głowę, Tessa patrzyła, jak obłok zbliża się ku niej. W oku obłoku sunął czarny mercedes matki, tyle że mniej lśniący niż zwykle, po konfrontacji z urokami wiejskich dróg. Zwolnił i chmura podpłynęła pod dom, ale Nancy i tak źle obliczyła tempo dojazdu: omal nie zaryła w północnym rowie, energicznie skręciła kierownicę i szczęśliwie ominęła rów południowy.

Tessa nie poruszyła się. Czowała, jak już przytłacza ją czas, który miała spędzić na farmie. Życie ją przytłaczało. Nie była aż tak silna. Być może nigdy już nie odzyska dawnej siły, a jednak przyjechała: posłuszna córka, troskliwa wnuczka, rozjemczym. Tessa MacRae, nauczycielka angielskiego w szkole średniej, żona wziętego prawnika, kocica spadająca na cztery łapy. Nie: kocica, która liże się z ran. Właśnie wylizywała się z tych najgorszych, jakie życie mogło jej zafundować, i teraz mogła sobie powiedzieć, że nic gorszego nie może jej już spotkać.

Próbowała się w ten sposób pocieszać, ale bez większych sukcesów. Odczekała, aż drzwiczki się zatrzasną i podniosła się dopiero, gdy Nancy podchodziła do ganku.

*

Na widok córki Nancy zaczynało szybciej bić serce. Po raz pierwszy przypadłość ta dopadła ją na sali porodowej, w momencie przyjścia Tessy na świat. W trakcie długiego, koszmarnego porodu tak ją naszpikowali środkami znieczulającymi, że właściwie serce jej powinno stanąć. Spojrzała pijanym wzrokiem na oślizłego noworodka, którego wydała wreszcie na świat, krew zadudniła jej w uszach i pomyślała, że warto było przejść przez tę mękę.

Potem czekała przez lata, kiedy instynkt osłabnie, emocje się wyciszą. Przyjaciółki oswajały się ze swoim macierzyństwem; potrafiły mówić o innych rzeczach, wychodziły wieczorami do znajomych, umawiały się na golfa, na tenisa, a Nancy, ze swym ciągle zbyt żywo bijącym sercem, nie mogła zrozumieć, jaką w tym widzą przyjemność.

Z daleka już zobaczyła, że Tessa zmizerniała, schudła, jest blada i spięta; stała zupełnie nieruchomo, jakby chciała stłumić w sobie wszystkie ludzkie odruchy, zapanować nad nimi. Zawsze była doskonale opanowana, żadnych zbędnych ruchów. Marmurowa madonna, przerażająco piękna z tym swoim niebiańskim spokojem. Kiedyś może była piękna, przynajmniej w oczach Nancy, i niebiańsko spokojna. Od jakiegoś czasu wyglądała na zmęczoną, zgnębiającą, jej twarz postarzała się. A dzisiaj sprawiała wrażenie zrezygnowanej.

- Chciałam przyjechać wcześniej - odezwała się Nancy, zanim jeszcze weszła na ganek. Słowa, ostrożnie odmierzane, już po chwili popłynęły kaskadą. - Ale w Richmond były piekielne korki. Potem musiałam się zatrzymać, wziąć benzynę. Zatankowałam i natychmiast zrobiłam się głodna. Kupiłabym sandwicza i dla ciebie, gdybym wiedziała, że zjesz. W ogóle przestałaś jeść. Chudniesz. Czemu siedzisz na ganku? Też dopiero przyjechałaś?

- Babcia nie chce otworzyć. Nie, przyjechałam punktualnie. - Drugie zdanie było przytykiem, wypowiedzianym bardzo rzeczowo. Tessa przyjechała punktualnie. Oczywiście, że przyjechała punktualnie. To Nancy jest rozbiegana, roztrzepana. Próbuje być punktualna, pewna siebie, spokojna i ciągle się potyka. Każdym słowem, każdym gestem zawodzi swoich najbliższych i wie o tym.

Odniosła się wyłącznie do pierwszego stwierdzenia.

- Nie chce otworzyć? A co robią tutaj te rzeczy? - Wskazała na krzew pnącej róży. - I te wszystkie papiery?

- Czekam już godzinę. Nie otwiera, chociaż jest w domu. Słyszałam ją. W oknie w sypialni.

Nancy zatrzymała się przed wejściem na ganek, podniosła głowę i przysłoniła oczy dłonią.

- Okno zamknięte. Zasłony zaciągnięte.

- Teraz je zaciągnęła.

- Zamknęła okno i zaciągnęła zasłony, wiedząc, że czekasz przed domem? W tym skwarze? Chce, żebyś się usmażyła?

- Na zewnątrz i tak jest pewnie chłodniej niż w środku.

- Może jest chora. - Nancy szybko wbiegła po stopniach. Szarpnęła drzwi siatkowe i nacisnęła klamkę, potem zaczęła bębnić w drzwi.

- Mamo! Mamo!

- Nie sądzę, żeby to miało poskutkować. Nancy nie przestawała się dobijać.

- Coś mogło się jej stać.

- Owszem, ogłuchła. Walenie nic nie da. Nancy znieruchomiła z dłonią w powietrzu.

- Masz lepszy pomysł, Tesso? Wyglądało na to, że usiadłaś na ganku i zapadłaś w błogostan. A ona tam może leżeć martwa.

- Kiedy podjechałam pod dom, jeszcze żyła, całkiem żywa wyrzucała przez okno różności, a kiedy zamykała okno i zaciągała zasłony, nadal zdradzała oznaki życia.

- Naprawdę myślisz, że bierze nas na przetrzymanie?

- To oczywiste.

Nancy cofnęła się, spojrzała na drzwi z niechęcią w oku. Jak wszystko w tym domu, wymagały malowania. Dach wymagał naprawy, ganek nowych wsporników, w siatkowych drzwiach należało wymienić siatkę.

Właściwe drzwi wejściowe, te drewniane, służyły całym pokoleniom Stoneburnerów i było to widać po tych drzwiach. Przed wielu laty Nancy wyszła przez nie, nie oglądając się za siebie. Raz jeszcze załomotała solidnie.

- Myślę, że w końcu zejdziesz na dół - powiedziała Tessa. - Jak uzna, że już wystarczająco nas ukarała.

- Ukarła?

- Za naleganie, by zgodziła się na zmiany, które nam są wygodne, a jej niekoniecznie.

- Rozumiem, że według ciebie nie mam takiego prawa. - Nancy zwiesiła ramiona. Miała sześćdziesiąt lat, ale wyglądała młodziej, znacznie młodziej, kiedy była wypoczęta i miała w miarę dobre samopoczucie. W tej chwili nie była ani wypoczęta, ani zadowolona z życia. Pot ściekał między piersiami wbitymi w stanik, który był mniej więcej tak wygodny jak żelazny pancerz. Najchętniej ściągnęłaby uciskowe rajstopy, które miały spłaszczać brzuch, przerzuciła je przez belkę pod daszkiem ganku, zrobiła zgrabną pętlę i powiesiła się. Od tygodnia nie spała, zadreżając się myślom o tym, co będzie, co dalej... Pojawiły się worki pod oczami, od razu podwójne, drugi podbródek i drżenie głowy.

Tessa nawet nie westchnęła. Była niczym mroczne, spokojne jezioro, pod którego gładką taflą nie wiadomo co się kryje. Jak zawsze.

- Przyjechałyśmy i nie ma nad czym debatować - odezwała się. - Pozmieniałam swoje plany i do końca wakacji jestem wolna. Nie będziemy się teraz wycofywać.

- Niby jak, kiedy się zabarykadowała?

- Rozumiem, że nie masz kluczy.

- Skąd? Nigdy dotąd nie zamykała drzwi na klucz. Tyle razy mówiłam jej, że powinna zamykać...

- Wygląda na to, że wreszcie cię posłuchała. Nancy zerknęła na córkę, dojrzała uśmiezek na

jej twarzy. Były do siebie tak bardzo niepodobne! Tessa - wysoka, szczupła, miała zielone oczy, gęste, jedwabiste i proste ciemne włosy, które zaczesywała gładko do tyłu i ściągała w ciasny węzeł, jak tancerka. Kiedyś rzeczywiście tańczyła, przestała, mając dwadzieścia kilka lat i wybrała przyjemności normalnego życia, ale do dzisiaj zachowała posturę, grację i prostotę tancerki.

Nancy natomiast uważała się za podstarzałą cheerleaderkę. Krepą blondynką, zażywną, na ile pozwalał jej artretyzm i wysokie ciśnienie krwi, o kręconych z natury włosach i delikatnej, podatnej na słoneczne oparzenia skórze. Zawzięcie ćwiczyła, zrzucając wiecznie przybywające kilogramy, niesforne włosy pacyfikowała u najlepszego fryzjera w Richmond i zawsze nosiła staranny makijaż.

Dzisiaj przyjechała w różowej markowej sukni, pod którą miała tyle bielizny, że obdzieliłaby wszystkie Aniołki Charliego. Czego teraz gorąco żałowała.

- Babcia chce nam po prostu pokazać, kto tu rządzi - powiedziała Tessa. - Kiedy już będzie miała pewność, że komunikat dotarł, wpuści nas do domu. A na razie musimy tu trwać.

Zaproponowana taktyka nie znalazła zrozumienia u Nancy.

- Nie.

- Nie?

- Sprawdziałś drzwi kuchenne?

- Na pewno zamknięte.

- Więc nie sprawdzałaś.

- Niezbyt przypadła mi do gustu koncepcja wtargnięcia na siłę do domu, kiedy Helen wyraźnie nie chciała mnie wpuścić.

- Ja tam nie mam obiekcji. Chce się bawić, proszę bardzo. Jest najbardziej uparta ze wszystkich Henrych. Przejechałam kawał drogi i nie zamierzam nocować na ganku. Komary nas zjedzą...

- Jeszcze mamy sporo czasu, zanim komary zaczną gryźć - przerwała jej Tessa. - Nie możesz trochę poczekać? W końcu nas wpuści.

Ale Nancy nakręcała się coraz bardziej. Poświęciła się, żeby przyjechać. Zrezygnowała z pełnienia roli gospodyni na klubowym lunchu, który miał się odbyć w następnym tygodniu. Zostawiła w Richmond męża i teraz się bała, że będzie miał czas pod jej nieobecność zastanowić się nad niedostatkami ich małżeństwa.

- I po co? - zapytała na głos, jakby Tessa miała możliwość śledzenia toku jej myśli. - Nie będę tutaj stała i modliła się o wstęp do sanktuarium mojej matki.

Odwróciła się na pięcie i zaczęła schodzić po stopniach, rzucając szybkie spojrzenie przez ramię, żeby się upewnić, czy córka idzie za nią. Szła, ale nie miała zadowolonej miny.

- Znajdziemy sposób - powiedziała Nancy. - W najgorszym razie dostaniemy się do domu przez piwnicę.

Tessa nie odpowiedziała.

Drzwi kuchenne były zamknięte. Drzwi od piwnicy zamknięte. Większość okien na parterze też zamknięta, zapewne na głucho. Z wyjątkiem jednego, w tak zwanym saloniku. Nancy zatrzymała się pod nim. Teren w tym miejscu opadał i okno, usytuowane wyżej niż

pozostałe, było niedosiężne. Ale otwarte. Na tyle szeroko, że Nancy z powodzeniem mogłaby przez nie dostać się do wnętrza.

- Wymykałaś się wtedy jak byłaś smarkata? - zapytała Tessa.

- A dokąd? Rozejrzyj się, dookoła absolutne pustkowie. Zadupie. Chyba nawet mijalam po drodze tablicę z taką informacją.

- Musiałaś mieć jakieś koleżanki, kolegów. A oni musieli mieć samochody.

- Nie miałam czasu na koleżanki i kolegów. Zanim obrobiłam się ze wszystkimi obowiązkami, które zwałała na mnie twoja babka, nie miałam już na nic ochoty.

- Może wchodzenie przez okno to niezły pomysł, ale w tej sytuacji nie polecałabym. Za wysoko.

Nancy oczywiście słyszała, jakim tonem przemawia Tessa: niczym matka siląca się na cierpliwość wobec niezdolnego dziecka albo dyplomatka godząca zwaśnione kraje. W połączeniu z upałem dawało to fatalną mieszankę. Nancy wyprostowała się na całą wysokość swoich stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu. - W garażu jest drabina. Kiedyś w każdym razie była.

Tessa położyła dłoń na ramieniu matki.

- Powinnyśmy poczekać. Nancy strząsnęła jej dłoń.

- Posłuchaj, musimy ustalić zasady. Twoja babka nie może decydować, co tu się będzie działo. Jeśli zamierza zapierać się i nie przyjmować pomocy, niewiele zwojujemy. - Ruszyła w stronę garażu, wolnostojącej budy w równie opłakanym stanie jak cały dom.

- Zamierzasz jej pokazać, kto tutaj rządzi?

- Nie określiłabym tego w ten sposób.

- Nieważne, jak byś określiła.

Nancy zatrzymała się raptownie i odwróciła.

- Mieszkałam z nią przez dwadzieścia dwa lata. Możesz sobie myśleć o swojej babce, co ci się podoba, ale znam ją lepiej niż ty.

Tessa słuchała spokojnie, ale jej mina mówiła wszystko. Pełna dezaprobaty.

Nic nie rozumiała, nigdy nie będzie w stanie zrozumieć, co powodowało jej matką. Choćby Nancy ze wszystkich sił starała się do niej dotrzeć, apelowała o jej wsparcie, Tessa będzie w niej widziała - tu nie różniła się od swojego ojca - nieważki, pięknie opakowany ciężar.

- To będzie długie, gorące lato - powiedziała.

- Będzie jeszcze dłuższe, jeśli zamierzasz cały czas mnie oceniać, Tesso.

Nie sprawdzając, jaki efekt wywarły jej słowa, ruszyła znowu w kierunku garażu. Odwróciła się dopiero, gdy usłyszała głośny łoskot. Tessa wzruszyła ramionami, cofnęła się o krok i podniosła głowę. Przed chwilą otwarte jeszcze okno zatrzęsnęło się: łup! Kobieta stojąca za szybą zaciągnęła zasłony, odcinając się kompletnie od świata.

Panika, dobrze znany wróg. Helen Henry potrafiła ją pokonać, jak większość wrogów, których zdarzyło się jej spotkać w ciągu osiemdziesięciu dwóch lat swojego życia. Teraz ta sama panika ścisnęła wewnętrżności, chwytając za gardło i nie pozwalając oddychać.

Kłopoty z oddychaniem mogły, oczywiście, wynikać z duchoty panującej w domu. Zamknęła wszystkie okna i temperatura w pokojach zbliżała się niebezpiecznie do 100 stopni w skali Fahrenheita.

Stała obok okna, przy ścianie, łapiąc z trudem powietrze. Dopóki okno było otwarte, stała dokładnie w tym samym miejscu i słuchała, jak jej jedyna córka i jedyna wnuczka rozważają ewentualne możliwości wtargnięcia do jej domu. I wtedy wpadła w panikę, z którą walczyła od tygodnia.

Były tutaj. Prędzej czy później dostaną się do domu. Zobaczą.

Opuściła głowę i zauważyła, że przy podomce brakuje dwóch guzików. Miała tysiące guzików, pośród których coś by dobrała, ale brakowało jej energii, żeby to zrobić. Podomka najlepiej maskowała szerokie biodra, dobre biodra do rodzenia dzieci, jak lubiła powtarzać jej matka. Niestety! - pomyślała Helen z żalem. - Urodziła tylko jedno. Nancy.

- Mamo!

Słyszając wołanie Nancy, zacisnęła zęby, w większości ciągle własne, bo zęby Stoneburnerów odznaczały się większą długowiecznością od nich samych. Przez moment zastanawiała się, czy nie wzmóc długowieczności uzębienia jakąś modlitwą. Miała ochotę umrzeć, natychmiast, a zęby niechby ją przeżyły, proszę bardzo. Z drugiej strony, wątpliwe, by Pan Bóg powołał ją do siebie pod tak nędznym pretekstem. Zachowa więc modlitwę o rychłą śmierć na później, w razie, gdyby rzeczywiście zrobiło się naprawdę gorąco.

W tej chwili miała dwa wyjścia: albo połknąć haczyk, albo przeciąć linkę. Nie była tchórzem. Nie miała łatwego życia, ale przeszła przez nie, jedną ręką trzymając panikę na odległość, drugą torując sobie drogę pośród chaszczy. I ta druga była jedyną, którą ktokolwiek widział od śmierci jej męża. Teraz też zamierzała ją pokazać.

Jeśli tego nie uczyni, córka i wnuczka wyczują natychmiast jej słabość i spadną na nią niczym dwa drapieźniki. Wyobraziła sobie dwie wilczyce o twarzach Nancy i Tessy i wcale się z tego powodu nie zawstydziała.

- Mamo!

Wydawało się jej, że słyszy, jak Tessa próbuje uspokajać matkę. Mogłaby powiedzieć wnuczce, że to na nic, ale Tessa sama dobrze o tym wiedziała, tylko nie mogła się powstrzymać. Nancy, sprawiająca wrażenie trzpiotowatej, nawet głupiej, była w gruncie rzeczy wykuta z granitu. Otrzymywała to, co chciała. Komfort, w którym żyła, był tego najlepszym przykładem.

Helen odchyliła brzeg zasłony i zerknęła przez okno. Córka i wnuczka ciągle stały w pełnym słońcu. Na widok Nancy, która wyglądała teraz jak więdnący goździk, poczuła coś na kształt współczucia. Sama spływała potem, ale to ona była wszysktemu winna. Puściła zasłonę i wyprostowała się. Dość tego. Jeśli będzie zwlekała, potem zabraknie jej siły. Wyczerpała zasób możliwości, pozostało jej tylko zachować się tak, jakby to ona podejmowała decyzje, nawet jeśli nie była to prawda.

Ruszyła do drzwi frontowych, próbując nie patrzeć na boki. Zasuwa zaskrzypiała okropnie, jakby z rzadka jej używano, co akurat było prawdą. Do domu napłynęło gęste, gorące powietrze, ale zawsze powietrze. Odetchnęła głęboko, po czym wyszła ostrożnie na zewnątrz, zamykając drzwi za sobą.

Koszula nocna i szlafrok ciągle leżały na krzaku róży. Zrobiło się jej trochę głupio na ich widok. Do tej pory nawet ich nie przymierzyła. Miała mnóstwo starych rzeczy, których nie zdążyła jeszcze znieść, ale czasami wyjmowała urodzinowy prezent i oglądała, dotykała jedwabistego materiału spracowanymi palcami. Przerzuciła obie rzeczy przez rękę, potem sięgnęła po sweter, który dostała od Nancy na Boże Narodzenie.

Córka i wnuczka musiały być ciągle na tyłach domu. Zaraz wróca, była pewna. Musiałyby mieć źle w głowach, żeby smażyć się na słońcu. Zastanawiała się, jak powinna je przywitać, kiedy się pojawią.

Nie musiała długo deliberować.

Pierwsza pokazała się Tessa, co Helen nie zdziwiło specjalnie. Nancy zapewne coś jeszcze knuła, koniecznie chciała postawić na swoim. Zupełnie niepotrzebnie. Tessa zatrzymała się na widok babki, ale nie powiedziała słowa, za co dostała punkt od Helen. Mogła liczyć na Tesse, nie lubiła zrzędzić i pouczać. W chwilach krytycznych była prawdziwą Jackie Kennedy.

- Wejdz, skoro nie dotarło do ciebie, że powinnaś wracać do domu. - Helen cofnęła się ze stopni na ganek.

- Bałam się, że zaczniesz wyrzucać meble przez okno. - Tessa zatrzymała się na najwyższym stopniu. - Co u ciebie, babciu?

- Tak samo, jak ostatnim razem, kiedy pytałaś. Teraz już wiesz i jeszcze raz ci radzę: wracaj do domu.

Zza węgła wyszła Nancy, posłała matce wściekłe spojrzenie.

- Pewnie wydaje ci się, że to było bardzo dowcipne? Biblia nie mówi nic o gościnności?

- Pewnie są tacy, którzy gotowi ugościć grzechotnika, ale ja oprócz zasad zapisanych w Biblii kieruję się zdrowym rozsądkiem.

Nancy podeszła do ganku. - I w ten sposób przemawia dobra chrześcijanka do bliskich, którzy chcą jej pomóc? Helen nie dała się zbić z tropu.

- Sameście się tu wprosiły.

Nancy zaczęła coś mówić, ale Tessa jej przerwała, stając między babką i matką.

- Jeśli zaraz nie przestaniecie, to lato zamieni się w koszmar. Babciu, powinnaś była dawno mnie wpuścić, ale rozumiem, masz prawo robić, co ci się podoba. To w końcu twój dom.

- Żebyś wiedziała.

- A ty, mamó, miałaś prawo martwić się o babcię.

- Nie potrzebujemy negocjatorki, Tesso. Jasne, że się martwiłam.

Tessa cofnęła się tak, by widzieć obie.

- Zostawmy to i chodźmy do środka.

- Nie chcę was tutaj. - Helen jeszcze próbowała stawiać opór. - Świetnie radzę sobie sama. Od lat.

Nancy zaczęła wyliczać wszystkie widome oznaki, że Helen nie radzi sobie wcale, ale Tessa podniosła dłoń.

- Pomimo wszystko spróbujemy ci pomóc - zwróciła się do babki.

Helen tylko westchnęła. Pomoc. Słowo o bliżej niesprecyzowanym znaczeniu, odnoszące się do innych, ale nigdy do niej. Dostrzegła wyraz twarzy Tessy: wnuczka była taka sama jak jej matka, rzadko okazywała, co czuje, ale teraz w jej oczach malowała się troska. Troska o bliźniego, niewiele mająca wspólnego z zamartwianiem się o najbliższych, z którymi łączą nas dobre wspomnienia, ale i tę troskę Helen przyjęła, jak człowiek wygłodzony przyjmuje kromkę chleba.

- Ani słowa, słyszycie? Ani słowa o tym, że dom jest zapuszczony. Sama dobrze wiem, jak wygląda.

Tessa nic nie powiedziała, Nancy westchnęła.

- Chodźmy do środka.

- Nieważne, co zastaniecie - mówiła Helen. - Nie ruszę się stąd, dopóki Pan nie powoła mnie do siebie. - Nie czekając na ich reakcję, odwróciła się i kuśtykając, ruszyła do drzwi.

Za plecami usłyszała jeszcze, jak Tessa mówi do matki:

- Słyszałaś, co powiedziała, prawda?

- Mam dobry słuch.

Helen nie chciała dodawać, że i ona ma dobry słuch.

Kiedy wszystkie trzy znalazły się w sieni, to Tessa zareagowała pierwsza. Gwizdnęła cicho i powiedziała:

- Mój Boże.

Wnętrze domu obudowane było niczym murami fortecznymi stertami różności piętrzącymi się niemal pod sam sufit, a między nimi biegly wąskie korytarze umożliwiające poruszanie się. Kartonowe opakowania po płatkach, puste słoiki, lekkomyślnie wyrzucone i uratowane ze śmietników w Toms Brook, Mauertown i Woodstock, czasopisma oraz książki, koce, starannie poskładane ręczniki, sprzęty kuchenne, które dałoby się jeszcze naprawić, gdyby zdobyć części, plastikowe torby wypełnione plastikowymi torbami - dlaczego je wyrzucać, kiedy jeszcze całe? Katalogi nasion z tak pięknymi zdjęciami, że szkoda się z nimi rozstawać, plastikowe doniczki oczekujące na nowe kwiaty.

I mnóstwo, nieprzebrane mnóstwo innych bezcennych skarbów.

- Nie patrzcie z takim osłupieniem. To moje rzeczy - powiedziała Helen. - Wszystko się przyda. Ludzie nie potrafią robić użytku z przedmiotów. Nie myślą, że wszystko da się wykorzystać. Wyrzucają stare, zupełnie jeszcze dobre, i kupują nie wiedząc po co nowe. Ja mam więcej rozumu i jestem z tego dumna. Mam tu wszystko, czego mi tylko trzeba. Absolutnie wszystko. Czy wiele osób mogłoby powiedzieć to samo?

A potem, nie mogąc już dłużej patrzeć na wstrząśnięte, pełne współczucia twarze jedynych dwóch istot, które choć trochę ją kochały, ruszyła po zastawionych wszelką zbieraniną schodach na górę, do swojej sypialni.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tessa dopiero po chwili zorientowała się, że matka musi usiąść i ochłonąć, ale nie było gdzie usiąść. Na każdym krześle i fotelu w zasięgu wzroku piętrzyły się „rzeczy”, jak je Helen nazywała. Tessa pomogła matce zdjąć z fotela w rogu pokoju grube albumy z próbkami tapet i obić. Kilka razy musiała odbyć drogę na ganek, bo w domu nie było gdzie ich położyć, chyba że w wąskich przejściach, doprowadzając do zawału komunikacyjnego.

Kiedy wróciła po wyniesieniu ostatniej partii próbek, Nancy siedziała w fotelu z głową w dłoniach.

- Rzeczywiście jest źle - zgodziła się Tessa. - Gorzej, niż mogłyśmy przypuszczać.

- Czekam, kiedy jakiś szczur przebiegnie mi pod stopami.

Raz przynajmniej Nancy nie przesadzała. Do kompletu brakowało tylko szczurów. Jakby wystarczyło potrać pierwszą z brzegu stertę, żeby wysypało się spod niej hurmem jakieś paskudztwo. Kto wie, może Helen zbierała też gryzonie, przewidując, że kiedyś mogą się przydać.

- Po co jej próbki tapet i obić? Myślisz, że zamierzała wytapetować te góry śmieci, licząc, że ich nie zauważymy?

- Mają naklejkę sklepu wewnątrzarskiego w Strasburgu. Znalazła je widocznie na śmietniku, kiedy tam akurat była, i przytargała do domu.

Nancy jęknęła.

- Miałaś rację. - Tessa musiała to powiedzieć, ale jej samej własne słowa zabrzmiały jakoś dziwnie.

- A mnie się wydawało, że... - Nie wiedziała, jak delikatnie dopowiedzieć resztę.

- A tobie się wydawało, że sobie coś ubrdałam z braku lepszych zajęć. - Nancy podniosła głowę.

- Myślisz, że nie wiedziałam?

- To nie najlepszy moment na zgłębianie skomplikowanych relacji między nami. Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie wierzyłam, że jest tak źle i teraz mi głupio z tego powodu.

- Jest źle - Nancy zatoczyła dłonią. - Jedna zapalka, Tesso. Jedna iskierka i wszystko pójdzie z dymem.

- Wywabię ją z domu, jeśli chcesz to zrobić. Pożar zaoszczędzi nam mnóstwo czasu.

Nancy uśmiechnęła się i Tessie, nieoczekiwanie, zrobiło się cieplej na sercu. Nancy uśmiechała się za często i jej uśmiechy za długo pozostawały przyklepione do ust, jakby czekała, żeby ktoś je zauważył i docenił. Tym razem uśmiech był bezinteresowny i przemknął szybko przez twarz.

- Nie możemy tu dzisiaj spać bez narażenia życia - stwierdziła.

- Przy tym upale może dojść do samozapalenia. - Tessa zamilkła na moment. - Poza tym łóżka są na pewno obłożone.

- Ile ja się naprosiłam, żeby pozwoliła mi założyć tu klimatyzację. Kilka lat temu przywiozłam nawet ze sobą fachowca, który miał wymienić instalację elektryczną, ale na tym się skończyło. Wściekła się. A upały są groźne dla serca. Nie rozumiem jej. Mam pieniądze. Dla mnie to drobiazg.

- Dla niej nie.

- Poszła na górę. Pomyślmy, co mamy robić, zanim zejdziesz.

- I nie zacznie znosić kolejnych „rzeczy” do domu. - Tessa przesunęła palcem po stercie wazonów. - Kiedy byłaś tutaj po raz ostatni?

- Zbyt dawno, to pewne. - Nancy zaczęła liczyć na palcach. - Latem w zeszłym roku? Nie. Widywałam się z nią poza domem, w kościele albo w drugstorze. Potem mówiła: „Nie odwoź mnie, mam robotę w domu” albo „Sama trafię”. - Nancy zmarszczyła czoło. - Pamiętam, że byłam tutaj po śmierci Kayley i... - przerwała raptownie.

Tessa milczała. Po śmierci Kayley... Czyli przed trzema laty. Chyba cała rodzina tak oznaczała czas: przed i po śmierci Kayley. „Byłam taka szczęśliwa, dopóki Kayley żyła”. „Nie mogłam się otrząsnąć po jej śmierci”. Dzień śmierci Kayley był niby linia demarkacyjna w sposób istotny rozdzielająca czas. Dzień, w którym pięcioletnia córka Tessy została potrącona przez pijanego kierowcę ciężarówki.

- Pamiętam, że wtedy na pewno tu byłam. - Nancy znowu mówiła za szybko. - Przepraszam, zupełnie nie myślę...

- Kayley zginęła. Nie możemy udawać, że nie.

- Tessa oparła dłonie na krzyżu i przeciągnęła się.

- Ja też przyszłam tutaj po pogrzebie. Dom wyglądał zupełnie przyzwoicie, pamiętasz? Co prawda tamtego dnia mogła tędy przepływać Shenandoah i babka nie zauważyłaby, że brodzi w wodzie.

- W każdym razie nie było tego, co teraz. Tessa, jaką ja jestem córką?

- Jesteś córką, która nie była tu zapraszana. Nie chciała, żebyś zobaczyła. Gdybyś nie naciskała, nadal nie miałybyśmy o niczym pojęcia.

- Co robić? - Nancy wykręcała nerwowo palce i wyglądała tak, jakby lada chwila miała się popłakać.

Tessa zadawała sobie to samo pytanie. Drobiazgi urastały do gigantycznych rozmiarów. Czy mogły tu bezpiecznie przenocować? Czy w ogóle da się tu nocować? Jeść? Czy choć jedna łazienka nadaje się do użytku? Czy nie poduszają się tutaj, nawet jeśli otworzą wszystkie okna?

I jak Helen mogła doprowadzić się do takiego stanu?

- Nie możemy spalić domu - powiedziała. - Żebyśmy wszystko puściły z dymem, ona nadal będzie gromadziła śmieci. Przenocować gdzie indziej też nie możemy, bo jutro nas tu nie wpuści.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że dzisiaj jednak nas wpuściła.

- Wie, że potrzebuje pomocy, ale ukrywała to do tej pory, bo się boi.

- Nigdy w życiu niczego się nie bała. Powinnaś ją była widzieć, kiedy byłam mała. Potrafiła...

Tessa jednym uchem słuchała opowieści matki o tym, jak babcia dzielnie stawiała przeciw miedziankom oraz grzechotnikom i jak raz wielki brunatny niedźwiedź uparł się złożyć wizytę w kurniku. Wiedziała, że nie ma sensu się sprzeczać. Spojrzała na zegarek: cienka bransoletka z litego złota z cyferblatem wysadzonym małymi kamykami zamiast cyfr. Dostała go od męża na ostatnie urodziny i uznała ten zegarek za dziwny prezent. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że od chwili śmierci Kayley wszystkie chwile były do siebie podobne. Jeszcze jeden dowód na to, że w jakimś momencie przestali się rozumieć.

Spojrzała na Nancy, z której uszła cała para.

- Mamy jakieś siedem godzin do zachodu słońca. Przez ten czas możemy przecież wynieść stąd mnóstwo śmiecia.

- Mówisz poważnie?

- Zaczniemy od papierów. Do zmroku uprzątniemy co najgorsze.

- Dokąd mamy to wynosić?

- Na razie na podwórze. Dopóki nie wywożą, przykryjemy brezentem. Na pewno babcia ma jakiś brezent.

- Na pewno ma tuzin jakichś brezentów, w różnych wymiarach i kolorach. Leżą porządnie złożone w kabinie prysznicowej albo w kominku.

- Jutro poszukamy kogoś, kto nam pomoże wynieść resztę.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie wpuści nikogo do domu, prawda?

Tessa obawiała się, że to prawda. Same czekały ponad godzinę, zanim babka zdecydowała się otworzyć i mało prawdopodobne, by pozwoliła komuś spoza rodziny przekroczyć próg. Najprościej byłoby wynająć ekipę, która uprzątnęłaby cały ten śmietnik, ale rzecz zdawała się niemożliwa, jeśli nie chciały przyprowadzić Helen o napad hysterii i paniki.

- Powiesz jej, że zamierzamy zlikwidować tę jej „kolekcję”, czy ja mam to zrobić?

- Powiem. - Nancy nie ruszała się z miejsca.

- Ja to zrobię. Jestem tylko wnuczką. Na mnie nie rzuci się tak jak na ciebie.

- Dostanie ataku.

Na pewnym poziomie babka musiała zdawać sobie sprawę, że sterty „rzeczy” muszą zniknąć. Może nawet w głębi duszy pragnęła, by zniknęły, dając jej na powrót swobodę poruszania się po domu. Tessa zastanawiała się nad psychologicznym aspektem problemu. Dlaczego ktoś gromadzi sterty niepotrzebnych odpadów, wśród których nie da się normalnie żyć?

- Miejmy to już za sobą - powiedziała.

- Może owiąż się liną na wypadek, gdybyś miała się zgubić w tym labiryncie. Poradziłabym ci, żebyś sypała okruszki chleba po drodze, ale po co wywabiać myszy z nor. - Nancy podniosła się. - Zacznę wynosić gazety.

- Nie podźwignij się. Uważaj na kręgosłup. Noś po trochu.

Nancy dotknęła ramienia córki.

- Musisz być stanowcza. Żadnego współczucia.

Te śmieci muszą stąd zniknąć albo ona zniknie. Proste.

- Ona o tym wie. Straszylaś ją już służbami sanitarnymi.

- Dawno bym ich tu przysłała, gdybym wiedziała, że jest aż tak źle.

Droga administracyjna byłaby najprostsza, ale jak czułaby się Helen? Ta farma, dom, to było całe jej życie. W przeciwieństwie do matki Tessa uważała, że przeniesienie Helen do jakiegoś luksusowego pensjonatu - z serii tych, o których się mówi „złota jesień” - przyspieszyłoby tylko jej śmierć.

Zostawiła pomrukującą pod nosem Nancy i ruszyła na górę. Helen wykorzystwała skrętnie schody do magazynowania swoich zbiorów, zostawiając tyle tylko miejsca na każdym stopniu, by dało się postawić stopę. Jeden fałszywy krok mógł spowodować zejście lawiny. Po wyniesieniu gazet należało zabrać się przede wszystkim za schody. Tego tylko brakowało, żeby Helen złamała nogę.

Tessa nie pamiętała, kiedy ostatnio była na piętrze. Dom był przestronny, rozbudowywany z biegiem lat dla potrzeb rodzinnych wyzów demograficznych i krewnych, którzy tu wracali na starość, szukając opieki. Zatrzymała się na górnym podejściu, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest sypialnia babki.

Korytarz pierwszego piętra wypełniony był stertami ubrań. Trzeba było przyznać Helen, że wiedziała, jak magazynować. Drelichy i dzinsy osobno, osobno koszule, suknie, kopiec porządnie zwiniętych skarpet, pudełka po butach mieszczące bieliznę.

Serty niższe niż te na parterze, ale jedna przy drugiej, każda przynajmniej do wysokości kolan.

Tessa weszła w labirynt, potracając biodrem stertę ręczników.

- Babciu.

Żadnej odpowiedzi, oczywiście. To byłoby zbyt proste. Pomyślała o kiedyś odbytej podróży. Przed czterema laty wybrali się w trójkę do Londynu: Mack, Kayley i ona. Mack poleciał tam na konferencję, a Tessa i Kayley, córeczka miała wtedy cztery lata, dołączyły do niego później. Zwiedzali miasto, stateczkiem wycieczkowym kursującym po Tamizie popłynęli do Hampton Court. Kayley, zachwycona labiryntem w ogrodach pałacowych, krążyła po nim, chichocząc i chowając się przed rodzicami w ślepych alejkach. Gdyby żyła, pewnie spodobałby się jej i labirynt prababki.

Przyjaciele tłumaczyli Tessie i Mackowi, że jest za mała na takie wycieczki, mówili, że kiedy podrośnie, najpewniej nie będzie nic pamiętała.

Żyła tak krótko. Tessa zawsze już miała żałować, że tak krótko. Tyle było książek, których jej nie przeczyta, spacerów, na które nie

pójdą, tyle zabaw, których już jej nie pokaże. Dobrze, że tamtego lata pomimo wszystko zabrała Kayley do Londynu.

Podeszła do najbliższych drzwi. Prawdopodobnie z tego pokoju poleciał grad papierowych kulek i wzgardzona garderoba. Zapukała, a kiedy nikt nie odpowiedział, nacisnęła klamkę. Wewnątrz panował mrok, zasłony były nadal zaciągnięte. Zapaliła światło: pusto. Oczywiście Helen nie mogło tu być, nie dało się tu poruszać. Jedna wąska ścieżka wiodła od drzwi do okna, a poza tym cały pokój wypełniały bez reszty czarne foliowe worki.

Wspaniale.

Tessa pociągnęła nosem, ale nie poczuła, na szczęście, woni rozkładających się śmieci. Może po prostu Helen przechowywała tu część swoich zdobyczy, których nie zdążyła jeszcze posortować.

Przeszła do następnego pokoju, który okazał się biblioteką. W powietrzu unosił się zapach butwiejącego papieru, jak w antykwariacie ze starymi książkami, choć Tessa miała wątpliwości, czy któryś z uratowanych przez Helen tomów zasługiwał na miano białego kruka. Tylko część podłogi była zajęta, a więc można było w miarę swobodnie dojść do łóżka, co oznaczało, że jedno miejsce do spania już jest.

W kolejnej sypialni też dałoby się od biedy przenocować.

Helen odnalazła dopiero w następnym pokoju, choć babka nie odpowiedziała na pukanie. Kiedy Tessa weszła, zastała ją siedzącą przy oknie.

Helen zawsze była dużą kobietą o szerokich ramionach i biodrach, grubokościstą. Teraz wyglądała krucho, jakby raptem uszła z niej cała energia, która dotąd pozwalała jej pewnie przebijać się przez życie.

Tessa знаła zdjęcia babki z młodości. Nie było ich wiele, w surowej luterańskiej rodzinie nie pochwalano strojenia min do obiektywu, pozowanie do fotografii kojarzyło się pewnie z próżnością, a lata wielkiego kryzysu dodatkowo kazały eliminować zbytki.

W każdym razie Helen uchodziła kiedyś za „fest kobitę”, taką, za którą mężczyźni się oglądają i która ściąga na siebie całą uwagę, wchodząc do pokoju.

Mijające dekady wyłobiły na jej twarzy głębokie zmarszczki, ślady trudów i niełatwych przeżyć. Wiecznie mrużyła oczy, bo nie

dbała o regularne zmienianie szkieł. Zwlekła z wizytami u okulisty, pomagając sobie przy czytaniu lupą, w końcu nawet ta przestała wystarczać.

- Babciu?

Helen oczywiście nie odwróciła się ani nie raczyła się odezwać.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Tessa weszła do środka. Pokój był zaskakująco przestronny, jasny. Stosunkowo mało zaśmiecony, jak na standardy obowiązujące w domu Helen; wypełnione porządnie ułożonymi materiałami półki na betonowych wspornikach, kołki z przyborami do szycia. Sterty różności, bez nich nie mogło się obyć, piętrzyły się pod ścianami, tak że środek pozostawał wolny.

- Nie chcę rozmawiać. Gadanie to strata czasu.

- W takim razie będziesz musiała słuchać. - Tessa stanęła obok babki, spojrzała na okolony płaczącymi wierzbami wysuszony staw, widniejący za oknem.

- Strasznie suche lato, prawda? - zagadnęła. Helen nie odpowiedziała.

Ciekawe, zastanawiała się Tessa, czy babka zaczęła budować swoją „kolekcję”, żeby mieć zajęcie? Czy jej życie wyschło z biegiem lat, jak ten staw, i próbowała je czymś zapęłnić?

- Musimy wysprzątać pokoje - powiedziała cicho. - Zdajesz sobie chyba sprawę, że trzeba to zrobić. Ten dom stanowi zagrożenie dla twojego zdrowia. Musisz mieć przestrzeń, żeby się poruszać, normalnie funkcjonować. Jeśli się o coś przewrócisz i złamiesz rękę albo nogę...

Helen uparcie milczała.

- Najlepiej i najprościej byłoby wynająć ekipę, która wszystko wyniesie.

Tutaj babka się zachnęła:

- Nikt nie wejdzie do mojego domu. Was też tutaj nie chcę.

Tessa położyła dłoń na ramieniu babki.

- Dałaś nam to odczuć. Myślałam już, że będę musiała rozbić się obozem na ganku.

- Ty? - prychnęła Helen. - Jesteś za miękka. Nie umiesz się postawić.

- Jak spędzę całe lato z tobą, zdążę się nauczyć.

- Zamierzasz tu zostać?

- A czego się spodziewałaś? Że zostawimy cię z tym zbiorem?

- Nie potrzebuję waszej łaski.

- Pewnie nie, ale towarzystwo chyba ci się przyda, prawda? Będziemy miały naprawdę mnóstwo roboty, babciu. Jedna osoba nie da sobie rady.

Helen milczała i Tessa bała się, że już nie usłyszy żadnej odpowiedzi. W końcu westchnęła.

- Nie wiem, jak do tego doszło.

Tessę, która od chwili przyjazdu starała się trzymać uczucia na wodzy, ogarnęło serdeczne współczucie. Doskonale rozumiała, co babka chciała powiedzieć. Jej samej życie też wymknęło się spod kontroli i też, jak babka, nie potrafiła nad nim zapanować.

Kiedy skończyły wynosić z pokoi na parterze gazety, słońce zdążyło schować się za horyzontem i temperatura spadła do prawie znośnej. Przy szeroko otwartych oknach i włączonych wiatrakach lżej było się poruszać i lżej oddychać.

Nancy podniosła rękę i przeciągnęła się.

- Muszę koniecznie wziąć prysznic, chociaż drink i kolacja też nie byłyby do pogardzenia.

Tessa też chętnie by się wykąpała, ale miała złe przeczucia. Jeśli staw wysechł, to jak wygląda zapas wody w studni?

Miesiąc, może dwa, bez klimatyzacji i wyliczaniem wody do kąpieli. Lato trzech kobiet, które niewiele łączyło poza tym samym DNA.

- Idź, weź prysznic, a ja zobaczę co da się przygotować na kolację - powiedziała Tessa. - Chyba uda mi się przedrzeć do kuchni, w najgorszym razie do któregoś z kredensów.

- Przywiozłam jakieś jedzenie. Jest na stole. Nic, co mogłoby się zepsuć. Wolę nie otwierać lodówki mamy... Przywiozłam głównie puszki, trochę owoców, chleb. Nie wiedziałam, co tutaj zastanę.

Dla Tessy matka stanowiła zastanawiającą mieszankę kaprała i puszka do pudru. W pewnych sprawach była mistrzynią. Niedościgła w wydawaniu wytwornych przyjęć i bankietów, potrafiła skupiać wokół siebie elitę Richmond. Była na „ty” z większością stanowej legislatury, doskonale znała konfederacyjną spuściznę, powiązania polityczne i przedsięwzięcia finansowe wszystkich najważniejszych rodzin. Sprawy praktyczne: otarte kolana, lokalizacja wyłączników prądu, przeliczanie funtów na uncje, wszystko to przekraczało jej możliwości. Tessa nigdy nie widziała jej przy kuchni. Posiłki

gotowała gospodyni, Sarah. Matka czasami zrobiła sandwicza, przygotowała płatki na mleku. A dzisiaj, raptem, pomyślała, żeby przywieźć jedzenie. Zdumiewające.

- Jest masło orzechowe?

- Sarah pakowała, więc chyba jest. Prosiłam też, żeby pamiętała o tuńczyku i majonezie.

- Świetnie, zajmę się sandwiczami.

- Na pewno? Może wolisz wziąć prysznic pierwsza, a ja zajmę się kuchnią? Jeszcze się ruszam.

- Idź. Ja zrobię kolację. Jak już będziesz na górze, wybierz, w którym pokoju chcesz spać. Pościel znajdziesz w korytarzu. Mnóstwo pościeli.

- Chyba nie pamiętam już, kiedy tu nocowałam po raz ostatni.

- Który pokój był twój? - zapytała Tessa.

- Ten wychodzący na las.

- Aha. Pokój z książkami. Babcia przezornie pomyślała o lekturze dla ciebie. Na całe lato. - Tessa powściągnęła uśmiech, a Nancy przymknęła na sekundę oczy, jakby próbowała sobie wyobrazić, co ją czeka.

- Przyniosę swoją torbę. - Zatrzymała się jeszcze w drzwiach. - Wino. Przywiozłam butelkę wina. Przypomniałam sobie.

Helen odnosiła się do alkoholu z umiarkowanym entuzjazmem, ale nie powinna im mieć tego za złe, być może wypiłaby kieliszek, gdyby udało się ściągnąć ją na dół.

- Tessa, ja... - Nancy zawahała się. - Może nie chcesz, żebyśmy otwierały wino. Nie musimy pić. Zupełnie nie myślę. Nie chcę cię do niczego zmuszać. Wiem, co czujesz...

- Wszystko w porządku.

Nancy już nic nie powiedziała, co było najlepszym świadectwem, że dotknęła bolesnego tematu.

Przejście do kuchni poszerzyło się w sposób widoczny. Tessa zdążyła już podzielić śmietnik na dwie części, w każdym razie w myślach. Dwie doskonale równe części. Do pierwszej zaliczyła rzeczy, których po prostu należało się pozbyć. Z drugą mógł być kłopot. Stara korespondencja, popłacone albo nie popłacone rachunki, pudła zdjęć, przedmioty, które komuś, jeśli nie samej Helen, rzeczywiście mogły się przydać. W pierwszej chwili wydawało się, że

po prostu należy wyrzucić wszystko, jak leci. Po kilku godzinach porządków przekonała się, że jest inaczej.

Zbiór kuchenny należał do drugiej kategorii. Nie była specjalnie zdziwiona, że Helen gromadzi jedzenie. W razie narodowego kataklizmu Fitch Crossing Road i miasteczko Toms Brook byłyby całkowicie zabezpieczone. Teraz rozumiała, skąd w saloniku puste słoiki. Helen pakowała do nich wszystko: zioła, zboża, makarony, płatki owsiane, własnej roboty dżemy. W kuchni Tessa znalazła tylko skromny przekrój asortymentu i wołała nie myśleć, na co może natknąć się w piwnicy.

Nancy zostawiła przywiezione przez siebie torby z wiktuałami w jedynym wolnym miejscu, na okrągłym stoliku przy oknie, gdzie jadała Helen, o czym świadczyła mata na blacie.

Tessa zaczęła od uprzątnięcia blatu, żeby mieć gdzie przygotować kolację. Pozdejmowała spiętrzone stare książki kucharskie i ułożyła je na podłodze koło drzwi prowadzących na podwórze, pilnując, żeby nie zatarasować drogi ewakuacyjnej.

Opróżniony blat wyszorowała czystą gąbką, jedną z wielu dostępnych, po czym wyjęła chleb, puszkę tuńczyka i majonez.

W szafce nad blatem znalazła cały asortyment misek, porządnie ustawionych jedna w drugiej, i pomyślała o matrioszkach. Miała kiedyś coś podobnego, koty od najmniejszego do największego, w różnych kolorach, które ojciec przywiózł jej z jakiejś podróży służbowej. Kiedy Kayley była na tyle duża, że potrafiła wkładać jednego w drugiego, Tessa przekazała kocią matrioszkę córce. Kayley nadała kotom imiona i bawiła się nimi godzinami.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos kroków. Kilka dobrych minut stała z puszką tuńczyka w dłoni i jeszcze jej nie otworzyła.

- Robisz kolację?

W progu, ku zaskoczeniu Tessy, stała Helen.

- Zjesz tuńczyka?

- Mam w domu jedzenie. Myślisz, że żyję powietrzem?

- Babciu, nie wiedziałyśmy, co masz, więc mama na wszelki wypadek przywiozła trochę zapasów. - Przerwała na moment. - Łącznie z winem. Wypijesz kieliszek?

Helen podeszła do blatu.

- Cale wieki nie piłam wina.

- To ma oznaczać, że się nie napijesz?

- Kieliszek nie zaszkozi.
- Gdzie znajde szklo? Helen zachichotala.
- Mniej wiecej wszedzie.

Tessie az wierzyc sie nie chcialo, ze babka potrafi zartowac z sytuacji. Zdjeta kieliszek z suszarki i odstawila na bok. Pekniety. Jutro, kiedy Helen nie bedzie widziec, podzieli los innych smieci. Drugi byl w nieco lepszym stanie, choc ozdobiony Flinstonami. Circa 1965 rok.

- Wyrzucilyście wszystkie moje gazety. Kto wam pozwolil?
- To ja powinnam zapytac, po co je zbieralas? - Tessa wyjela butelke z torby. Nancy, przezornie, przywiozla nawet korkociag. Dzieki Bogu. Nie miala juz sily robic przegladu szuflad w poszukiwaniu, zapewne jednego z wielu, korkociagu z odzysku.

- Zbieralam, bo nie byly jeszcze przeczytane.
- To jest zagrozenie pozarowe, babciu. Powiedzmy sobie: skoro dotad ich nie przeczytalas, nigdy bys po te gazety nie siegnela. A nawet gdybys zaczela je czytac dzisiaj wieczorem, do Bozego Narodzenia zdolalabyś przebrnac zaledwie przez nedzna ich czesc.

- Czytalam je, stopniowo.
- Mamo - odezwala sie Nancy od drzwi. - Wedlug tych gazet WTC nadal jest dumą i ozdobą Manhattanu, prezydent Clinton ciagle zapewnia, ze nie uprawial seksu z ta pania, a kobiety w Afganistanie nie moga wychodzic z domu bez burki.

- Ludzie pozbywaja sie zbyt wielu rzeczy. To brak gospodarnosci. Nikt nie dba juz o rzeczy. A co zrobilyście z moimi czasopismami?

Czekajac, zeby matka dolala oliwy i do tego ognia, Tessa otworzyla wino, napelnila kieliszek, podsunela Helen i zaczela sie rozgladac za jakimś dla siebie.

- Tam byly naprawde ciekawe pisma - przyznala Nancy ku zaskoczeniu corki. - Rozumiem, dlaczego ciiezko ci bylo sie z nimi rozstac.

- Nie zajrzalam nawet do polowy z nich.
- Powiedz, na ktorych zalezy ci najbardziej, to znajde jakies aktualne numery - zaproponowala Tessa, zdajac sie na sad matki. - Mialas prenumeraty?

- Prenumeraty? Po co? Gabinety lekarskie pozbywaja sie starych numerow z poczekalni.

A Helen je ratowała przed wylądowaniem na wysypisku. Motyw stawał się oczywisty: to, co stare, przedawnione, trzeba chronić, otoczyć opieką. Ponieważ nikt tego nie czynił, Helen wzięła obowiązek na siebie.

- Mamo, wypijesz kieliszek wina? - zapytała Tessa.

- Jutro przyniosę wszystko, co wyrzuciłyście, z powrotem. Zobaczycie. Nie macie prawa.

Wzięła kieliszek, przecisnęła się koło córki i wyszła z kuchni. Tessa i Nancy w milczeniu słuchały oddalających się kroków.

- Zniosę jej później sandwicza - powiedziała Tessa.

- Nic z tego nie będzie, wiesz? - W głosie Nancy dało się słyszeć zmęczenie. - Nie zdążyłam się jeszcze dobrze umyć i woda zaczęła ciurkać kropelkami, potem musiałam się wytrzeć w ręcznik z epoki Eisenhowera. Mama nic nie je i chyba w ogóle się nie kąpie. Nie pozwoli nam zrobić porządków. Będziemy wynosiły te śmieci, a ona będzie przynosić je z powrotem. Temperatura nie spada poniżej trzydziestu stopni. Siatki w oknach i w drzwiach wymagają wymiany, komary już się szykują do ataku. - Klepnęła się w przedramię dla podkreślenia zagrożenia. - Twoja babka osiągnęła stan zaawansowanej demencji i nie przemówisz jej do rozumu, bo go straciła.

Tessa podała matce kieliszek.

- Co proponujesz w tej sytuacji?

Patrzyły na siebie przez chwilę, w końcu Nancy podniosła szkło w niemym toaście.

Sączyły wino nie odzywając się słowem. Ospale oganiały się od komarów i słuchały świerszczy grających gdzieś za dziurawymi siatkowymi drzwiami.

ROZDZIAŁ TRZECI

W środę Tessę obudziły pierwsze promienie słońca wpadające przez okno sypialni. Poprzedniego dnia rano zdjęła stare, ciężkie od kurzu zasłony i uprzątnęła większość pudeł zawałających podłogę sypialni, doszedłszy podczas śniadania do wspólnego z Nancy wniosku, że jeśli mają nocować w domu Helen, muszą doprowadzić najpierw do ładu swoje pokoje.

- Kiedy w końcu zasnąłam - mówiła Nancy - śniło mi się, że idę ulicą i raptem coś zaczyna spadać mi na głowę. Obudziłam się, otworzyłam oczy, zobaczyłam te sterty książek wokół łóżka i byłam niemal pewna, że zaraz mnie przywała.

Tessa miała niewiele lepsze sny. Tyle tylko, że ją każdej nocy prześladował ten sam koszmar, gdziekolwiek by nie nocowała.

Wtorek upłynął na sortowaniu i wynoszeniu „odzysków” z ich pokoi. Helen siedziała u siebie, nie chciała schodzić nawet na posiłki. W pewnym sensie tak było lepiej. Przynajmniej nie mogła wprowadzić w życie swojej groźby i znieść na powrót do domu wyniesionych skarbów. Nie odzywała się, kiedy Tessa przynosiła jej jedzenie; siedziała milcząca przy oknie i szyla.

Teraz Tessa słyszała przez ścianę, jak krząta się po pokoju. Zdawała sobie sprawę, że rozejm nie będzie trwał wiecznie. Babka w końcu zejdzie, zobaczy, co straciła i podniesie larum.

Usiadła na łóżku, podciągając kolana pod brodę. Stoneburner Place było w jakimś sensie jej domem rodzinnym, a czuła się tutaj jak intruz. W dzieciństwie nigdy nie spędzała wakacji na farmie. Pojawiała się z rzadka, gdy rodzice przyjeżdżali do Helen z okolicznościowymi wizytami. Babka przejmowała ją lękiem. Miała donośny głos, w jej osobie było coś onieśmielającego i przytłaczającego. Nawet jeśli lubiła dzieci, nie okazywała tego. Nie było w jej domu szklanych kloszy wypełnionych ciastkami, książek z obrazkami, nad którymi mogłyby razem usiąść, zwierzątek, które można by przytulić. Namawiała Tessę, żeby bawiła się na dworze, ale ogromne płaskie przestrzenie nie zachęcały do eskapad. Jako nastolatka przestała tu przyjeżdżać. Ilekroć rodzice wybierali się do babki w obowiązkowe odwiedziny, zawsze wykręcała się pod pierwszym lepszym pretekstem.

Ten dom, w którym czuła się teraz tak obco, miał kiedyś przypaść jej. Być może po śmierci Helen przejdzie bezpośrednio na nią, zamiast

dostać się Nancy, która nie lubiła wsi, wszystkiego, co się wiąże z ziemią i otwarcie o tym mówiła. W każdym razie Tessa, jako nowa właścicielka, nie miałaby emocjonalnych problemów ze sprzedażą rodzinnej farmy.

Za ścianą babka coś mruzczała do siebie. Tessa wyskoczyła z łóżka i ubrała się w rzeczy, które przygotowała sobie poprzedniego wieczoru. Wybór miała mocno ograniczony, bo zapomniała zabrać z domu walizkę z większością ubrań i po południu powinna po nią pojechać, jeśli nie chciała co drugi dzień prac tego, co przywiozła w torbie podręcznej. Droga do Fairfax, o ile nie będzie korków, mogła zabrać jej najwyżej półtorej godziny, ale i tak była to strata. Powinny z Nancy zrobić jak najwięcej tu, na miejscu, zanim Helen rozmyśli się i wyrzuci je z domu.

Na dole zastała matkę zajętą polerowaniem armatury przy zlewozmywaku. Nancy machinalnie czyściła kran, wyglądała przez okno i nie odwróciła się nawet, kiedy Tessa weszła do kuchni.

- Wiesz, ile naczyń umyłam w tym zlewozmywaku? - zagadnęła.

- I to dokładnie w tym samym zlewozmywaku.

- Tak, to pewnie ciągle ten sam, przywieziony na to odludzie wozem zaprzężonym w muły.

- Masz chociaż jedno dobre wspomnienie związane z tym domem? - Tessa usłyszała w swoim głosie zmęczenie po kiepsko przespanej nocy. Zrobienie porządków w sypialni niewiele pomogło.

- Prawdę powiedziawszy, nie. - Nancy pochyliła się i zaczęła myć kubek, znacznie staranniej i dłużej niżby tego wymagał. - Zaparzyłam kawę. Jeszcze gorąca.

- Zniosę kubek babci. Nie śpi już.

- Zostaw. Nie przyjechałyśmy tu po to żeby jej usługiwać. Może zejść na dół i nalać sobie kawy, jeśli będzie miała ochotę.

- Jest stara, skołowana, zaskoczona naszym przyjazdem. Ja...

- Nie polepszysz sytuacji, traktując ją jak starą, skołowaną, i tak dalej. - Nancy odwróciła się do córki, wyłamując swoim zwyczajem palce.

Zdażyła już wziąć prysznic i zrobić poranny makijaż. Tessie przemknęło przez myśl, że matka musiała wstać bladym świtem, żeby doprowadzić się do stanu doskonałości.

- Znam ją lepiej niż ty - ciągnęła. - Ona nie chce, żeby się nią zajmować. Jasne?

- Mamy ją ignorować?

- Wątpię, żeby zgłaszała z tego powodu pretensje pod naszym adresem. Przyjechałyśmy tutaj dla niej, prawda? Poświęcimy całe lato na porządkowanie jej życia, w dosłownym sensie tego słowa.

- Mojemu życiu nic nie brakuje. - W kuchni pojawiła się Helen. Tessa nie słyszała nawet, jak babka schodzi po schodach. Jak na osobę mocno zbudowaną, miała wyjątkowo lekki chód. - Nie prosiłam was o pomoc.

- Napij się kawy - zaproponowała Nancy. - Zanim zaczniesz awanturę.

- Żadnych awantur - rzuciła Tessa tak ostrym tonem, że zaskoczył nawet ją samą. - Posłuchajcie obie. Nie wiem, dlaczego tak się do siebie odnosicie, ale nie będę słuchać waszych utarczek. Mamy robotę do zrobienia, co zajmie nam przynajmniej miesiąc, jeśli nie dwa, w związku z tym... Helen przerwała jej:

- Ja nie...

Tessa podniosła dłoń.

- Przepraszam cię bardzo, babciu, ale to, czy nas prosiłaś, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. Tak czy siak jesteśmy tutaj. I zamierzamy zostać. Nie wyjedziemy stąd, dopóki ten dom nie zacznie wyglądać w miarę normalnie. To już postanowione. Czy się dogadacie, czy nie. Mnie akurat jest to obojętne. Wasza sprawa. Jeśli jednak zamierzacie skakać sobie do oczu przy byle okazji, róbcie to, kiedy mnie nie ma w pobliżu, okay? Nie chcę słuchać waszych kłótni.

Wyszła przez kuchenne drzwi i obesła dom. Zanim się zorientowała, zaczęła przebieżkę, a po chwili puściła się pełnym biegiem. Nigdy nie myślała o bieganiu jako o środku uspokajającym. Aż do śmierci Kayley do rozładowywania zwykłych stresów codziennego życia wystarczała jej joga. Potem nie umiała się już koncentrować i joga, jak wszystko inne, przestała się liczyć.

Biegła Fitch Crossing Road, nie bardzo wiedząc, dokąd i po co. Nieważne. Ważny był sam bieg. Jako czynność. I jako metafora.

Nie potrafiła powiedzieć, jaki dystans przebiegła, zanim upał i zmęczenie zaczęły dawać się jej we znaki. Zwolniła do tempa przebieżki, potem zmieniła krok na szybki chód. Dawno zostawiła za sobą grunta należące do babki. Pola przy drodze były starannie uprawiane, choć i tak zbiorów nic nie mogło uratować przed klęską

suszy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest na terenie Claibornów.

W oddali, po prawej, dojrzała murowany dom i parkujące przed nim pojazdy. Za domem stała przyczepa mieszkalna, dalej ciągnęły się sady.

Drogą dojazdową sunął w jej stronę traktor. Tessa pomachała siedzącemu na siodełku mężczyźnie i czekała, aż podjedzie bliżej, żeby się przywitać. Tutaj, inaczej niż w mieście, ludzie nie mijali się obojętnie, wymieniali sąsiedzkie „dzień dobry”.

Chyba że chcieli ukryć się przed innymi, kiedy potrzebowali pomocy.

Mężczyzna, sam pan Claiborne, jak się domyślała, chudy, dobrze po pięćdziesiątce, zgasił silnik i zsiadł z traktora.

- Nie chciałam pana zatrzymywać - usprawiedliwiła się zmieszana Tessa. - Zamierzałam tylko się przywitać.

- Ron Claiborne. - Mężczyzna wytarł dłoń w dżinsy i wyciągnął rękę.

- Tessa MacRae. Wnuczka Helen.

- Co u niej? Wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczne, panie Claiborne. Za długo to trwało, a my nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje. - Czuła, że Claiborne oczekiwał czegoś innego; jakiegoś wyjaśnienia, jak to się stało, że rodzina zostawiła starą kobietę samą sobie. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Claiborne ją wyręczył:

- Helen jest bardzo zamknięta w sobie. Nic dziwnego, że doszło, do czego doszło.

- W każdym razie chciałam panu jeszcze raz podziękować. Teraz już wiemy. Zostaniemy tutaj przez lato, wysprzątamy dom, uporządkujemy jej sprawy, a potem zobaczymy co dalej.

- Będziecie potrzebowały pomocy.

- Ona nie wpuści nikogo za próg.

- Wcale się nie dziwię. - Claiborne zdjął czapkę z reklamowym logo jakiejś lokalnej firmy i podrapał się w głowę. - Co zamierzacie zrobić z... niepotrzebnymi rzeczami?

Tessie przemknęło przez głowę, że mania zbieractwa ogarnęła widać całe Fitch Crossing, dopiero po chwili zrozumiała, że Claiborne proponuje jej pomoc.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Na razie wynosimy wszystko na podwórze i przykrywamy brezentem, ale będziemy musiały wynająć kogoś do wywózki.

- Nie musicie nikogo wynajmować. Pani babka jest moją sąsiadką od kiedy sięgam pamięcią. Mam przyczepę do przewożenia koni, nada się w sam raz. Podstawię wam ją dzisiaj. Jak ją zapełnicie, wystarczy zadzwonić i wywozę śmieci na wysypisko. Pewnie kilka razy trzeba będzie obrócić, to za każdym razem dajcie znać, a mój chłopak, Zeke, zajmie się wszystkim. To dla nas żadna fatyga. Chociaż tyle zrobimy. - Zamilkł na moment. - Tak mi nijak, że wcześniej nie zadzwoniłem, jak tylko przestała wychodzić z domu. Zajrzałem do niej raz czy dwa pod byle pozorem, ale powinienem był zadzwonić.

Od matki zawsze słyszała, że Claiborne'owie to prymitywi: pijacy i zabijaki. Oto jak można pomylić się w sądach. Miała przed sobą dżentelmena. Uśmiechnęła się.

- Zrobił pan więcej niż ktoś inny w podobnej sytuacji. A za przyczepę dziękujemy, bardzo się przyda.

Skinał głową i założył z powrotem czapkę.

- Podjadę do was później. Tessa podniosła rękę na pożegnanie, a potem zawróciła w stronę domu. Mniej więcej w połowie drogi odezwał się telefon komórkowy. Ubierając się, wrzuciła go do kieszeni szortów; chciała po śniadaniu zostawić wiadomość dla Macka, powiedzieć, że przyjeżdża po południu do Fairfax po zapomnianą walizkę. O tej porze był jeszcze nieosiągalny i nie musiałyby z nim rozmawiać.

Nie miała swojemu mężowi nic do powiedzenia.

Wyjęła aparat, spojrzała na wyświetlacz. W pierwszej chwili nie chciała odbierać, ale po trzecim sygnale nacisnęła przycisk; pewnych rzeczy nie da się uniknąć.

- Witaj, Tesso. Odchrząknęła.

- Cześć, Mack. Jedziesz do pracy?

- Nie, nie wyszedłem jeszcze z domu. Milczenie, jakby zastanawiał się nad następnym

zdaniem. Pomiął pytania o pogodę i samopoczucie i przeszedł do rzeczy:

- Koło łóżka stoi jakaś walizka. Po twojej stronie. Wygląda na spakowaną. Dopiero dzisiaj rano ją zauważyłem.

- No właśnie. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że jej nie zabrałam. Musiałam być zdenerwowana.

- Jak babcia?

- Nie uwierzyłbyś, gdybyś zobaczył to, co zastałyśmy. Rozpacz.

- Pozwala sobie pomóc?

Mack zawsze bardzo lubił Helen Henry, nie przepadał natomiast za Nancy i okazywał to. Był prawnikiem, uprawiał zawód, który wymaga przenikliwości w ocenie sytuacji. Sytuacji i ludzi. Zawsze dostrzegał w Helen coś, czego nikt inny nie widział. Lubił przyjeżdżać na farmę; zabierał Kayley i pokazywał jej zwierzęta, zboża, opowiadał o wsi, a z Helen potrafił rozmawiać o pogodzie i cenach wołowiny, niczym prawdziwy farmer.

Teraz Tessa słyszała niekłamana troskę w jego głosie i zrobiło się jej trochę głupio, że nie zadzwoniła wcześniej i nie zdała mu relacji.

- Nie jest specjalnie zadowolona, ale na razie pozwala nam odgracać.

- Odgracać?

- Nie masz pojęcia, czego ona nie nazbierała. To mania, Mack. Znacznie poważniejszy przypadek, niż zwykle starcie kurzów i wymycie okien.

- Wygląda na to, że nie wrócisz szybko.

Nie wiedziała, czy Macka to cieszy, czy martwi.

- Kto wie, czy nie dopiero pod sam koniec sierpnia, tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego.

- Zatem walizka będzie ci potrzebna.

Nie oczekiwała, że wpadnie w głęboki smutek z powodu jej planów, ale całkowita obojętność trochę zabolą, choć Tessa nie potrafiłaby powiedzieć, właściwie dlaczego?

Mack jakby zrozumiał, czego nie powiedział.

- Będę do ciebie przyjeżdżał, kiedy tylko uda mi się stąd wyrwać. Prawdę powiedziawszy, dzwonię, bo dzisiaj chciałem przyjechać. Przywiozę ci walizkę. Może coś jeszcze będzie ci potrzebne?

- Nie musisz przyjeżdżać. Zamierzałam zostawić mamę i skoczyć po południu do Fairfax.

- Jesteś tam potrzebna? Trudno powiedzieć, żeby nie była.

- To fatyga dla ciebie, Mack.

- Mogę być późno, bo długo pracuję, ale na pewno przyjadę. Najwyżej nie będę na mityngu.

Mityngi Macka. Od śmierci Kayley chodził regularnie na spotkania grupy wsparcia PP - Przyjaciół w Potrzebie. Jeśli gotów był opuścić mityng, znaczyło to, że przejął się tym, co usłyszał od niej o Helen.

Tessa nie oponowała już dłużej.

- Twoja obecność bardzo się przyda. Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

Tessa zamilkła, Mack też się nie odzywał.

- Jestem prawie w domu. Wybrałam się na jogging i...

- Jogging? W ten upał?

- Kto wie, czy nie będę biegała codziennie. Bieganie mnie wzmacnia. Muszę mieć siły, jeśli mam wytrzymać ich swary.

Mack zaśmiał się, ale jakoś bez przekonania.

- Trzymaj się.

- Ty też. Do wieczora.

Zamknęła telefon komórkowy i zwolniła. Wzdragąca się przed dniem, który właśnie się zaczynał, a teraz tak samo niechętnie oczekiwała wieczoru. Być może Mack czuł podobną niechęć. Smutne. Jeśli tak, byłaby to jedyna rzecz, która ich łączyła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mroczne, chłodne wnętrza kościoła episkopalnego, gdzie odbywały się mityngi grupy PP, do której należał Mack, stanowiło prawdziwy azyl dla ludzi szukających ucieczki od rzeczywistości. Podobna atmosfera panowała we wzniesionym z cegły domu parafialnym. Salka, gdzie spotykała się grupa wsparcia PP, wyłożona była dającą poczucie bezpieczeństwa boazerią, zaś rzeźby z metalu, poskręcane abstrakcyjne kompozycje, przywoływały na myśl motyw ukrzyżowania i cierpienia. W sumie, jak myślał Mack, odpowiednie otoczenie dla tych, którzy usiłowali pogodzić się ze stratą dziecka.

Na pierwszy mityng przyprowadził go znajomy, Mack z własnej woli nie wybrałby się tu. Zawsze sam rozwiązywał swoje problemy. Żył z tego, że pomagał pokrzywdzonym; latał, sklejał ludzkie losy i znajdował wyjścia z sytuacji. Kiedy jego ojciec umarł niespodziewanie między siedemnastym i osiemnastym dołkiem na polu golfowym w Peable Beach - czyli pod koniec rozgrywki, bowiem osiemnasty dołek jest ostatni - Mack poleciał do Kalifornii, uronił łzę na pogrzebie, pocieszył matkę, sprawdził stan jej finansów, słowem: zadbał o wszystko.

Kiedy zginęła Kayley - nie był w stanie golić się, umyć zębów...

Trzy tygodnie po jej pogrzebie do Macka przyszedł znajomy, którego syn zginął w czasie akrobatycznego skoku ze spadochronem. Pomógł mu się ubrać, wsadził do samochodu i zawiózł na pierwszy mityng. Od tego czasu Mack regularnie przychodził na spotkania. Znajomy pojawiał się coraz rzadziej, ale Mack nie poradziłby sobie jeszcze bez swojej grupy.

Tessa przyszła tylko raz, namówiona przez Macka, i więcej się nie pojawiła.

Tego wieczoru w salce było pusto. Mityng miał się zacząć dopiero za godzinę. Mack wpadł, żeby zostawić broszurki, które podjął się skopiować u siebie w biurze, i zaraz ruszał w drogę do Fitch Crossing.

Położył nowy zapas materiałów na stoliku przy drzwiach, tak żeby Erin Foster, koleżanka z grupy, która dbała o różne sprawy organizacyjne, mogła je bez trudu znaleźć, i stał przez chwilę bez ruchu. Nie miał ochoty wychodzić. Jeśli udało mu się po śmierci Kayley zaznać trochę chwil spokoju, to tylko tutaj. Tessa widziała w jego regularnym bywaniu na mityngach formę uzależnienia, ale on

wiedział, że to nieprawda. To wcale nie było uzależnienie, tylko lina ratunkowa dla tonącego.

W sali było chłodno, cicho. Spojrzał na przeciwległą ścianę i zobaczył twarz żony. Kiedyś nie mogliby się różnić w tak fundamentalnej sprawie. Od momentu kiedy się poznali, połączyły ich te same zapatrywania, nadzieje, marzenia. Byli bardzo odmienni od siebie, ale patrzyli na świat tymi samymi oczami, oddychali w tym samym rytmie. Teraz stali się sobie obcy.

- Mack? - W drzwiach pojawiła się Erin. Dobiegała trzydziestki, pochodziła z Minnesoty, po studiach przeniosła się do Wirginii i pracowała dla Departamentu Rolnictwa. Miała twarz typowej dziewczyny ze Środkowego Zachodu: otwartą i przyjazną, i trochę piegowatą, co może nie należało do kanonu, ale dodawało jej uroku. Do tego jasne, złociste włosy, szeroki, serdeczny uśmiech. Od pierwszego wejrzenia wzbudziła w Macku zaufanie tak wielkie, że teraz nie ufał samemu sobie, jeśli chodziło o jej osobę.

Weszła do sali tak, jak robiła wszystko, z energią odmieniającą wszystko wokół.

- Co tak wcześniej? - zagadnęła.

- Wpadłem, żeby zostawić broszury. - Wskazał na stolik. - A ty?

- Dzięki, że pamiętałeś. Rada grupy ma się spotkać przed mityngiem. Przyszłam wcześniej, żeby zaparzyć kawę. - Uśmiechnęła się promiennie. - Pomożesz mi?

- Wybacz, spieszę się.

- Nie będziesz na mityngu?

- Nie. Moja żona pojechała na wieś. Ma spędzić całe lato w Shenandoah County. Muszę zawieźć jej walizkę, którą zostawiła w domu.

- Szkoda. Będzie nam ciebie brakowało.

W głosie Erin zabrzmiał autentyczny smutek, a Mack był ekspertem w odczytywaniu niewyartykułowanych przesłań - jeszcze jedno skrzywienie zawodowe, czy też talent - ale teraz nie był już pewien niczego.

Powiedział Erin, że przez następne dwa miesiące będzie musiał prowadzić kawalerskie życie, ale zapomniał dodać, że Tessa wyjechała, bo wzywały ją obowiązki rodzinne. Równie dobrze mógł skłamać, że zdecydowali się na separację.

Czy byłoby to rzeczywiście kłamstwo?

- Wyglądasz na trochę przybitego. Na pewno wszystko w porządku? Chcesz pogadać?

Chciał nie tyle pogadać, ile poczuć, jak obejmują go mocne ramiona Erin. Chciał Erin w swoim życiu, w swoim łóżku. Potrzebował jej zdolności do współodczuwania, jej serdeczności, a najbardziej jej spojrzenia skierowanego w przyszłość.

W tej chwili, akurat w tej chwili potrzebował samotności.

- Jakoś sobie radzę. Dzięki. - Zamknął torbę. - Nie chcę, żeby Tessa czekała na mnie. Robi się późno.

- Uważaj na siebie, Mack. Będziesz miał tego lata sporo czasu na myślenie, a to niedobrze. Spotykaj się z ludźmi, wychodź z domu.

Patrzyła mu prosto w oczy. Cztery lata temu straciła młodszego brata, umarł na białaczkę, a ona do tej pory nie mogła dojść do siebie. Wiedziała z własnego doświadczenia, jak łatwo poddać się rozpacz.

W jej głosie, w jej słowach nie było cienia prowokacji, ale Mack był niemal pewien, że to zaproszenie.

- Dzięki. - Nachylił się i pocałował ją w policzek. Przyjaźnili się od trzech lat, ale ten szybki, krótki pocałunek wywołał w nim zupełnie inną reakcję. - Udanego mityngu.

Wyszedł, uciekając od pokusy i pocieszenia.

Po kolejnym dniu harówki Tessie pozostawało kilka możliwości spędzenia wieczoru: usiąść z matką i babką w oczyszczonej z „odzysków” bawialni, pocić się w samotności własnej sypialni, obserwując, jak samobójczo usposobione ćmy oraz inne owady atakują siatkę w oknie, albo wystawić się na pożarcie komarom, siadając na ganku. Bez najmniejszych oporów wybrała to ostatnie.

Wczesnym popołudniem, w najgorszy skwar, pojechała do Woodstock, kupiła tam tani niebieski tiszert, dodatkowe spinki do włosów, odstraszacz na owady i skrzynkę wody źródlanej. Teraz uczyniła użytek ze swoich zakupów. Wzięła szybki prysznic, założyła nową koszulkę, związała ciasno włosy, podpinając je spinkami, natarła się odstraszaczem, po czym, zaopatrzona w butelkę wody, usiadła wygodnie na ganku, wsłuchując się w brzęczenie komarów rozeźlonych brakiem kooperacji z jej strony.

Dzień minął znośniej, niż mogła się spodziewać, głównie dlatego, że wszystkie trzy starannie unikały się nawzajem. Nancy i rano, i po południu, sporo czasu spędziła z telefonem komórkowym przy uchu, podtrzymując, bez wątpienia, swoje skomplikowane życie

towarzyskie. Z takim trudem osiągnęła obecną pozycję w Richmond, tak się przy tym napracowała, że rzecz tak mało istotna, jak przyszłość Helen, nie mogła jej teraz przeszkodzić w dalszym wspinaniu się po drabinie.

Ale i Tessa nie mogła się oderwać od swojego życia w Fairfax. W czasie noszenia ciężkich worków i paczek ze „zbiórami” Helen do przyczepy do przewożenia koni, podstawionej przez Rona Claiborne'a, kilka razy odbierała telefony od znajomych kobiet z Mothers Against Drunk Driving (Mothers Against Drunk Driving, w skrócie MADD - amerykańska organizacja pod nazwą: Matki przeciwko Prowadzeniu Pojazdów pod Wpływem Alkoholu - przyp. Tłum).

Władze stanowe przygotowywały nową ustawę dotyczącą jazdy po alkoholu i dziewczyny chciały się skonsultować z Tessą, jaką formę lobbingu powinny wybrać.

Helen siedziała na górze i pracowała nad kolejnym quiltem (Quilt - to obecnie już nie rzecz, ale cała subkultura. To szyte techniką patchworku narzuty - kołdry z tkaniny. Dawały kobietom amerykańskim możliwość twórczej wypowiedzi. To stara tradycja, dotąd żywa w Stanach - przyp. Tłum).

- Jest tu czym oddychać?

Tessa nie odwróciła się na głos matki.

- Raczej nie.

- Pozwolisz, że się przyłaczę?

Tessa posunęła się, robiąc miejsce na bujanej ławce.

- Gdzie babcia? - Podała matce odstraszcacz.

- Myje naczynia.

W Woodstock Tessa wstąpiła do delikatesów Lion Food i kupiła sałatkę z kurczaka, co wszystkie trzy, o dziwo, uznały za trafny wybór.

- Może przestanie się boczyć.

- Nie przypuszczam. Raczej chciała powiedzieć: „Wynoś się z mojej kuchni, nie masz tu czego szukać, miastowa paniusiu”.

- Widzisz? Wraca do siebie. Nancy zaśmiała się.

- Nie masz pojęcia, ile godzin przesiedziałam na tym bujaku, albo jego poprzedniku, czekając, że coś się wydarzy. Setki podobnych wieczorów, jak ten. Po prostu siedziałam.

Tessa ocknęła się z letargu.

- Kiedy opowiadasz o farmie, zawsze brzmi to ponuro: pustka, nuda, wyczekiwanie...

Wbrew obawom Tessy Nancy nie odebrała jej słów jako przytyku.

- To było tak dawno temu. Może nie było tak źle, jak to widzę. Siedziałam tu wieczorami, nad głową miałam rozgwieżdżone niebo, w powietrzu unosił się zapach wiciokrzewu i dzikich róż. Czasami przysiadła się do mnie twoja babka, dopóki było na tyle jasno, że mogła szyć. Zawsze miała w robocie jakiś quilt i zawsze przesiadywała nad nim wieczorami.

Dzisiaj też pachniał wiciokrzew. Tessa dopiero teraz poczuła jego zapach. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Teraz też pracuje nad quilem. Kiedy zaniósłam jej po południu mrożoną herbatę, napinała go na ramę.

- Jak wyglądał?

Tessa nie zwróciła uwagi. Quilty Helen były czymś tak oczywistym, że stały się niemal niezauważalne. Sama miała kilka i używała ich na zmianę, w sypialni swojej i Macka, i w pokoju gościnnym. Prawdę mówiąc, dopiero tego dnia zauważyła, że sterty wypełniające pokój Helen, to żadne „odzyski”, tylko czekające na ukończenie, starannie posegregowane quilty.

- Ciemne brązy. Tak mi się wydaje. Zszywany z drobniutkich kwadratów.

- Pewnie „Podróż dookoła świata” - powiedziała Nancy. - Albo „Irlandzki łańcuch”. Uwielbia tradycyjne motywy.

Tessa, zaskoczona, że matka tyle wie o quiltach, już miała wyrazić uznanie, kiedy zobaczyła kątem oka kogoś na drodze. Nachyliła się, zmrużyła oczy, usiłując lepiej dojrzeć w mroku.

- Kto to?

- Gdzie?

- Na skraju pola po drugiej stronie drogi. Nancy wzruszyła ramionami.

- Ktoś pewnie wyszedł na spacer. Kobieta.

- Nie. Raczej jakby czegoś szukała. Rozprostuję nogi, pójdę zobaczyć.

- Mną się nie przejmuj. Posiedzę sobie tutaj, czekając, czy coś się nie wydarzy.

Tessa czuła ból w całym ciele. Poranny bieg, po długiej przerwie, bez zaprawy, potem cały dzień dźwigania ciężarów, dały się we znaki. Ruszyła powoli w stronę kobiety, ale ta zdawała się jej nie widzieć. Ciągle stała w tym samym miejscu.

Dostrzegła Tessę dopiero, gdy ta się zbliżyła.

- Dobry wieczór - odezwała się pierwsza i uśmiechnęła nieśmiało. - Ładny wieczór, prawda?

Wyglądała na jakieś siedemnaście lat, nie więcej. Eteryczna, ale niekoniecznie ładna, o bardzo jasnych włosach, jasnych rzęsach, delikatnej cerze, niebieskooka i piegowata. W mocno zaawansowanej ciąży.

- Jestem Tessa MacRae. - Tessa wyciągnęła dłoń. - Szukasz czegoś?

- Cissy Mowrey. Mieszkam u Claiborne'ów. - Ucisnęła dłoń Tessy i natychmiast oparła ręce na krzyżu, jakby chciała w ten sposób ulżyć ciężarowi, który dźwigała przed sobą. - Nie, proszę pani. Zbierałam kwiaty.

Tessa spojrzała na duży bukiet mniszków leżący u stóp dziewczyny.

- Babka ci podziękuje. Im więcej ich zerwiesz, tym mniej się ich wypleni w przyszłym roku.

- Pani Henry to pani babcia?

- Znasz ją?

- Tak, proszę pani. Prawdę powiedziawszy, to nie. Raz czy dwa widziałam ją w kościele.

- Nie chcę cię zatrzymywać.

Nie chciała. Coś wyczuwała. Jakaś potrzebę, tęsknotę, której nie miała ani ochoty, ani możliwości zaspokoić. Dziewczyna przewędrowała kawał drogi z farmy Claiborne'ów, zbierając chwasty, jakby chciała wypełnić czymś letni wieczór. Musiała być w szóstym, siódmym miesiącu ciąży, ale nie miała obrączki na palcu.

Tessa знаła nastolatki. Szóstym zmysłem wyczuwała ich problemy. Dawniej, kiedy jeszcze miała dość sił, angażowała się, gdy ktoś szukał jej pomocy. Wysłuchiwała zwierzeń i służyła radą. Dzisiaj nikt nie przychodził do pani MacRae z prywatnymi sprawami.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Cissy. - Zeke poszedł gdzieś z kumplami, a w telewizji nie ma dzisiaj nic ciekawego.

- Zeke? - Tessa przypomniała sobie, że Ron coś wspominał o synu: że przyśle go do Helen, jeśli będą potrzebowały pomocy.

- Zeke to mój chłopak.

Tessa widziała rano przyczepę stojącą za domem Claiborne'ów. Próbowała sobie wyobrazić, jak Cissy i Zeke będą tam mieszkać w trójkę, kiedy urodzi się dziecko. Cissy na pewno nie skończyła jeszcze szkoły średniej, była za młoda. A ile lat miał Zeke? Jakie wykształcenie? Dwójka dzieciaków, która zdecydowała się na dziecko... Wbrew własnej woli poczuła troskę.

- Co tu robisz?

Tessa drgnęła. Nie słyszała nadchodzącej babki. Chciała dokonać prezentacji:

- To Cissy... - Zapomniała, jak dziewczyna się nazywa.

- Mowrey - podpowiedziała Cissy. - Cissy Mowrey. A pani jest panią Henry. Pan Claiborne mówił mi o pani.

- Claiborne, tak? - W oczach Helen pojawił się gniewny błysk, nie do przeoczenia nawet mimo zapadającego zmroku. - Wysłał cię, żebyś mnie szpiegowała?

Cissy zrobiła wielkie oczy.

- Nie, proszę pani. Skąd...

- To on dzwonił do twojej matki, tak? - Helen zwróciła się do Tessy. - Nigdy nie wchodziłam tym Claiborne'om w drogę, nie oceniałam ich występnego życia. I oto, proszę, jak mi podziękowali.

- Babciu, Ron zadzwonił do mamy, bo potrzebowałaś pomocy. Nawet jeśli masz do niego pretensje, Cissy naprawdę nie jest niczemu winna.

- Po co tu przysłaś, jeśli nie szpiegować?

- Widziałam... zobaczyłam te kwiaty dzisiaj rano, jak jechałam ciężarówką z Zekiem. Przypomniał mi się quilt, który w zeszłym tygodniu zostawiła pani na ganku.

- Jaki quilt.

Cissy szukała sensownej odpowiedzi. Była roztropna, widziała, że weszła na pole minowe i teraz musi się z niego bezpiecznie wycofać.

- Taki piękny, złoty, z wielkim słonecznikiem. Mnóstwo złotego, w różnych odcieniach. Jak te kwiatki.

- Czego gapiał się na mój ganek?

- Babciu. - Tessa miała serdecznie dość. - Powiesiłaś quilt na ganku. W dodatku w jaskrawych kolorach, z wyraźnym wzorem,

przyciągającym uwagę. Każdy, kto przejeżdżał drogą, mógł go sobie obejrzeć.

- Nie wystawiam moich quiltów na pokaz. Suszę je na ganku. Nikomu nic do nich.

Zanim Tessa zdążyła cokolwiek powiedzieć, włączyła się Cissy:

- Wiem, że nic mi do tego, ale nie mogłam go nie zauważyć. On aż jaśniał, był taki... żywy. Aż się musiałam do niego uśmiechnąć. Potem zobaczyłam te kwiaty... - Wskazała na mniszki, które zamknęły się już na noc. - Teraz wyglądają byle jak. W każdym razie, jak je zobaczyłam, pomyślałam o quilcie i zachciało mi się mieć coś takiego słonecznego w domu.

Nawet Helen nie mogła przyczepić się do tych wyjaśnień. Patrzyła na Cissy złym wzrokiem, ale nic już nie mówiła.

- Moja babcia też robiła quilty - ciągnęła Cissy. - Mieszkałam z nią aż do jej śmierci. Obiecywała, że nauczy mnie, co i jak, ale nie zdążyła. Jej quilty nie były takie ładne, jak ten złoty, ale były jej... Rozumie to pani, prawda?

- Twoja babka była z tych stron? - mruknęła Helen.

- Z Augusta County.

- A to nie mogłam jej znać.

- Nie, proszę pani, myślę, że nie.

- Masz jej quilty?

- Trzeba je było sprzedać. Kiedy umarła, wszystko sprzedali na licytacji. Zostały mi tylko jakieś resztki, których nikt nie chciał.

Tessa czuła, jak wciąga ją historia Cissy i wcale sobie tego nie życzyła. Postanowiła przerwać tę konwersację.

- Odwieźć cię do domu, Cissy?

- Nie, doktor mówi, że powinnam dużo spacerować. Przejdę się.

- W takim razie miłego spaceru. - Tessa stanowczym gestem ujęła babkę pod ramię. Helen rzuciła Cissy pod nosem „Dobranoc” i ruszyła w stronę domu.

- Toż to jeszcze dziecko - odezwała się po chwili. - Jaką ona będzie matką?

Tessa wołała się nad tym nie zastanawiać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po powrocie do domu Helen próbowała szyć, ale jej nie szło. Zawsze miała zaczętych kilka quiltów równocześnie; kiedy znudziła ją praca nad jednym, brała się za inny. Był to swego rodzaju luksus: zaczynać kolejny quilt, kiedy nie skończyło się jeszcze poprzedniego. Jeden z niewielu luksusów, na jakie sobie pozwalała. Niemal grzeszny, trudno. Nie zamierzała z niego rezygnować.

Dzisiaj nie była jednak w stanie pracować. Nawet naszywać aplikacji. Miała zmęczone oczy i wszystko się rozmywało, a i ręka bolała, tak bardzo, że nie dało się ignorować bólu.

Była po prostu za stara, żeby szyć przez kilka godzin dziennie.

Kiedy odkładała kwadrat, nad którym pracowała, usłyszała, jak tamte dwie schodzą z ganku.

Nancy poszła prosto na górę, Tessa została, coś jeszcze majstrowała przy drzwiach.

A Helen miała ochotę odciąć się od nich, zamknąć na cztery spusty, tyle że sypialnia bardziej zdawała się jej grobem niż schronieniem. Siatki trzeba było połatać albo wymienić, tylko jedno okno dało się bezpiecznie otworzyć, nie wpuszczając do środka tnących owadów, które zlatywały tutaj chyba z całego hrabstwa. Ciągle obiecywała sobie, że zajmie się siatkami, ale jakoś nigdy się nie zajęła. Jak wieloma innymi rzeczami.

W bawialni zrobiło się zupełnie znośnie, aczkolwiek nie zamierzała przyznać tego głośno. W końcu Nancy i Tessa wnosiły „jej rzeczy”. Zamierzała wyjść z domu, wdrapać się na przyczepę i przebrać, co powyrzuciły, ale jakoś nie mogła się zebrać w sobie.

To pewnie z powodu upału. Nie pamiętała tak gorącego lata. Efekt cieplarniany, ot co. Gdyby ludzie nie byli tacy zachłanni, gdyby nie rzucali się na wszystko, co im pokazać, gdyby nauczyli się żyć tak jak ona, świat nie zamieniłby się w cieplarnię. Deszcze spadałyby wtedy, kiedy powinny spaść i wszystko funkcjonowałoby normalnie.

Od dawna nie mogła usiąść na swojej kanapie. Starej, ale wygodnej. Trzeba było tylko uważać, żeby nie przysiąść na wystających sprężynach. Mogłaby coś z tym zrobić, tylko niech miną upały.

- Wszystko potrafię naprawić, wszystko, co tylko chcesz.
- Przepraszam, co mówiłaś, babciu?

Helen stanęła. Co ona właściwie powiedziała? Mogłaby trochę uważać i nie mówić do siebie w obecności innych. Kiedy to się zaczęło?

Tessa podeszła bliżej. Nie wyglądała na ani trochę zdziwioną, że zastała babkę gadającą do kanapy. Jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

- Co potrafisz naprawić?

- Idę na górę - oznajmiła Helen i miało to zabrzmieć stanowczo, ale zabrzmiało tak, że zdradzało jej zmęczenie.

- Zostań. - Tessa położyła dłoń na ramieniu babki. - Na górze gorąco jak w piecu. Kupiłam dzisiaj kilka butelek lemoniady. Posiedź tutaj, a ja ci przyniosę szklaneczkę.

- Gdzie twoja matka?

- Na górze. Znowu się przebiera.

- Znalazła pyłek kurzu na spódnicy?

Tessa zaśmiała się i Helen pomyślała, że zbyt rzadko słyszała ten śmiech w ostatnich latach. Tessa po śmierci Kayley schudła, nic ją nie cieszyło. Doprowadziła się do ruiny: fizycznie i emocjonalnie.

Można się było tego spodziewać. Helen doskonale to rozumiała. Ale z nią było trochę inaczej. Wróciła do dawnej wagi, kiedy minął szok po śmierci Fata i pojawiła się wściekłość. Oczywiście odejścia męża, nawet takiego jak Fat, nie da się porównać ze stratą dziecka.

Dzisiaj dzieci rodziły się, żeby żyć. Nie zawsze tak było. W jej generacji tylko część dożywała dorosłości, ale i tak ciągle nie była w stanie uwierzyć, że jej prawnuczka zginęła, ot tak, w jednej chwili. Jeszcze przed sekundą śmiała się, bawiła i nagle koniec.

- Zostaniesz, napijesz się lemoniady? - zapytała Tessa.

- A potem idę od razu spać.

- Wcale się nie dziwię. Dzień na farmie zaczyna się wcześnie.

Helen usiadła z powrotem na kanapie. Bawialnia może nie była wnętrzem pokazowym, ale to była jej bawialnia. Była niewielka i wymagała odmalowania, ale przybrudzona biel wcale nie raziła Helen. Na ścianach wisiały pejzaże, które należały jeszcze do jej matki. Ceglany, pociemniały od sadzy kominek od dziesięciu lat nie miał takiego ciągu jak powinien. Na gzymsie stało kilka starych zegarów. Prawdopodobnie stawiała kolejny, kiedy jego poprzednik przestawał chodzić, i za każdym razem zapominała usunąć te zepsute.

Pomimo że zaniedbany, pokój wyglądał znacznie lepiej, kiedy odstąpił się wreszcie oczom, musiała to przyznać. Nie było żadnego usprawiedliwienia dla samowoli Nancy i Tessy, to pewne, ale nawet ślepej kurze trafi się czasami ziarno. I dla niej takim ziarenkiem był fakt, że może usiąść na kanapie we własnej bawialni.

Nancy zbiegła z piętra, wygładzając jeszcze po drodze dopiero co założoną zieloną spódniczkę. Zatrzymała się u podnóża schodów i patrzyła zdumiona na matkę. Helen zmrużyła oczy; czekała, po prostu czekała, że córka powie coś, widząc ją siedzącą na sofie. Wystarczyło jedno słowo, a wyniosłaby się natychmiast do swojego pokoju.

- Tessa wspominała coś o lemoniadzie. Powiedzieć jej, żeby przyniosła szklankę i dla ciebie? - zapytała Nancy.

- Tessa wie, że tu jestem.

Nancy skinęła głową, włosy zafalowały i Helen przypomniała sobie jej zwariowane fryzury, kiedy była jeszcze nastolatką. Całe godziny spędzała przed lustrem, usiłując przeistoczyć się w kogoś, kim nie była. Swoją drogą godne podziwu, że tak doskonale opanowała tę sztukę, nawet jeśli przeistaczanie ograniczało się wyłącznie do wyglądu.

- Tessa mówiła, że porozmawiałaś sobie z dziewczyną od sąsiadów. - Nancy rozejrzała się, gdzie by tu usiąść, ale kanapa wydawała się jedynym znośnym miejscem. Zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę matki.

- Chodź tu - warknęła Helen. - Nie zbiję cię. Nigdy nie biłam.

- Może nie, ale raz czy dwa próbowałam. - Nancy usiadła obok matki. - No, ładnie. Sprężyna wbiła mi się w pupę.

- Nie szkodzi, przynajmniej nie zaśniesz. Mogłaby już przynieść tę lemoniadę.

Nancy przesunęła się i odetchnęła z ulgą.

- Jak ona ma na imię? Cissy?

- Podobno. Ciężarna jak klacz rozplodowa w marcu, tylko obrączki na palcu nie widać.

- Chyba jej tego nie powiedziałaś, mamo?

- Myślisz, że nie wiem, kiedy trzymać język za zębami?

Nancy uniosła brew.

- Tak właśnie myślę. Helen zaśmiała się.

- No to wiedz, że tym razem mi się udało.

- Wiesz coś o niej? Jak tutaj trafiła?

- Nie interesuje mnie, co robią sąsiedzi. Nigdy nie interesowało.

- Może nie, ale kiedyś przynajmniej widywałeś ich od czasu do czasu. Zdarzało ci się wychodzić z domu.

Helen westchnęła. Słowa Nancy nie brzmiały jak krytyka, ale mogły być krytyką.

- Tak, chyba wychodziłam.

- Ja to rozumiem. Czasami sama się zmuszam do tego, żeby wytknąć nos z domu.

- Ty? I ja mam w to uwierzyć?

Do pokoju weszła Tessa z tacą, na której stały trzy szklanki wypełnione lemoniadą z lodem.

- W co uwierzyć?

- Że czasami wolę zostać w domu, niż udzielać się towarzysko - poinformowała córkę Nancy.

- Będziemy sobie opowiadać bajki na dobranoc? - rzuciła Tessa lekko. - Nie wiedziałam.

Nancy naburmuszyła się.

- Żadna z was mnie nie zna. Wydaje się wam tylko. Naprawdę, jaka jestem, nie wie nikt...

- Kto miałby znać cię lepiej - powiedziała Helen, mruczając pod nosem „dziękuję”.

- Babciu, co to za quilt, o którym wspominała Cissy? Musiał się jej naprawdę spodobać.

- Nie udawaj, że cię to obchodzi. Nigdy nie interesowałaś się moimi quiltami.

Tessa usiadła w fotelu, w którym siadywała jeszcze babka Helen.

- Bo też nigdy ich nie pokazywałaś. Znam tylko te, które nam dałaś i te, nad którymi akurat pracowałaś, kiedy przyjeżdżaliśmy do ciebie. Co właściwie robisz z tymi, które skończysz?

- Część leży w domu, spakowana, inne porozdawałam to tu, to tam.

Nancy odstawiła lemoniadę, wzięła do ręki jeden z zachowanych numerów jakiegoś pisma i zaczęła się nim wachlować.

- Twoja babka robiła quilty dla każdego dziecka w naszym kościele, nawet jeśli tych ludzi nikt jeszcze nie znał, bo dopiero osiedli w okolicy. A jak kto się spalił albo go powódź zalała, mamcia od razu tam biegła ze swoimi quiltami.

- A ten, o którym mówiła Cissy? - Nie ustępowała Tessa. - Pokażesz go nam?

- Niby po co? Żebyście go wrzuciły na końską przyczepę, razem z innymi rzeczami?

- Mamciu, doskonale wiesz, że tego nie zrobimy - obruszyła się Nancy.

Helen nie pamiętała, kiedy po raz ostatni słyszała to „mamciu”. Nancy, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zdecydowała się opuścić Toms Brook, zaczęła zwracać się do niej bardziej oficjalnie: mamo.

„Mamciu” - nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo jej tego brakowało.

Nancy podniosła się.

- Powiedz mi, gdzie jest, to go przyniosę.

- Pod warunkiem, że nie dotkniesz niczego innego w moim pokoju.

- Absolutnie niczego. - Nancy położyła dłoń na sercu. - W porządku?

- Leży w skrzyni w nogach łóżka, na samym wierzchu.

Nancy wróciła po chwili z kilkoma quiltami.

- Pomyślałam, że urządzimy mały pokaz. Tessa powinna je zobaczyć.

Wieczór był tak gorący, że Helen nie miała siły protestować. Mruknęła coś tylko, na znak, że nie ma córce za złe.

- Najpierw ten. - Nancy rozłożyła quilt z motywem „North Carolina Lily”. Były to kwadraty dwanaście i pół cala na dwanaście i pół cala, na białym tle widniała łodyga z trzema kwiatami składanymi z zielonych i czerwonych trójkątów i rombów. Helen uszyła może sześć podobnych quiltów w swoim życiu. Zawsze trzymała się klasycznego wzoru, ale tu poszła za głosem serca: lilie skomponowała z zielonych, zielononiebieskich, fioletowych i jaskraworóżowych kawałków materiału i umieściła na czarnym tle.

- Wow! - szepnęła Tessa. - Wspaniały. - Wstała, podeszła i dotknęła quiltu, chcąc lepiej przyjrzeć się robocie.

- Prawda? Mamciu, kiedy zaczęłaś eksperymentować z kolorami, jak tutaj? - zagadnęła Nancy.

- Kiedy znudziło mnie już powtarzanie w kółko starych wzorów.

- Powtarzanie w twoim wykonaniu wcale nie było takie złe, ale ten quilt jest wyjątkowy.

- Ścieg taki drobnutki, że go nie widać. Jak ci się to udaje?

- Lata praktyki.

- Pomóż mi rozłożyć następny, Tesso - poprosiła Nancy.

Ten był z motywem „Log Cabin Star”. Tutaj kwadraty zszywa się z paseczków w różnych kolorach i tak zestawia, by osiągnąć motyw dużej gwiazdy w centrum quiltu - dużo trudniejszy wzór niż „North Carolina Lily” zszywany z białych, niebieskich i czerwonych paseczków, a w samych rogach, przy granatowej bordiurze, Helen naszyła amerykańskie orły.

- Kiedy go zrobiłaś? - Nancy zamilkła na moment, potem dodała:

- Czy to już było po jedenastym wrześniu?

- Musiałam się czymś zająć. - Nie powiedziała już, że aplikowanych gwiazdek na bordiurze naszyła tyle, ile zginęło osób w Pentagonie. W ten sposób żegnała się z ludźmi, którzy zginęli w jej rodzinnym stanie. Ona wiedziała, lepiej niż ktokolwiek inny, co musiały przeżywać rodziny ofiar.

- Piękny - powiedziała Tessa ze wzruszeniem w głosie. - Tyle w nim... och!... uczucia...

- Po co te och i ach! Nie „ochajcie” tak. Co miałam robić, jak w telewizji na okrągło szły wiadomości?

Nancy i Tessa wymieniły spojrzenia.

- Rozłóżcie ten ostatni i idę spać - zakomenderowała Helen mocno zakłopotana.

- Niesamowity - zachwyciła się Nancy. - Spójrz tylko, Tesso.

Tessa gwizdnęła cicho.

- Muszę założyć okulary przeciwsłoneczne. Quilt jaśniał, promieniał blaskiem. Helen nie

potrafiła powiedzieć, skąd wziął się pomysł: ogromny kwiat, wypełniający całą niemal powierzchnię z koncentrycznie ułożonymi płatkami, spokojne tło, neutralna, wąska bordiura.

Zszywała ten quilt całą zimą, w szare, krótkie dni, kiedy tęskniła za słońcem. Wykorzystała wszystkie żółte, pomarańczowe, złote kawałki materiału, jakie znalazła. I osiągnęła... promienny efekt.

- Bardzo mi się podoba - powiedziała Nancy.

- Komu by się nie podobał? Jest jak uśmiech. Rozgrzałby Eskimosa w igloo.

- Nie znam żadnego Eskimosa - fuknęła Helen. Nancy przycisnęła quilt do piersi.

- Miałam podobny, jak byłam mała, prawda? Jak ten się nazywa?

- „Wielka dalia”.

- Mój był różowy, pamiętasz?

Helen pamiętała, ale była zaskoczona, że Nancy pamięta.

- Byłaś wtedy dzieckiem. Nie miałaś jeszcze sześciu lat, kiedy trzeba było go wyrzucić, bo już do niczego się nie nadawał.

- Nie chciałam się z nim rozstawać, chociaż się pruł i siepał.

- Po którymś praniu po prostu się rozpadł.

- To był strasznie smutny dzień - dodała Nancy.

- Popłakałam się.

- Ryczałaś jak bóbr.

Nancy przycisnęła quilt jeszcze mocniej.

- Nic dziwnego, że Cissy zwróciła na niego uwagę - odezwała się Tessa. - Babciu, jesteś artystką. Masz wspaniałe wyczucie koloru.

- To właśnie jest wspaniałe w quiltach - powiedziała Nancy. - Że sztuka i codzienność się splatają. Obrazem trudno się okryć.

- Miałam swój ukochany quilt – wspominała Tessa. - Sama go uszyłaś, pamiętasz, mamó? Co się z nim stało?

- Twoja matka? Twoja matka w życiu nie uszyła żadnego quiltu - stwierdziła Helen autorytatywnie.

- A właśnie, że uszyłam. - Nancy złożyła „Wielką dalię” i odłożyła na bok. - Dobrze widziałam, że kupiłaś placek jagodowy... Gdzie on jest, Tesso?

- Kupiłam. Chcesz kawałek? - Kiedy Nancy skinęła głową, Tessa zwróciła się do Helen: - A ty, babciu?

- Ja chcę usłyszeć o quilcie, który jakoby uszyła twoja matka.

- Przyniosę placek. Nie mówcie nic, dopóki nie wrócę. To nie fair.

Po chwili Tessa pojawiła się na powrót z ciastem i Helen zabrała się łąpczywie do jedzenia. Zachowywały się jak rodzina, chociaż nic ich nie łączyło poza związkami biologicznymi, ale to było coś innego. Tessa nie wiedziała, co się dzieje i trochę ją to niepokoiło.

Nancy włożyła do ust pierwszy kęs, posmakowała.

- Dobrze, ale nie ma porównania z plackiem jagodowym, który piecze twoja babka - zwróciła się do Tessy. - Jak się trochę ochłodzi, może namówimy ją, żeby nam taki upiekła.

- Nie zbliżam się do kuchni - zastrzegła się Helen. - Nie mam dla kogo gotować.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą w całej Dolinie Shenandoah - powiedziała Nancy z uśmiechem.

- Przekonaj mnie, że naprawdę uszyłaś kiedyś quilt, to upiekę placek.

- Uszyłam, w połowie. Liczy się?

- W połowie? - zdziwiła się Tessa. - Był skończony. Pamiętam dobrze.

- Tessa mówi o starym ślubnym quilcie - wyjaśniła Nancy. - Miałaś gotowe kwadraty, kilka kompletów, i zaproponowałaś, żebym wybrała sobie któryś. Dostałam od ciebie nawet materiał na spód.

Szkoda, pomyślała Helen, i powiedziała:

- W takim razie powinnam upiec tylko pół placka, nie sądzisz?

- Tak, ten quilt nazywał się „Ślubna obrączka”

- mruknęła Tessa. - Teraz sobie przypominam. Mówiłaś mi, że tak się właśnie nazywa. Był zszyty z dziesiątków różnych paseczków...

- Z setek paseczków - poprawiła wnuczkę Helen.

- Tak zwany woreczkowy quilt. Wiesz, co to znaczy?

Tessa pokręciła głową.

- Kiedy byłam mała, kupowało się różne rzeczy w workach: karmę dla kurczaków, sól, i tak dalej. Kto pakował w ładniejsze worki, miał lepszy zbyt, bo kobiety kupowały towary dla worków, które potem mogły wykorzystać na ubrania, quilty i w ogóle w domu. Ten quilt był z worków, które zbierała jeszcze moja matka.

- W połowie - powiedziała Nancy.

- Tę historię też opowiedziałas w połowie, mamó - stwierdziła Tessa. - Ty przecież nie umiesz szyć. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek coś mi uszyła, kiedy byłam mała.

- W tym też cię zawiodłam? Tessa skrzywiła się.

- Nie wkładaj mi w usta czegoś, czego nie powiedziałam. Po prostu zastanawiam się, co cię naszło, żeby uszyć quilt.

Nancy nie odpowiedziała.

Helen odstawiła talerzyk. Pochłonęła swoją porcję błyskawicznie, niczym głodomór.

- Powiem ci, dlaczego go uszyła. Mieszkała wtedy z twoim ojcem u jego rodziców, nie znała w Richmond żywej duszy, nie miała

żadnego zajęcia i wariowała z nudów. W tym podobna jest do mnie. Kiedy przyjechali tu oboje z pierwszą wizytą po ślubie, podsunęłam jej pomysł, żeby wzięła się za quilt, zamiast siedzieć i rozmyślać o niebieskich migdałach.

- To niezupełnie było tak. - Nancy też odstawiła talerzyk, ale ona ledwie skubnęła swój placek: liczyła kalorie. - Powiedziałaś, że dasz mi wierzch quiltu do zszycia, ale ja nie miałam pojęcia, od której strony zabrać się do tego.

- Wzięłaś go, żeby się, za przeproszeniem, „sprawdzić”? - zapytała Tessa z uśmiechem.

- Chyba tak to można nazwać. Byliśmy wtedy z ojcem już od kilku miesięcy małżeństwem, na ślubny quilt było trochę za późno, ale pomimo to wybrałam wzór z obrączką. Podobał mi się.

- Spałam pod nim jako dziecko. Uwielbiałam go. Zawsze lepiej mi się zasypiało, kiedy zaścielałaś mi nim łóżko. Co się z nim stało? Rozpadł się w praniu tak jak twój z różową dalią?

- Nie, byłam mądrzejsza o tamto doświadczenie. Prałam go bardzo ostrożnie, a kiedy zaczął się pruć, przywiozłam go tutaj, do babci. - Nancy rzuciła Helen pytające spojrzenie.

- Jest na strychu - odpowiedziała Helen.

- Gdzieś go mam.

Pamiętała doskonale, gdzie schowała ten quilt. Sama go starannie zapakowała i schowała. Nigdy nie zapomniała o jego istnieniu, ale z latami po prostu przestała o nim myśleć.

Skłamała teraz, bo kłamstwo wydawało się jej łatwiejsze, niż powiedzenie prawdy.

- Zamierzałam kilka razy zabrać się za jego reperację, ale jakoś zawsze odkładałam to na później.

- A ja nigdy już nie zrobiłam żadnego quiltu - powiedziała Nancy. - Po prostu nie miałam czasu.

- Zrobiłaś się ważna. - Helen sięgnęła po swój talerzyk i wstała z kanapy.

- To nie fair, co powiedziałaś - zachnęła się Nancy. - Po prostu widziałam, że nie mam do tego talentu i nigdy ci nie dorównam. Uwielbiam quilty, ale mogę je tylko podziwiać, dotykać, oceniać kunszt wykonania, na pewno nie szyć. To zostawiam takim artystkom jak ty.

Tym razem Helen zabrakło ciętej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Helen poszła spać, Nancy zamknęła się w swoim pokoju, żeby kontynuować serię rozmów telefonicznych rozpoczętą po południu. Tessa czuła się zmęczona, bolał ją kark, z którym od kilku lat miała problemy. Gdyby nie to, że Mack miał przyjechać, też poszłaby do siebie na górę, a tak usiadła na ganku, zgasiła światło, obserwowała świetliki i czekała na męża.

Położyła dłonie na kolanach i oddychała głęboko, próbując się odprężyć. Kręciła głową, wykonując ćwiczenia, które zaleciła jej terapeutka i po kilku minutach ból trochę zelżał.

Mack na pewno nie zapomniał o danej obietnicy i raczej się nie rozmyślił. Po dziesięciu latach małżeństwa stał się kimś obcym, ale tu akurat mogła być go pewna: zawsze dotrzymywał słowa.

Od śmierci Kayley obsesyjnie, czasami wbrew zdrowemu rozsądkowi, stawiał sobie za punkt honoru, by nigdy nikogo nie zawieść, nawet jeśli chodziło o drobiazgi. Zawsze dbał o klientów, teraz dbał o nich do przesady. Całe godziny spędzał nad aktami, rył w kodeksach, szukając odpowiedniego artykułu, paragrafu, furtki, czegoś, co pozwoli uzyskać korzystne orzeczenie. Skoro podjął się sprawy, musiał wygrać.

Rozumiała, dlaczego tak postępował, ale nie potrafiła mu pomóc. Śmierć córki odmieniła oboje radykalnie, ich drogi się rozeszły. Mack dźwigał na swoich barkach brzemień winy, a ona patrzyła bezradnie, jak zмага się z ciężarem.

A przecież kiedyś było inaczej. Określenie „miłość od pierwszego wejrzenia” zdawało się zbyt słabe i zbyt wyświechtane dla opisanie ich wzajemnej fascynacji. Między Tessą Whitlock i Andrew MacRea zaiskrzyło natychmiast, ledwie los ich zetknął ze sobą. To był prawdziwy związek dusz, umysłów, serc i ciał. Związek dwojga młodych ludzi rozpoczynających dorosłe życie w Richmond; konserwatywnej stolicy konserwatywnego stanu, jakim zawsze była Wirginia.

Tessa wracała teraz we wspomnieniach do tamtych dni sprzed dziesięciu lat.

Tessie zawsze się wydawało, że ma niewyczerpane pokłady energii, ale gdzieś w okolicach dwudziestych siódmych urodzin, po pięciu latach uczenia angielskiego w jednej z publicznych szkół

średnich w „złej” dzielnicy, miała wrażenie, że wyczerpała zapasy życiowego entuzjazmu.

Pierwszy sygnał przyszedł, kiedy Nancy, załamana dokonaniem przez Tessę wyborem, odwiedziła dyrektorkę szkoły i błagała ją, by ta dobrze zastanowiła się, zanim podpisze z córką umowę o pracę. Kolejny sygnał otrzymała już pierwszego dnia pracy. Uczniom wystarczyło jedno spojrzenie na nowicjuszkę z wyższej klasy średniej, by całkiem słusznie dojść do wniosku, że niewiele ich będzie mogła nauczyć, a już na pewno nie wyegzekwuje starannie przemyślanych zasad, które wypisała na tablicy.

Ale Tessa nie należała do ludzi, którzy łatwo kapitulują. Uparła się. Zasięgała rady u każdego, kto chciał z nią rozmawiać. Powoli zaczynała panować nad klasą, zyskała opinię nauczycielki sprawiedliwej, nie spieszącej się z wydawaniem sądów. Pod koniec roku szkolnego mogła mówić o sukcesie, ale tylko ona wiedziała, ile kosztował ją energii.

Minęło pięć lat i szósty rok pracy zaczynała w nie najlepszej kondycji psychicznej...

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie do każdego ucznia uda ci się dotrzeć. - Samantha Johnson przysiadła na skraju jej biurka.

Podobnie jak Tessa, Samantha nigdy w czasie lekcji nie siadała za katedrą, ale po całym dniu prowadzenia lekcji i chodzenia między ławkami, mogła wreszcie usiąść i dać odpocząć spuchniętym nogom.

Tessa oparła brodę na dłoniach.

- Ale James? To zdolny chłopak. Dobry dzieciak. Nie zasługuje na coś takiego.

- Zasługuje, zasługuje. To, że mówi „dziękuję, pani Whitlock”, „proszę, pani Whitlock”, nie oznacza jeszcze, że ma prawo przynosić broń do szkoły. Jakby rozwalił z tej spluwy mnie, ciebie czy któregoś z kolegów, na wiele zdałyby ci się jego „proszę” i „przepraszam”?

Tessa wiedziała, że Sam ma rację. Sam zazwyczaj miała rację. Uczyła tu od dwunastu lat, rekord jak na szkołę publiczną w „trudnych” dzielnicach śródmiejskich, a tę już szczególnie. Wzięła Tessę pod swoje skrzydła, odczekawszy najpierw, czy biała panienska z dyplomem dobrego uniwersytetu nie zwieje do elitarnego prywatnego liceum. Sam dobiegała czterdziestki, była tęga i bardzo zadowolona z obu tych przypadłości. Nie było jej obojętne złe

zachowanie uczniów, martwiły ich złe stopnie oraz lenistwo i robiła wszystko, żeby jej uczniom też nie było to obojętne.

Tessa podniosła głowę.

- To nie był jego pistolet. Chyba nawet nie wiedział, co Malik ma w plecaku, kiedy go brał.

- Wierzysz w to?

- Jestem niepoprawną optymistką.

- Niepoprawny optymizm szybko się ulatnia w takich jak ta dzielnicach. - Sam wstała. - Mnie też przykro, że stało się, jak się stało, ale na twoim miejscu nie zadreślałabym się z tego powodu. Opuść sobie. Nic nie zrobisz, chyba że chcesz stracić pracę. Mamy tu pod dostatkiem dzieciaków, które wymagają specjalnej troski. Możesz wybierać, przebierać, a z Jamesem daj sobie spokój.

Pożegnały się i kiedy przyjaciółka wyszła, Tessa ogarnęła jeszcze salę, żeby sprzątaczką mogła spokojnie wieczorem posprzątać. Nie zamierzała „odpuścić”, nawet na cal.

Niejaki Malik Green na początku tygodnia przyniósł broń do szkoły. Tessa nie bardzo rozumiała, dlaczego dotąd jeszcze nie wyleciał ze szkoły. Wagarował, wiecznie pakował się w jakieś kłopoty, jego plecak i szafkę trzeba było regularnie przeszukiwać, a jego portret psychologiczny pasował do podręcznikowych opisów typowych dla zachowań psychopatycznych.

Był popularny wśród kolegów i koleżanek szkolnych. Przystojny, błyskotliwy, w kieszeni zawsze miał okazały plik banknotów, spiętych, jakby dla kpiny, chromowanym klipsem z logo DEA. (DEA - Drug Enforcement Agency - Agencja do Walki z Narkotykami - przyp. tłum.).

Zawsze otaczał go tłum kumpli płci obojga, tych, którym imponował i tych, którzy chcieli mu dorównać albo prześcignąć i takich, którzy po prostu chcieli się ogrzać w blasku jego sławy.

Malik nie był uczniem Tessy, ale jeden z jego fanów, owszem, niejaki James Bates. James rzadko się odzywał na lekcjach, ale pilnie słuchał wykładów, pisał dobre wypracowania; kilka razy zatrzymała go nawet pod pierwszym lepszym pretekstem po lekcjach, licząc, że dowie się czegoś o jego planach na przyszłość. Uważała, że po skończeniu liceum powinien iść do college'u i chciała mu pomóc w znalezieniu pieniędzy potrzebnych na dalszą naukę, bo James miał wszelkie podstawy ubiegać się o stypendium.

Pech chciał, że tego dnia, kiedy Malik przyniósł do szkoły glocka 9mm, James czekał na niego na dziedzińcu. Malik zobaczył dwóch stojących przy głównych drzwiach nauczycieli i, pewien, że go przeszukają, jak zwykle, dał swój plecak Jamesowi: że niby musi biec po coś tam do pokoju nauczycielskiego i niech James zanieś plecak do klasy. James natychmiast poczuł się wyróżniony tym, że Malik właśnie jego poprosił o przysługę, wziął więc plecak bez sprzeciwów.

Malik coś podejrzewał, ale ani on, ani James nie wiedzieli, że dyrektorka zarządziła właśnie losowe rewizje, i że ten zaszczyt spotkał także Jamesa. Kiedy zobaczył pistolet, zaczął tłumaczyć, że to nie jego plecak, tylko Malika, co nietrudno było udowodnić, znacznie trudniej wyjaśnić, dlaczego akurat ktoś inny wnosi go do szkoły.

Tessa nie miała żadnych skrupułów, kiedy przychodziło do karania uczniów łamiących regulamin, a zakaz wnoszenia broni do szkoły był najsurowiej przestrzegany punktem tegoż regulaminu. W każdym razie rada pedagogiczna nie wzięła pod uwagę ani wyjaśnień Jamesa, ani jego do tej pory nienaganego zachowania. Przyniósł broń, został w trybie natychmiastowym wyrzucony ze szkoły i teraz musiał czekać do początku następnego roku szkolnego, żeby gdzieś znowu podjąć naukę.

Nikogo nie obchodziło, że po roku może nie mieć najmniejszej ochoty wrócić do szkoły. Nikogo nie obchodziło, że przez ten rok będzie włóczył się po ulicach. Nikogo nie obchodziło, że jest obywatelem amerykańskim, z wszystkimi przysługującymi obywatelowi prawami.

... - Dzień dobry. Pani Tessa Whitlock?

Podniosła głowę i zobaczyła stojącego w drzwiach mężczyznę. Przez moment nie mogła dobyć słowa z ust, po czym uśmiechnęła się szeroko, chyba po raz pierwszy tego dnia.

- Andrew MacRae?

- Mów mi Mack. - Podeszedł do niej z wyciągniętą dłonią. - Myślałam, że jesteś starsza.

- Ja też myślałam, że zobaczę kogoś poważniejszego. - Miał mocny, energiczny uścisk dłoni, ciemne, kręcone włosy, wysportowaną sylwetkę i jasnoniebieskie oczy, niemal srebrne przy ciemnej opaleniznie.

Uosabiał wszystko, co lubiła w mężczyznach.

Przechyliła głowę. Kiedy zadzwoniła do kancelarii adwokackiej, była pewna, że skierują ją do jakiegoś sztywniaka w garniturze. I że ojciec polecił jej tę, a nie inną kancelarię w przekonaniu, że tamtejsi adwokaci wyperswadują jej pomysł występowania w obronie Jamesa. Billy chyba się pomylił.

- Wcale nie wyglądasz na adwokata - powiedziała, przyglądając mu się z niekłamaną przyjemnością.

On też mierzył ją uważnym spojrzeniem.

- A ty nie wyglądasz na dość dorosłą, żeby budzić respekt w tych dzieciakach.

Kiedy się uśmiechał, mrużył zabawnie oczy i wtedy wyglądał jeszcze młodziej.

- A ty też nie wyglądasz na faceta, który żyje z gadania.

- A ty na kogoś, kto chce stracić pracę. Dopiero teraz cofnęła dłoń.

- Wiem, że nic nie wskóram. Nawet jeśli wykorzystamy wszystkie możliwości prawne, James będzie mógł wrócić do szkoły dopiero we wrześniu w przyszłym roku. Ty będziesz miał przegraną sprawę, twoi szefowie będą źli, że ją w ogóle wzięłeś, a ja będę się rozglądała za nową pracę.

Nie odpowiedział od razu, nie próbował podważyć jej słów, tylko przyglądał się jej uważnie.

- Coś jednak zyskamy - odezwał się w końcu. - James będzie wiedział, że ktoś za nim stanął. Ja będę miał plus, że podjąłem się obrony w słusznej sprawie, a ty...

Tessa czekała.

- A ja... ?

- A ty, Tesso Whitlock, zaskarbisz sobie moje dozgonne oddanie.

Uśmiechnęła się, po raz drugi tego dnia, i Mack odpowiedział uśmiechem.

W następnych miesiącach, latach miała się przekonać, że oddanie kogoś takiego, jak Andrew MacRea, warte jest każdej ceny.

Z zamyślenia wyrwało ją gniewne gdakanie dochodzące zza domu. Dawno temu babka skonstruowała przemyślny kurnik na kółkach. Przesuwała go, ogradzała, znów przesuwała i tak wędrował po obejściu, co rusz zmieniając miejsce.

Kayley uwielbiała kurczaki Helen. Babka, we wszystkich innych sprawach praktyczna do szpiku kości, do zwierząt odnosiła się

rzeczowo; miały służyć człowiekowi, kropka. Na farmie mieszkało całe stado bezimiennych kotów, które czasami wygrzewały się w słońcu na ganku od frontu, ale nie miały wstępu do domu. Sterylizowała je, karmiła, one w zamian polowały na myszy i węże; relacje ograniczały się do wzajemnej wymiany świadczeń.

Z kurczakami sprawa miała się nieco inaczej.

Helen hodowała egzemplarze rzadkich odmian, wymieniała się z sąsiadami. Tessa pamiętała niektóre, bo Helen przedstawiała je Kayley, a mała recytowała potem litanie kurzych imion, jakby to były dziecięce wyliczanki. Zgrabne araucanas, które znosiły zielononiebieskie jajka, ulubienice Kayley. Dostojne brahma z ich biało - czarnym upierzeniem i czarne minorki z dużymi grzebieniami.

Kayley nie bała się kur, nawet jeśli dziobały ją w stopy; po prostu bardzo wprawnie, jakby ją tego ktoś uczył, odganiała natrętne ptactwo. Helen, nieskora do pochwał, zdobyła się na gderliwy komentarz, że może wreszcie w kimś w rodzinie obudziła się farmerska żyłka.

Gdakanie umilkło równie nagle, jak się zaczęło, i znów nastał spokój. Tessa podniosła się, podeszła do barierki, oparła i zapatrzyła w mrok. Słyszała ciche bzyczenie owadów, gdzieś w oddali odezwała się krowa...

Kiedy zabrali po raz pierwszy Kayley pod namiot, Mack zachęcał ją, żeby nasłuchiwała odgłosów nocy, a ona kazała sobie wyjaśniać, co który oznacza, skąd dochodzi. Zawsze więcej w niej było ciekawości niż lęku, kiedy stykała się z czymś nowym. Szybko się uczyła, łatwo oswajała ze światem. Chłoneła życie.

Tessa dojrzała w ciemnościach zbliżające się światła. Samochód zwolnił, niemal stanął i po chwili powoli wtoczył się na podjazd przed domem Helen. Usłyszała muzykę dochodzącą z wnętrza, chyba country, i błękitna toyota, identyczna jak jej, zatrzymała się przed gankiem, zamilkł silnik.

Tessa stała bez ruchu, z opuszczonymi dłońmi; czekała.

Mack pojawił się na ścieżce, ciągnąc za sobą walizkę. Odezwała się dopiero, kiedy był przy stopniach i nie musiała podnosić głosu:

- Jestem tutaj, Mack.

Chwycił walizkę, wniósł na ganek i postawił przy balustradzie.

- Co tu robisz po ciemku?

- Światło przywabiłobyśmy z całego Shenandoah County. Mama i babcia poszły już spać.

- Jak to na wsi, co?

- Wieczorami nie ma co tutaj robić. Babcia nie chce anteny satelitarnej i sygnał zależy od wiatru oraz woli bogów. Ma za to niezłe zaopatrzoną bibliotekę, szczególnie jeśli ktoś lubi czytać podręczniki do pierwszych klas szkoły podstawowej.

- Podręczniki?

- Chyba protestuje przeciwko wprowadzaniu dzieci w dwudziesty pierwszy wiek. W każdym razie uratowała książki, które rada szkolna postanowiła wyrzucić na śmietnik.

Mack wyglądał na zmęczonego, mogła to dojrzeć nawet w mroku rozświetlanym tylko blaskiem księżyca. Ciągle był tak przystojny, jak w dniu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Miał tak samo gęste włosy, zmarszczki dodawały mu tylko dojrzałości, a okulary w druczianych oprawkach intelektualnej powagi.

- Ile wysypisk odwiedziła? - Wskazał kciukiem za siebie, gdzie stała przyczepa, jakby domyślał się jej przeznaczenia.

- Myślę, że zna każde warte odwiedzenia w promieniu dwudziestu pięciu mil.

- To brzmi dość ponuro, Tesso.

- Jest lepiej, niż myślałam. Na razie nie próbuje wnosić na powrót do domu tego, co udało się nam wynieść. Nie powie tego głośno, ale chyba jest zadowolona, że przyjechaliśmy.

- A jak twoja matka?

- Podtrzymuje pozostawione w Richmond życie towarzyskie przez telefon, ale pomiędzy kolejnymi rozmowami ciężko pracuje, to muszę jej oddać.

Mack założył ręce na piersi i oparł się o balustradę.

- A trzecia z rodziny?

- Zmęczona upałem, wytrącona z normalnego rytmu, ale zadowolona, że udało się nam ruszyć z miejsca. - Zastanawiała się, czy Mack pożegna się, zadawszy wszystkie obowiązkowe pytania, ale on nie spieszył się z odjazdem.

- Słońce zdążyło zająć, zanim wjechałem na najładniejszy odcinek drogi. Jak tam dolina? - Mack był zafascynowany Shenandoah, kochał te okolice.

- Susza dała się we znaki. Poniszczyła plony, woda w rzece bardzo opadła. Ze wzgórz wygląda tak, jakby koryto wyschło zupełnie. Staw na farmie to jedna trzecia tego, co normalnie. Jeśli nie spadną deszcze, będzie po stawie.

Mack gwizdnął cicho.

- Nigdy jeszcze tak nie było. Chciałbym go zobaczyć. Pójdiesz ze mną?

- Teraz?

- Dlaczego nie? Rozprostuję trochę nogi, zanim ruszę w drogę powrotną.

- Możesz tu przenocować i wracać rano, jeśli chcesz - zaproponowała poniewczasie. Wcześniej nie pomyślała nawet, że mógłby zostać. Kolejny znak, jak bardzo oddalili się od siebie.

- Nie. Mam masę roboty, a jutro z samego rana jestem już z kimś umówiony.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie zapytała, co u niego, nie zadała ani jednego pytania.

- W pracy wszystko w porządku? Pamiętam, że miałaś mieć jakiś duży proces.

- Nie, jeszcze nie wszedł na wokandę, za to James miał swoją pierwszą rozprawę w tym tygodniu.

James, ten sam James Bates, przez którego obydwójce stracili pracę w Richmond, był teraz adwokatem w kancelarii Macka. Kiedy Mack przegrał proces ze szkołą, ojciec Tessy znalazł chłopcu miejsce w prywatnej szkole. James skończył ją z tak dobrymi wynikami, że dostał stypendium Virginia Commonwealth University, a potem, dzięki kolejnemu stypendium, skończył prawo na University of Virginia i teraz pracował u Macka.

- Myślałam dzisiaj o nim - powiedziała Tessa. - Jak sobie poradził?

- Nie udało mu się dowieść niewinności klienta, ale kilka podstawowych zarzutów podważył. W sumie poszło mu nie najgorzej.

- Wierzę w niego.

Mack wyprostował się.

- Co powiesz na mały spacer?

Pamiętała, w jakich okolicznościach byli po raz ostatni razem nad stawem, chciała się wykręcić, ale zanim cokolwiek powiedziała, Mack dodał:

- Mam ci coś do powiedzenia, a nie chcę rozmawiać tutaj.

Teraz już nie mogła odmówić. Zeszła więc za nim po stopniach na podjazd i ruszyli razem znajomą ścieżką.

Nie ujął jej pod ramię, ale szedł tuż obok, jakby się bał, że Tessa może się potknąć w ciemnościach.

- Ja też pamiętam, kiedy ostatni raz byliśmy razem nad stawem - powiedział na głos to, o czym ona tylko pomyślała. - Wszędzie tu pełno Kayley. Wzgórze, na którym puszczała latawce tamtego lata przed śmiercią, stara stodoła, gdzie znalazła kotkę przybłądę z małymi, pole, gdzie Biskwit przepłoszył przepiórki.

- Jarząbki. - Biskwit, owczarek angielski, był równie zdumiony jak jego państwo. Kiedy przerażone stadko wzbiło się w powietrze, już zadowolony z siebie przysiadł na zadzie i zaczął drapać się za uchem. Mack powiedział wtedy, że to równoznaczne z dmuchnięciem w lufę, kiedy myśliwy odda celny strzał.

- Radzisz sobie? - rzucił lekkim tonem, ale Tessa wiedziała, że to pozór.

- W domu też wszędzie ją widzę.

- Z tym zdążyłaś się już oswoić. Usunęłaś wiele rzeczy przywołujących wspomnienia.

Usłyszała w jego głosie wyrzut, choć nie była wcale pewna, czy taką miał intencję. Pamiętała doskonale kłótnie, kiedy systematycznie likwidowała ślady Kayley. Obecny wystrój domu, minimalistyczny tak, że bardziej minimalistycznego nie można już chyba osiągnąć, niemal w niczym nie przypominał tego sprzed sześciu lat.

Nawet Biskwit, który wychowywał się i rósł razem z Kayley, miał teraz innych państwa.

- Jestem zbyt zajęta, żeby się zastanawiać - skłamała Tessa. - Mama bardzo uważa, żeby nie wspominać o Kayley, chociaż się jej zdarza, a babcia w ogóle nie wymienia jej imienia.

- Myślą o niej.

- O tym chciałeś ze mną rozmawiać? Otworzyć ranę, żebyśmy mogli sobie porządnie popłakać? - Tessa zmitygowała się po chwili, wciągnęła głęboko powietrze. - Przepraszam.

- Na pewno?

- Tak. Nie zasłużyłeś sobie na ten wybuch.

- Zawsze tak reagujesz. Nie radzisz sobie.

- A ty sobie radzisz?

- Mnie łatwiej o tym mówić.

Doskonale wiedziała, co Mack miał na myśli; on chodził na mityngi, ona nie wierzyła w żadne grupy wsparcia.

- Mówienie o niej nie przywróci jej życia. Nie odzyskasz Kayley.

- Nie o to chodzi na mityngach.

- Wiem, ale ja raczej wolę poświęcać czas na to, żeby mniej było pijanych kierowców na drogach.

- To też nie wróci jej życia.

- Zapewne, ale przynajmniej mam świadomość, że jakiś dzieciak przechodzi do następnej klasy, po raz pierwszy zakłada rękawicę baseballową albo zapisuje się do chóru kościelnego tylko dlatego, że dzięki organizacji, w której działam, udało się odebrać prawo jazdy kolejnemu potencjalnemu mordercy.

- MADD robi wiele dobrego, to prawda. Wiesz przecież, że wspieram was, jak mogę.

- Nie wiem, dlaczego znowu się kłócimy. Wiedziała. Żadne z nich dotąd nie uwolniło się

od poczucia winy, nie przeboleła straty. Mack żył chyba tylko po to, żeby wypełniać dawane ludziom obietnice, dotrzymywać słowa, na każdym kroku dowodzić swojej solenności. A ona? Cóż, szła przed siebie, równomiernie stawiając kroki, i liczyła, że wreszcie pewnego dnia uda się jej znaleźć spokój.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy mi powiedziałaś, że jesteś w ciąży? Byliśmy wtedy na spacerze. Szliśmy tędy, jak teraz.

Do tego wspomnienia nie chciała wracać, wolałaby je odsunąć jak najdalej od siebie. Było Boże Narodzenie, byli rok po ślubie, przyjechali na święta do Toms Brook, razem z rodzicami Tessy. Po obowiązkowej wymianie prezentów Tessa i Mack wymknęli się z domu i wtedy, na tej samej ścieżce, w czasie spaceru nad zamarznięty staw powiedziała Mackowi, że następnego lata urodzi się ich pierwsze dziecko.

Obydwoje przyjęli nowinę z radością. Od samego początku, kiedy tylko zaczęli mówić o małżeństwie, obydwójce zadeklarowali, że chcą mieć dzieci i decyzja o pierwszej ciąży, po kilku miesiącach przeżytych w różowej mgle, przyszła im bez trudu. Byli szczęśliwi, zdrowi, ustabilizowani, nie mieli żadnych powodów, by czekać.

- To był chyba, jak dotąd, najszcześniejszy dzień mojego życia. Nie licząc dnia naszego ślubu.

Chciała zapytać, czy byłby tak samo szczęśliwy, gdyby znał z góry finał, ale nie była gotowa na taką rozmowę; sama nie miała odpowiedzi. Czy życie Kayley było warte tragedii? Dotąd nie wiedziała, jak sobie odpowiedzieć na to pytanie.

- Te dziewięć miesięcy to był cudowny czas pod każdym względem - ciągnął Mack.

- Bo to nie ty byłeś w ciąży - mruknęła, ale prawdę powiedziawszy, ciążę przechodziła bez kłopotów. Zaszła natychmiast po odstawieniu pigułki. Ograniczyli wtedy życie towarzyskie do minimum, woleli siedzieć w domu, cieszyć się sobą, domowym ciepłem. Zrobili długą listę imion, planowali, jak podzielać między siebie obowiązki. Kupili nieprzyzwoicie drogą kołyskę i całe umeblowanie do pokoju dzieciennego.

Mack roześmiał się, jakby to była zwykła, beztroska rozmowa dwojga szczęśliwych ludzi, przywołujących wspomnienia wspólnych szczęśliwych chwil.

- Tak, szczególnie cieszyło mnie to, że nie ja muszę rodzić.

- Ale było tak, jakbyś prawie rodził. Byłeś przy mnie cały czas, trzymałam cię za rękę i omal ci jej nie urwałam.

- Była takim kochanym niemowlakiem. Wszystko ją tak interesowało, że nie miała czasu spać.

Pamiętasz? Wcale nam to nie przeszkadzało, że nie śpi. Mogliśmy ją obserwować bez końca.

Tessie kroiło się serce. Nie mogła zrozumieć, dlaczego pozwala na tę rozmowę.

- Mack...

- Nikt nam nie odbierze dobrych wspomnień, Tesso, chyba że pozwolimy na to. Ciągle widzę, jak się nią zajmujesz, jak ją karmisz. Szedłem, wyjmowałem ją z kołyski, a ty na nas czekałaś, oparta o poduszki, z rozpuszczonymi włosami. Nie chcę zapomnieć, jak wtedy wyglądałaś i co ja wtedy czułem.

Byli tak zaczarowani, tacy szczęśliwi, że od razu wiedzieli, że będą mieli następne dziecko, ale szkoda im było rozdzielać czas, który poświęcali małej Kayley, między nią i drugim dzieckiem. Chcieli się nacieszyć w pełni jej pierwszymi latami życia i dopiero później zdecydować na drugą ciążę.

Zastanawiała się, czy nie popełnili błędu. Czy nie łatwiej poradziliby sobie ze śmiercią Kayley, gdyby musieli troszczyć się o

jej młodszą siostrę lub brata? Czy odeszliby wówczas tak daleko od siebie? Przeżywali swój ból oddzielnie? Spędzali ze sobą tak mało czasu?

Z drugiej strony, czy potrafiłaby przyglądać się temu drugiemu dziecku spokojnie? Czy nie umierałaby każdego dnia ze strachu, że i je może stracić?

- Ciągle wspominam ten czas, kiedy była z nami - mówił Mack.
~ Przypominam sobie decyzje, które podejmowaliśmy... Ty też?

- Nie, jeśli tylko potrafię.

- Tak się cieszę, że wzięłaś roczny urlop i mogłaś być przy niej bez przerwy. Potem, kiedy wróciłaś do pracy i pojawiła się w domu Letty, Kayley przyjęła zmianę bez protestów. Była takim pogodnym dzieckiem, tak łatwo się do wszystkiego dostosowywała.

Tessa mogła tak sobie ułożyć grafik lekcji, by wracać do domu już wczesnym popołudniem. Starannie planowali każdy krok, obmyślali każde wakacje, każde święta, każdy świąteczny prezent. Cieszyło ich wszystko, co wiązało się z byciem rodzicami.

I nagle, kiedy Kayley miała pięć lat, cały świat jednego dnia legł w gruzach.

Krótkie, raptownie przerwane życie, niespełnione, bez dalszego ciągu. Tessa milczała, Mack też już się nie odzywał.

Kayley miała za sobą dwa lata przedszkola i niecierpliwie wyczekiwała, kiedy pójdzie do zerówki. Była bystra, komunikatywna, szybko zawierała przyjaźnie z innymi dziećmi, sama potrafiła już czytać swoje książki z bajkami. Miała doskonałą pamięć i nauka sprawiała jej radość. Zerówka w „prawdziwej” szkole była jej marzeniem.

Kiedy nadszedł ten wyczekiwany dzień, Kayley ubrała się sama w rzeczy, które poprzedniego dnia wybrały wspólnie z Tessą. Ponieważ Tessa tego dnia też miała rozpoczęcie roku szkolnego, postanowili, że Mack odprowadzi córkę do podstawówki, która znajdowała się zaledwie o kilka minut spacerem od domu. Sąsiadka odwoziła swoją małą, proponowała, że zabierze i Kayley, ale odmówili. Tego pierwszego dnia Mack chciał osobiście odprowadzić córkę do szkoły.

Od momentu, kiedy zeszli na śniadanie, wszystko układało się nie tak. Tessa rozerwała spódnice, zahaczając kieszenią o uchwyt szafki

kuchennej. Pobiegła na górę przebrać się, a kiedy wróciła, Mack chodził niespokojnie w tę i z powrotem.

Okazało się, że musi natychmiast jechać do Richmond. Wzywano go w pilnej sprawie. Czy Tessa nie mogłaby odprowadzić Kayley?

To oznaczało, że spóźni się na swoje rozpoczęcie roku szkolnego, ale jakie miała wyjście? Na Macka czekał klient, sytuacja była awaryjna. Zgodziła się niechętnie, Mack uściskał córkę, ucałował ją i wyszedł pospiesznie, ale na moment odwrócił się i stojąc już w drzwiach, jeszcze raz przeprosił.

Kayley, dla której był to najważniejszy dzień w życiu, też chciała już wychodzić, ale Tessa ciągle nie była gotowa. Musiała spakować jeszcze torbę i zadzwonić do opiekunki Kayley, żeby potwierdzić, czy dziewczyna przyjdzie, tak jak wcześniej się umawiały.

Kayley nie mogła usiedzieć na miejscu ani chwili, taka była podniecona. Zaczęła prosić, że pójdzie do szkoły sama. Tessa stanowczo się sprzeciwiła, Kayley napierała. Dojdzie tylko do rogu i tam zaczeka na Tessę. Nie będzie przechodziła przez jezdnię, ale przynajmniej będzie widziała szkołę i dzieci wchodzące na dziedziniec.

Na przejściu musiał stać ktoś, kto pilnował bezpieczeństwa dzieci, to Tessa wiedziała na pewno, a Kayley była posłusznym dzieckiem; jeśli powiedziała, że zaczeka, można było jej zaufać.

I Tessa w końcu się zgodziła, kilka razy przypominając córce, co ustaliły i jednocześnie pakując się pospiesznie. Kayley uszczęśliwiona wybiegła z domu.

Tessa wyszła może cztery minuty później. Cztery minuty, które odmieniły wszystko. Cztery minuty, w czasie których los zdecydował, że musi się wtrącić w niczym niezmałone życie ich rodziny.

Cztery minuty.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że susza jest tu aż tak straszna - odezwał się Mack.

Tessa dopiero teraz uświadomiła sobie, że się zatrzymali. Stali na drewnianym pomoście, na którym Kayley lubiła łowić ryby. Teraz pomost nie sięgał w ogóle wody.

- Myślisz, że uratowały się jakieś ryby? - zapytał Mack.

- Nie potrafię powiedzieć.

- Pamiętasz, jak Kayley złowiła tu pierwszą rybę?

- Dlaczego to robisz? - Tessa odwróciła się do niego. W świetle księżycy mogła widzieć jego twarz. - Pamiętam wszystko. Znacznie więcej, niż chciałabym pamiętać. Pamiętam, że pozwoliłam jej samej dojść do rogu ulicy, choć nie powinnam była pozwolić. Pamiętam pisk hamulców, kiedy wybiegłam za nią z domu kilka minut później. Pamiętam, że ktoś, chyba ktoś dorosły, krzyczał. Pamiętam, że kiedy tam dobiegłam, to bydle, Robert Owens, wytoczył się z samochodu, pochylił nad naszą nieruchomą córką i wyrzucał jej, wyrzucał mojej małej, że ośmieliła się stać na chodniku, kiedy on wracał do domu pijany jak bela, tak pijany, że mu się dwoiło i troiło przed oczami.

Mack milczał. Nie próbował dotknąć Tessy, nie próbował jej obejmować, pocieszać. Wiedział doskonale, że nie zniosłaby żadnego czulego gestu z jego strony.

- Ciągłe się obwiniasz, prawda?

Wzięła głęboki oddech i kiedy się uspokoiła na tyle, że mogła wydobyć słowo z gardła, powiedziała:

- Mam długą listę osób, które obwiniam. Też na niej jestem, owszem.

- Ja też jestem. - Mack nie pytał, stwierdzał. - Powinienem być z nią tamtego dnia. Wszystko inaczej rozłożyłoby się w czasie. Kiedy Owens zjechał na chodnik, nie stalibyśmy tam, a gdybyśmy stali, zdążyłbym odepchnąć Kayley.

- Nie. - Tessa odwróciła się, spojrzała na wyschnięty staw. - Nie obwiniam cię, Mack. Już nie, chociaż na początku obwinałam. Kayley nie przez ciebie zginęła. Miałaś wszelkie podstawy myśleć, że ze mną będzie bezpieczna. Gdybyś tylko mógł dotrzymać danego jej słowa, odprowadziłbyś ją do szkoły.

- Była z tobą bezpieczna. Ja też pozwoliłbym jej dojść samej do rogu. Nieraz jej pozwalaliśmy. Kayley można było ufać. Nie winię cię za to, co się stało. Być może początkowo obwinałem. Chciałem znaleźć kozła ofiarnego, ale teraz wiem, że żadne z nas nie ponosi odpowiedzialności. Byłaś wspaniałą matką. Kayley zabił Robert Owens i wszyscy ci, którzy pozwolili mu tamtego ranka usiąść za kierownicą.

Tak bardzo chciała, żeby rozgrzeszenie Macka zadziało, miało moc, ale nie miało żadnej mocy. Jak wszystko inne, nie mogło przywrócić Kayley życia.

Tym razem dotknął jej. Położył dłoń na jej karku i delikatnie nacisnął napięte mięśnie, jakby wiedział, w jaki sposób je rozluźnić.

Z kochaniem się było podobnie. Tak doskonale wyczuwali nawzajem swoje ciała, że nie musieli nic mówić, zadawać pytań, szukać wskazówek. Dotyk dłoni Macka uświadomił jej, jak dawno się nie kochali.

- Nigdy nie potrafięś zrozumieć, dlaczego chcę, żeby tacy jak Robert Owens ponosili zasłużoną karę - odezwała się.

- Potrafię zrozumieć.

- To nas połączyło od pierwszej chwili. Obydwoje chcieliśmy naprawiać świat.

- Ciągłe próbuję go naprawiać. Wiesz, jakie sprawy biorę.

Wiedziała. Mack walczył o sprawiedliwość jak potrafił. Bronił ludzi, którzy nie mieli do kogo zwrócić się o pomoc, udzielał się w różnych organizacjach pozarządowych, społecznych. Zarabiał znacznie mniej, niż mógłby zarabiać, bo jego klienci często po prostu nie mieli pieniędzy, ale Tessa zawsze popierała jego wybory i decyzje. Pieniądze nie były ważne.

- Mack, jeśli twierdzisz, że rozumiesz i chcesz, żeby tacy ludzie jak Robert Owens ponosili zasłużoną karę, to dlaczego irytuje cię moja praca dla MADD? Nie widzisz, co z nami zrobiła śmierć Kayley? Byliśmy rodziną, a staliśmy się dwojgiem obcych ludzi, którzy nie są w stanie ze sobą rozmawiać. Nie chcę, żeby inni przechodzili przez to, przez co my musimy przejść.

Mack opuścił rękę. Opuścił, bo Tessa cofnęła się, nawet o tym nie wiedząc.

- Tak cię pochłania los innych ludzi, że zapominasz o własnym życiu. Zapominasz, że należy ci się trochę szczęścia. Mnie też.

Tessa zaplotła dłonie na piersi, jakby odgradzała się od Macka.

- Mam swoje życie. W tej chwili wypełnione tym, żeby dzieci mogły bezpiecznie poruszać się po ulicach.

- Robisz coś dla dzieci, ale o nich samych zapominasz. Odsunęłaś się od swoich uczniów.

Usłyszała nie wyartykułowane dopowiedzenie: „Odsunęłaś się też ode mnie”.

- Robię to, co pozwala mi jakoś funkcjonować, Mack.

Kiwnął głową, przytakując rzeczy oczywistej.

- Nie widzisz innej drogi, prawda?

- Jaka to miałyby być droga?

- Miałaś rację, mówiąc, że nie potrafimy ze sobą rozmawiać, ale nie miałaś racji, kiedy próbowałaś określić przyczyny takiego stanu. Nie chodzi o śmierć Kayley. Żyjemy w zupełnie różnych światach i nie wiemy o czym rozmawiać. - Wyciągnął ręce, ale Tessa stała bez ruchu.

- W ten sposób będzie ci łatwiej powiedzieć, co masz do powiedzenia? Trzymając mnie za ręce?

- Co masz na myśli?

- Dlaczego zaproponowałeś ten spacer? Twierdziłeś, że masz mi coś do powiedzenia. Powiedziałaś już, czy jeszcze trzymasz w zanadrzu?

- Powiedziałem częściowo.

- Długa droga przed tobą.

Milczał przez chwilę, w końcu wzruszył ramionami.

- W porządku, oto reszta. Nie możemy tak dłużej żyć.

Spodziewała się czegoś podobnego, a jednak miała wrażenie, że lada chwila zemdleje.

- Nie proszę o rozwód - ciągnął. - Nie chcę rozwodu, przynajmniej tak mi się wydaje, ale muszę wiedzieć, że coś robimy, żeby znowu zacząć się porozumiewać. Proponuję terapię.

- Mówiłam ci już, że ja nie... Uniósł dłoń.

- Tak, mówiłaś. Nie chcesz i nie potrzebujesz terapii, ale ja chcę, żebyś się o tym upewniła, Tesso. Jeśli nasze małżeństwo nie jest tego warte, to nie ma sensu go ciągnąć.

- Bo ty tak zdecydowałaś?

- Nie. Przez ostatnie trzy lata sama decydowałaś i nic z tego nie wyszło. Jesteśmy niebezpiecznie blisko separacji. Twój przyjazd tutaj właściwie jest rodzajem separacji.

Tessa zastanawiała się przez długą chwilę, wreszcie zapytała:

- Jest ktoś inny, Mack? Czy po prostu potrzebujesz swobody, żeby się rozejrzeć?

Nie odpowiedział wprost.

- Chcę prawdziwego związku. Jeśli nie będę mógł mieć go z tobą, to owszem, będzie ktoś inny.

Chcę mieć dom, żonę, rodzinę. Kiedyś miałem i pamiętam, jak to jest. Jestem jeszcze za młody, by rezygnować. Ty też.

- Ty nie chcesz prawdziwego związku, cokolwiek ma to znaczyć. Ty chcesz żony, która będzie cię we wszystkim słuchała, we wszystkim dopasowywała się do ciebie, spełniała wszystkie twoje oczekiwania.

Mack pokręcił smutno głową.

- Nie, Tesso. Ja chcę żony, która chce być żoną.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powietrze z suszarki do włosów było niewiele gorętsze od tego za oknem. Po dwóch tygodniach pobytu na rodzinnej farmie Nancy ciągle nie mogła przyzwycząć się do upałów oraz do mnóstwa innych rzeczy. Najważniejsze, że udało się im w krótkim czasie zaprowadzić względny porządek w domu.

Przełożyła suszarkę do drugiej ręki i wyrwała kabel z kontaktu. Klnąc pod nosem, wsadziła z powrotem wtyczkę na miejsce.

- Mamo, jestem już, ale spokojnie, nie musisz się spieszyć. - Głos Tessy zabrzmiał tuż pod drzwiami i oddalił się, jakby rzuciła zdanie w przelocie, idąc korytarzem w stronę schodów.

Zaraz po wstaniu z łóżka Nancy widziała ją, maleńką figurkę, na Fitch Crossing w czasie porannej przebieżki.

Włączyła na powrót suszarkę, ale niewiele mogła zrobić ze swoimi włosami. Już jako nastolatka wiecznie z nimi wojowała, bez większych sukcesów. Wtedy przeszkadzała jej Helen; waliła w drzwi łazienki i wykrzykiwała coś o przekleństwie próżności. Teraz główną przeszkodą do ich pokonania był brak wody, zbyt mała liczba kontaktów elektrycznych i ręce, które męczyły się zbyt szybko, gdy sięgała po szczotkę czy lokówkę.

Dzisiaj jednak warto było się pomęczyć. Przyjeżdżał Billy i Nancy sama się dziwiła, że tak to przeżywa. Nie widzieli się od jej przyjazdu na farmę. Przez pierwszy tydzień był na konferencji w Atlancie, a potem był... po prostu zajęty. Tak w każdym razie mówił.

Skończyła suszyć włosy, wyłączyła suszarkę i włączyła lokówkę. Czekając, aż się nagrzej, nachyliła się i przyjrzała uważnie swojemu odbiciu w lustrze; nie ucieszyło jej to, co zobaczyła.

Miała zmęczoną twarz. Nic dziwnego. Od trzydziestu chyba lat nie zdarzyło się jej tak ciężko pracować fizycznie.

Od przyjazdu do Toms Brook nie robiła manicure. Dzisiaj, przed szybkim porannym prysznicem, skapitulowała i obciąła paznokcie króciutko, przy samych opuszkach. Z nosa schodziła jej skóra; skutki pracy na słońcu, kiedy to razem z Tessą naprawiała płotek wokół warzywnika. Dłonie z wierzchu przypominały powierzchnię księżyca, a kolana i łokcie tarzę.

Billy przyjedzie i zobaczy, że jego żona postarzała się o dziesięć lat. Ogarnęła ją panika. Była niemal pewna, że jeśli dotąd się z nią nie rozstał, to dla trzech powodów. Po pierwsze, świetnie uzupełniali się

w łóżku. Po drugie, Tessa była jego oczkiem w głowie. Po trzecie, talenty towarzyskie Nancy i jej dbałość o własny wizerunek. Przez wszystkie lata małżeństwa ani razu nie przyniosła mu wstydu. Zawsze wiedziała, jak się ubrać, co, kiedy i do kogo powiedzieć.

Co Billy sobie pomyśli, kiedy zobaczy ją tutaj, w tym domu, wyglądającą tak, jak wygląda? Przez te wszystkie lata, trudne i podszyte lękiem, nigdy nie zapomniła, że może co prawda wydawać się uosobieniem elegancji i prawdziwą damą z Południa, ale tak naprawdę zawsze pozostanie bosonogą dziewczyną z farmy, o wsioowych manierach, pokrytych odciskami palców, z brudem za paznokciami.

- Mamo?

Głos Tessy rozległ się tuż za drzwiami. Nancy nawinęła końce włosów na lokówkę i zacisnęła dłoń na rączce.

- Tak? - zawołała.

- Tata przyjechał.

Tak wcześniej? Billy pojawił się wcześniej niż zapowiadał? Na moment, jeden krótki moment, pofolgowała fantazji: nie mógł dłużej wytrzymać bez niej, stęsknił się tak bardzo, że ruszył w drogę bladym świtem.

- Za chwilę wychodzimy podglądać ptaki - odezwała się Tessa. - Chcesz się przywitać, zanim wyjdziemy?

Nancy przymknęła oczy.

- Zaraz schodzę.

- Przygotuję ojcu kawę.

Nancy wypuściła włosy z lokówki, powtórzyła tę samą operację z drugiej strony, po czym wyciągnęła kabel z kontaktu i położyła lokówkę na umywalce, żeby wystygła. Powinna jeszcze nałożyć tusz na rzęsy, ale nie miała już czasu. Dotknęła jeszcze dłonią włosów, założyła świeżo wyprasowaną białą bluzkę i ruszyła na spotkanie męża.

Billy siedział w kuchni z Tessą i popijał kawę. Kiedy weszła, uśmiechnął się i podniósł się, aby przywitać żonę.

- Tessa właśnie opowiadała, że wróciła do joggingu.

- To jej bieganie skończy się atakiem serca - stwierdziła Nancy, dając znak Billy'emu, by siadał.

- Tłumaczę jej, ale mnie nie słucha. Może ty ją przekonasz?

- Ja uważam, że to świetnie - powiedział, upijając kolejny łyk. - Ślicznie wyglądasz, Nancy.

- Staram się dbać o siebie - oznajmiła tonem damy na wakacjach. Nie zamierzała informować Billy'ego, że poprzedniego dnia przyczepiły kurnik do traktora, rozebrały ogrodzenie, przeciągnęły przedziwne ustrojstwo w inną część obejścia i pod czujnym okiem Helen zainstalowały nowe ogrodzenie. A potem, dla wytchnienia, wdrapały się na dach i wygarniały liście z rynien.

- Dobrze się czujesz?

Była zawiedziona, że nie pocałował jej, kiedy wstał na powitanie. Nie był nieśmiały, ale też nigdy nie był skory do okazywania uczuć. Wobec kobiet zawsze uprzedzająco uprzejmy, pełen szacunku oraz galanterii. Matka, klasyczna piękność z Południa, dała swojemu jedynakowi staranne wychowanie.

- Gorąco mi. Tobie zapewne też, ale mama, oczywiście, nie chce nawet słyszeć o klimatyzacji. Uparta jak zawsze. Może teraz wreszcie przestaniesz jej bronić.

- Okna są otwarte, mamy lekki przewiew. Nie narzekam.

- Całą środę poświęciłyśmy na to, żeby był przewiew - powiedziała Tessa. - Zawiozłam część okien do miasteczka, kazałam wymienić siatki. Resztę mama i babcia połatały. Wyglądają teraz jak małe quilty. Bardzo artystycznie.

Nancy obserwowała męża spod oka. Miała nadzieję, że on też się postarzał przez ostatnie dwa tygodnie, ale Billy nic się nie zmienił. Wysoki, postawny, bez zbędnych kilogramów, o wyprostowanej sylwetce, szpakowatych włosach, wyjątkowo gęstych jak na kogoś, kto zbliżał się do wieku emerytalnego.

Dbął o siebie, ale nie wpadał w obsesję na temat własnej kondycji, jak tyłu jego znajomych z tutejszego klubu. Wolny czas spędzał, wiosłując kajakiem po James River albo podpatrując ptaki. Był dobrym, przyzwoitym człowiekiem i Nancy kochała go całym sercem.

- Jeszcze kawy, mamó? - zagadnęła Tessa. Nancy ocknęła się z zamyślenia.

- Nie, dość już wypłam, dziękuję. Zaparzyłaś dla ojca świeży dzbanek? - Zanim Tessa zdążyła odpowiedzieć, zwróciła się do Billy'ego: - Nie wiedziałam, że przyjedziesz tak wcześnie. Przygotowałam mufinki.

- Bez przesady. Nie róbcie sobie z mojego powodu kłopotu.

Tessa, ciągle w stroju do joggingu, przeprosiła i poszła na górę przebrać się, ale Nancy nawet nie zauważyła, że córka zniknęła.

- Po prostu pijesz mocniejszą kawę niż my.

- Ta jest bardzo dobra. - Odstawił pusty kubek. - Dom wygląda o wiele lepiej, niż się spodziewałem.

Dom rzeczywiście mógł teraz uchodzić za zwyczajnie zaniedbany, co było znacznym postępowaniem w stosunku do składu „szalonej magazynierki”, który Nancy zobaczyła tutaj dwa tygodnie wcześniej. Już trzy razy wypełniona po brzegi końska przyczepa wywoziła „odzyski” Helen w ich ostatnią drogę na wysypisko.

- Powinieneś być widzieć, co tu zastałyśmy po przyjeździe. Nigdy tu nie błyszczało, ale to, co zastałyśmy, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Nie uwierzyłbyś własnym oczom.

- Ten dom ma swoją historię.

Nancy pomyślała, że takiej odpowiedzi mogła się spodziewać po kimś, kto, jak Billy, otrzymał nienaganne wychowanie. Odpowiedzi gładkiej, uprzejmej i pozbawionej treści.

Zaskoczyła ją ta refleksja; tak myśląc, jakby dopuściła się nielojalności wobec męża.

- To samo można powiedzieć o naszym domu w Richmond.

- Interesujące porównanie.

Billy nie uśmiechnął się, ale w jego głosie zabrzmiała żartobliwa nuta. Najwyraźniej uważał, że oba domy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Może była po prostu przepracowana. Może o sekundę za długo suszyła włosy ziejącą gorącym powietrzem suszarką. Może to, że jej nie pocałował na powitanie zabolowało bardziej, niż sądziła. Tak czy inaczej nie przypuszczała, że powie, co powiedziała:

- W pełni uzasadnione porównanie. Obydwa domy zbudowali nasi przodkowie. Twój i mój. A ten podoba mi się coraz bardziej, bo nie jest pretensjonalny.

Billy nie wydawał się urażony, co najwyżej zaciekawiony.

- A nasz jest pretensjonalny?

Nancy i Billy mieszkali w stylowej, georgiańskiej rezydencji zbudowanej w latach dwudziestych przez nieprzyzwoicie bogatych dziadków Billy'ego. Rezydencji, o którą kolejne pokolenia dbały pieczołowicie i z której Nancy była zawsze chorobliwie wręcz dumna.

- Jakbyś go określił?

- Pokazowy?

- Jeśli chodzi o samą architekturę, jest doskonały, ale od początku było w nim coś ostentacyjnego, a teraz to po prostu monstrum.

- Nigdy nie narzekałaś.

Raptem usłyszała jeszcze raz, niby echo, tę krótką wymianę zdań. Nie potrafiła powiedzieć co w nią wstąpiło. Dom Whitlocków był dziełem podręcznikowym. Koneserzy przyjeżdżali do Richmond, żeby go obejrzeć. Mieszkać w nim było marzeniem na jawie, podczas gdy życie w domu Stoneburnerów było koszmarem.

Nancy wzięła głęboki oddech.

- Przepraszam. Nie mogę uwierzyć, że krytykuję dom, w którym przeżyły swoje życie trzy pokolenia Whitlocków.

- Zawsze mi się wydawało, że dobrze się w nim czujesz. Że jesteś szczęśliwa.

Czy rzeczywiście? Kolejna zdumiewająca myśl. Czy była szczęśliwa? A jeśli nie była, dlaczego wcześniej sobie tego nie uświadamiała? Czy naprawdę była taka powierzchowna, za jaką wszyscy ją brali?

- Oczywiście, że jestem szczęśliwa. - Cały czas nie była pewna, czy to prawda. - Jestem chyba przeczulona na punkcie tego domu. To mój rodzinny dom. Przeżyłam w nim swoje młode lata.

Billy wstał i włożył kubek do zlewu.

- Zawsze przepraszałaś za to, kim jesteś i skąd pochodzisz. Nigdy dobrego słowa nie powiedziałaś o tym domu. Jestem zaskoczony, że dzisiaj go bronisz.

- Billy, o czym ty mówisz?

Nie odpowiedział. Miał taką minę, jakby chciał odpowiedzieć, ale z jakichś powodów wolał milczeć.

- Nie przepraszam i nie bronię niczego ani nikogo - powiedziała Nancy. - Po prostu porównuję domy naszego dzieciństwa, to wszystko.

- Ale nie dotarłaś do sedna. Dotknęłaś zaledwie sprawy.

- To znaczy?

- Różnica tkwi w naszym pochodzeniu. Dwie kropki na mapie Wirginii i dwa całkowicie różne światy. Tak odrębne, odizolowane od siebie, że dziw prawdziwy, że się kiedyś nawzajem dostrzegliśmy.

Nancy osłupiała. Billy po raz pierwszy mówił wprost o dzielących ich różnicach. Które ona postrzegала jako nierówność. Lęki, które nurtowały ją cały czas, teraz odezwały się na dobre. To, że tutaj przyjechała, że zdecydowała się zostać na dłużej, ujawniło tylko dzielącą ich przepaść.

Czy to nie absurd? Czy te wszystkie lata, kiedy robiła wszystko, żeby okazać się godną swojego męża, poszły na marne? W ogóle się nie liczyły? Cała jej miłość do niego, do ich córki, nic nie znaczyła?

- Mówiłam o domach, a ty mówisz o czymś znacznie ważniejszym, o naszym wspólnym życiu.

- Nieważne - powiedział. - Jestem zmęczony. Musiałem wstać wcześniej i teraz to wychodzi.

- Nie musiałeś przyjeżdżać tak wcześniej. Nie spodziewałam się, że...

- Chcę wybrać się z Tessą na wzgórze, zanim zrobi się gorąco.

Przyjechał zobaczyć się z córką. Nie z nią. I nie miał ochoty ciągnąć niesmacznej rozmowy. Pozory, to było coś, co Billy miał we krwi, i co Nancy przyjęła z bezkrytycznym entuzjazmem.

Przez moment myślała, że się popłacze, ale nie mogła pozwolić sobie na łzy w obecności Billy'ego. Nie mogła mu pokazać, jaka w gruncie rzeczy jest słaba, krucha. I nieelegancka.

- Zbierajcie się - powiedziała, wstając. - Ptaki już się obudziły.

- Do zobaczenia po powrocie. - Billy położył jej dłoń na ramieniu. - Może wybierzemy się gdzieś na lunch.

Czuła się jak stary pies myśliwski, któremu przez cały długi dzień udało się chwycić za ledwie jeden trop. Może w psiarni będzie czekała na nią kość pocieszenia, ale skończą się już wyprawy do lasu.

Rzadko złościła się na męża, a teraz zdjęła ją złość, gwałtowna, niekontrolowana złość, blokująca wszystkie inne uczucia. Z trudem oddychała. Cofnęła się, strząsając jego dłoń.

- W porze lunchu będę zajęta - wyrzuciła z siebie bez zastanowienia. - Obiecałam mamci, że zawiozę stare pisma do domu opieki w Strasburgu. Czekają tam na mnie. Ale dziękuję za zaproszenie. Miło, że pomyślałeś.

Wyszła szybko z kuchni, żeby wypłakać się w swojej sypialni.

Po południu niebo zaciągnęło się chmurami, upał trochę zelżał, jakby zanosilo się na deszcz. Tessa odczuwała przyjemne zmęczenie po wyprawie z ojcem na wzgórze. Wypatrzyli kowalika z biało

upierzoną piersią i jeszcze rzadszego brązowego pełzacza. Lasówka, którą Billy rok wcześniej widział tuż za pierwszym grzbietem, ukryła się gdzieś albo przeniosła w wilgotniejsze strony.

Billy zaczął zabierać Tessę na ptasie podchody, kiedy była jeszcze w pieluchach. Początkowo podróżowała w nosidełku na plecach, a kiedy mogła sama przebierać nogami, szła obok ojca, zaopatrzona we własny chlebak i lornetkę. Podobnie jak ojciec, sporządzała notatki z wycieczek, ale nigdy tak szczegółowe. Billy, bagatela, należał do kilkuset klubów ornitologicznych, jej wystarczało samo obserwowanie ptaków, kiedy tylko miała po temu sposobność. Billy marzył o wyprawie w dorzecze Amazonki, tylko z lornetką, notatnikiem, czego Nancy, i nic dziwnego, nie mogła zrozumieć.

Wyjechał już z powrotem do Richmond, bez pożegnania z żoną. Po południu ciągle jeszcze dysząca złością Nancy wróciła z miasta z nowymi zasłonami do bawialni.

Helen na ich widok prychnęła z dezaprobatą:

- Stare były jeszcze zupełnie dobre. - I poszła na górę przetrawiać w samotności kolejną ingerencję w jej życie. Kilka dni wcześniej stare zasłony trafiły na przyczepę Rona Claiborne'a.

- Skoro już zaczęłam, zajmę się ścianami - oznajmiła Nancy, wyrzucając Tessę z pokoju. Słusznie uznała, że jeśli Helen ma już pomstować i urągać, niech urąga jednej.

Zrobiło się na tyle chłodno, że Tessa z kolei postanowiła zajrzeć na strych. Potrzebowały miejsca, żeby składować rzeczy, których nie można było wyrzucić, bo Helen poszłaby za nimi, jak hinduska wdowa idzie za mężem na stos. Pozostał więc strych, przestrzeń kompromisu, którą trzeba było jednak najpierw przygotować. Na szczęście strych był przestronny, przewiewny, zaopatrzony nawet w wiatrak i dało się tutaj pracować, w każdym razie przy obecnej temperaturze.

Od wejścia przywitały ją, jak mogła się tego spodziewać, sterty pudeł. Zaczęła otwierać je na chybił trafił; tu papiery, gdzie indziej potłuczone naczynia, w jeszcze innym większe i mniejsze skrawki kolorowych materiałów.

Zatrzymała się przy pudle z materiałami. Już miała zamknąć je na powrót, kiedy jej uwagę zwrócił leżący na wierzchu spory kawałek płótna. Miał wzór w duże, ciemnoróżowe truskawki. Wzięła go do ręki i podeszła do okna, żeby się lepiej przyjrzeć.

Musiał być to jeden z woreczków, o których opowiadała Helen. Jakaś kobieta, może jej babka, a może prababka, spruła starannie szwy, wyprała, wyprasowała materiał i odłożyła z myślą, że go kiedyś wykorzysta.

Odruchowo przycisnęła go do piersi. Spośród tylu rzeczy, które przez ostatnie dwa tygodnie przeszły przez jej ręce, ta jedna nie wiedzieć czemu ją wzruszyła. Może sprawiła to myśl o czyjejś troskliwości, zapobiegliwości. Wyobraziła sobie tamtą kobietę, jak idzie do sklepu, wybiera mąkę czy karmę dla kurczaków zapakowaną akurat w taki woreczek, bo spodobał się jej kolor albo wzór. Kobietę, która potrafiła łączyć skrzętną gospodarność z wyobraźnią i zmysłem artystycznym.

Odłożyła materiał i przesunęła pudło na bok, myśląc, że miło byłoby obejrzeć jego zawartość razem z Helen. Przypomniała sobie o czym myślała, idąc tutaj. Babka powiedziała, że ślubny quilt, który Tessa tak sobie ulubiła w dzieciństwie, jest na strychu. Rozejrzała się, nie bardzo wiedząc, gdzie rozpocząć poszukiwania.

Pod jedną ze ścian stało kilka wiekowych skrzyń, z tych, jakie czasami można znaleźć na pchlim targu, chętnie kupowanych w charakterze ław do salonu, tyle że te akurat nie wyróżniały się urodą. Chociaż mocno zniszczone z wierzchu, sprawiały wrażenie solidnych. Dotarła do nich, usuwając zagradzające drogę pudła.

W pierwszej skrzyni znalazła wypracowania z różnych czasów, ułożone chronologicznymi warstwami; te na samej górze należały do jej matki.

Tessa uśmiechnęła się i wzięła do ręki pierwszy tekst o Jonasie Salku i szczepionce przeciwko polio. Przeczytała kilka pierwszych zdań, zdziwiona, że jedenastoletnia Nancy potrafiła tak gładko pisać. Odłożyła wypracowanie, obiecując sobie, że któregoś dnia w wolnej chwili przejrzy dokładnie zawartość skrzyni.

W drugiej skrzyni znajdowały się męskie ubrania. Uzmysłowała sobie do kogo należały, kiedy rzuciła wzrokiem na leżący na wierzchu list kondolencyjny z US Navy, wystosowany przez dowództwo do wdowy po Fayette Henrym. Dotknęła marynarskiej bluzy. Minęło tyle lat, a babka nie rozstała się z rzeczami męża. Krótko byli małżeństwem, ale ból pozostał, jak widać, na całe życie.

Tessa wzdrygnęła się, opuściła wieko i przeszła szybko do trzeciej skrzyni. Ta była wypełniona, przynajmniej z wierzchu,

pożółkłymi wycinkami prasowymi. Przy bliższej inspekcji okazało się, że są to wzory quiltów z opisami, troskliwie przechowywane, niektóre podklejone kartonikami. Odwróciła jeden; pochodził z opakowania płatków jęczmiennych, chyba marki All - Bran, jak się domyślała z ledwie czytelnego nadruku. Przeglądała wycinki pełne przedstawień kobiet z lat dwudziestych: już z krótko obcięzonymi na pazia włosami, ale jeszcze w fartuchach gospodyń domowych.

Wyobrażała sobie, jak cenne musiały być wzory quiltów w czasach, kiedy życie na farmie nie obfitowało raczej w zbyt wiele rozrywek.

Pod wycinkami leżały pudełka po cygarach wypełnione szpulkami różnokolorowych nici albo guzikami, a jeszcze pod nimi kwadraty do quiltów, niewykorzystane skrawki, rozpoczęte, ale nigdy nie ukończone projekty. Część rzeczywiście nie nadawała się do niczego, ale były też wśród nich zupełnie udane i poniechane z niewiadomych powodów. Te ostatnie odłożyła na bok, ciekawa, co powie na ich temat Helen.

Kolejną warstwę stanowiły trzy niedokończone wierzchy quiltów, wszystkie zszywane z małych pasków materiału i nie odznaczające się niczym szczególnym. I wreszcie na samym dnie znalazła starannie zawinięty w białe płótno ślubny quilt.

Wyjęła go ostrożnie ze skrzyni, nie mogąc opanować podniecenia. Domyślała się, że Helen dobrze go zabezpieczyła, ale nie mogła uwierzyć, że natrafiła na niego tak łatwo i szybko. Ten sam, jej quilt. Poznałaby go wszędzie. Przesycony przeszłością. Wpatrywała się w niego i wracały wspomnienia. Leży w domu z bolącym gardłem, zwija się w kłębek na łóżku, opatula quilem. Siedzi na kolanach u ojca, Billy czyta jej bajki, obydwójce okryci quilem. Budzi się na moment w nocy, kiedy Nancy wchodzi do jej pokoju i poprawia quilt.

Zrobiło się jej smutno, że nie ma przy niej Kayley, nie może zobaczyć quiltu. Jakoś nigdy nie zdążyła jej o nim opowiedzieć, podzielić się z córką wspomnieniami z dzieciństwa. Przytuliła policzek do zleżającego materiału, zastanawiając się, ile przez lata zdążył wchłonąć łez.

Helen zaczęła się przyzwyczajać, że ma jedzenie podsuwane pod nos. Co prawda nigdy by się do tego nie przyznała, ale codziennie czekała niecierpliwie, co pojawi się na stole. Z Nancy niewielki był pożytek w kuchni, ale sałatkę potrafiła zrobić, oczywiście nie taką, jak

uczyła ją matka, za to z fantazyjnymi składnikami, w których Helen niebezpiecznie się rozsmakowała. Puszkowe karczochy, kiełki pszenicy, avocado, pędy fasolki... tego akurat nie mogła pojąć: po co zjadać pędy, skoro można by poczekać i jeść dojrzałe ziarna, jak każdy normalny człowiek.

Dzisiaj było inaczej. Helen wyrzuciła córkę i wnuczkę z kuchni, obiecując „prawdziwą” kolację, taką, jakie jadało się w dawnych dobrych czasach. Wiejska szynka, groszek, słodkie ziemniaki, a na deser placek z jagodami. W końcu była winna Nancy pół placka za połowiczne uszycie quilta, a że trudno upiec placek w połowie, miał być cały, z tym, że pół zamierzała zjeść sama, żeby wiedziały kto rządzi w tym domu.

Kuchnia właściwie przestała być jej kuchnią. Nic nie mogła znaleźć, choć prawdę rzekłszy, przed przyjazdem „ekipy sanitarnej” też nie mogła, a teraz przynajmniej łatwiej było szukać. W szaleństwie zaprowadzonych przez Nancy porządków była jednak metoda, chociaż i tak myślała ustawić po swojemu garnki, patelnie i inne utensylia, kiedy tylko obie „sanitariuszki” wyjadą. Na razie nie było najgorzej: dało się gotować.

Kiedy skończyła i wszystkie trzy zebrały się przy stole, była zmęczona... i bardzo dumna z siebie. Może i była stara, ale potrafiła jeszcze przygotować przyzwoitą kolację. Czekwała na pouczenia na temat cholesterolu, zawartości tłuszczu w tłuszczu, ale Nancy i Tessa wpadły w zachwyty, spojrzawszy na stół.

- Umieram z głodu - oznajmiła Tessa. - To, co przygotowałaś, wygląda wspaniale, babciu.

- Czasami śni mi się takie jedzenie i wtedy budzę się przerażona - dodała Nancy.

- Tylko nie waż się mówić, że nie będziesz jadła, bo przybędzie ci kilogramów - uprzedziła Helen.

- Nawet się nie waż.

- Nic nie powiem - obiecała Nancy. - Po co robić szum o te kilka kilogramów. Nikt nawet nie zauważy.

Helen wyczuła, że pod słowami Nancy krył się jakiś dodatkowy sens, ale wołała go nie dociekać. Nie potrafiła prowadzić „szczerych” rozmów. Jego sprawa, co kto czuje i nic nikomu do tego.

- Usiądź już, babciu - zakomenderowała Tessa.

- Ja podam herbatę.

Helen zaczęła mruzczyć, że nie, że nikt nie musi jej wyręczać, ale usiadła.

- Dzbanek z herbatą mrozi się w lodówce, ale poza tym nic tam nie znajdziesz. Twoja matka chce mnie wziąć głodem.

- Żebyś wiedziała - przytaknęła Nancy. - Tylko dlatego tu przyjechałam. Zagłodzę cię, przejmę farmę i zajmę się hodowlą strusi i lam na skalę przemysłową.

- Nie zapomnij o rukwii. I innych odmianach mescluna. - Tessa postawiła dzbanek z mrożoną herbatą na stole. - Do tego chińskie zioła. Całe ciepłarnie chińskich ziół leczniczych. Już to widzę oczami duszy.

Helen zdała sobie sprawę, że się uśmiecha. I że „one”, niestety, dostrzegły ten uśmiech i teraz same wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. Nastroszyła się.

- Zrobiła dzisiaj któraś z was coś pożytecznego?

- zagadnęła. - Jedna podglądała ptaszki, druga wieszła zasłony. - Pokręciła głową i puściła w ruch półmiski.

- Podobają ci się nowe zasłony? - Nancy nałożyła sobie słodkich ziemniaków polanych syropem i posypanych siekanym drobno ananase.

- Nawet nie spojrzałam na nie - prychnęła Helen.

- Tamte były jeszcze zupełnie dobre.

- Rozpadały się w dłoniach. - W głosie Nancy nie było urazy. - Te ci się spodobają.

- Pomalowałaś ściany i nawet nie zapytałaś, jaki chciałabym kolor.

- Podobno nie wchodziłaś do bawialni. - Nancy odstawiła półmisek z ziemniakami i sięgnęła po chleb kukurydziany. - Nie pytałam, bo powiedziałaabyś, że biały. A morelowy wygląda bardzo dobrze. Komponuje się z zasłonami i pasuje do ciebie. Kobieta, która zrobiła taki quilt, powinna mieć pomarańczowożółte ściany.

Tessa, wieczna rozjemczyni, zmieniła temat:

- Byłam dzisiaj po południu na strychu. Helen wiedziała, że w kwestii ścian i zasłon została pokonana. Chętnie podjęła wątek:

- Nie wiem, czy to mądre. Musi być tam gorąco jak w piecu.

- Dało się wytrzymać. Znalazłam kilka ciekawych rzeczy.

- Gdybyś zapytała, powiedziałabym ci, czego się możesz spodziewać. - Helen zaczęła smarować chleb masłem i dała Nancy po

łapie, kiedy ta próbowała usunąć maselniczkę z zasięgu matki. - Stare bambetle rodzinne. Nic cennego, nic wartościowego. Żeby mieć coś cennego, trzeba najpierw mieć pieniądze, żeby to kupić.

- Znalazłam pudło z materiałami z worków. I muszę się pochwalić, że rozpoznałam je, znaczy materiały. Chciałabym, żebyśmy któregoś dnia razem je obejrzały. Opowiesz mi, co pamiętasz na ich temat.

Helen zdziwiła się.

- Materiały z worków? Na strychu?

- Całe pudło rozprutych, wypranych i starannie poskładanych worków.

- Znałam kobietę, która używała wyprutych z worków nici do szydełkowania. Zwijała nitki w kłębki i robiła z nich serwetki. Czasy były ciężkie, na wszystkim się oszczędzało.

- Jasne.

- Zupełnie zapomniałam o tych workach. - Helen popatrzyła surowo na córkę i wnuczkę. - Tylko sobie nie myślcie, że często mi się to zdarza. Ciągle mam bardzo dobrą pamięć.

- To prawda - westchnęła Nancy. - Pamiętasz dokładnie, co i kiedy przeskrobałam, kiedy cię nie posłuchałam.

- Przydałoby się, żebyś i ty pamiętała.

- A potem... - Tessa nałożyła sobie trochę groszku. - Znalazłam ślubny quilt. Może nie od razu, ale prawie. Nie musiałam długo szukać.

Helen w zasadzie nie ukryła go. W końcu nie miała przed kim, mieszkała sama, a trudno chować coś przed samą sobą. Jednak utknęła go na dnie starej skrzyni i miała nadzieję, że za jej życia nie ujrzy światła dziennego.

Tymczasem Tessa go znalazła.

- W jakim jest stanie? - zapytała Nancy. - Rozpadł się zupełnie?

- Nie przyglądałam mu się zbyt dokładnie, ale pomyślałam, że po kolacji mogłybyśmy razem go sobie obejrzeć.

Nancy i Tessa zaczęły mówić o czymś innym, o tym i tamtym, ale Helen nie odezwała się już ani słowem do końca kolacji. Skończyła pierwsza, wstawiła swój talerz do zlewu, bez pytania ukroiła trzy ogromne porcje placka i postawiła na stole, razem z pojemnikiem lodów waniliowych. Nikt się nie wzbraniał przed deserem.

Po deserze wszystkie trzy czuły się syte, trochę senne, na pewno rozluźnione. Helen musiała przyznać, że zasiadanie przy wspólnym stole z córką i wnuczką nie jest wcale takie złe. Miło jej było, że zjadły z takim apetytem. I miło było mieć do kogo otworzyć usta, nawet jeśli nie miała wiele do powiedzenia.

- Chodźmy obejrzyć quilt, a potem pozmywam naczynia. - Tessa wstała i przeciągnęła się. Helen z przyjemnością patrzyła na jej smukłą sylwetkę.

Gdyby tylko zniknął z twarzy wnuczki ten wyraz napięcia, tak bardzo kłóący się z ogólnym wrażeniem zdrowia, dobrej kondycji i siły wewnętrznej. Usiadły w saloniku, bo w bawialni meble były jeszcze przykryte i czuć było świeżą farbę. Salonik, pokój zupełnie zbędny na farmie, gdzie nikt nie podejmuje gości popołudniowymi herbatkami, za czasów Delilah, matki Helen, służył za pracownię: stała tu rama do napinania quiltów, kilka krzeseł i nic poza tym. W każdą środę rano spotykały się tu sąsiadki z miejscowego stowarzyszenia Fitch Crossing Ladies Homemakers Society.

- To był mój ulubiony pokój, kiedy byłam mała. Do tej pory uważam, że jest najprzytulniejszy w całym domu. Zасыwalam się tu z książką i mogłam siedzieć całymi godzinami - wspominała Tessa.

Helen zapaliła lampy, które pamiętały jeszcze czasy jej matki. Delilah chciała mieć dużo światła w saloniku, bo bała się, że praca nad quiltami zrujnuje jej wzrok.

- Połykałaś książki, zupełnie inaczej niż twoja córka. Kayley ciągle była w ruchu, ciągle biegała, a to z latawcem, a to z piłką.

Zapadła cisza, jak zawsze, kiedy padało imię Kayley. Pierwsza odezwała się Nancy:

- Tessa też by taka była, gdybym jej pozwalała, ale ja chciałam z niej zrobić młodą damę.

Helen pokręciła głową.

- Za moich czasów nikt tak nie myślał. Ludzie mieli ręce pełne roboty.

- Ponuro to brzmi - zauważyła Tessa. - Bawiłaś się kiedykolwiek?

- A czy ja mówię, że się nie bawiłam? - Helen roześmiała się, ku własnemu zaskoczeniu.

- Mnie obowiązki, które tutaj miałam, nigdy nie bawiły - powiedziała Nancy.

Helen zrobiło się przykro, chociaż potrafiła zrozumieć różnicę między spojrzeniem swoim i córki.

- Bawiliśmy się lepiej, niż myślisz. Nikt nie powiedział, że praca nie może być dobrą zabawą.

Rozsiadła się w fotelu, Nancy usiadła na kanapce, na której zwykle czytywała Tessa, kiedy była mała, a sama Tessa zniknęła, by wrócić po chwili z zawiniętym w białe płótno quiltem.

- Pomyślałam, że bezpieczniej będzie go przynieść tak, jak był zapakowany. - Położyła quilt na stole w rogu pokoju i zaczęła ostrożnie rozwijać.

Tessa zawsze poruszała się z gracją, każdy jej gest był płynny, delikatny. Helen uważała, że wnuczka odziedziczyła elegancję ruchów po kobietach z rodziny Billy'ego. Żadna Stoneburnerówna nie miała ani czasu, ani szans, ćwiczyć wdzięcznych póz i ruchów w kotylicach na balach debutantek, jak babka i matka Billy'ego. Helen przyglądała się rozwijającej płótno Tessie i miała wrażenie, że obserwuje skomplikowaną, subtelną pantomimę.

Tessa rozwinęła teraz quilt i rozłożyła na płótnie.

- Jakbym odnalazła starego przyjaciela, o którym myślałam, że zniknął na zawsze. - Skończyła i cofnęła się o krok. - Tyle wspomnień się z nim łączy.

Helen mogłaby opowiedzieć jej niejedno, ale milczała. Nancy podniosła się, podeszła do stołu.

- Ścieg nie jest tak precyzyjny jak twój, mamciu, ale muszę powiedzieć, że całkiem znośny. Nie byłam mistrzynią, ale też nie byłam wcale złą szwaczką.

- Tyle tu kolorów, wzorów. - Tessa delikatnie przesunęła dłonią po materiale. - Ale jest bardziej zniszczony, niż pamiętałam.

W końcu i Helen się podniosła, zbliżyła do stołu. Quilt mierzył dwa metry na dwa metry dwadzieścia centymetrów. Dlaczego akurat tyle? Widać uznała, że takie powinien mieć wymiary. Była wtedy biedną smarkulą z wielkimi marzeniami. Ile miała czasu? Chciała go skończyć przed dniem ślubu. Koniecznie. Tak sobie postanowiła.

- Są dwa rodzaje quiltów ślubnych - zaczęła. - Z pojedynczą obrączką, znacznie prostszy, i z dwoma, jak ten, na który teraz patrzycie. Zaczęłam go, kiedy byłam dziewczynką. Moja matka uznała, że będzie dobry na początek, bo nauczę się cierpliwości i wyćwiczę palce.

- I tak było? - zapytała Nancy.

- I tak było. Quilt skomponowany był z najróżniejszych skrawków: tylko dwa złączone owale w centrum i ząbkowana bordiura zszyte zostały z tego samego, błękitnego materiału, który tyle dla niej znaczył wtedy, przed laty.

- Tutaj jest zniszczony i tutaj... - Tessa wskazywała największe ubytki.

- Zniszczony, zniszczony - sarknęła Helen. - Ty i twoja matka jesteście gotowe wyrzucić z tego domu wszystko, co się nie świeci i nie błyszczy. Dziw prawdziwy, że nie wylądował jeszcze na przyczepie Claiborne'a.

- Nie przywiozłam ci go kiedyś po to, żeby teraz wyrzucać - oznajmiła Nancy. - Prosiłam wtedy, żebyś go dokładnie obejrzała i zdecydowała, czy da się coś z tym zrobić. Myślałam, że dawno połatany, ale nic nie mówiłaś, myślałam, że zapomniałaś.

- To pamiątka rodzinna, a nie sterta starych gazet - wtrąciła Tessa.

Helen dalej gderła coś o „ich porządkach”, nie dawała się udobruchać.

- Naprawa zajęłaby strasznie dużo czasu, poza tym nie wiem, jak się do tego zabrać. Umieję robić quilty, czasami zmieniam spód, jeśli się przetrze, to wszystko.

- Mogłabyś go popruć i zacząć od początku, jakbyś szyła nowy - podsunęła Nancy.

- Bez sensu. - Helen pokręciła głową. - To już lepiej uszyć naprawdę nowy.

Tessa dotknęła brzegu quilta niemal z rewerencją i Helen poczuła coś na kształt wzruszenia. Nie zdawała sobie sprawy, ile wspomnień budzi w Tessie widok tej starej, zniszczonej narzuty.

- Użyłaś tutaj tylu różnych materiałów, babciu

- powiedziała. - Skąd je brałaś?

- Ten quilt to prawdziwa biblia rodzinna. Pracowałam nad nim kilka lat, pomalutku. Już ci mówiłam, po części brałam materiały z worków. Ze starych sukien, moich i nie moich. Te skrawki były najtańsze. Wymieniałam się z sąsiadkami: dawałam skrawki swoich materiałów, dostawałam za nie inne. Nie chciałam monotoni, każdy fragment miał być inny, dlatego tak długo to trwało. W tamtych

czasach nie było pieniędzy, żeby jechać do sklepu i kupić sobie, co ci się podoba. Tutaj, w okolicy, wszyscy byli biedni.

- Chciałabym więcej usłyszeć o sukniach i o workach. O tym, jak pracowałaś nad tym quiltem. - Tessa podniosła głowę. - O twoim życiu, babciu.

- A to niby po co? - Helen spojrzała na wnuczkę spod oka. - Co cię to obchodzi? Stare dzieje. Wszyscy już nie żyją, ja jedna zostałam. Mogłabym ci opowiedzieć o tych sukniach, o ludziach, z którymi wymieniałam się materiałami. - Wskazała na jeden. - Te kawałki wzięłam z fartucha mojej matki. Ulubionego fartucha. Wykorzystałam je do pierwszego fragmentu, który sama ułożyłam i zszyłam. - Wskazała kolejny. - A ten materiał, to z sukni ślubnej mojej babki. Ale jakie to ma dla ciebie znaczenie? Nie znałaś ich nawet.

Tessa nie próbowała zaprzeczać, ani specjalnie przypochebiać się babce.

- Telewizji nie sposób u ciebie oglądać, czytania mam już dość, a pora jeszcze wczesna.

Helen gotowa była odmówić. Co miała do powiedzenia pogrążonej w żałobie wnuczce i córce, która poświęciła całe życie na zacieranie śladów swojego pochodzenia? Jej życie w niczym nie było podobne do ich życia, ale prośba Tessy zabrzmiała tak naturalnie, a przy tym jakoś niezobowiązująco, że uległa.

- Coś niecoś mogę wam opowiedzieć, ale pod warunkiem, że któraś przyniesie wino, które otworzyłyście pierwszego wieczoru. Muszę wypić kieliszek, jeśli mam mówić. Przypomina mi się wino z mniszka, ojciec nastawiał je każdej wiosny, ale było takie słodkie, że zęby bolały.

Tessa wyprostowała się.

- Usiądźcie sobie wygodnie. Zaraz wracam. . - I wyszła z pokoju.

- A ty co tu jeszcze robisz? - zwróciła się Helen do Nancy. - Próbowałam opowiadać ci o dziadkach, kiedy jeszcze tu mieszkałaś, ale nie chciałaś słuchać. Jeśli nie obchodziło cię to wtedy, dlaczego miałoby obchodzić dzisiaj.

Nancy nachyliła się, uśmiech, za którym Helen nigdy nie wiedziała, co się kryje, zniknął z jej twarzy.

- Jesteś wstrętną, upartą staruchą, wiesz o tym? Całe życie mnie strofowałaś. Nigdy nie powiedziałam, że nie obchodzi mnie historia

mojej rodziny. Nie mogłam tylko słuchać, jacy wspaniali byli moi przodkowie i jak to ja nigdy im nie dorównam.

- Nigdy nic takiego nie mówiłam. Zmyślasz.

- Nigdy nie byłaś ze mnie zadowolona, mamciu.

- Raczej odwrotnie, to ja nie byłam dość dobra, jak na twoje wymagania.

Nancy zaplotła ręce na piersi.

- Możesz wspominać albo nie, twoja sprawa, ale jak już będziesz podejmowała decyzję, zechciej pamiętać, że to także moja rodzina. I nie zamierzam wychodzić z tego pokoju.

W życiu Helen nie było miejsca na wieloznaczności. Zawsze musiała podejmować szybkie, mocne decyzje i potem się ich trzymać, jeśli miała skutecznie walczyć z biedą, nie ulec rozpacz. W głębi serca wiedziała jednak, że taka stanowczość bywa niebezpieczna. Żywy dowód słuszności owych przeczuć siedział teraz naprzeciwko niej.

- Nigdy nie powiedziałam, że nie chcę ci opowiadać o rodzinie. Udowodnij, że tak, a cię przeproszę.

Nancy nie odpowiedziała, znak, że sprawa była dla niej naprawdę ważna. Helen to widziała i próbowała znaleźć słowa, które pomogłyby jej uporządkować zamęt w głowie i nic stosownego nie przychodziło jej na myśl.

- Cieszę się, że chcesz posłuchać - powiedziała w końcu, ale trudno było usłyszeć w jej głosie cień zadowolenia. No cóż, ważne, że w ogóle udało się jej coś powiedzieć, cokolwiek.

Nancy kiwnęła sztywno głową.

ROZDZIAŁ ÓSMY

1932 rok

Helen wiedziała, że nie ma sensu się skarżyć. Matka, Delilah Stoneburner, była szybsza niż najlepszy pies gończy i gdyby miała zwolnić tempo, wpadłaby w złość. Jak większość kobiet z Fitch Crossing, w ostatnich latach miała znacznie więcej pracy i musiała uwijać się jak w ukropie jeśli chciała wszystkiemu podołać. Odkąd Cuddy, jej mąż i ojciec Helen, dostał pracę w sklepie, przy wyładunku worków, musiała przejąć także jego obowiązki. Bracia Helen, Tom i Obediah, zdrobniale Obed, pomagali w gospodarstwie, pomagała też dwunastoletnia Helen, ale zajęcia było aż nadto, a czasu zawsze za mało.

Wiedziała, że mama będzie zła, że jej ktoś przeszkadza, pomimo to poszła za nią do kurnika.

- Te dwa w kącie - Delilah wskazała kurczaki, o które jej chodziło.

Tom, czternastolatek dorównujący prawie wzrostem ojcu, zrobił taką minę, jakby chciał się sprzeciwić. Nie lubił ukręcać łbów kurczakom, ale eliminowanie nieszczęsnego drobiu należało do jego obowiązków. Poza wszystkim wykonanie wyroku oznaczało, że wieczorem na stole pojawi się kurze mięso, coraz większa rzadkość w domu Stoneburnerów.

Helen nie chciała patrzeć na egzekucję. Karmiła codziennie kurczaki i ponadawała im nawet imiona, a teraz miała w perspektywie posilanie się potrawką ze Stokrotki i Lilijki.

- Proszę mamci... - odwróciła głowę, żeby nie widzieć Toma zasadzającego się na ofiary. - Ja bym chciała pracować dzisiaj nad quilem, jak wszystkie panie. Nie chcę pilnować dzieci. Umiem bardzo dobrze szyć i...

- Ty tutaj? - Delilah zmierzyła córkę niechętnym spojrzeniem, jakby nie znajdowała w niej nic godnego uznania. - Dalej będziesz mi rezonować?

- Ja o nic więcej nie poproszę, proszę mamci. Pomogę przygotować kolację, jak już oporządczę wszystko i potem pozmywam nawet naczynia. Położę malutką cioci Sary spać. Mogę nawet trochę posiedzieć z dziećmi, tylko niech mamcia się zgodzi, żebym...

Delilah zatrzymała się na moment.

- Nie targuj się ze mną. I nie patrz tak na mnie tymi swoimi wielkimi ślepskami, jakbym ci nie wiem jaką krzywdę robiła.

Helen zamilkła.

- Lenny, już ci tłumaczyłam. - Głos Delilah zabrzmiał o ton łagodniej. - Ktoś musi pilnować dzieci. Już niedługo któraś z dziewczynek będzie mogła cię zastąpić. Pomogą ci dzisiaj, oczywiście, ale na razie pilnowanie dzieci to twój obowiązek. Rozumiesz?

Helen rozumiała.

- Może chociaż troszeczkę? Delilah zaśmiała się.

- Może. Na razie zabieraj się do roboty. Musisz zdążyć, zanim panie przyjdą.

Helen ruszyła nad staw. Podniosła wieko skrzyni, którą ojciec ustawił nad samą wodą, nabrała garnuszek ziarna, sypnęła kaczkom, potem następny. Szukała wzrokiem kacząt, które wyległy się niedawno, ale albo spotkał je zły los, albo schowały się w wysokiej trawie na brzegu. Miała nadzieję, że to drugie.

Przez godzinę uporała się z obowiązkami. Delilah lubiła porządek i choć miała sto innych zajęć, dom musiał lśnić czystością. Chodniki musiały być wytrzepane, podłogi zaciągnięte woskiem, meble wypolerowane.

Od pewnego czasu większość tych robót wykonywała Helen. Jako jedyna córka przejęła domowe obowiązki, matka natomiast w zastępstwie ojca obrabiała gospodarstwo. Cuddy wychodził do pracy przed świtem, wracał po zachodzie słońca, ale nikt się nie skarżył. Po raz pierwszy od lat w domu było wreszcie trochę pieniędzy na dobra, których farma nie mogła dostarczyć: kawę, sól, cukier, rzeczy, które Delilah, jeśli tylko mogła, nabywała w zamian za jajka czy masło.

Helen umyła naczynia po lunchu, posprzątała w pokojach, odkurzyła meble; dom był gotów na przyjęcie sąsiadek, które wkrótce miały się pojawić. Matka musiała być zadowolona z jej starań, bo nie powiedziała słowa, nie wytknęła córce żadnego niedopatrzenia.

Dzisiejsze spotkanie było szczególne. Każda z kobiet przygotowała fragment quiltu i opatrzyła podpisem. Całość miała stanowić dar dla nauczyciela, który kończył pracę w szkole w Fitch Crossing i przeniósł się gdzie indziej. Helen bardzo żałowała, że „pan” wyjeżdża; pożyczał jej książki z własnej biblioteki, uczył znaczenia

trudnych słówek i nigdy się nie naśmiewał, kiedy czegoś nie wiedziała.

Ciotka Mavis, najmłodsza siostra Delilah, zszyła w jedno wierzch quiltu i dzisiaj panie miały go wykańczać, tak żeby Delilah mogła przekazać nauczycielowi w ostatni dzień szkoły prezent wykonany - wspólnymi siłami.

Ciotka Mavis, z quiltem pod pachą, pojawiła się pierwsza. Ze wszystkich ciotek ją Helen lubiła najbardziej, bo Mavis zdawała się pamiętać, jak to jest być najmłodszą wśród rodzeństwa. Zawsze wyróżniała Helen, poklepując ją serdecznie po ramieniu na powitanie. Dzisiaj też przywitała się z nią serdeczniej niż z innymi, a w dodatku wręczyła jej woreczek zawiązany sznurkiem.

- To dla ciebie, Lenny - powiedziała, podając jej prezent i odbierając z jej rąk miotłę, żeby siostrzenica mogła zobaczyć, co dostała.

- Co to jest? - Helen mozoliła się z supłem, a że miała zeszywniałe od pracy palce, szło jej to trochę opornie.

- Sama zobacz. - Mavis machnęła miotłą, wymiatając za próg jakiś niewidoczny pyłek. - Ktoś już jest?

- Jeszcze nie. Na razie nie ma nikogo. Nie wiem, ile pań ma przyjść, ale pokój na górze już przygotowany. A na kolację będzie kura.

- Brzmi zachęcająco. Dobry powód, żeby u was zostać.

Wszystkie trzy siostry Delilah mieszkały bliżej Front Royal niż Toms Brook, więc kiedy któraś przychodziła w odwiedziny, zwykle nocowała na rodzinnej farmie. Krewni Cuddy'ego, którzy przyjeżdżali aż spod Woodstock, też zostawali w gościnie.

Tego dnia w domu zapowiadał się gwarny, wesoły wieczór.

Helen w końcu rozplatała sznurek, otworzyła woreczek i jej oczom ukazał się kłęb skrawków materiałów we wszystkich kolorach tęczy.

- Ciociu, to wszystko dla mnie? - wykrzyknęła podniecona.

- Tak. Na dobry początek. Możesz zacząć szyć swój ślubny quilt. Trochę skrawków od sąsiadek, trochę z moich sukien, których już żadnym sposobem nie dało się połączyć. A najważniejsze, że masz tutaj kawałek materiału z sukni ślubnej twojej babki. - Mavis chwilę przebierała wśród gałganków i w końcu wydobyła niewielki kawałek

białego materiału w delikatne różyczki. - Oto on. Wiem, że zależało ci na ładnych materiałach, to zebrałam, co mogłam.

- Są śliczne. I tyle tego. Mogę zacząć zszywać kwadraty. Dziękuję bardzo.

Mavis odgarnęła siostrzenicy włosy z czoła.

- Za każdym razem, jak weźmiesz je do ręki albo na nie spojrzysz, pomyślisz o mnie. Dlatego ci je przyniosłam. - Pogłaskała jeszcze Helen po policzku i poszła szukać Delilah.

Wiosna tego roku przyszła wcześniej, ale ledwie słońce się schowało, robiło się zimno i lekko ubrane kobiety wchodziły zziębnięte. Niemal każda wręczała Helen woreczek podobny do tego, który przyniosła Mavis.

- Za to, że zgodziłaś się opiekować dzisiaj dziećmi - powiedziała jedna z sąsiadek. - Twoja mama mówiła, że na pewno się ucieszysz.

Helen była zachwycona. Matka pomyślała o niej, poprosiła sąsiadki, żeby zrobiły coś dla jej córki. W domu Stoneburnerów prezenty i nagrody były rzadkością; tym cenniejszy był każdy taki gest.

Sąsiadki nagrodziły Helen za to, że zaopiekuje się dziećmi, a ona najchętniej pobiegłaby teraz na górę, zamknęła się w swoim pokoju i napawała zawartością woreczków.

Nie bała się ciężkiej pracy, ale nie znosiła zajmować się dziećmi. Jej starsze kuzynki godzinami potrafiły rozmawiać o swoich przyszłych dzieciach: ile będą ich miały, jak będą je wychowywać. Helen wyobrażała sobie, że urodzi jedno, może dwójkę, ze względu na męża, ale wolałaby raczej zajmować się farmą i zszywać quilty na starej maszynie swojej matki.

Napływały kolejne kobiety, z dziećmi na rękach i z chodzącymi już o własnych siłach. Helen witała kuzynki, sąsiadki... Pojawiła się żona kaznodziei z najbardziej nieznośnym chłopakiem, jakim Helen zdarzyło się zajmować, ale przyniosła też nowiutki woreczek na mąkę w małe niebieskie domki. Przyszły też trochę starsze dziewczynki, ale poza tym, że mogły jej pomóc, nie nadawały się do niczego, bo o czym mogłaby rozmawiać z ośmioletnią - czy dziewięcioletnią smarkulą?

Panie piły kawę, którą Delilah sama paliła i mielila, i częstowały się świeżo upieczonymi ciastkami. Dzieci dostały chleb z dżemem i mleko. Potem Helen wyprowadziła całą czeredę na dwór, najmłodsze

zostały z dziewczynkami na podwórku, a te, które były już bardziej samodzielne, zabrała na spacer nad staw.

Kiedy wróciła do domu, kobiety siedziały już wokół ramy. Aż ją palce świerzbiły, żeby chwycić za igłę i usiąść razem z nimi, ale nie próbowała nawet prosić; wiedziała, że matka się nie zgodzi. Zajęła się dziećmi, ale maluchy mniej więcej po godzinie zrobiły się marudne, zaczęły kaprysić, płakać.

Matki nakarmiły te najbardziej wrzeszczące i Helen ułożyła je w sypialni od frontu, tak żeby łatwo było usłyszeć płacz, jeśli któreś się obudzi.

Starszym dzieciom szybko znudziły się zabawy i sama Helen była już zmęczona. Chciałyby usiąść w saloniku, z innymi kobietami, śmiać się razem z nimi, słuchać ich opowieści. Dochodzące stamtąd strzępki rozmów uświadamiały jej boleśnie, ile traci.

- Mam pomysł - oznajmiła swoim pomocnicom.

Nie licząc śpiących niemowlaków, miały pod opieką czwórkę dzieci. Przygotowała je odpowiednio i zaprowadziła do saloniku.

- Chcą się bawić w świszczą pod ramą.

- W świszczą? - Delilah rzuciła córce podejrzliwe spojrzenie.

- Tak. Pod ramą będzie stara nora świszczy. Dzieci się tam schowają i będą siedzieć cichutko. - Miała pewność, że będą. Zmęczone spacerem, zabawami, bezpieczne w pobliżu matek, powinny szybko usnąć.

- Wejdiesz tam z nimi czy my mamy ich pilnować? - zapytała Delilah.

- Wejdę z nimi - powiedziała Helen z najniewinniejszą miną. Przypilnuję, żeby nic nie zwojowały.

- Spróbuj - zgodziła się Delilah bez przekonania. Helen była wniebowzięta. Prawie wniebowzięta.

Co prawda siedzieć pod ramą to nie to samo co przy ramie, z igłą w palcach, ale przynajmniej będzie mogła przysłuchiwać się rozmowie. Wprowadziła dzieciaki pod ramę, usadowiła je na starym quilcie, który przezornie przyniosła ze sobą, dała im suszone jabłka i orzechy.

Początkowo podniecone głosy dzieciaków nie pozwalały słyszeć, o czym mówi się na górze, ale zmęczone i syte, szybko usnęły, z wyjątkiem piekielnego synka kaznodziei, który nie przestawał się

wiercić, ale nawet on się uspokoił, oberwawszy od jednej z pań, przez quilt, napaństwem w ciemność, kiedy próbował wstawać.

Helen zwinęła się w kłębek i słuchała.

- Becky - odezwała się któraś z kobiet, Helen nie potrafiła powiedzieć która, nie rozpoznała jej po głosie. - Mavis nigdy nie słyszała twojej historyjki o chłopaku, co nie poszedł w niedzielę do kościoła. Helen też nie słyszała nigdy historyjki o chłopcu i bardzo liczyła, że Becky, starsza pani, która mieszkała o dwie mile od Stoneburnerów, zechce ją opowiedzieć.

- Naprawdę? - Głos Becky rozpoznała bez trudu.

- Nie przypominam sobie, że bym ją słyszała - odparła Mavis. - Jeśli odczuwasz silną potrzebę podzielenia się nią, to ja mogę zadeklarować silną potrzebę wysłuchania jej.

Kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Nie opuścisz już nigdy żadnego niedzielnego nabożeństwa, jak ją usłyszysz - powiedziała Becky.

- Ja też jej nie znam - włączył się inny głos i Helen rozpoznała swoją kuzynkę, Lenore Lichliter, która w czerwcu miała wyjść za mąż, o czym dokładnie informowała każdego, czy go to interesowało, czy nie.

- Opowiem wam w takim razie - powiedziała Becky. - Żebyście przypadkiem któregoś dnia nie znalazły się w podobnym położeniu.

Któreś z dzieci przekreśliło się z boku na bok i kopnęło sąsiada. Helen wstrzymała oddech, ale ofiara niezamierzonego ataku nawet się nie poruszyła. Becky tymczasem zaczęła swoją opowieść:

- To historia z Page County, gdzie moja babka dożywała swoich dni. Powiadają, że zdarzyła się naprawdę i ja w to wierzę.

- Dużo jest takich prawdziwych historii - przyświadczył jakiś głos.

- To pomyślcie, że i ta jest prawdziwa. Otóż był sobie chłopak, którego wołali Herman. Herman, mówili o nim, a ja nigdy nie zapytałam, czy miał jakie nazwisko. Zaraz zrozumiecie dlaczego. Ten Herman obudził się w pewien niedzielny poranek, a tu skwar leje się z nieba. Myśli Herman: za gorąco, nie pójdę do kościoła, lepiej wybiorę się popływać.

- Ja go rozumiem - odezwał się jakiś głos przyjęty ogólnym śmiechem.

- Ten Herman znał dobre miejsce do pływania, gliniankę na polu diakona. Obrachował sobie, że diakon będzie w ten czas w kościele, bo niby gdzie miałyby być. Poszedł nad tę gliniankę, zrzucił ubranie, do rosołu się rozebrał, zostawszy jak go Pan Bóg stworzył. Już miał skoczyć do wody, kiedy nagłe usłyszał jakiś hałas za plecami.

Helen znowu wstrzymała oddech; widziała opowiadaną scenę jak żywą, jakby rozgrywała się na jej oczach.

- Jaki hałas? - zapytała Mavis.

- A taki, że ani ty, ani ja, ani nikt nie chciałby go usłyszeć. Byk to był. Byk diakona, co zwykle pasał się całkiem gdzie indziej, i bardzo groźny do tego. Biedny Herman dojrzał byka pędzącego prosto na niego i zmartwił z przerażenia.

- Przerażony i goły - podsumowała Delilah i Helen była pewna, że matka się uśmiecha.

- Herman nie miał czasu do namysłu. Uczynił jedno, co mógł w tej sytuacji uczynić. Uskoczył w lewo, o włos ratując się przed wzięciem na rogi, a kiedy byk odwrócił się, żeby zaszarżować znowu, jakoś tak się okręcił, że ucapił go za ogon, żeby być za nim. Byk leciał i leciał z gołym Hermanem uczepionym jego ogona, aż się zmachał i stanął pod drzewem.

- To musiał być widok. Goły Herman galopujący za bykiem - powiedziała któraś z kobiet. - To dopiero musiał być widok.

- Żebyś wiedziała, że był - przytaknęła Becky.

- Kiedy byk stanął, chcąc odpocząć, Herman dojrzał dla siebie wybawienie. Wgramolił się na drzewo. Na najniższy konar, potem wyżej, gałąź po gałęzi, wspiał się, ani wiedząc, na wierzchołek i już myślał, że znalazł bezpieczne schronienie...

- Ale nie znalazł? - zapytała Lenore.

- Gdzież tam! Bo trzeba wam wiedzieć, na tym drzewie było gniazdo szerszeni. Szerszenie zobaczyły Hermana i pomyślały, że się z nim zabawią. Dopiero zaczęły go żądlić bez żadnej litości.

Helen aż zacisnęła powieki, tak było jej żal chłopaka.

- Herman wiedział, że coś musi przedsięwziąć. Zsunął się z drzewa, prosto na kark byka i chwycił się go z całych sił. Byk, nie nawykły, żeby ktoś na nim wierzchem się woził, ruszył z kopyta przed siebie. Pędził coraz szybciej, w końcu, zwaliwszy ogrodzenie, przygnał pod sam kościół.

- Och, nie! - Lenore zaniosła się śmiechem.

- Z gołym jeźdźcem!

- Herman myślał, że umrze ze wstydu, z przerażenia. Wy byście nie umarli? Byk zadem podrzuczał, wierzgał, a Herman z całych sił ucapił się grzbietu i już się zegnał z życiem, już widział, jak staje przed swoim Stwórcą, ale nie pierwiej, aż go cała wieś przed kościołem zobaczy... golusieńkiego.

- Musiał gorzko żałować, że chciał sobie nabożeństwo niedzielne podarować - powiedziała Mavis. - To już lepsze najgorsze nabożeństwo od takiej sromoty.

- Wiadoma rzecz - przytaknęła Becky. - Ludzie jak raz zaczęli wychodzić z kościoła. Tyle trwało nieszczęście Hermana, że nabożeństwo zdążyło się skończyć. Patrzą wszyscy, a tu byk pędzi, coś niesie na grzbiecie. Kobiety w krzyk, mężczyźni klną, choć jeszcze całkiem nie opuścili domu bożego. Cmokają, psykają, nie mogą się nadziwić. Jak byk zobaczył taką chmarę ludzką, pomyślał, że lepiej zawrócić, niż wprost na nią pędzić. Tak też się obrócił i zaczął gnać w przeciwnym kierunku. A Herman, kiedy byk się nawrócił tak niespodzianie, jak pocisk wyprysnął z byczego grzbietu i wylądował w bluszczach tuż obok kościoła. A tak miękko upadł, że nic a nic mu się nie stało.

- Cały, zdrowy, ale golusieńki - powiedziała Lenore. - Wystawiony na ludzkie spojrzenia.

- Myślicie, że chłopak kiedyś jeszcze opuścił choćby jedno niedzielne nabożeństwo? - zakończyła Becky.

Helen usłyszała skrzypnięcie odsuwanego krzesła i zobaczyła twarz matki.

- A ty jak myślisz? - zapytała Delilah.

Helen zastanowiła się. Herman miał przygodę, że aż strach. Taką, że mógł o niej jeszcze swoim wnukom opowiadać. Wyszedł z opresji cało, to ważne, a że go sąsiedzi gołego zobaczyli... Czy to aż takie nieszczęście? Helen nie była przekonana, ale wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

- Nie opuścił, proszę mamci.

Delilah mrugnęła do córki i jej twarz zniknęła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tego wieczoru Tessa zabrała ślubny quilt do swojego pokoju i powiesiła w nogach łóżka. Kiedy obudziła się rano, miała go przed oczami. Noc przespała spokojnie, nie dręczona koszmarami - rzecz niezwykła.

Nie budził jej przeraźliwy pisk hamulców, krzyki przechodniów. Po przebudzeniu zobaczyła quilt, jak w dzieciństwie.

Przynajmniej jedna decyzja nie nastęczała problemów: nie pozwoli, by quilt niszczał całkiem i na pewno się z nim nie rozstanie. Uświadomiła to sobie, słuchając poprzedniego wieczoru opowieści babki o jej matce i o kobietach, które przyniosły jej w darze pierwsze skrawki kolorowych materiałów.

Zupełnie inaczej widziała teraz osobę Helen Stoneburner Henry, jakby ta przeistoczyła się za sprawą opowiadania, a rewerencja Tessy dla zniszczonej kapy jeszcze wzrosła.

Rozległo się pukanie i w szparze drzwi pojawiła się głowa matki.

- Nie śpisz?

Tessa usiadła, przeciągnęła się.

- Wcześniej wstałaś.

- Kiepsko spałam. - Nancy przysiadła na skraju łóżka, jak za dawnych lat, kiedy Tessa była jeszcze mała. Wtedy przychodziła, żeby przypomnieć córce jej plan dnia oraz zaprawiać ją do rygorów obowiązujących młodą damę, w każdym razie Tessa tak odbierała jej poranne wizyty. Tego ranka Nancy wyglądała po prostu na zmartwioną. Że była to akurat niedziela, Tessa zadała pytanie, które samo się nasuwało.

- Wybierasz się do kościoła?

- Nie, chyba że twoja babka będzie nalegać, ale ona teraz rzadko bywa w kościele.

- O co chodzi? - zapytała Tessa i spojrzała na budzik. - Jest później, niż myślałam. Powinnam wstawać, potem będzie za gorąco na jogging.

Nancy podniosła się.

- Nie zatrzymuję cię.

Tessa chwyciła matkę za rękę.

- Nie wychodź. Po prostu jestem zdziwiona, że spałam tak długo.

- Ja wstałam godzinę temu. - Nancy przysiadła z powrotem na brzegu łóżka.

- Czemu tak wcześniej?

Nancy z całą pewnością nie wykorzystała tej godziny na zabiegi wokół własnej osoby. Co prawda zdążyła się uczesać, ale nie tak starannie jak zwykle. Nadal była w płaszczu kąpielowym i bez śladu makijażu na twarzy. Tessa rzadko miała okazję widzieć matkę „w stanie naturalnym” i była zaskoczona jej ciągle młodym wyglądem.

- Martwię się o twoją babkę - powiedziała Nancy.

- Martwisz się?

- Ty nie?

Tessa poczuła się tak, jakby brała udział w porannym teleturnieju. Była jeszcze zaspana, w głowie miała pustkę, nie wymieniłaby ani jednego przedstawiciela fauny Wielkiej Rafy Koralowej, a także ani jednego spośród byłych gubernatorów Rhode Island. I absolutnie nie była w stanie wejrzeć w zakamarki matczynej psychiki.

- Tesso?

Tessa wzruszyła ramionami.

- Według mnie Helen jest w bardzo dobrej kondycji. Nie wyrzuciła nas za drzwi. Z tego, co wyniosłyśmy, przyniosła z powrotem zaledwie kilka rzeczy. - Chciała dodać jeszcze coś mądrego i przekonującego, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zamilkła i jeszcze raz wzruszyła ramionami.

- A co powiesz o naszym wczorajszym wieczorze, Tesso?

- Że był bardzo miły. - Tessa wyjęła poduszkę zza pleców i przycisnęła do brzucha. - Zawsze żałowałam, że nie znam rodzinnych opowieści i nie mogę ich przekazać... - Odwróciła głowę. - Było mi przykro, że tak mało wiem, ale ilekroć próbowałam pytać, natrafiałam na milczenie. Nie pamiętałam nawet, że babcia miała braci.

- Twoja babka nie chciała mówić...

- Nie tylko babcia. Ty też. Przede wszystkim ty nie chciałaś. Nie chciałaś mówić o rodzinie.

Nancy wyprostowała się,

- Co ja wiedziałam? Ona mnie też nic nie opowiadała. Poza tym znałaś setki opowieści o rodzinie ze strony ojca. Babka Whitlock ciągle coś ci opowiadała. To powinno było ci wystarczyć.

- Powiedzieć ci prawdę? Miałam serdecznie dość opowieści o wojnie secesyjnej i o tym, jak wspaniale żyło się Whitlockom, kiedy mieli plantacje tytoniu nad James River.

- Nie zapomnij też, że niewolnicy mogli czuć się u nich bezpieczni, bo Whitlockowie nigdy nie odsprzedawali swoich ludzi, tacy byli szlachetni.

Tessa uśmiechnęła się i na twarzy Nancy też pojawił się uśmiech.

- Nie kupowałaś tego? - mruknęła Tessa.

- Nie, ani tego, że niewolnicy chcieli koniecznie wracać na plantacje, kiedy carpetbaggers (Carpetbagger - biały mieszkaniec Północy, który po wojnie domowej przeniósł się na Południe z zamiarem czerpania korzyści politycznych i finansowych. - Patrz: Słownik Kościuszkowski - przyp. tłum.) ich stamtąd wypierali. - Nancy spoważniała. - Przepraszam. Babka Whitlock była porządną kobietą. - Zamilkła na moment. - W miarę porządną - dodała cicho.

Tessa nigdy nie słyszała choćby jednego słowa krytyki pod adresem babki.

- To rewizjonistyczna wersja historii. Południe przedstawiane takim, jakim chciała je widzieć. Ona i mnóstwo innych ludzi. Miałam dystans do jej

opowieści, ale myślałam, mamó, że ty lubiłaś ich słuchać. Śmieszne.

- Bardzo możliwe, że mnie nie znasz.

Tessa przełknęła uwagę. Słyszała ją z ust matki coraz częściej.

- Nieważne. - Nancy wykonała bliżej nieokreślony gest. - Jeśli nie potrafisz sama dojść, dlaczego martwię się o twoją babkę, powiem ci. Ona przeszła zmianę osobowości. Opowiada historie z przeszłości, przygotowuje dla nas kolacje, piecze placki... Słyszałam, że takie rzeczy dzieją się czasami z ludźmi przed śmiercią. - Zamilkła. - Nie jestem gotowa na jej odejście. Coś tutaj przeoczyłyśmy, Tesso. W ogóle nie pomyślałyśmy o jej zdrowiu. Może zamieniła dom w śmietnik, bo jest chora? Może zaczyna opowiadać historie z przeszłości, bo czuje, że koniec się zbliża?

To już była Nancy, jaką Tessa знаła. Zdarzało się jej słyszeć z ust matki podobne domysły. Poczwała pewniejszy grunt pod nogami.

- Powiedziałabym, że udało ci się wyprowadzić wniosek logiczny nie tyle klasyczną metodą dedukcji, co na skróty. Może babcia po prostu cieszy się, że przyjechałyśmy.

Nancy machnęła ręką, dając do zrozumienia, że wyklucza taką ewentualność.

- Czy ona kiedykolwiek z czegokolwiek się cieszyła? To niepodobne do Helen Henry. W duchu pewnie się modli o nasz szybki wyjazd.

Tessa roześmiała się.

- Zrób sobie dzisiaj gofry na śniadanie. Gofrownicy chyba nie wyrzuciłaś?

- Nie traktujesz mnie poważnie, Tesso.

- Będę uważnie obserwowała babcię, ale na razie nie widzę żadnych niepokojących objawów. Je tyle co my, sypia chyba dobrze, szyje quilt po quilcie. Nie będzie żyła w nieskończoność, ale też nie wygląda na osobę, która żegna się ze światem. - Tessa odrzuciła koldrę i spuściła nogi z łóżka. - Przy strumieniu widziałam jagody. Pójdę tam po joggingu. Przydadzą się do gofrów.

- Nikt nigdy mnie nie słucha - stwierdziła Nancy, ale Tessa jakoś nie usłyszała w jej głosie przygnębienia.

Helen obserwowała, jak jej córka walczy z gofrownicą.

- Zabierasz się do tego tak, jakbyś po raz ostatni robiła wafle tutaj, w tym domu.

- Nieprawda, później też robiłam.

- Kiedy?

Nancy naląła porcję ciasta na płytkę i skrzywiła się paskudnie.

- Jak Tessa miała jakieś dwa lata.

- Pamiętasz, skąd mam tę gofrownicę? Nancy zdjęła gofr, przetarła obie płytki i zamknęła gofrownicę, żeby znowu się nagrzała.

- Nie wiem skąd, ale że sprzed epoki teflonu, to pewne.

- Wygrałam ją na loterii kościelnej. Miałaś wtedy osiem lat.

Nancy oparła się o blat kuchenny, założyła ręce na piersi.

- Chciałam kucyka, a wygrałyśmy gofrownicę. Teraz pamiętam.

- Kucyk nie nadawał się nawet na żarcie dla psów, a gofrownica przetrwała tyle lat. Byłaś taka podniecona, że tego samego wieczora musiałam robić gofry na kolację.

- Pamiętam, że były świetne. - Nancy uśmiechnęła się. - O wiele lepsze, niż te będą. Próbowalaś nauczyć mnie gotować. To też pamiętam.

- Twoje sałatki są w porządku.

Nancy nie spodziewała się takiej pochwały.

- Tessa obiecała nazbierać jagód przy strumieniu, jak będzie wracała z joggingu. Do gofrów.

- Tak? Ciekawe, czy natknie się na to samo, na co ja się natknęłam któregoś dnia.

Skrzypnęły drzwi i w progu pojawiła się Tessa.

- Sporo zebrałam, choć mniej, niż można zebrać w dobrym roku.
- Położyła na blacie foliową torebkę, w której mogła być kwarta jagód. - A na dworze już upał.

- Uważaj, bo się roztopisz - sarknęła Helen. - A jagód przyniosłaś tyle, co kot napłakał. Bywały lata, że nie nastarczyłabyś wszystkich torebek świata, żeby je pomieścić.

Nancy wyjęła z lodówki sok pomarańczowy i nalała szklanę córce.

- Wypij, zanim gofry będą gotowe.

- Wezmę szybki prysznic. Wracam za moment. Rzeczywiście wróciła po chwili odświeżona, przebrana, usiadła obok Helen i sięgnęła po sok.

Nancy postawiła na stole cedzak z jagodami i talerz całkiem jadalnych na oko gofrów.

- W domu jem na śniadanie mały jogurt i grzanekę z pełnoziarnistego chleba. Niesmaczne, ale syce.

A tutaj ciągle, bez przerwy myślę o jedzeniu. Gdyby Tessa nie zaproponowała gofrów, sama bym to zrobiła.

- Spalamy mnóstwo kalorii. Nie przybędzie ci ani kilogram. - Tessa odczekała, aż Helen weźmie gofra, po czym nałożyła sobie i podsunęła talerz Nancy.

- Jak wygląda oczko wodne? - Helen poląła gofr syropem, poczęstowała się jagodami.

- Jakie oczko?

- A to przy strumieniu. Kayley mogłaby ci pokazać. Mnie pokazała. Odkryła je kiedyś w czasie spaceru z Mackiem.

- Nie wiem nic o żadnym oczku.

Twarz Tessy stężała na dźwięk imienia córki. Helen nie mogła pogodzić się z tym, że temat Kayley ciągle jest tematem tabu. Udała, że nie widzi ostrzegawczego spojrzenia Nancy.

- Zapomniałaś, bo opowiadała ci o swoim odkryciu - powiedziała. - Ja pamiętam, a ty wymazałaś to z głowy. Jak wszystkie wspomnienia.

- Być może - przytaknęła Tessa obojętnie. - Gdzie ono jest, dokładnie? Rzeczywiście można się tam kąpać?

Helen pomyślała, że jest nieźle. Wnuczka nie wycofała się całkowicie, jak zwykle się to działo, kiedy padło imię Kayley.

- Można powiedzieć, że to raczej brodzik, chyba że lato jest naprawdę deszczowe, wtedy jest głębiej. Do ramienia. Ale i to wystarczyło, żeby wszyscy młodzi z Fitch Crossing biegli tam dla ochłody. Zawsze to trochę bliżej, niż ciągnąć się nad rzekę.

- Przecież można się wykąpać w stawie - powiedziała Tessa.

- Nie można. Żółwie kąsają.

Tessa znieruchomiała z gofrem w dłoni.

- Nadal tu są?

Helen wzruszyła ramionami.

- Może susza je przegnała, choć prędzej ulewy by wypłoszyły. Jeśli o mnie idzie, niechby się stąd zabrały. Znowu mogłybyśmy mieć kaczetę.

- Prawie zapomniałam o tym oczku - powiedziała Nancy. - Przyłapałaś mnie tam kiedyś z chłopakiem i omal nie obdarłaś żywcem ze skóry.

- Nie powiedziałaś mi, gdzie idziesz, a ja umierałam ze strachu.

- Lubiałaś się kąpać nago, mamó? - Tessa uśmiechnęła się. - Dlatego babcia była zła?

- Nie. Po prostu nie zrobiłam tego, co miałam zrobić w domu, a dla twojej babki nie było nic gorszego. Nawet pływanie nago uchodziło w jej oczach za mniejszą zbrodnię.

- Cała farma była na mojej głowie. Ręce urabiałam sobie po łokcie - powiedziała Helen.

Nancy dotknęła dłoni matki.

- Wiem przecież.

Kiedy córka dotykała ją ostatnio? - myślała zaskoczona Helen. Kiedy ktokolwiek ją dotykał?

- Jestem zawiedziona - odezwała się Tessa. - Już myślałam, że będzie anegdota.

Helen zdążyła ochłonąć z szoku, odzyskała głos.

- Opowiem ci dobrą historię, jeśli chcesz słuchać. Łączy się z wczorajszą, bo wydarzyła się wkrótce po tamtym wiosennym wieczorze. Jak tylko trochę się ociepliło, chłopcy zaczęli chodzić nad oczko popływać.

Zauważyła, że córka i wnuczka wymieniają spojrzenia, jakby były zdziwione albo...

- O co chodzi? - nasrożyła się. - Nie chcecie słuchać, to nie, wystarczy powiedzieć.

Tessa nachyliła się do babki.

- Bardzo chcemy, tylko ty rzadko mówisz o przeszłości. Mama się martwi, skąd ta nagła zmiana.

- Martwi się? - Helen nie wierzyła własnym uszom. - Martwi się, bo mówię? Jak ktoś przestaje mówić, wtedy dopiero jest się czym martwić.

Nancy posłała Tessie wściekłe spojrzenie.

- Musiałaś wypaplać?

Tessa zajęła się spożywaniem gofra.

- Uhm...

Helen klepnęła córkę w ramię.

- Co tak cię martwi?

- Nie jesteś... chora, mamciu? Helen nic nie rozumiała.

- Czy ja wyglądam na chorą?

- Zastanawiałam się, czy czegoś przed nami nie ukrywasz?

Do Helen wreszcie dotarło.

- Że niby umieram?

- Mniej więcej.

Helen nie mogła uwierzyć: raz w życiu coś opowiedziała i oto skutki...

Chciała trochę poszydzić z Nancy, ale szybko się zreflektowała.

- Całe życie pracowałam, nigdy nie miałam czasu na bajania, to wszystko.

- Więc czujesz się dobrze?

- Tak dobrze, jak dobrze można się czuć w moim wieku. I od razu ci odpowiadam: nie, nie byłam ostatnio u swojego lekarza i nie obwieścił mi wyroku. Czy człowiek nie może opowiedzieć jednej historyjki, żeby go od razu nie zaczęli podejrzewać o Bóg wie co?

- Na pewno? - zapytała Nancy. Helen kiwnęła głową.

- Ale ja chciałabym usłyszeć twoją historię, babciu, zanim dzień się skończy - poprosiła Tessa.

- Opowiem, ale nie będziecie już snuły żadnych chorych domysłów?

- Nie. - Tessa podała jej talerz z ostatnim gofrem. - Zjedz, wzmocnij się, babciu. Słuchamy.

- Pamiętacie, co usłyszałam, kiedy siedziałam pod ramą w saloniku, prawda? Otóż moja historia łączy się z tamtą.

- Pozwoliły ci szyć tamtego dnia? - zapytała Nancy. - Nic nie wspominałaś.

- Późnym popołudniem dopuściły mnie do ramy. Następnego dnia moja matka, a myślała, że ja nic nie zauważę, wypruła każdą jedną niteczkę. Dla niej mój ścieg był nierówny, nie dość drobny. To był ostatni raz, kiedy ktoś spruł moje szycie.

Claiborne'owie siedzieli na swojej ziemi niemal od tak dawna jak Stoneburnerowie i kiedyś między obydwoma rodzinami panowała przyjaźń; jedni drugim pomagali, jak to sąsiedzi sąsiadom. Wspólnymi siłami stawiali stodoły w swoich obejściach, razem robili przecier z jabłek, razem bili świnie, nawet chodzili do tego samego kościoła. Aż raz Sammy Claiborne zastrzelił kozła, który należał do Cuddy'ego Stoneburaera. Sammy, w sztok pijany, był pewien, że trafił łanię i już cieszył się, jakie to trofeum zanieśie do domu. Kiedy dotarło do niego, co uczynił, wszystko, co miał do zaoferowania tytułem rekompensaty, to słówko „przepraszam”, a i to wypowiedziane półgębkiem.

Cuddy nie był z tych, żeby prowadzić waśnie, ale od tamtej chwili Stoneburnerowie odsunęli się od Claiborne'ów.

Wszyscy, z wyjątkiem Obeda.

Obed Stoneburner miał piętnaście lat, był o pół głowy wyższy od swojego brata Toma i o rok z górą od niego starszy. Udany był chłopak, a do tego bystry, i Delilah z Cuddym musieli uważać, żeby nie wyróżniać go i nie traktować lepiej niż drugiego syna. Dzieci wychowywali surowo, ale Obed zawsze potrafił znaleźć sposób obejścia nakazów. Wiedział, że jest ulubieńcem rodziców i bez żadnych skrępowań wykorzystywał uprzywilejowaną pozycję.

Obed od małości przyjaźnił się z Gusem, synem Sammy'ego Claiborne'a. Kiedy rodzice chłopców przestali ze sobą rozmawiać, oni ciągle trzymali się razem: razem polowali na wiewiórki, razem chodzili w góry. Gus był tak samo wysoki jak Obed i chyba jeszcze od niego przystojniejszy, tylko w szkole szło mu gorzej i nie był tak lubiany wśród kolegów jak Obed.

Wszyscy wiedzieli, że Gus jest porywczy, jakby złe siedziało w tym chłopaku. Potrafił tak dokuczyć młodszemu dzieciakom, że uciekały w panice na jego widok. Nikt go nigdy nie przyłapał na

gorącym uczynku, ale mówiło się w Fitch Crossing, że martwe zwierzaki nadziane na sztachety płotu pewnej wdowy, która go przegoniła z własnej stodoły, bo sobie tam urządził palarnię i klub pokerowy, to robota Gusa.

Wszystko to nie osłabiło przyjaźni między chłopcami. Gus był jedynakiem i traktował Obedę niemal jak brata.

Aż pojawił się Fate Henry.

Lafayette Henry, albo Fate, jak go wszyscy wołali, stracił rodziców bardzo wcześnie. Oboje umarli na dyfteryt, kiedy był jeszcze w pieluchach. Chłopcem zajęła się siostra ojca, która z mężem mieszkała w zachodniej Oklahomie, ale kiedy stracili swój spłachetek ziemi, odesłali chłopca do Claiborne'ów, a sami ruszyli za chlebem jeszcze dalej na zachód.

Matka Fate'a była siostrą Samuela Claiborne'a i Claiborne'owie nie mieli wyjścia, jak tylko przyjąć sierotę pod swój dach i odchowić, aż sam będzie mógł zadbać o siebie. Na swój sposób nawet go dobrze przyjęli, ale Gus już się postarał, żeby Fate nie zapomniał, kim jest naprawdę.

W pewne wyjątkowo skwarne popołudnie dwunastoletnia Helen siedziała na ganku i obierała fasolę, a było tego tyle, jakby Delilah chciała nakarmić całą Wirginię.

- Skończyłaś, Lenny? - Matka weszła na ganek z koszem zebranego ze sznurów na podwórzu prania. - Zawekuję trochę, zanim zrobię kolację. W zimie będzie jak znalazł.

Helen była na wpół żywa z upału i strasznie zła na matkę. Chłopcy skończyli swoją robotę już godzinę temu i gdzieś pobiegli. Nie wiedziała dokąd ich poniosło, ale wołałaby teraz być z nimi, niż zdejmować włókna z każdego jednego strączka i obcinać koniuszki.

- Dlaczego tego tyle? - Wzięła garść fasoli w dłoń i przesypała między palcami. - Zanim zdążę skończyć, już będę musiała lecieć sprowadzić krowę z pastwiska i nakarmić kurczaki.

- Taki dzień.

- Nie dla Obedy i Toma.

- Chłopcy wstali sporo czasu przed tobą i całutki ranek się uwijali. Czasami muszą mieć trochę swobody. Nie widzę powodu, żeby trzymać ich cały dzień w domu.

Helen widziała mnóstwo powodów, ale przezornie wołała milczeć. Matka chowała ją na farmerkę, jak ona sama, a chłopców

wychowywał Cuddy, tylko że Cuddy'ego ostatnimi czasy nigdy nie było w domu, a Delilah, zmęczona po całym dniu pracy, nie miała już siły pilnować synów.

- Skończ obierać fasolę, a ja przyprowadzę krowę - zaproponowała ugodowo, widząc minę Helen. - Potem możesz iść nad strumień, pospaceruj sobie trochę, jeśli masz ochotę, przy okazji nabierasz jagód do jutrzejszego placka.

Helen natychmiast się ożywiła.

- Naprawdę?

- Naprawdę, tylko się spraw szybko z tą fasolą. Inaczej nie będzie ani spaceru, ani placka jutro.

Palce Helen same zaczęły śmigać. O trzeciej fasola była oczyszczona i Helen zaniósła ją do kuchni, gdzie Delilah przygotowywała już weki i zaprawę octową.

Helen mogła wyjść z domu. Czowała się jak kanarek pierwszy raz wypuszczony z klatki. Nazbiera jagód, ile się da. Zbierze wszystko, co zobaczy. Trochę posmakuje przy okazji, żeby mieć pewność, czy aby warto się trudzić.

Latem nie nosiła butów, ale nad strumień matka przykazała jej wzuć buty. Nie tylko ludzie szukali w gorący dzień cienia i bliskości wody. Delilah nieraz widziała nad brzegiem strumienia miedzianki i grzechotniki: dzieci musiały mieć osłonięte stopy, nawet jeśli zeszłoroczne buty piły w palce. Helen wzięła jedyne buty, jakie posiadała, i ruszyła, lekko kulejąc, nad strumień.

Najwięcej jagód rośło w górę strumienia, powyżej oczka. Zbliżała się czwarta, ale słońce ciągle prażyło, kiedy dotarła na miejsce. Rada, że ma na głowie kapelusz słomkowy, posuwała się wolniutko od krzaczka do krzaczka, spoglądając odruchowo pod stopy, czy nie ujrzy gdzieś gada, i zbierała jagody, a tyle się ich wysypało, jakby czekały na Helen.

Uzbierała może jedną trzecią wiaderka i przeniosła się w inne miejsce. Kiedy wiaderko wypełniło się do połowy, pomyślała, że czas trochę się ochłodzić. Zawinęła sukienkę, związała kraj w supły i zeszła nad sam strumień. Tu zwała buty, postawiła na kamieniu.

Woda była zaledwie chłodna, nie zimna, ale co to miało za znaczenie. Helen ruszyła ostrożnie w dół strumienia.

Pogoda tego roku sprzyjała farmerom, jakby chciała im wynagrodzić straszliwą zeszłoroczną suszę, która dała się we znaki

nawet najzamożniejszym. Helen nie pamiętała, żeby strumień był kiedy tak wezbrany jak tego roku, miejscami woda sięgała jej do kolan.

Pomyślała, że może spotka braci przy oczku, ale nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy. Gdyby była trochę starsza i miała całe popołudnie dla siebie, na pewno poszłaby popływać. Delilah nie pozwalała jej kąpać się bez opieki, ale Helen miała nadzieję, że któregoś dnia matka w końcu ustąpi. I wtedy Helen będzie miała prawdziwy powód, żeby uwijać się z domowymi obowiązkami.

Szła, podśpiewując sobie pod nosem, kiedy usłyszała jakiś dźwięk.

Nie ptak ani żadne zwierzę...

- Psst.

Stanąła i zaczęła nasłuchiwać.

- Psst. Tutaj...

Wystraszona odwróciła się w kierunku skąd, jak się wydawało, dochodził ten dźwięk. Dopiero teraz rozpoznała, że jest to głos ludzki, jakby chłopięcy.

- Jest tam kto? - zawołała.

- Nie patrz.

Pomyślała, że to bez sensu: ktoś woła, potem każe nie patrzeć...

Wypatrywała jeszcze bardziej.

- Mówię, nie patrz.

Jakby cokolwiek zobaczyła. Opuściła wzrok.

- Kto mówi?

- Słuchaj, musisz mi pomóc.

Głosu nie znała, a akcent też brzmiał obco, zupełnie inaczej niż ten, który słyszała się u ludzi z doliny: bardziej nosowo, mniej dźwięcznie. Musiała się wsłuchiwać, żeby zrozumieć, co mówi chłopak.

- Wiesz co? Ja muszę jedynie słuchać mamy i taty, a poza tym nikogo więcej. Kim jesteś i dlaczego się chowasz?

- Bo muszę.

- Nikt nie musi. - Zerknęła spod rzęs. - Chyba że zrobiłeś coś złego i nie chcesz się teraz nikomu pokazać.

- Nie zrobiłem nic złego, tylko mam kłopot, to wszystko.

Helen podniosła głowę, szukając skłopotanego właściciela głosu.

- Jaki kłopot?

- Nie patrz.

- Jak mi powiesz dlaczego, to może nie będę. Zapadła cisza, bardzo długa cisza. Już myślała, że chłopak sobie poszedł, kiedy zagadał znowu:

- Zabrali mi ubranie.

Powiedział to tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Ubranie?

- Mówię przecież.

- Kto? Kto zabrał ci ubranie?

Chłopak milczał jak zamurowany, ale Helen, która była w szkole dobra z matematyki, potrafiła dodać dwa i dwa.

- Kto ty jesteś?

- Fate.

Przez chwilę myślała, że kpi sobie z niej. Fate... czyli los, przeznaczenie, niewidzialna siła. Człowiek z krwi i kości nie może przecież nazywać się Los. Wreszcie sobie skojarzyła.

- Fate? Ten, co mieszka u Claiborne'ów? Ty jesteś ten Fate?

- Uhu - przytaknął żałośnie.

- Fate, powiadasz? - Że też zwykły ludzki los musiał postawić jakiegoś Fate'a - Losa na jej drodze. Uśmiechnęła się do własnego żartu.

- Pomożesz mi czy nie?

Helen zaczynała się całkiem dobrze bawić. Była zadowolona, bo oto zdarzyła się jej najprawdziwsza przygoda, a najprawdziwsze przygody zdarzają się naprawdę rzadko. Nie powinna rezygnować z niej zbyt pochopnie.

- Najpierw powiedz mi, co się stało. Po kolei. Dokładnie. Kawalek po kawalczku.

- Przyciągnęli mnie tutaj, mówili, że można się kąpać.

- Kto cię przyciągnął? - Helen podejrzewała, że wie, ale wołała się upewnić.

- Gus. To mój kuzyn. I jeszcze taki jeden, co go wołają Obed.

- A Tom? Tom też z nimi był?

- Żadnego Toma nie było.

Helen pomyślała, że to nawet dobrze. Kiedy tata się dowie, co Obed zmalował, tylko jeden z jej kochanych braciszków będzie musiał błagać o litość. A takich wygłupów Cuddy najbardziej nie lubił.

- Mówisz, że przyprowadzili cię tutaj? A co potem? - dociekała.

- Powiedzieli, że oni kąpią się zawsze... – nie dokończył zdania, ale zważywszy, w jakim położeniu znalazł się biedny Los, czyli Fate, nietrudno było się domyślić, co mu powiedzieli.

- Powiedzieli, że kąpią się nago, tak?

- Uhu.

- Okłamali cię, wiesz? Mamcia raz ich złapała, jak kąpali się na golasa i mała ich ze skóry żywcem nie obdarła, a z mamcią nie ma żartów. Powiedziała, żeby więcej się nie ważyli, bo tędy dziewczyny też chodzą.

- No, jak ty dzisiaj, na ten przykład - przytaknął żalosnym głosem.

- Byków żadnych nie widziałeś, co?

- Byków?

- Nie przyszedłeś czasem się wykapać, zamiast pójść do kościoła albo pomóc jakiejś biednej staruszce?

- O czym ty mówisz?

Jednak historia Fate'a była mniej porywająca niż ta, którą Becky opowiadała wiosną, kiedy wszystkie panie spotkały się przy quilcie. Zgoda, ale za to przydarzyła się Helen osobiście i teraz los Fate'a spoczywał w jej rękach. Tylko od niej zależało, czy świat ujrzy go nagusieńkiego, jak Hermana, tamtego chłopaka z historii opowiedzianej przez Becky.

- Wiesz, co zrobili z twoim ubraniem? - zapytała.

- Myślisz, że oni by mi powiedzieli?

- Myślę, że nie. - Przez chwilę się zastanawiała. - Wiem. Muszę przynieść ci jakieś ubranie, ale to nie będzie łatwe. Jak mnie moja mamcia zobaczy, to mnie już nie puści z domu, tylko każe pomóc przy kolacji.

- Wymyśl coś, proszę.

Był nieszczęśliwy, ale nie wystraszony. I nie biadolił. W domu Clainborne'ów nie akceptowano mazgajstwa, nie wolno było się skarżyć, narzekać... no, może czasami, wyjątkowo. Fate chciał po prostu odzyskać ubranie. I nie uśmiechało mu się paradować nago przed światem, by je odnaleźć.

- Dzisiaj poniedziałek, a moja mamcia w poniedziałki zawsze robi pranie. - Helen układała sobie już plan działania. Widziała przecież, jak matka wносиła do domu cały kosz wysuszonych rzeczy.

Delilah zawsze trzymała się raz przyjętego porządku. Jeśli dzień był słoneczny, prała z rana, potem rozwieszała pranie na podwórzu. Sukienki, koszule ojca schły najszybciej. Wieczorem, kiedy było chłodniej, zabierała się za ich prasowanie. Grubsze rzeczy, drelichy i niebieskie spodnie robocze, które ojciec zakładał do pracy, Delilah zabierała dopiero przed samą kolacją i teraz powinny jeszcze suszyć się na podwórzu.

- Wrócę tutaj - obiecała Helen. - Nie zostawię cię tak. Czekaj na mnie.

- Będę ci bardzo wdzięczny.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć na te uprzejme słowa, zostawiła wiaderko z jagodami i ruszyła do domu. Podkraśla się ostrożnie na podwórze, licząc, że Delilah nadal wekuje fasolkę i nie będzie się rozglądać za córką.

Już, już podchodziła do sznurów, kiedy zobaczyła Obeda i Gusa. Leżeli w trawie, gapili się w niebo i śmiali. Co gorsza, sznury były puste. Matka zdążyła zebrać już pranie i zanieść do domu wszystko, co do jednej sztuki.

W Helen obudziła się straszna złość. Obed zawsze był dla niej wzorem, choć najczęściej traktował ją, młodszą, w dodatku dziewczynę, jak powietrze. Dzisiaj pokazał się jej z całkiem innej strony. Wszyscy wiedzieli, że Gus to niedobry chłopak i wyglądało na to, że Obed mu ulega. Najwyższy czas, żeby zrozumiał, że błądzi.

Wyprostowała się i ruszyła do chłopców. Chciała im wygarnąć, co myśli o ich wygłupach, ale lepszy plan przyszedł jej do głowy. Jeśli postraszy ich, że powie o wszystkim ojcu i zażąda, by zwrócili ubranie Fate'owi, uwezmą się na nią potem. Po Gusie można się było tego spodziewać.

Nowy zamysł był tak niezwykły, że w pierwszej chwili chciała go odrzucić, ale pomyślała o nieszczęsnym chłopaku, kryjącym się w krzakach nad strumieniem. Biedny, biedny Fate, nagusieńki, na dudka wystrychnięty.

- Obed! - zaczęła, niby to przejęta okropnie, przerażona. - Obed, Gus, chodźcie szybko.

Obed leniwie uniósł głowę.

- Czego piszczysz, Lenny?

- Piszczysz, piszczysz - podchwycił Gus. - Zawsze mówiłem, że piszczysz jak nieopierzony kurczak, Lenny.

Puściła obelgi mimo uszu.

- Obed, widziałam jakiegoś chłopaka. W oczku przy strumieniu. Utopiony chyba... Idę mamci powiedzieć.

Chłopcy usiedli natychmiast, popatrzyli na siebie niepewnie.

- Utopiony? - Teraz to w głosie Obeda dało się słyszeć pisk. - Utopiony?

- Utopiony na amen.

- Nie mógł się utopić. Mówił przecież, że umie pływać.

- Zamknij się - syknął Gus. - Nic nie mów. Obed zerwał się na równe nogi, Gus też wstał.

- Nagi zupełnie - ciągnęła Helen ze łzami w oczach. - Jak go Pan Bóg stworzył. - Zamilkła na moment dla większego efektu. - Co robić? Idę powiedzieć mamci.

- Nie! - Obed chwycił ją za rękę. - Nie. Wystraszysz tylko mamcię niepotrzebnie. Chodź, pokażesz nam tego topielca, a jak będzie trzeba co powiedzieć, sam mamci powiem.

I Obed pociągnął Helen za sobą. Chłopcy szeptali po drodze, ale nie zwracała uwagi, o czym rozmawiają, zadowolona, że plan zadziałał.

Po kilku minutach dotarli nad strumień. Helen od czasu do czasu pociągała nosem dla podkreślenia tragizmu sytuacji, kilka razy załamano rękę. Kątem oka spoglądała na Obeda; był blady jak kreda. Nawet Gus stracił swój zwykły fason, w jego oczach pojawił się najzwyczajniejszy strach.

Doszli do oczka. Woda tu była tak zamulona, że dna nie dojrzałeś.

- Gdzie on jest? - zapytał Obed.

Helen znowu załamano rękę; w tym geście stawała się coraz lepszą aktorką.

- Tam - wskazała, rozplatając dłonie. - Przy tym wielkim pniu.

Nad oczkiem, tuż nad jego powierzchnią, niczym kładka, leżało obalone drzewo. Chłopcy skakali z niego czasami, jeśli woda była dostatecznie wysoka.

Obed wyteńczył wzrok.

- Pewna jesteś, Lenny?

Pamiętała doskonale wieprza, którego jej wuj ubił jesienią i wiernie go opisała.

- Miał otwarte oczy, jakby w coś się wpatrywał. Takie niewidzące oczy. I sztywny był. Sztywno leżał... - Przerwała, że niby na płacz się jej zbiera i mówić nie może.

- Musi być pod tym pnem - odezwał się Gus. - Zostawmy go tam, co? Nikt nie będzie wiedział, skąd się tam wziął.

- Jak to? - zapytała Helen. - Co znaczy, skąd się tam wziął?

Obed zdejmował już ubranie.

- Lenny, zmykaj stąd, tylko nic nie mów mamci. Ja jej powiem, jeśli co znajdę. Obiecasz, że nie powiesz? Obiecay mi...

- Muszę powiedzieć - bąknęła Helen. - Będzie na mnie zła, jak nie powiem.

- Lenny, proszę.

Skinęła głową. Obed uśmiechnął się blado.

- Uciekaj już.

Ruszyła biegiem, jakby ją kto gonił.

Zatrzymała się dwadzieścia jardów dalej, za krzakami. Słyszała głosy chłopców, ale słów nie mogła rozróżnić. Potem rozległ się głośny plusk.

- Hej...

Zza rozłożystego krzaka wyłoniła się głowa nieznanego chłopca. Głowa i ramiona. Helen nic więcej nie widziała, ale jej dwunastoletnim oczom Fate Henry przedstawiał się bardzo pięknie: czarne kręcone włosy, mocno zarysowany prosty nos, pełne usta. Na moment odjęło jej mowę.

- Co ty robisz? - zapytał.

- Zaraz sam zobaczysz. - I Helen wróciła nad oczko.

Chłopcy byli tak zajęci poszukiwaniami, że jej nie dostrzegli. Kiedy zanurkowali, chwyciła ich ubrania i czym prędzej uciekła.

- Masz - wysapała, rzucając ubrania pod krzak, za którym krył się Fate. - Ubierz, co chcesz, a resztę rzuć głębiej w zarośla. Tylko szybko, zanim się połapią, o co chodzi.

Fate popatrzył na ubrania, potem na Helen.

- Co zrobią, jak zobaczą, że nie mają co na grzbiet włożyć?

Wzruszyła ramionami.

- Nie będę czekać, żeby się przekonać. Życzę im, żeby się znaleźli na kościelnym dziedzińcu nadzy jak prosięta, na oczach wszystkich ludzi.

Fate przechylił głowę i Helen uśmiechnęła się szeroko. Zanim zdążył zapytać, co właściwie miała na myśli, chwyciła wiaderko z jagodami, buty i znikła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W czwartek wczesnym popołudniem Helen, w podomce i klapkach, usadowiła się w fotelu na ganku, z ulotką pobliskiego supermarketu w charakterze wachlarza.

- Jeśli szybko nie spadnie porządny deszcz, przestanę chodzić, stanę jak ten zegar, w którym pękła sprężyna.

Ulotka przyszła razem z poranną pocztą i Helen, zamiast wyrzucić ją do śmieci, odłożyła do późniejszego wykorzystania. To bardzo w jej stylu, myślała Tessa, przyglądając się babce.

Wyczekała chwili, kiedy babka odłożyła wachlarz i zgarnęła ulotkę szybko do kosza. Wcześniej zdążyła razem z Nancy przekopać się przez sterty papierzysk na biurku w jadalni i zawartość pół tuzina koszy do prania stojących obok. Znalazły mniej więcej to samo: reklamy, ulotki, kupony konkursowe.

- Słuchałam prognozy pogody. - Tessa nachyliła się do Helen. - Zapowiadają deszcze. - Od kilku dni, codziennie siadywały obydwie po południu na ganku. Czasami przyłączała się do nich Nancy, ale częściej bywała zajęta prowadzeniem życia towarzyskiego przez telefon albo robieniem krótkich wypadów do miasta. Niemniej jednak rytuał popołudniowych przerw stał się dla Helen ważny. Tessa to widziała. Helen przez całe dorosłe życie odpędzała ludzi od siebie, teraz to się zmieniło.

- Deszcze nic już nie pomogą - powiedziała Helen ponurym tonem. - Cała kukurydza zmarnowana. Nawet drzewa usychają. Widzisz te tutaj?

- Wskazała głową bliźniacze klony przed domem.

- Kilka lat suszy dało im się we znaki. Nie wytrzymają, jak tak dalej będzie.

- Muszą wytrzymać. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby ich zabraknąć.

- Kogo to obejdzie, kiedy mnie zabraknie. Sprzedacie ten dom, ani chwili nie będziecie się zastanawiać.

Tessa wcale nie była tego taka pewna. Nie przyjechała do Toms Brook szukać związków z przeszłością. Najchętniej wymazałaby całą przeszłość z pamięci i nigdy już do niej nie wracała. Tymczasem przez ostatnie dwa tygodnie właściwie nie robiła nic innego, poza porządkami, jak odkrywała historię swojej rodziny. Whitlockowie nigdy jej nie interesowali, za to Stoneburnerowie tak: mimo biedy,

kłopotów i smutków, potrafili nadać swojemu życiu wartość. Z króciutkich opowieści Helen emanowała miłość i siła.

- Sprzedajcie farmę, ale przyrzeknij mi, że nie sprzedasz siedliska - odezwała się Helen. - Ja tu zostanę. Tu jest moje miejsce. Chcę leżeć obok Fate'a.

Tessa przypomniała sobie, jak Helen nalegała, żeby pochować Kayley na wzgórzu za domem. Nie chciała wtedy słuchać babki.

- Będiesz tu pochowana, przyrzekam.

Helen skinęła głową na znak, że traktuje sprawę za załatwioną, po czym nachyliła się i zmrużyła oczy, wpatrując się w drogę.

- Kto to, jak myślisz?

Tessa poszła za jej spojrzeniem. Na podwórze wjechał niebieski pickup, podskoczył kilka razy na wykrotach i zatrzymał się jakieś dwadzieścia jardów od ganku.

Z samochodu wysiadła dziewczyna, podniosła maskę, spod maski buchnął kłęb pary i szybko zniknął w powietrzu.

- To Cissy - powiedziała Tessa.

- Kto taki?

- Cissy. - Nie pamiętała nazwiska. - Ta Cissy, która mieszka u Claiborne'ów.

- Zrobiła się jak balon.

Cissy rzeczywiście „powiększyła się” przez ostatnie dwa tygodnie, ale to dlatego, że była szczuplutka i nosiła dziecko nisko.

- Mam nadzieję, że nie przyjechała tu rodzić. - Tessa podniosła się z ociąganiem i zeszła z ganku przywitać gościa.

Cissy pomachała jej ręką i, zanim Tessa zdążyła się odezwać, obeszła samochód, otworzyła tylne drzwiczki i coś wyjęła ze skrzyni.

- Brzoskwinie - oznajmiła, pokazując koszyk. - Od państwa Claiborne'ów.

- Co ona mówi? - Chciała wiedzieć Helen.

- Zdaje się, że Claiborne'owie posyłają ci brzoskwinie.

Helen coś mruknęła, a Tessa podeszła do Cissy, odebrała od niej koszyk.

- Nie powinnaś dźwigać nic ciężkiego.

- Wcale nie takie ciężkie. Słabo obrodziły przez tę suszę. - Uśmiechnęła się nieśmiało.

Ubrana w białą ciężową bluzkę i obcięte dzinsy, które musiały należeć chyba do jakiego piwosza, Cissy wyglądała na zmęczoną, ale

jej delikatna cera przypominała brzoskwinie, które przywiozła, i Tessa przyglądała się jej z przyjemnością.

- Jak znosisz te upały? - zagadnęła.

- Gorzej niż zwykle, to jasne, ale jakoś trzymam się na nogach.

Tessa pochyliła głowę, wciągnęła aromat owoców.

- Pachną wspaniale. Bardzo miło ze strony państwa Claiborne'ów, że o nas pomyśleli.

- Drzewka ledwie żyją przez tę suszę. Część w ogóle nie owocowała, a te, które miały owoce, usychają. Ale pan Claiborne powiada, że tylko patrzeć, jak spadną deszcze, on się na tym zna.

- Oby miał rację.

- Brzoskwiniom już żaden deszcz nie pomoże, ale jabłka jeszcze mogą się uratować.

Doszły do ganku. Cissy zatrzymała się, przepuściła Tessę i weszła za nią po stopniach. Tessa postawiła koszyk na podłodze.

- Spójrz, babciu. Czy nie śliczne?

Helen chrząknęła i to chrząknięcie mogło oznaczać właściwie wszystko.

- Ron Claiborne próbuje się przypodobać. Ani chybi czegoś ode mnie chce.

Cissy nie wydawała się urażona tą uwagą.

- Nie, proszę pani. Powiedział: Cissy, zawieź te brzoskwinie pani Henry, a potem jeszcze powiedział... - urwała w pół zdania. - Nie, nic już nie powiedział.

- Aha! Idę o zakład, że powiedział. Wie, że moje drzewka nie rodzą owoców, bo ich nie spryskuję, to przysyła cały kosz brzoskwiń. Na pewno czegoś chce.

Tessa, kiedy poznała historię pierwszego spotkania babki z Fate'em, lepiej rozumiała jej awersję do Claiborne'ów.

- Babciu, czy Ron Claiborne nie jest przypadkiem synem Gusa Claiborne'a? Dlatego jesteś dla niego taka niemiła?

- Gus Claiborne nigdy nie miał syna. Ron jest synem jego kuzyna. Gus po wojnie wyjechał do Kalifornii i nigdy więcej nie pokazał się w domu. I bardzo dobrze, że zniknął, bo gałgan był z niego. Po śmierci Sammy'ego farmę przejęli krewniacy.

- W takim razie chowasz jakąś urazę do ojca Rona?

Helen znowu chrząknęła.

- A zatem nie masz powodów go nie lubić? - dopytywała się Tessa. - Jeśli się nie mylę, ja i mama jesteśmy jego dalekimi kuzynkami.

- Żadne z Claiborne'ów nie odniosło się po ludzku do Fate'a.

- Pan Claiborne sam je zrywał. - Odezwała się Cissy. - Wybrał najlepsze. Nie wiem, co mógłby chcieć w zamian. Ma wszystko, czego mu trzeba.

- Pewnie chce moją ziemię. Wymyślił sobie, że jak będzie miłutki, będzie się przypochlebiał, to po mojej śmierci Tessa sprzeda mu grunt.

Cissy pokręciła głową.

- Nie chcę się sprzeczać, pani Henry, ale słyszałam, jak narzekał do Zeke'a, że ma za dużo akrów, a pieniędzy, żeby to obsiać i maszyn, żeby dokupić, ciągle brakuje. Martwi się, że będzie musiał część ziemi sprzedać na działki pod letnie domy dla miastowych. Ludzie chętnie kupią.

- Oto jeszcze jeden powód, żeby nie lubić tego człowieka - stwierdziła Helen. - Dopiero ludzie się przeciwko niemu obrócą, jak będzie próbował sprzedać ziemię deweloperom. Nie potrzeba nam tu bandy senatorów... tak zwanych niedzielnych farmerów. Nie potrzeba nam takich.

- On mówi to samo.

Tessa próbowała uciąć rozważania na temat wad i zalet Rona Claiborne'a:

- Dzisiejsza sytuacja gospodarcza uderza we wszystkich. Bardzo dziękujemy za brzoskwinie, Cissy. Miło z twojej strony, że je przywiozłaś.

- Chętnie to zrobiłam. Tym gruchotem daleko nie zajędzie. Miłe, dwie i zaraz się przegrzewa. - Stała cierpliwie z dłońmi splecionymi na brzuchu, czekając, aż ją ktoś poprosi, by usiadła.

Helen wzięła to na siebie.

- Siadaj, dziecko. Tessa poda nam herbatę.

- Dziękuję bardzo. - Cissy wahała się przez moment, który fotel wybrać, w końcu usiadła ostrożnie na starym metalowym krześle.

Tessa poszła do kuchni, a kiedy wróciła z herbatą, Helen udzielała dziewczynie nauk, akcentując słowa palcem wskazującym.

- Musisz sobie zrobić plan i musisz być bardzo dokładna. Nie możesz, ot tak, po prostu, naciąć kawałków i siać do szycia.

Cissy słuchała pokornie.

- Nic nie wiem, ale od czegoś muszę zacząć - tłumaczyła się. - Inaczej nigdy się nie odważę.

Tessa postawiła tacę na stoliku i dopiero teraz zobaczyła przedmiot dyskusji. Cissy rozłożyła na kolanach kolorowy kwadrat, w każdym razie w zamierzeniu miał być to kwadrat, z jednej strony dłuższy o dobre cztery cale, zszyty z czterech różnych kawałków w różnych odcieniach złota.

Helen podniosła dzieło Cissy, odwróciła na lewą stronę.

- Szyjesz ręcznie?

- Nie mam maszyny. Mogłabym używać tej, którą ma pani Claiborne, ale jest zepsuta i pani Claiborne mówi, że to stary rupieć, niewart naprawiania. - Uśmiechnęła się lekko. - Pewnie boi się, że jak ją naprawi, to będzie musiała szyć. Ona strasznie nie lubi szycia.

- Dobrze, że chociaż gotować potrafi - mruknęła Helen. - Marian Claiborne robi najlepszy placek ze słodkich ziemniaków w całym hrabstwie i nikomu nie chce zdradzić przepisu. Kilka pań już się na nią z tego powodu obraziło, ot co.

- Jest dla mnie bardzo dobra. Nigdy złego słowa od niej nie usłyszałam, nawet jak... - Cissy nie dokończyła zdania.

Tessa pochwyciła spojrzenie babki i pokręciła nieznacznie głową. Nie chciała, żeby dziewczyna zaczęła się wywnętrzać. Bez tego miały dość problemów.

- W każdym razie szyję w rękę, ale boję się, że nie idzie mi za dobrze - ciągnęła.

- Co to ma być? - zapytała Tessa i podała jej szklankę z mrożoną herbatą. - Proszę, pij.

- Dziękuję. - Cissy przyłożyła szklankę do rozgrzanego policzka. - Quilt dla dziecka. Chciałabym w każdym razie, żeby wyszedł z tego quilt dla dziecka.

Tessa podała szklankę babce i sięgnęła po swoją.

- Ładne zestawienie. Jak w złotym quilcie babci.

- Tak, myślałam o nim, dlatego wybrałam te kolory.

Helen oddała Cissy jej pierwszy kwadrat.

- Musisz się bardzo przyłożyć, jeśli chcesz, żeby coś z tego wyszło.

- Wiem. Spruję, co uszyłam, i zacznę od początku. Helen milczała, przygryzała wargę, jakby nad czymś mocno się zastanawiała.

- Chcesz porady?

Buzia Cissy rozjaśniła się, jakby w szary dzień słońce nagle wyszło zza chmur.

- Będzie miała pani dla mnie czas?

- Nie udzielam lekcji. Nigdy nie udzielałam i nie zamierzam.

- Tak, proszę pani, rozumiem. Ale może mi pani chociaż powie, jak ruszyć z miejsca.

- Po pierwsze, nie prułabym, co już zszyte. Wyrzuć to. Za bardzo naciągnęłaś z jednej strony, poza tym materiał będzie się strzępił.

Cissy kiwnęła głową, chociaż minę miała nieszczęśliwą.

- Masz zapas materiału?

- Zeke powiedział, że mogę kupić po trochu wszystkiego, co tylko mi się spodoba, to nakupiłam różności.

- Dobrze. Zdekatyzowałaś?

- Nie. Ja nie wiedziałam, że...

- Zatem zdekatyzuj.

- Dobrze. I potem już się nie zbiegnie?

- Upiierz, wykrochmal, wyprasuj i jak już będziesz gotowa, pokażę ci, jak równe kawałki...

Cissy miała taką zachwyconą minę, jakby właśnie wygrała tygodniową wycieczkę na Tahiti.

- Naprawdę mi pani pokaże?

- Powiedziałam przecież, że pokażę, prawda? Cissy wstała, jakby się bała, że Helen lada chwila może się rozmyślić.

- Bardzo, bardzo dziękuję. Zrobię dokładnie tak, jak pani powiedziała.

Cissy chciała pożegnać się z Tessą i w tej samej chwili jej wzrok padł na książkę leżącą na pustym krześle: była to Tessa D'Uberville, którą Tessa chciała zacząć przerabiać jesienią z klasą filologiczną. Dawno nie zaglądała do powieści Hardy'ego i teraz musiała ją przejrzeć dla przypomnienia. Często zmieniała lektury w swoich klasach, żeby dzieciaki nie pożyczwały notatek i wypracowań od starszych kolegów. W ten sposób leniom pozostawały już tylko bryki w Internecie.

- Tessa... D'Uberville... - przeczytała Cissy. - Bohaterka ma imię jak pani. Dobra książka?

- Klasyka. Przerabiam ją z uczniami.

Cissy podniosła książkę i przyjrzała się dziewczynie na okładce.

- Śliczna, prawda? I taka staromodna.

- Dzieje się dawno temu.

- Tego mi najbardziej brakuje, odkąd skończyłam szkołę - ciągnęła Cissy. - Czytania. Zawsze kochałam czytać, ale teraz, skąd brać książki?

- Z biblioteki - wypaliła Tessa. - Możesz wypożyczać tyle, ile zechcesz.

- Próbowałam, jak tylko tutaj przyjechałam, ale za rzadko jestem w mieście, żeby wymieniać książki i musiałabym ciągle płacić kary, a państwu Claiborne'om nie śmiem zawracać głowy. Zeke to by i pojechał, ale po całym dniu taki jest sterany, że nawet go nie proszę. - Cissy uśmiechnęła się. - W domu państwa Claiborne'ów jest dużo pism rolniczych. I encyklopedia. W zeszłym miesiącu doszłam do C, ale tam nadal jest Czechosłowacja, jak była, i na przykład hasło „za żelazną kurtyną” ciągle jest aktualne, to pomyślałam, że przydałoby się coś nowszego, zamiast czytać o rzeczach, których już nie ma.

Była to najdłuższa przemowa, na jaką Cissy zdobyła się w obecności Tessy i ta, wbrew postanowieniom, trochę się wzruszyła. Mogłaby być to oczywiście aluzja, niewypowiedziane wprost pytanie, ale w to Tessa nie wierzyła, zbyt długo uczyła i na kilometr potrafiła zwęszyć próbę manipulacji.

- Pożyczę ci tę książkę, jeśli chcesz - powiedziała z ociąganiem - ale ostrzegam, Hardy'ego trudno się czyta. Ilekroć po niego sięgam, zawsze znajduję coś nowego.

- Znaczy, że to dobra powieść. - Cissy wyciągnęła rękę z książką.

- Nie mogę jej wziąć. To, co mówiłam, nie chciałam, żeby zabrzmiało jak przymawianie się. Ja...

Tessa odepchnęła jej dłoń.

- Bierz. Oddasz, jak przeczytasz. - Tessa podejrzewała, że Cissy wkrótce zwróci książkę, nie przeczytaną.

- Jest pani taka miła. - Cissy przycisnęła książkę do piersi. - I pani jeszcze raz dziękuję, pani Henry - zwróciła się do Helen. - Przywiozę materiały, jak pani mówiła.

Helen chrząknęła.

Cissy pożegnała się, zatrzasnęła maskę samochodu i odjechała.

- Ta dziewczyna żyje w grzechu z chłopakiem Claiborne'ów i nie chcę mieć z nią nic wspólnego - oznajmiła Helen, gdyby Tessa miała jakieś wątpliwości. - Ale jestem dobrą chrześcijanką, a dziecko musi mieć coś do okrycia. Dlatego powiedziałam, że jej pomogę.

Tessa nie uśmiechnęła się tylko dlatego, że była zajęta wyrzucaniem sobie, że pożyczyła Cissy Hardy'ego. Cissy, tak spragnionej ludzkiej uwagi i serdeczności, że nie bała się wkroczyć do domu trzech zwaśnionych kobiet. Co ją napadło, żeby wyciągać dłoń do tej dziewczyny? Nie wiedziała, co, ale to coś bardzo ją niepokoiło.

Helen nigdy by się nie domyśliła, że ryba do sałatki... Pomidory, proszę bardzo. Ogórki, tak. Tymczasem Nancy przygotowała na kolację sałatkę ziemniaczaną z tuńczykiem, zakrapianą jakąś słoną oliwą, której Helen nigdy dotąd nie próbowała. Chciała już coś powiedzieć, ale ugryzła się w język, widząc minę córki. Nancy wyglądała na zmartwioną. Chyba po raz pierwszy od wielu, bardzo wielu lat, ona, zawsze taka pewna siebie, zdawała się nie mieć recepty na wszystko.

- To się jakoś nazywa? - zapytała Helen.

- Sałatka z tuńczyka - odparła Nancy, nadając swojemu głosowi nonszalancki ton.

- Nigdy nie jadłam ryby w sałatce, ale w końcu co za różnica: w sałatce czy osobno, i tak wszystko trafia do jednego worka.

- Wygląda wspaniale, mamó - zachwyciła się Tessa. - Nie zjadłabym nic gorącego w ten upał. Jeżeli zaraz nie lunie, będę spała nago na ganku.

- I zostaniesz pożarta żywcem - powiedziała Helen, biorąc bułkę z koszyka i podając ją wnuczce. - Jak Gus i Obed tamtego dnia, kiedy ukradłam im ubrania. Takich pokąsanych ofiar nigdy nie widziałam ani przedtem, ani potem, jak żyję. Okryci od stóp do głów czerwonymi cętkami... zresztą niczym więcej, wyjąwszy gałązki dzikiego wina, co je sobie niezdarnie okręcili wokół tych swoich wstydliwych części ciała...

Nancy roześmiała się głośno.

- Dziewuszka - świntuszka.

- Żadna dziewczuszka - świntuszka, tylko normalne, wyemancypowane dziecko - sprostowała Tessa.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Helen omal nie ukruszyła zęba na pestce z oliwki - po co zostawiać je w środku? - ale ze zdziwieniem stwierdzała, że kolacja świetna. Nawet bułki smakowały jak świeże, chociaż Nancy kupiła mrożone i piekała w piekarniku.

- I co robiłyście dzisiaj? - zapytała, kiedy zaspokoila już pierwszy głód i mogła oddać się konwersacji. Córka i wnuczka wymieniły spojrzenia, jakby czuły, że wpadnie we wściekłość, kiedy powiedzą, co tego dnia wyrzuciły.

- Powiesiłam te nowe zasłony w bawialni - przyznała się Nancy.

Helen już je widziała. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam pokój. Nancy przestawiła nawet meble tak, że teraz dwie osoby mogły wreszcie usiąść naprzeciwko siebie, twarzą w twarz.

- A ty? - zagadnęła Tessę.

- Rano robiłam porządki na strychu, a jak już zrobiło się tam gorąco nie do wytrzymania, zajęłam się papierami.

Helen ostrożnie przegryzła oliwkę.

- Jakimi papierami?

- A różnymi.

Co Helen mogła sobie przetłumaczyć: „wypieprzyłam wszystko, co mi wpadło w ręce”.

- Trzymajcie się tylko z daleka od biurka w jadalnym, żeby żadna nie śmiała mi tam tknąć nawet jednej karteczki.

Ani córka się nie odezwała, ani wnuczka. Helen spojrzała na nie z marsem na czole.

- Mówię poważnie. Tam są papiery, które nic was nie powinny obchodzić.

Tessa westchnęła i odłożyła widelec.

- Ale ja właśnie zrobiłam dziś porządek w biurku i na biurku... tym stojącym w jadalni. Ale klnę się, nie wyrzuciłam nic poza starą pocztą kwalifikującą się z góry do śmieci.

Pomimo upału Helen przeszedł lodowaty dreszcz.

- Jaką starą pocztą?

- No wiesz, reklamy, dawno nieważne kupony promocyjne, gwiazdki z nieba. Śmiecie...

Helen poderwała się, zanim Tessa dokończyła zdanie. Gdyby mogła jeszcze biegać, rzuciłaby się do biurka biegiem.

Stara sekretera w jadalnym, w którym od dziesięcioleci nikt nie jadał, lśniła z daleka doskonałym porządkiem. Helen nie wiedziała,

kiedy Tessie udało się go zaprowadzić, ale podejrzewała, że wnuczka wzięła się do pracy, kiedy ona poszła na górę, do swojego pokoju, po wizycie Cissy.

Zaczęła gorączkowo przeglądać zawartość kolejnych przegródek. W jednej rachunki, w drugiej ważne jeszcze talony, w trzeciej zaproszenie od pastora na doroczne spotkanie i składkową kolację parafian. Otworzyła górną szufladę: równiutko poukładane ulotki, przepisy, zrealizowane czeki. W kolejnej szufladzie papeteria, ołówki, długopisy i inne przybory...

- Babciu?

Helen zatrzasnęła najniższą szufladę.

- Co z nimi zrobiłaś?

- Z jakimi nimi?

Helen nie odpowiedziała. Przeszła obok Tessy, kierując się do drzwi frontowych. Końska przyczepa.

Tam wnuczka wyrzuciła „śmieci”. Trzeba teraz odnaleźć to, co zniknęło i schować starannie, zamknąć pod kluczem.

Tessa dogoniła ją na ganku, chwyciła za ramię.

- Co się stało? Czego brakuje?

Helen była zbyt zdenerwowana, by wdawać się w rozmowy. Wyrwała się wnuczce, zeszła na podwórze i dopiero po kilku krokach zorientowała się, że przyczepy nie ma na swoim miejscu.

- Coście zrobili z tym wozem? Gdzie on jest?

- Zeke zabrał przyczepę. Powiedział, że wywiezie śmieci na wysypisko i jutro rano znowu ją podstawią.

- Wsiadaj w samochód i wieź mnie do Claiborne'ów, słyszysz? - rzuciła Helen. - Może jeszcze go zastaniemy.

Tessa starała się zachować spokój, tylko kąciaki ust zaczęły jej drżeć nerwowo.

- Powiedział, że jedzie prosto na wysypisko. Miał w furgonetce starą zamrażarkę, którą zamierzał wyrzucić przy okazji.

Helen nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- W takim razie jedziemy na wysypisko.

- Wysypisko zamykają o czwartej. Wiem, bo Zeke coś wspominał.

Helen też o tym wiedziała, ale w zdenerwowaniu zapomniała.

W drzwiach pojawiła się Nancy.

- Mamo, opanuj się i powiedz nam, o co chodzi.

- Moje mapy. Moje cholerne mapy. Tessa nic nie rozumiała.

- Nie wyrzucałam żadnych map, babciu. Jestem tego pewna. A mapy możemy przecież kupić, jeśli są ci potrzebne...

- Cicho. - Helen próbowała się zastanowić. Jechać na wysypisko po godzinach? Jak się tam dostać?

- Nie milcz, mów coś - poprosiła Nancy spokojnie. - Razem coś wymyślimy.

- Jesteście tu po to, żeby wywracać wszystko do góry nogami. Myślicie, że potrzebna mi taka pomoc? Wszystko przepadło.

- Po prostu staramy się sprzątać, babciu. Wyrzucamy śmieci - tłumaczyła Tessa.

- To nie były żadne śmieci, tylko moje mapy.

- Jakie mapy? - Nancy podeszła do matki i położyła jej dłoń na ramieniu. - Odzyskamy je, jeśli są dla ciebie takie ważne.

- Odzyskacie, odzyskacie! Diabła tam odzyskacie! - Zostało tylko jedno wyjście i Helen miała tego świadomość. - Przebierzcie się, bo będziemy kopać. I nie chcę słyszeć żadnego „ale”, nawet nie próbujcie mnie przekonywać.

- Nikt, ale to nikt nie zakopuje już pieniędzy. Co ci przyszło do głowy, mamciu? O czym ty myślałaś? - Nancy oparła stopę na łopacie i przycisnęła mocno.

Kopała ona, kopała Helen, Tessa również została zagoniona do kopania.

- Myślałam o tym, że to moje pieniądze i że mogę z nimi zrobić, co mi się podoba.

- Te pieniądze mogły zarabiać dla ciebie w banku, na giełdzie. Billy doradziłby ci, jak je zainwestować. - Nancy natrafiła na korzeń, co oznaczało, że kopie nie w tym miejscu, gdzie trzeba. Zaniechała dalszego rycia w suchej ziemi i zasypała dziurę.

- Myślisz, że nie wiem, czym to mogło grozić. Ja pamiętam jeszcze wielki kryzys, pamiętam załamanie rynku, czarny czwartek na giełdzie, zamykanie banków. Część ludzi w naszych stronach straciła wszystkie oszczędności. Moja rodzina nic nie straciła, bo nic nie mieliśmy, a te trochę pieniędzy, które matka czasami uciulała z jajek i masła, zakopywała.

Nancy przeniosła się z łopatą o kilka kroków dalej i znowu zaczęła kopać.

- Kiedy tu jeszcze mieszkałam, trzymałaś pieniądze w banku. Założyłaś mi konto oszczędnościowe.

- Wtedy były inne czasy, było bezpiecznie, teraz nie jest bezpiecznie. Potrafię dostrzec różnicę.

Oto jeszcze jeden dowód, że jej matka nie powinna mieszkać sama w tym domu na pustkowiu, pomyślała Nancy. Przestała racjonalnie myśleć, straciła zdolność podejmowania racjonalnych decyzji. A przy okazji zapewne i decyzji dotyczących swoich oszczędności.

Zapadł mrok, nawet księżyc gdzieś przepadł, niebo zasnuwały ciężkie chmury. Helen uparła się, żeby zacząć kopać po zmierzchu i była głucha na wszelkie argumenty, które próbowały jej przedkładać córka i wnuczka. Bała się, że ktoś zobaczy, gdzie ukryła pieniądze.

Jeszcze jeden przykład irracjonalnego myślenia.

- Spróbuj zwizualizować sobie tę mapę - podsunęła Tessa.

Helen wbiła łopatę głębiej.

- Gdybym potrafiła; nie potrzebowałabym papieru, prawda?

- Ile tego było?

- Wystarczająco dużo, żeby kopać, panienko. I ta wiadomość powinna ci wystarczyć.

- Jesteś pewna, że schowałaś te pieniądze akurat w trzech puszkach? Nie w dwóch, nie w czterech? - zapytała Nancy.

- Uważasz, że nie wiem, ile puszek zakopałam? Nancy zaczynała tracić cierpliwość.

- Owszem, prawdę powiedziawszy, tak właśnie uważam. Sama mówisz, że nie wiesz, gdzie są. Nie pomyślałaś, żeby zabezpieczyć jakoś informacje o swoim skarbie. Nie, musiałaś narysować mapę na odwrocie jakiejś ulotki obiecującej wielką wygraną.

- To właśnie był bezpieczny sposób.

- Może przestaniecie się kłócić i skupicie się na szukaniu? - zaproponowała Tessa. - To by znacznie ułatwiło nam zadanie.

- A kto powiedział, że ma ci być łatwo? - odparowała Helen. - To przecież ty jesteś tą, która wyrzuciła moje mapy.

- Ja byłam tą, której nie przyszło do głowy, że jej babka rysuje wskazówki dla poszukiwaczy skarbów na starych ulotkach. Masz rację: żadnych ułatwień.

Nancy usłyszała irytację w głosie Tessy. Córka też miała już dość. Ciężko pracowały cały dzień, Tessa przekopała się przez stosy

papierzysk zgromadzone przez Helen, zaprowadziła wśród nich ład, a teraz zamiast odpoczywać, musiała ryc po ciemku dziury w ziemi.

- Nie pytałaś - prychnęła Helen.

- Babciu, rozsądny człowiek raczej nie zadaje nikomu takich pytań.

- Chcesz powiedzieć, że brak mi piątej klepki? Tessa przestała kopać i oparła się o stylisko łopaty.

- Chcę powiedzieć, że postąpiłaś nierozsądnie. Doskonale wiesz, że robimy porządki w całym domu. Dlaczego nie powiedziałaś ani słowa? Dlaczego nie zabrałaś tych map z biurka i nie schowałaś ich w swoim pokoju?

- Skąd mogłam wiedzieć, że dobierzesz się do moich prywatnych papierów?

- To nie były żadne prywatne papiery, tylko śmieci!

Na moment zaległa głucha cisza maćona jedynie przez żaby i świerszcze.

- Nie bądź taka mądra - mruknęła w końcu Helen i Nancy miała wrażenie, że dosłyszała w głosie matki urazę. Sama chciała coś powiedzieć, ale ze ściśniętego gardła nie wydobyło się ani jedno słowo.

- Przepraszam - zreflektowała się Tessa. - To przez ten upał.

- A tam, upał. - Nancy odzyskała głos. - To były śmieci.

- Myślicie, że specjalnie to zrobiłam? - Helen minęła już złość.

- Do końca lata znajdziemy te pieniądze. - Tessa zaczęła znowu kopać. - Mamy dużo czasu.

- A co potem? - zapytała Helen niepewnie. - Wykorzystacie to przeciwko mnie. Już widzę tych prawników przygotowujących wnioski o ubezwłasnowolnienie. Sędzia patrzy na mnie i kręci głową, a potem zwija mnie dwóch małych mężczyzn ubranych na biał.

Nancy nie wytrzymała, parsknęła śmiechem.

- Dwóch małych ubranych na biał?

- Myślisz, że to takie śmieszne, Nanny? Mnie wcale nie jest do śmiechu, kiedy pomyślę, że wyślecie mnie tam, gdzie wcale nie mam ochoty być.

- Nie ma żadnych małych białych, mamciu. Nie ma i nie będzie. Swoją drogą szkoda, bo pomogliby nam kopać. Powinniśmy zwołać tu wszystkich chętnych do pomocy, niechby kopali z nami. Cholera.

- Nie przeklinaj.

- Cholera, cholera, cholera.

Zapadła cisza, w końcu z gardła Helen dobył się dziwny bulgot, potem słowa:

- Powiedziałam, nie przeklinaj. - I znowu bulgot.

- Jestem za stara, żebyś szorowała mi język mydłem.

Głośniejszy bulgot i Helen nagle wybuchnęła śmiechem.

- Nie bądź taka pewna, smarkata. Jestem od ciebie dwa razy większa.

- Ej, wy! - zawołała Tessa. - Jak wy wytrzymywałyście pod jednym dachem? Musiałyście bez przerwy skakać sobie do oczu.

- Dokładnie tak jak ja i ty - powiedziała Nancy ze śmiechem. - Nie zostałyśmy stworzone do bycia razem.

- Pomyłka niebios - stwierdziła Tessa. Ona teraz też się śmiała.

- Bóg nigdy się nie myli - poprawiła ją Helen. - Czasami tylko miesza między ludźmi i patrzy, co z tego później wyniknie. Życie jest przez to bardziej interesujące.

- Owszem, jest - przytaknęła Nancy. - Zawsze było. Wiem, co mówię, bo byłam w samym oku cyklonu. Z jednej strony ty, mamciu, z drugiej... Tessa. Obie tak samo ze mnie niezadowolone.

W tym momencie niebo się otworzyło. Bez uprzedzenia. Bez błyskawic, grzmotów. Raptem wilgoć wisząca w powietrzu zamieniła się w rwącą rzekę.

- Deszcz! - zawołała Helen. - W końcu mamy deszcz!

Nancy pomyślała o swoich włosach, o białej bluzce, o szortach, które tolerowały wyłącznie pranie chemiczne, o tuszu, który zaraz spłynie jej czarnymi strużkami po policzkach.

Uniosła ręce ku niebu.

- Deszcz! - Nie zastanawiając się, co robi, rzuciła łopatę, podbiegła do matki, chwyciła ją i zaczęła obracać jak w tańcu. - Deszcz!

- Przestań, Nanny. Uspokój się natychmiast. - Helen próbowała niby to się bronić, opierać, ale ruszyła w tan z córką.

- Tesso. - Nancy wyciągnęła rękę. - Chodź tutaj. Zatańczymy taniec deszczu.

Tessa stała jak wrośnięta w ziemię. Wpatrywała się w matkę i babkę bez słowa.

- To rozkaz! - zawołała Nancy. - Rusz natychmiast swój chudy tyłek i tańcz z nami.

Tessa zrobiła pełen wahania krok, jakby wchodziła do pokoju bez klamek.

- Tobie przydaliby się mali biali, Nanny - powiedziała Helen.

- Deszcz, deszcz! - Nancy wykonywała jakieś ekstatyczne płąsy zapamiętane z lekcji aerobiku. - Ruszajcie się, moje panie. Z życiem.

- Dziwnie się zachowujesz, mamó - zgromiła ją Tessa, ale zaczęła powtarzać jej ruchy.

Helen chciała uwolnić dłoń z uścisku córki, ale Nancy mocno trzymała.

- Mamciu, daj spokój. Przecież potrafisz tak jak ja. Kiedy ostatnio tańczyłaś?

- Nie twój interes.

- Tańcz z nami teraz.

Helen niechętnie, z oporami, jednak zaczęła się ruszać.

Tańczyły w deszczu, wokół wykopanych właśnie dziur, depcząc najpewniej po oszczędnościach wielu lat życia Helen.

- Deszcz! - zawołała raz jeszcze Nancy. - Dzięki ci za deszcz, Boże!

- Dawno nie słyszałam z twoich ust prawdziwej, szczerzej modlitwy - zauważyła Tessa.

Zatrzymały się, zadyszane. Tessa chwyciła babkę za drugą rękę i wszystkie trzy, przemoczone do suchej nitki, stały teraz twarzą w twarz, spoglądając na siebie w strugach deszczu.

- Znajdziemy te pieniądze, babciu - powiedziała Tessa.

- Tam, dokąd chcecie mnie posłać, nie będę ich potrzebowała.

Nancy zrobiła coś, czego nie robiła od czasów, kiedy była małą dziewczynką. Objęła matkę i uścisnęła ją serdecznie.

- Nikt nigdzie cię nie pośle - obiecała. - Wszystkie decyzje będziemy podejmowały wspólnie, mamciu. Nie zrobię niczego bez twojej zgody.

Helen skinęła głową. I na moment, na krociuteńki moment, przytuliła córkę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tessa nie potrafiła powiedzieć, w którym momencie zaangażowała się całkowicie, bez reszty w działalność MADD. Brała udział we wszystkich przedsięwzięciach podejmowanych przez organizację, unikała tylko jednego: służb świadczących bezpośrednią pomoc ofiarom.

Zacząła swoją pracę dla MADD od zachęcania restauratorów w swojej dzielnicy, by włączyli się w stanowy program Trzeźwość na Drodze. Ich udział miał polegać na serwowaniu darmowych napojów bezalkoholowych tej osobie przy stoliku, która godziła się powstrzymać od alkoholu w czasie kolacji. Różnie ją przyjmowano, w niektórych restauracjach z jawną niechęcią, ale była tak uparta i natrętna w swojej argumentacji, że jej ustępowali.

Potem była obserwatorką sądową w procesach o prowadzenie pod wpływem alkoholu. Chodziła na rozprawy, po czym składała raporty do biura stanowego i krajowego MADD. Sędziowie znali już jej nazwisko i pamiętali ją, nawet kiedy przestała pokazywać się na sali sądowej i zaczęła szkolić kolejne obserwatorki.

Organizowała panele dyskusyjne, wystawała w weekendy w centrach handlowych, rozdając czerwone wstążeczki tym kierowcom, którzy zgodzili się powstrzymać od picia przed powrotem do domu. Handlowała używanymi samochodami, które MADD dostawała w charakterze darów. Robiła wszystko, jednak najlepiej sprawdzała się w pracy administracyjnej i tu była niezastąpiona. Szukała dotacji i grantów, pisała projekty kolejnych programów, przygotowywała phone - trees (Phone - trees - system rozsyłania nagranych wiadomości telefonicznych przekazywanych do dowolnej, wybranej liczby abonentów - przyp. tłum.), ciągle aktualizowała stronę internetową MADD i rozsyłała kilkoma kliknięciami myszki tysiące e - maili.

Czas, który wcześniej poświęcała rodzinie i uczniom, teraz spędzała przy telefonie, komputerze i pośród segregatorów.

- Tesso, uprzedziłaś kogoś, że zjawisz się dzisiaj? - Szefowa lokalnej sekcji MADD, Sandy Stewart, uściskała serdecznie przyjaciółkę. Od czasu wyjazdu do Toms Brook była to pierwsza wizyta Tessy w mieście. I w biurze organizacji.

- Nie wiedziałam, że zajrzę. Nie byłam nawet pewna, czy kogoś u nas zastanę. Miałam coś do załatwienia w banku, potem zakupy i tak

wylądowałam w biurze. - Nie dodała już, że spędziła godzinę w sklepie z quiltami, z którego wyszła bogatsza o cenne rady dotyczące konserwacji i reperacji starych

quiltów oraz o kilka książek na ten sam temat. Gdyby tylko pisnęła słówko, Sandy nie wypuściłaby jej z biura, nie wysłuchawszy pierwszej od początku do końca całej historii ślubnego quiltu.

- Masz trochę czasu? - Sandy zerknęła na zegarek. - Zostań przynajmniej do zamknięcia. Potem wpadniemy na kawę do Starbucks.

- Chciałam zajrzeć do swojej przegródki i sprawdzić, czy nie ma nic pilnego. Chwilę zostanę, jasne.

- Zebrało się tego trochę. Sisk Foundation odrzuciła nasz wniosek o grant, ale w przyszłym miesiącu znowu zbiera się komisja rozdzielająca fundusze. Radzili, jakich zmian powinnyśmy dokonać w tym projekcie, który im przedstawiamy. Jeśli uwzględnimy ich poprawki, mamy szansę dostać kasę.

Tessa była zawiedziona. Grant od Fundacji Siska pozwoliłby im przeprowadzić szkolenie nauczycieli szkół średnich: jaką taktykę przyjmować, żeby wybijać uczniom z głów prowadzenie po alkoholu. Pomysł był dobry i w końcu pieniądze na jego realizację powinny się znaleźć.

- Przejrzę proponowane przez Fundację Siska poprawki - obiecała.

- Powiedz, kiedy będziesz gotowa, to zamkniemy nasz sklepik i idziemy na kawę. - Sandy przeszła do swojego biurka.

Tessa wyjęła ze swojej przegródki stertę korespondencji, wycinków prasowych i krótkich notek od koleżanek. Najprawdopodobniej nie było tutaj nic pilnego. Dziewczyny z MADD wiedziały, że wyjeżdża do końca wakacji, miały jej numer telefonu i gdyby bardzo jej potrzebowały, któraś na pewno by zadzwoniła. Chciała jednak przejrzeć zaległości, żeby to, co niepotrzebne wyrzucić i zrobić miejsce na nową pocztę.

Ze stertą papierzyk usiadła przy stole, przy którym zwykle pracowały wolontariuszki. W tle słyszała to cichy, to podniesiony, częściej podniesiony, głos Sandy załatwiającej ostatnie rozmowy telefoniczne.

Sortowała papiery, ale myśli miała zajęte czymś innym. Próbowwała nie okłamywać się, chociaż czasami był to jedyny sposób,

żeby przetrwać kolejny dzień. Dzisiejsza wizyta w biurze była w pewnym sensie takim okłamywaniem siebie. Zwlekała z wyjazdem do Toms Brook wcale nie z powodu MADD.

Tęskniła za Mackiem. Chciała się z nim zobaczyć i miała nadzieję, że złapie go w domu, zanim ruszy w drogę powrotną na farmę, może nawet uda się im zjeść razem szybką kolację.

Nie widziała go od trzech tygodni, od tamtego dnia, kiedy przywiózł jej walizkę i poinformował, że „tak dalej być nie może”. Próbowwała nie myśleć o nim. Czasami on dzwonił do niej, czasami ona dzwoniła do niego. Rozmawiali o tym, komu powie -

dłużyć prenumeratę „Newsweeka”. On opowiadał o najnowszym fatygancie swojej matki, ona relacjonowała mu zabawę w poszukiwanie skarbu babki: jedna puszka trafiona, dwie nadal do odnalezienia. Wiedziała oczywiście, że warunek, jaki Mack jej postawił, tkwi gdzieś w jej głowie, ale wołała się nad nim nie zastanawiać. Czasami próbowała wyobrazić sobie życie bez Macka; co by robiła, jak żyła. Liczyła się z tym, co wydawało się nieuniknione. Ale tylko czasami. Częściej uciekała od problemu.

Nagle uświadomiła sobie, że od dłuższego czasu wpatruje się w różowe memo. Może nie powinna spotykać się dzisiaj z Mackiem? A z drugiej strony, czy była gotowa zakończyć ten ich kiedyś idealny związek?

Przez ostatnie trzy lata nauczyła się na dziesiątki sposobów tłumić ból po śmierci Kayley. Czyżby miał to być kolejny sposób? Odejść od męża i pogrzebać kolejne wspomnienia?

Była prawie pewna, że nie jest gotowa na podjęcie terapii, jak proponował Mack, musiała natomiast się upewnić, czy on nadal obstaje, i będzie obstawał, przy szukaniu fachowej pomocy. Może znajdą jakieś kompromisowe rozwiązanie, żeby dalej brnąć wspólnie przez życie, w którym nie ma już Kayley.

Odłożyła memo na kupkę „spraw do załatwienia”, po czym uświadomiła sobie, że nie przeczytała notatki. Sięgnęła po nią ponownie i szybko przebiegła wzrokiem.

Ktoś, kto najwidoczniej nie wiedział, że przez wakacje nie będzie jej w mieście, zostawił numer telefonu, dopisał „ważne” i podkreślił.

Przysunęła sobie aparat telefoniczny i podniosła słuchawkę.

Mack nie wiedział, dlaczego wybrał akurat ten lokal, kiedy zapraszał Erin na kolację. Siam Palace była ulubioną restauracją Tessy

i często tu bywali. Kayley nie lubiła tajskiego jedzenia, więc przychodząc tutaj, nie zabierali jej ze sobą, nie mieli związanych z tym miejscem bolesnych wspomnień, natomiast teraz pełno tu było Tessy.

Czyżby umówił się tutaj z inną dlatego, że brakowało mu Tessy? Byłoby to dość perwersyjne i w złym guście, ale całkiem prawdopodobne. Erin wspomniała, że uwielbia tajskie jedzenie, a on odruchowo, nie myśląc, zaproponował kolację w Siam Palace.

- Miło pana widzieć, panie Mack. - Frankie, właściciel lokalu, przystojny mężczyzna niepotrzebnie lubujący się w kolorowych opalizujących koszulach, przywitał go szerokim uśmiechem. Restauracja, w przeciwieństwie do koszul Frankie'ego, była bezpretensjonalna, ale za to kuchnia chyba najlepsza w całej Północnej Wirginii i lokal miałby doskonale obroty, nawet gdyby był otwarty wyłącznie raz w tygodniu, w piątkowe wieczory.

- Stęskniłem się za wami - powiedział Mack. - Będzie pan miał stolik dla dwóch osób?

- Pani Mack też przyjdzie?

Przez moment Mack nie wiedział, co odpowiedzieć. Co za lichy go podkuśiło, żeby umówić się akurat tutaj?

- Nie, to służbowa kolacja.

Frankie zaprowadził go do stolika przy oknie, Mack usiadł i wbił spojrzenie w szybę, żeby uniknąć dalszych kłopotliwych pytań.

Kiedy podeszła kelnerka, zamówił mrożoną herbatę i doskonałe tajskie pierożki, kanom jeeb, ulubioną przystawkę Tessy. Jadła je tak, jak robiła wszystko, z dyskretną gracją. Wyważone, płynne gesty, delektowanie się chwilą... Małeńkie pierożki, wyrafinowana kompozycja smaków eksplodująca po chwili żarem na podniebieniu, to było coś dla niej.

Podano herbatę, zjawily się kanom jeeb, a Erin ciągle nie było. Już miał iść do telefonu, zapytać, czy nie zabłądziła, gdy stanęła w drzwiach. Była w dżinsach, jaskrawoniebieskim topie i rozpiętej białej bluzce. Miał wrażenie, że wniosła ze sobą ożywczy powiew chłodu i przemknęło mu przez głowę, jak zmieniałaby się temperatura, gdyby ją pocałował.

Wstał, nie tyle skonfundowany, co zaniepokojony. Nic dziwnego, że myślał o seksie. Nie kochał się od kilku tygodni, a wcześniej seks

też właściwie był taki, jakby wcale się nie kochał. Tessa od dawna zachowywała się w łóżku tak, jakby zbliżenie było dla niej wysiłkiem.

Obszedł stół, ujął dłonie Erin, pocałował ją w policzek i kątem oka dojrzał, że Frankie obserwuje go z dezaprobatą, przynajmniej tak mu się wydało.

- Przepraszam za spóźnienie. - Erin usiadła. - Na obwodnicy był wypadek, utknęłam w korku. Bałam się, że nie będziesz czekał. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

- Zostawiłem rano komórkę w domu. Zapomniałem zabrać. Ale wiedziałem, że przyjdiesz. - Na Erin, jak na Tessie, można było całkowicie polegać.

Znowu pomyślał o Tessie, porównywał Erin z żoną.

- Samochody wyglądały jak do kasacji. Widziałam małego chłopca z matką, stali obok radiowozu, oboje płakali. Mam nadzieję, że nikt nie zginął.

O jeden drink po pracy za dużo? - odruchowo pomyślał Mack.

- Umieram z głodu - powiedziała Erin. - Co polecasz?

- Wszystko jest świetne. Zamówiłem sobie przystawkę. Spróbuj pierożków i spokojnie wybierz główne danie.

Erin przebiegła szybko wzrokiem menu, odłożyła je i spojrzała na Macka.

- Co u ciebie?

- Jestem przepracowany. - Rzeczywiście, za dużo pracował. Cały dzień spędził w samochodzie. Był w Baltimore, gdzie poszukiwał trójki świadków w sprawie, która lada dzień miała wejść na wokandę. Zwykle takie rzeczy zlecał aplikantom, ale tym razem chciał osobiście spotkać się ze wskazanymi przez klienta ludźmi, zobaczyć, jak mieszkają, ocenić ich wiarygodność. Pozostawienie komórki w domu sprawiło, że dzień był jeszcze trudniejszy.

- Wyglądasz na zmęczonego. - Erin nachyliła się nad stolikiem. - Trudno się żyje bez żony, prawda?

- Nie tak trudno, jakby się wydawało. Kiedy jest w domu, też nie ma jej w domu.

- Sporo przeszła.

Mack usłyszał w tych słowach wiele innych słów: „Może jeszcze nie pora rezygnować. Nie chcę cię, jeśli ma między nami pojawiać się Tessa. Jeśli trzeba ci czasu, żeby się zastanowić nad swoim małżeństwem, ja poczekam”.

A może się mylił, może przypisywał Erin coś, czego nie miała na myśli? Może chciała powiedzieć, że wcale nie ma zamiaru czekać, nie akceptuje sytuacji zawieszenia, sytuacji nieokreślonej.

- Śmierć dziecka to najtragiczniejsze doświadczenie w małżeństwie - mówiła Erin, a on znowu miał wrażenie, że słyszy w jej słowach coś więcej.

- Nasze może się przez to rozpaść - powiedział. - Będę wiedział, kiedy Tessa wróci po wakacjach do domu.

- Mack, pamiętaj o jednym, znamy się od wielu lat, przyjaźnimy. W naszej sytuacji łatwo wziąć serdeczność za coś zupełnie innego, czego między nami nie ma.

Podniósł głowę. Erin wskazywała mu drogę odwrotu, mówiła, że jeszcze może się wycofać.

- Karty na stół? - Odczekał, aż Frankie przyjmie zamówienie i ciągnął: - Chcesz mnie ostrzec, żebym nie popełnił błędu, czy mówisz, że między nami nic nie ma?

Erin zaczerwieniła się lekko.

- To takie trudne.

- Nie spiesz się z odpowiedzią.

- Jesteśmy w jednej grupie, ty jesteś żonaty, to dwie poważne przeszkody. Wbrew wszelkim zasadom. Niebezpieczne dla atmosfery w grupie.

- Rozumiem. Podniosła wzrok.

- Nie rozumiesz. Poprosiłam Candace Grant, żeby przejęła wszystkie moje obowiązki. To świetna dziewczyna, o wielkim sercu.

- I nie interesuje się mną.

Erin uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mam nadzieję, że nie.

- Nie mogę tego żądać od ciebie, Erin. Najlepiej będzie, jak się wycofam.

Dotknęła jego dłoni.

- Nie.

- Nie wiem dokąd zmierzam. Nie wiem, czy moje małżeństwo to zamknięty rozdział. Nie mogę ci nic obiecać. I o nic prosić.

- Wiem. Nie mówię ci przecież, że masz się rozwieść, ale jeśli tak się zdarzy, jestem gotowa spróbować, czy się nam uda.

Położył dłoń na dłoni Erin, podniósł głowę i zobaczył Tessę. Stała półtora metra od stolika i przyglądała się Mackowi.

Poczuł, że ręka mu lodowacieje. Podniósł się, zrobił krok w kierunku żony. Wyraz jej twarzy nie zdradzał żadnych emocji, ale Tessa zawsze była opanowana, a po śmierci Kayley kompletnie zamknęła się w sobie.

- Co tu robisz? - Chciał, żeby powitanie zabrzmiało ciepło, ale nie był pewien, czy mu się to udało.

- To chyba ja powinnam zadać to pytanie - odpowiedziała miłym, uprzejmym głosem.

- Nic nie mówiłaś, że przyjedziesz do miasta. Na farmie wszystko w porządku?

- Tak. Miałam kilka spraw do załatwienia. Próbowałam dozwonić się do ciebie, ale miałeś wyłączoną komórkę.

- Zostawiłem telefon w domu, przez roztargnienie. - Ileż to razy Tessa wybiegała za nim rano, podając coś, czego właśnie zapomniał. Aktówka. Telefon. Książki, które miał zwrócić do biblioteki.

Była o wiele bardziej zorganizowana od niego. Porządnicka. Ona dostrzegała drobiazgi, on za to ogarniał szybciej cały obraz.

- Wiem. Byłam w domu. Zobaczyłam aparat na biurku.

Mack uświadomił sobie, że Erin siedzi przy stoliku z mocno zakłopotaną miną. Przedstawił ją.

- Mack często o pani wspomina, kiedy mówi o PP - powiedziała Tessa. - Ceni panią. - Zamilkła na moment. - Bardzo ceni.

Uprzejme, starannie odmierzone słowa. Niemal serdeczne, ale Erin zrozumiała znaczenie ukryte w tym „bardzo ceni” i zrobiła się czerwona.

- Siadaj z nami, Tesso. - Mack chciał odsunąć krzesło, ale Tessa go powstrzymała.

- Zamówiłam na wynos. Frankie już wszystko przygotował. Odbiorę i znikam.

- Nie wygłupiaj się. Gdzie chcesz jeść? - Przemknęło mu przez głowę, że Frankie musi być mocno zdziwiony, pewnie nie rozumie, co się dzieje między Mackiem i Tessą.

- Zjadłam już coś w domu. To na jutro na kolację. Chcę, żeby babcia spróbowała tajskiej kuchni.

Nie wiedział, co powiedzieć, ale Tessa wybawiła go z kłopotu.

- Poproszę cię na moment. - Tu zwróciła się do Erin: - Pozwoli pani, że Mack odprowadzi mnie do samochodu. Za moment wróci.

Erin najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Proszę zostać, to ja powinnam się pożegnać.

- Wykluczone - zaproponowała Tessa. - Mack zaraz wróci. Skończycie kolację. - Skinęła głową na pożegnanie i ruszyła do wyjścia, nie sprawdzając, czy Mack idzie za nią.

- Poczekaj na mnie, proszę - rzucił jeszcze Mack w kierunku Erin.

- Poproszę kelnera, żeby zapakował moje zamówienie - oznajmiła stanowczo.

Nie miał czasu na sprzeczki. Dogonił Tessę, kiedy odbierała dużą plastikową torbę wypełnioną pudełkami z zamówionym jedzeniem. Schowała drobne do portmonetki, uśmiechnęła się sztywno do Frankie'ego i wyszła.

Na oświetlonym zmierzchającym światłem dnia parkingu zatrzymała się koło swojej toyoty i Mack wziął od niej torbę, żeby mogła otworzyć drzwiczki.

- Umówiłem się z Erin, bo chcieliśmy ustalić program pikniku PP, który organizujemy na pożegnanie lata. Musimy podzielić obowiązki, zdecydować, kto za co będzie odpowiedzialny.

Tessa otworzyła drzwiczki od strony pasażera, położyła torbę na fotelu, po czym odwróciła się powoli do Macka.

- Nie musisz się tłumaczyć, ale nie wyglądaliście na ludzi, którzy planują, kto przyniesie arbuzy, a kto serwetki.

Mack nie próbował zaprzeczać.

- Łączy cię coś z nią?

- Nie. - Mack zamilkł na moment i dodał uczciwie: - Jeszcze nie.

Wyraz twarzy Tessy nie zmienił się ani na jotę.

- W takim razie... w czym przeszkodziłam? W ustalaniu, gdzie i kiedy?

- Nie.

- Jest bardzo ładna. Młoda. Też straciła dziecko?

- Brata. Byli bardzo życzliwi.

- Co cię powstrzymuje?

Czasami sam zadawał sobie to pytanie. Jak długo człowiek jest w stanie znieść odrzucanie? Pozostawać sam ze swoim cierpieniem? W którym momencie można sobie powiedzieć, że dotychczasowy związek nie ma już żadnych szans, i odejść?

- Kocham cię - powiedział w końcu. - Miłość mnie powstrzymuje. W każdym razie myślę, że to miłość. Kocham cię, a może kocham już tylko tę kobietę, którą kiedyś byłaś.

- Nie jesteś pewien?

- Potrzebuję miłości. Ciepła. Brakuje mi jednego i drugiego. Zabrakło mi tego w momencie, kiedy Kayley odeszła. Tęsknię za miłością i ciepłem tak samo, jak tęsknię za naszą córką.

Wydawało mu się, że dojrzał w oczach Tessy jakąś iskierkę, światełko, które jeszcze nie zagasło do końca.

- Nie cofniemy czasu. - Tessa odwróciła na moment głowę, po czym spojrzała mu prosto w oczy. - Chciałbyś, ale to niemożliwe.

- Zbudujmy w takim razie coś nowego, od początku. Pozwól mi zbudować. Nie zamykaj się przede mną. Zbyt długo żyłem w izolacji, Tesso. Tam, gdzie powinny być uczucia, jest czarna dziura. Nie zniosę tego dłużej.

Tessa jakby się ocknęła z głębokiego snu.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego cię szukałam?

- Tak.

- Znalazłam dzisiaj w biurze wiadomość sprzed kilku dni. Od adwokata Roberta Owensa. Ściśle mówiąc, raczej od substytutu adwokata.

Tego się nie spodziewał. Potrzebował chwili, zanim słowa Tessy dotarły do jego świadomości.

- Od adwokata Owensa?

- Widocznie dzwonił do ciebie do kancelarii, Grace nie połączyła go od razu, więc spróbował do domu, ale sekretarka musiała być wyłączona.

- Wyłączyłem. Wracalem do domu i wysłuchiwałem niekończących się nagrań. Uznałem, że jak ktoś będzie chciał się dodzwonić, na pewno się dodzwoni.

- On uznał, że się nie dodzwoni. Zostawił mi wiadomość w MADD. Wie, że tam pracuję.

- Co to za wiadomość?

- Owens w przyszłym tygodniu wychodzi na wolność. Wypuszczają go.

Spokojna do tej pory twarz Tessy zmieniła się gwałtownie. Oczy jej błyszczały, wargi zaczęły drżeć.

- W przyszłym tygodniu - powtórzyła zdławionym głosem. - Trzy lata za zamordowanie naszej córki. Trzy ńędzne lata.

Mack wciągnął powietrze. Owensa sądzono za nieumyślne spowodowanie zabójstwa. Kiedy spowodował wypadek, miał dziewiętnaście lat. Wyrok w podobnych sytuacjach waha się od kary w zawieszeniu, z zaliczeniem aresztu, do wieloletniej odsiadki w więzieniu stanowym.

Owens nie po raz pierwszy prowadził po alkoholu, więc na zawieszenie nie mógł liczyć, ale jego matka wzięła pożyczkę pod zastaw domu w Manassas i wynajęła najlepszego adwokata, jakiego udało się znaleźć, który potrafił tak zręcznie zmanipulować sędziego opowieściami o zmagającym się z problemami egzystencjalnymi młodym człowieku z dysfunkcyjnej rodziny, że wyrok zdumiał wszystkich. Owens został wysłany do ośrodka poprawczego dla młodocianych, gdzie miał być poddany intensywnej czteroletniej resocjalizacji.

Tessę i Macka zapewniono, że chłopak odsiedzi cały wyrok i w jego przypadku o wcześniejszym zwolnieniu mowy być nie może. Cztery lata, potem jeszcze kurator sądowy przez następne półtora roku. Jeśli w tym czasie złamałby prawo, miał wrócić do więzienia na kolejne osiem lat, bo taki dostał wyrok w zawieszeniu.

- Adwokat uznał, że należy nas poinformować - mówiła Tessa. - Żebyśmy mogli się przygotować. Przygotować - syknęła. - Sukinsyn.

- Mówił coś jeszcze? - Mack mimo woli zacisnął dłonie.

- Że Owens zachowywał się wzorowo. Stosował się do wszystkich poleceń, gorliwie pracował nad

sobą, stał się przykładowym chrześcijaninem, był opiekunem kilku chłopaków w jego grupie AA. Uspokoił się, żałuje tego, co zrobił, zasługuje na lepsze życie.

- Porozmawiam z sędzią Lutzem.

- Mack, możesz... możesz coś zrobić?

Nic nie mógł zrobić. Decyzja o zwolnieniu Owensa zapadła, nie było sposobu, by ją cofnąć. Nie mógł nic zrobić, ale nie mógł też powiedzieć tego Tessie, nie chciał jej załamywać.

- Spróbuję. - Ujął jej dłonie, lodowate, mimo że temperatura nie spadała poniżej trzydziestu stopni. - Będę próbował, ale nic nie obiecuję.

- Zrób, co możesz. Porozmawiaj z nim. Powiedz mu, że... Powiedz mu, że ten pijany sukinsyn zniszczył nasze życie.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Od dawna, od wielu tygodni nie byli tak blisko. Mack trzymał ją za ręce, czuł, że jej biodro lekko dotyka jego uda, czuł gorący oddech Tessy na swojej szyi.

Uwolniła w końcu dłonie i Mack cofnął się o krok. Obeszła samochód, otworzyła drzwiczki, a on stał jeszcze chwilę i patrzył, jak odjeżdża.

Był skołowany, przybity. Wcześniej układało się fatalnie, teraz sytuacja wyglądała katastrofalnie. Oto Owens ma za kilka dni wyjść na wolność, a on mówi Tessie, że nie wyklucza romansu z Erin.

Skąd w nim to okrucieństwo? Chciał być po prostu uczciwy, czy liczył na to, że wstrząśnie Tessą, zmusi ją do przebudzenia się, do wysiłku? Liczył w jakiś przewrotny sposób, że uda się uratować małżeństwo, zachować to, co kiedyś ich łączyło?

Teraz zastanawiał się, czy nie powinien jednak odejść, choćby tylko dla jej dobra. Być może Tessa nie otrząśnie się z rozpacz, dopóki będą ciągnęli martwy związek, który na każdym kroku przypominał im, co utracili. Być może gdyby odszedł, Tessa zaczęłaby znowu żyć. Być może łączyło ich już tylko cierpienie i nic więcej.

Jak na ironię cierpienie znowu dało dojmująco znać o sobie. Miało się zmaterializować w osobie Owensa. Mack nie był pewien, czy istnieje cień szansy, by drań zniknął kiedykolwiek z widnokręgu Tessy.

A może on sam powinien zniknąć, odejść?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Niebo było ciemne, ale księżyc w pełni jaśniał nad doliną, jakby ręka Opatrzności zawiesiła go tam, by oświetlał drogę do domu babki.

Dzień pełen był znaków, sygnałów, jakby cały świat obracał się wokół niej, Tessy.

Chłopak, który zabił jej córkę, potem stał nad jej ciałem i wyrzucał martwej, że stała na chodniku, miał właśnie wyjść na wolność. Mąż zastanawiał się nad romanssem. A jej własne serce tak było skurczone, że chyba w ogóle przestało bić.

Z dawnej Tessy MacRae została skorupa. Gdyby nie przepełniająca ją wściekłość, nie wiedziałyby, czy aby jeszcze żyje. Żyje, skoro odczuwa taką nienawiść do Roberta Owensa. Od śmierci Kayley niemal nie znała innych uczuć poza wściekłością i nienawiścią. Teraz uspokajała ją świadomość, że w ogóle coś czuje. Jeszcze bardziej uspokoiłaby się, gdyby mogła coś zrobić. Coś. Dzisiejszy wieczór nie był dobrą porą, żeby postanawiać co. Wiedziała tylko, że nie pogodzi się z przedterminowym zwolnieniem Owensa bez walki. Znajdzie jakiś sposób, by ten człowiek nie miał już szansy przekreślić niczyjego życia.

Po śmierci Kayley nieustannie zadawała sobie pytanie, dlaczego jeszcze żyje, skoro jej córka zginęła. Przez wiele miesięcy całe jej życie koncentrowało się wokół tego pytania i dopiero czas przytępił jego ostrość, tak jak stępił jej wiarę w istnienie ładu we wszechświecie.

Dotąd nie mogła zrozumieć, dlaczego nie stała wtedy z Kayley na chodniku, dlaczego nie zginęły razem, dlaczego się uratowała.

Ponieważ miała zrobić wszystko, by Owens nigdy już nikogo nie zabił. To jej misja na ziemi.

Nie wiedziała nawet, jak i kiedy podjechała pod dom babki. W głowie miała chaos, nie była w stanie zapanować nad myślami. Usiadła prosto, zaczęła oddychać rytmicznie, głęboko, próbowała wyobrazić sobie błękitną wodę, ale przed oczami miała twarz Owensa stojącego nad jej martwą córką, Owensa tak pijanego, że nie widział, gdzie kończy się jezdnia i zaczyna chodnik.

Rozpłakała się i oparła głowę na kierownicy. Nie chciała płakać, próbowała powstrzymać łzy i szlochała coraz bardziej.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim się opanowała. Było późno, matka i babka zapewne poszły już spać, nie zobaczą jej

zapuchniętej od płaczu twarzy. Wytarła nos, sięgnęła po torbę z Siam Palace, drugą ze sklepu z quiltami i wysiadła z samochodu.

Niebo usiane było gwiazdami, w powietrzu czuło się leciutki wietrzyk. Szeleścił w koronach dwóch klonów i niósł zapach róż i wysuszonej ziemi. Stała przez chwilę bez ruchu, próbując dopuścić do siebie inne odczucia poza bólem i wściekłością.

Zastanawiała się, czy Mack nie ma przypadkiem racji. Być może nie dało się już z nią żyć, nie było sensu podtrzymywać ich związku. Dlaczego ktoś miałby znosić dzień w dzień jej cierpienie? Powinna odejść. Jeśli cokolwiek jeszcze czuła do Macka, powinna pozwolić mu ułożyć sobie życie po swojemu.

Niech zwiąże się z Erin Foster. Będzie miał dzieci, kredyt hipoteczny i seks, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Erin była ładna i młoda, mogła urodzić Mackowi choćby i pół tuzina dzieci. Na zapas, gdyby któreś miało umrzeć.

Zaszokowała ją własna małostkowość, prymitywna złośliwość. Przeraziła się własnym stanem. Mack był przy niej w najgorszych momentach, starał się jej pomóc. Nawet teraz, kiedy już gotów był związać się z Erin, nadal próbował ratować ich małżeństwo. Czy ona zrobiła cokolwiek dla niego, dla nich? Podeszła kiedyś do Macka, objęła serdecznie, powiedziała, że go kocha, zaproponowała, żeby razem przebrnęli przez problemy? Doskonale wiedziała, że gdyby wykonała jakikolwiek gest, nawet teraz, Mack nie odrzuciłby wyciągniętej ręki.

Czego oczekiwał? Jaki znak przekonałby go, że ich małżeństwo da się jeszcze uratować? Zgoda na podjęcie wspólnej terapii? Ciąża? Odejście z MADD i poświęcenie się własnym sprawom?

Nie mogła mu obiecać ani jednej z tych rzeczy. Nie w tej chwili. Być może nigdy.

Pchnęła drzwi frontowe, których Helen nigdy nie zamykała, co stanowiło przedmiot wiecznych pouczeń ze strony Nancy. Ona natychmiast zainstalowałaby system alarmowy, syreny oraz reflektory, gdyby tylko Helen powiedziała jedno krótkie tak, ale Helen nie miała ochoty rozstawać się ze światem, w którym dom może stać otworem, a kluczyki zawsze tkwią w stacyjce. Gdyby miała zamykać drzwi na klucz przed sąsiadami, równie dobrze mogłaby położyć się w trumnie.

Tessa weszła do bawialni. Helen siedziała w mroku i czekała.

- Co ty tutaj robisz?

- Zdaje się, że mieszkam. - Helen zapaliła lampę obok fotela i pokój zalało ciepłe złote światło. Nancy niedawno kupiła nowy abażur. Helen miała na sobie koszulę nocną, która wyfrunęła z okna w dniu przyjazdu Tessy. - Wślizgujesz się do domu jak wąż. Omal nie przyprawiłaś mnie o zawał serca.

Tessa podejrzewała, że babka zdrzemnęła się i obudziło ją dopiero wejście wnuczki.

- Czekaaś na mnie?

- Po co? Jesteś dorosła, prawda? Możesz wychodzić i wracać o której ci się podoba. Nie musisz dzwonić i informować nas, że nic się nie stało.

Tessie zrobiło się głupio. Była tak pochłonięta własnymi problemami, że nie pomyślała o matce i babce, o tym, że się denerwują, zachodzą w głowę, gdzie się podziewa.

- Przepraszam. - Tessa położyła torby z zakupami na odnowionej kanapie. - Powinam była was uprzedzić, że wrócę późno.

- Twoja matka próbowała dzwonić do ciebie, ale telefon był wyłączony.

Wyłączyła go po rozmowie z Mackiem na parkingu Siam Palace. Bała się, że będzie próbował do niej dzwonić.

Kolejny przejaw pasywnej agresji.

- Następnym razem będę pamiętała - obiecała.

- Nie musiałaś na mnie czekać. Jestem dobrym kierowcą, jeżdżę ostrożnie.

- Obie wiemy, że ostrożność to za mało, żeby uniknąć śmierci, prawda?

Tessa opadła na kanapę.

- Pomyślałaś kiedyś, że odejść wcale nie jest najgorszą rzeczą, która może się nam przytrafić? Zostać, to straszne. Może któregoś dnia opowiem ci, jak to jest.

- Opowiedz teraz.

- Nie chciałybyś słuchać.

Tessa wiedziała, że powinna iść spać i pozwolić babce zrobić to samo, ale perspektywa zamknięcia się w maleńkiej sypialni, sam na sam z myślami o Owensie, Macku i Erin Foster paraliżowała, nie pozwalając jej ruszyć się z miejsca.

- Nie chcę cię zatrzymywać - powiedziała.

- Przepraszam, że tak długo musiałaś na mnie czekać.
- Nie śpię, bo tak mi się podoba, ale nie dlatego, że musiałam czuć.

- Jest coś w telewizji?

- Odpowiedź zawsze brzmi tak samo: nie. Twoja matka cały czas namawia mnie, żebym pozwoliła jakiemuś błakającemu się po niebie satelicie atakować mój telewizor, zupełnie jak w jakiejś powieści z gatunku fantastyki naukowej.

- A ty, ponieważ w głębi serca jesteś purystką, twardo się sprzeciwiasz. W ten sposób pozbawiając się szansy oglądania również tego, co jeszcze da się oglądać.

- Pozwoliłabym założyć antenę choćby zaraz, gdyby rzeczywiście było co oglądać. Kiedy byłam mała, siadaliśmy wszyscy razem i słuchaliśmy na WSM muzyki nadawanej z Nashville, prosto z Grand Ole Opry. Mamcia robiła popcorn, czasami przychodzili sąsiedzi. To rozumiem.

Tessa uśmiechnęła się. Nie sądziła, że jeszcze ją na to stać.

- Wrodziłam się w ciebie. Też nie lubię oglądać telewizji. Wolę czytać.

- A ja robić quilty.

Tessa przypomniała sobie o zakupach.

- Zobacz, co dzisiaj znalazłam. - Otworzyła torbę i wyjęła opasłą książkę w lakierowanej okładce. - Podręcznik o tym, jak reperować stare quilty. Rozmawiałam z właścicielką sklepu, dała mi kilka dobrych rad, kupiłam też trochę rzeczy, które mogą się przydać. Mają tam swoją ekspertkę, powiedziała, że zawsze mogę przywieźć quilt, obejrzy go, powie co dalej.

- Oddasz go jej do reperacji?

Tessa zastanawiała się nad taką możliwością, ale nie przemawiała do niej myśl, że ktoś obcy miałby ją wyręczyć. Helen szyła poszczególne kwadraty, Nancy je połączyła, podszyła spód. Teraz kolej na nią, sama powinna zabrać się za naprawianie quiltu.

- Sama spróbuję. - Wydawało się jej, że dojrzała błysk aprobaty w oczach babki. - Najpierw muszę zobaczyć, co można zostawić, co wyrzucić i zastąpić nowym materiałem. Marylin, to ta ekspertka, radzi, żebym szukała kawałków podobnych do tych, które chcę wymienić.

- Chcesz użyć nowych materiałów?

- Jeśli będzie trzeba... Najpierw rozejrzę się za starymi, z lat dwudziestych i trzydziestych. Jak te, które wtedy kupowałaś. Jeśli będą wyglądały na zbyt nowe, trzeba je postarzyć, odebrać kolor.

- Spieranie w odplamiaczu osłabi tkaninę. Następne pokolenie znowu będzie musiało reperować wszystko od początku.

Tessa nawet nie próbowała przypominać babce, że nie będzie żadnego „następnego pokolenia” i że na niej kończą się geny Stoneburnerów.

- Marylin radziła, żebym zostawiła materiały na tydzień na słońcu i pozwoliła im spłowić.

Helen zmarszczyła się, jakby przemyśliwała, co usłyszała.

- Wygląda na to, że dziewczyna wie, o czym mówi.

W ustach Helen był to wyraz najwyższego uznania i Tessa odetchnęła z ulgą, że babka się nie burzy na jej pomysł.

- Pamiętasz, mówiłam ci, że znalazłam na strychu pudło z płóciennymi woreczkami. Może będzie można ich użyć do łatania quiltu. Jak myślisz?

- Myślę, że tak, ale mam mnóstwo starych materiałów. Na pewno znajdziesz coś odpowiedniego. Nie muszę ci chyba mówić, że nie lubię nic wyrzucać.

Tessa uśmiechnęła się.

- Nie musisz. Nie sędzę, żebyś...

- Co?

- Mówiłam Marylin, że jeden materiał powtarza się bardzo często, jasnoniebieski w białe paski. Trochę przypomina denim, ale jest delikatniejszy. Niektóre kawałki są jeszcze w zupełnie dobrym stanie, inne trzeba wymienić. Skoro powtarza się często, dobrze by było znaleźć coś zbliżonego, ale to może być trudne.

Helen nie odzywała się przez moment, w końcu powiedziała z westchnieniem:

- Mam go jeszcze trochę. Nie wyrzuciłam ani kawałeczka. I nie używałam go do żadnego innego. Być może ci wystarczy,

Tessa nie mogła wręcz uwierzyć, że babka wie, co bez mała siedemdziesiąt lat temu zrobiła z jakimś materiałem.

- Jakim cudem pamiętasz takie rzeczy? Nie powiesz mi, że masz w oczach każdy quilt i każdy materiał, jakiego używałaś?

- Ten akurat pamiętam bardzo dobrze. - Helen podniosła się z fotela. - Chodź. Pokażę ci.

- Dokąd mam iść?
- Na strych.
- Obudzimy mamę.
- Jeśli się obudzi, to trudno.

Tessa nie oponowała, uznawszy, że pora taka sama dobra jak każda inna, a może lepsza, bo na strychu powinno być teraz chłodniej, poza tym chciała czymś zająć myśli. Sięgnęła po torbę z restauracji.

- Przywiozłam trochę jedzenia. Włożę je do lodówki i zaraz przyjdę.

Helen miała właśnie otworzyć drzwi prowadzące na strych, kiedy ze swojego pokoju wyszła Nancy, przepasując biały jedwabny szlafrok w drobny rzucik z różowych różyczek.

- Coś się tu święci, ale mnie nikt nie zaprosił - powiedziała z urazą w głosie.

- Przepraszam, mamó, ale babcia coś chce mi pokazać na strychu - włączyła się Tessa. - To długa historia.

- Gdzie ty byłaś?

- Takie pytania zadawałaś mi w latach osiemdziesiątych.

- Martwiłam się o ciebie.

Tessa wyrecytowała słowo w słowo te same przeprosiny, które słyszała już babka, z równie dobrym skutkiem, bo Nancy trochę się udobruchała.

- Cieszę się, że wszystko w porządku. Widziałas się z Mackiem? Co u niego?

Tessa mogła opowiadać o wszystkim, tylko nie o spotkaniu z mężem.

- Widzieliśmy się przez chwilę. Zapracowany, jak zwykle. Przesyła wam pozdrowienia.

- Co chcecie oglądać na strychu? - Nancy zwróciła się teraz do matki.

- Chodź z nami i sama zobacz, albo nie. Zrób kawę, a ja przyniosę na dół to, po co idziemy.

Nancy zmarszczyła nos, jakby rozważała propozycję.

- Kawa? - mruknęła i ruszyła ku schodom wiodącym na parter, a Helen z Tessą weszły na strych.

Panował tu już względny porządek, tylko w ciemnych kątach ciągle czaiły się wielkie pudła, niczym potwory z opowieści

niesamowitych. Podłoga trzeszczała złowrogo pod stopami, cuchnęło stęchlizną i naftaliną.

- Nigdy nie lubiłam tego strychu - powiedziała Helen. - Powiem ci, że nie przychodzę tu po zmroku, jeśli nie muszę.

- Bawiłaś się tu czasami, jak byłaś mała?

- Nie bawiliśmy się w dzieciństwie, w każdym razie nie w tym sensie, jak myślisz. Wyglupialiśmy się przy robocie, to były nasze zabawy.

Na tym Tessie wyczerpały się tematy do konwersacji.

- Znajdźmy ten materiał i wracajmy na dół.

- Jest w tej skrzyni tutaj. - Helen wskazała na kufer, w którym przechowywała rzeczy osobiste Fate'a. Tessa bez trudu go rozpoznała.

- Na pewno? Myślałam, że tu są rzeczy twojego męża.

- I twojego dziadka. Nigdy nie myślisz o nim w ten sposób, prawda?

Nie, rzeczywiście nigdy nie myślała o nim w ten sposób. Nie znała Fate'a Henry'ego, mało, jej matka nie znała go również. Wydawało się, że sama Helen nie znała go najlepiej, w każdym razie jako dorosłego człowieka.

- Nie, nie myślę - przyznała. - Chociaż wiem, że powinnam. Dlaczego trzymasz materiał akurat w tej skrzyni, razem z jego rzeczami?

- Powiem ci, jak zejdziemy na dół. Twoja matka też będzie chciała posłuchać.

Jeszcze miesiąc temu Tessa miałaby wątpliwości, czy aby na pewno. Nancy całe swoje dorosłe życie poświęciła na pracowite wyrywanie własnych korzeni tkwiących w Shenandoah Valley, ale być może teraz chciałaby się dowiedzieć wreszcie czegoś o ojcu.

- Znajdziesz materiał na samym dnie. Tobie łatwiej się schylać niż mnie.

Tessa podeszła do kufra, podniosła wieko, zaczęła po kolei wyjmować leżące wewnątrz ubrania i drobiazgi, aż na samym dnie znalazła, wśród innych resztek, starannie złożony kawałek jasnobłękitnego materiału, mniej więcej jard, jak oceniała na oko.

Zamknęła kufer i podała materiał babce.

- Miałaś rację. Jak długo tu leżał?

- Ma więcej lat niż twoja matka.

Chciała zadać jeszcze inne pytania. Dzisiejszego wieczoru powinna zadawać pytania. Powinna pytać i pamiętać, że inni ludzie też mają swoje problemy, nie ona jedna cierpi. Powstrzymała się, wiedziała, że babka nie powie jej ani słowa więcej, dopóki nie zejda na dół.

W kuchni przywitał ich zapach parzącej się właśnie kawy. Nancy otworzyła puszkę z ciastkami. Rano przyniosła ją jedna ze znajomych pań z kościoła, do którego chodziła Helen.

- To miłe, że ludzie o tobie pamiętają, mamciu - powiedziała, stawiając puszkę na stole.

- Nigdy nie myślałam, że skończę jako jedna z tych, co to raz na kilka miesięcy rada parafianek podrzuca im ciasteczka albo doniczkę z kwiatkiem. Nie wyobrażałam sobie siebie w takiej roli.

- Nic nie wiem na temat kwiatków, ale ciastka wyglądają wspaniale. - Tessa wzięła jedno i nadgryzła. - Z kawałkami czekolady. - Ulubione ciastka Kayley, pomyślała ze smutkiem.

Nancy postawiła na stole kubki, dzbanuszek z mlekiem, dzbanek z kawą.

- Cieszę się, że nie śpicie. Ja nie mogłam usnąć.

- Jeśli chcesz narzekać na upał, to sobie daruj - ostrzegła ją Helen.

Nancy usiadła.

- Teraz, kiedy wymieniliśmy i poreperowałyśmy siatki, upał już mi tak nie przeszkadza. Poza tym, jak znowu będę miała uderzenia gorąca, mogę sobie powiedzieć, że to pogoda, a nie wiek.

- Masz uderzenia gorąca? - zainteresowała się Tessa.

- Dlaczego pytasz? Liczyłaś jeszcze na siostrzyczkę albo braciszka?

Tessa omal nie udławiła się ciastkiem.

- Przestałam liczyć trzydzieści lat temu. Ale skoro już o tym mówimy, zawsze się zastanawiałam, dlaczego nie miałaś więcej dzieci.

- Ty się zawsze zastanawiałaś, a mnie się zawsze wydawało, że mam jeszcze mnóstwo czasu, aż pewnego dnia zorientowałam się, że już za późno.

Tessie to wyjaśnienie zabrzmiało zbyt zdawkowo, ale nie chciała drażnić tematu. Matka i tak powiedziała więcej, niż można było oczekiwać.

- A ja myślałam, że nie jesteś dość pewna swojego małżeństwa - wypaliła Helen.

Nancy przymknęła oczy i pokręciła głową.

- Jak ty coś powiesz...

- Nie mam już czasu na zabawy w subtelności. Jak jest coś do powiedzenia, trzeba to mówić teraz.

W Tessie, jak zwykle, obudziła się rozjemczym.

- W takim razie powiedz nam coś o sobie, babciu. Opowiedz nam o tym niebieskim materiale. - Tessa streściła matce rozmowę w sklepie z quiltami i rozmowę z babką po powrocie do domu.

- Jesteście pewne, że chcecie posłuchać? - zapytała Helen. - To będzie długa opowieść.

- Mamy zapas ciastek i kawy - uspokoiła ją Nancy.

- Od kiedy to jesz słodczy?

- Nie palę, prawie nie piję, muszę mieć jakąś pociechę, jeśli mam wytrzymać z tobą całe lato. - Nancy sięgnęła po kolejne ciastko.

Helen usadowiła się przy stole, najwyraźniej spieszno jej było zacząć snuć swoją opowieść.

- Domyślcie się, że niebieski materiał ma związek z Fate'em, inaczej nie trzymałabym go w jego skrzyni.

- To logiczne - przytaknęła Tessa.

- Nie wiecie natomiast, że dał mi go w prezencie, kiedy miałam dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat w tamtych czasach to był już poważny wiek, w każdym razie poważniejszy niż teraz. Nie byłam ładna, ale niektórym się podobałam. Ale mnie podobał się tylko jeden, żaden inny, tylko że on nie miał mi nic do ofiarowania. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Tessa zamknęła kubek w dłoniach, przyglądała się babce. Godzinę temu nie wiedziała, czy jest w stanie dalej funkcjonować. Teraz, siedząc przy wspólnym stole z matką i babką w pachnącej kawą kuchni, trochę pogodniej spoglądała na świat.

Zastanawiała się, czy tego właśnie brakowało Mackowi? Troski o kogoś i poczucia, że ktoś się o mnie troszczy i to tylko dlatego, że zostaliśmy rzućni w tą samą przestrzeń i ten sam czas, że dzielimy się nawzajem swoimi opowieściami, odkrywamy zapomnianą przeszłość, więzy krwi? Tego Mack potrzebował, po prostu?

Ona też?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

1940 rok

Delilah w ostatnich latach bardzo osłabła, były dni, kiedy rano nie mogła podnieść się z łóżka. W 1938 roku panująca w dolinie szkarlatyna zabrała dwoje dzieci i staruszka mieszkającego nad rzeką. Delilah, a i ją dopadła choroba, wyszła co prawda ze szkarlatyny, ale już nie wróciła do sił.

Piła herbatki ziołowe, skorzystała nawet z pomocy znachorki z Lower Fitch; ta stanęła tuż za plecami Delilah i wypowiadała zaklęcia, które brzmiały jak zaczerpnięte wprost z Biblii. Potem kazała chorej zasiać w ogródku przy drzwiach kuchennych okazałą serduszkę. Zaklęcia nie pomogły, a kwiaty zmarniały, bo Delilah nie miała siły ich pielęgnować.

Cuddy w końcu pożyczył pieniądze i zawiózł żonę do lekarza do Waszyngtonu, ale doktor rozwiął wszelkie nadzieje. Serce jest chore, powiedział, i tylko cud mógłby uleczyć Delilah.

Miesiące zamieniły się w lata, Delilah ciągle niedomagająca; Helen i bracia przejęli większość jej obowiązków. Słaba i bladziutka nadal gotowała obiady i kolacje, trochę sprzątała. Helen przygotowywała śniadania, dbała o warzywnik, sama albo z pomocą ciotek robiła przetwory, karmiła świnię i kury, doila krowy, prała i prasowała.

Była już kobietą, ale nie miała czasu zastanawiać się, co to oznacza. Do domu zaglądali kawalerowie, rozmawiała z nimi po kościele, także wtedy, kiedy robiło się razem po sąsiedzku moszcz jabłkowy lub na świniobiciach. O przyszłości nie myślała, cała jej przyszłość to było Toms Brook i pielęgnowanie matki.

Był jeszcze inny powód tej cierpliwości; niewielki obszar świata, w którym się poruszała. Inne dziewczęta skarżyły się na odosobnienie, brak okazji do spotykania obcych kawalerów. Chłopcy, których znały od dzieciństwa, nie interesowały ich, wyglądały za tymi, których nie znały. Helen wszyscy chłopcy byli jednakowo obojętni. Wiedziała, kogo pragnie.

Musiała tylko przekonać Fate'a Henry'ego, że jednak ma jej coś do zaofiarowania.

W wigilijny poranek Delilah pojawiła się w kuchni i zaczęła przeganiać Helen.

- Lepiej się dziś czuję, Lenny. Sama zrobię peanut brittle (Peanut brittle - tradycyjny przysmak świąteczny: gęsta masa z fistaszków,

cukru, syropu kukurydzianego, masła, sody, podawana na zimno, a przygotowywana na gorąco w grubym rondlu - przyp. tłum.). Powiedziałam, że zrobię, to zrobię.

Helen odsunęła się od pieca. Matka wyglądała jeszcze bardziej blado niż zwykle, ale darmo by ją namawiać, żeby wróciła do łóżka. Co roku na święta

przygotowywała peanut brittle, nawet w najcięższych latach wielkiego kryzysu, zanim jeszcze Cuddy zaczął pracować w sklepie. Fistaszki przysyłali krewni z południowo - wschodniej Wirginii, cukier miała zaoszczędzony, bo po troszku odsypywała przez cały rok, aby był na Boże Narodzenie. W domu nigdy nie było pieniędzy na fikuśne prezenty, ale Delilah starała się zaznaczyć jakoś ten uroczysty czas.

- Myślałam, że mi pozwolisz. Powinnam się nauczyć, prawda?

- Potrafisz zrobić brittle z zamkniętymi oczami, a ja mam już dość tego leżenia w łóżku. Nigdy nie myślałam, że tak zniedołężnieję, że będę do niczego. Jak ta kura, co się przestała nieść.

- Nie mów tak, mamciu. Nie jesteś do niczego. Musisz tylko dużo odpoczywać, aż ci się polepszy.

Delilah spojrzała córce prosto w oczy.

- Akurat. Obie wiemy, że to nieprawda i czas przestać udawać. Jestem coraz słabsza, lekarstwa, co mi je doktor przepisał, już nie pomagają. Nie wiem, czy to nie ostatnie moje święta z wami, więc pozwól mi stanąć jeszcze ten raz przy garnkach i coś zrobić.

Nigdy jeszcze Delilah nie powiedziała tak wprost o zbliżającej się śmierci.

- Nie polepszy ci się, jak nie będziesz wierzyła, że wrócisz do zdrowia.

Delilah uśmiechnęła się słabo.

- Bóg już na mnie czeka, Lenny. Mówi mi, żebym uporządkowała swoje sprawy na ziemi. Dał mi jeszcze te święta i chcę ich zakosztować.

Helen łzy cisnęły się do oczu, ale matka zrugałaby ją, że beczy.

- Nikt nie robi takiego dobrego brittle, jak ty. Nie będę się wtrącać, chociaż wiem, że nie masz racji i nie odejdziesz od nas tak szybko.

- Idź, ubierz drzewko. Twój ojciec bardzo jest z niego dumny. Ściął najładniejsze, jakie udało się znaleźć. Przynieś ozdoby ze strychu i przystrój je jak należy.

Z ciężkim sercem Helen powlokła się na strych. Co by nie mówiła, wiedziała, że matka ma rację. Delilah była chudziutka jak szczapa, ręce trzęsły się jej tak bardzo, że już nie szyła kwadratów do quiltów, ale przy ramie jeszcze pracowała, bo mogła oprzeć na niej nadgarstki. Kwadraty komponowała teraz Helen, a matka zszywała potem quilty w jedno.

Wszystkie, z wyjątkiem ślubnego. Ten Helen chciała od początku do końca uszyć sama. Dwie trzecie owalnych elementów miała gotowe. Pracowała nad nimi od kilku lat, trwało to tak długo, bo nie każdy materiał znajdował uznanie w jej oczach, wybierała tylko najładniejsze, albo takie, które miały dla niej znaczenie sentymentalne. W pewnym momencie zorientowała się, że wszystkie owale mają skrawki w różnych odcieniach błękitu; teraz potrzebowała błękitnego materiału łączącego kompozycję w całość, do wypełnień między owalami i na bordiurę.

Nie spieszyła się, bo ten, za którego chciała wyjść, nie poprosił jej jeszcze o rękę.

Odnalazła na strychu pudło z ozdobami na choinkę. Nie było tego wiele. Gwiazdy z cynfolii, które robiła razem z Tomem, dzwoneczki z bibułki, które przed rokiem dostali od panny Obeda, Dorothy, trzy duże bombki z Niemiec, które Obed kupił w prezencie dla matki, i maleńka szopka wystrugana przez Cuddy'ego.

W tym roku Helen przygotowała niespodziankę dla Delilah. Wieczorami, kiedy Delilah szła do łóżka, szyła maleńkie patchworki z jej ulubionymi wzorami, do powieszenia na choince. Wiedziała, że matka się ucieszy.

W te swoje ostatnie święta.

Helen przysiadła na pudłach, ukryła twarz w dłoniach. Nie chciała pogodzić się ze słowami matki, ale wiedziała, że są prawdziwe. Co pocznie, kiedy zabraknie matki?

Kiedy Obed, który pracował teraz poza Fitch Crossing, ożeni się z Dorothy, oboje zamieszkają na farmie. Helen lubiła swoją przyszłą bratową i wiedziała, że pracowita, sumienna Dorothy zadba z pewnością o Cuddy'ego i dom. Obed i Tom zajmą się uprawą ziemi, która i tak kiedyś przejdzie na nich. Każdy z nich miał smykałkę do

czego innego, świetnie się dopełniali, co oznaczało, że gospodarstwo będzie w dobrych rękach.

A ona? Jak sobie poradzi bez matczynego wsparcia i matczynej miłości?

Otarła oczy, z pudłem w ramionach zeszła na parter i skierowała się do bawialni.

Na środku pokoju stał Fate Henry, mnąc w dłoniach kapelusz, jakby się bał, że zaraz zostanie wyrzucony z domu.

- Witaj, Fate.

- Wpadłem, bo chciałem pożyczyć tę nową siekierę Toma. Pokażę wujowi Samowi, żeby kupił taką samą.

Helen nie dała się nabrać na to tłumaczenie. Sammy Claiborne był takim skąpiradłem, że prędzej by obgryzł pień drzewa niczym borsuk, niż wydał dolara.

- Tom na pewno ci ją pożyczy. Będzie dumny, że znalazła uznanie w twoich oczach.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Patrzeć na Fate'a to była sama przyjemność: wysoki, szczupły, szeroki w ramionach. Ciemne kręcone włosy, wysokie czoło, wyraziste zielone oczy z długimi rzęsami. Nie było w okolicy dziewczyny, która by się za nim nie oglądała, ale Fate na żadną nie zwracał uwagi.

Może z wyjątkiem Helen.

- Co u ciebie? - zapytała.

- Dziękuję. A ty, jak się miewasz?

- Dobrze. - Wskazała na pudło. - Chcę ubrać choinkę. Macie w tym roku choinkę?

- Wujek Sammy mówi, że niepotrzebne nam żadne drzewko, ale ja myślę, że nie ma czasu iść do lasu i ściąć świerczka, a Gusa częściej nie ma w domu jak jest. Raz sam przyniosłem drzewko, ale nie było go czym ubrać.

Helen wiedziała, że Fate nie miał szczęśliwego życia u Claiborne'ów. Nie był dla nich ani synem, ani najmitą - kimś pośrodku, bez żadnych praw należnych jednemu i drugiemu. W podziale majątku go nie uwzględniali, ale i nie płacili tyle, co musieliby płacić obcemu. Był im wdzięczny, że go przygarnęli, ale Helen czuła, że tęskni za prawdziwym domem i za miłością.

Chciała mu to ofiarować, jeśli tylko jej pozwoli.

- Zostań i pomóż mi ubierać nasze drzewko - zaproponowała. - To nie potrwa długo. Kilka minut wszystkiego.

- A nie będę przeszkadzał?

Wstrzymała oddech. Była pewna, że Fate odmówi, wykręci się jakoś, a on chce zostać...

Chwyciła pudło, żeby czymś się zająć, ale Fate wyjął jej to pudło z rąk.

- Skądże. Nie będziesz przeszkadzał. Przyda mi się pomoc. Muszę jeszcze przynieść coś z góry, a ty możesz już wyjmować, co jest tutaj.

Kiedy wróciła po kilku minutach z patchworkami dla matki, wszystko leżało na podłodze, porządnie ułożone: gwiazdy osobno, bombki osobno, lameta... Fate obracał w dłoniach szopkę, jakby niczego podobnego nigdy w życiu nie widział.

- W Oklahomie każdego roku mieliśmy choinkę.

- Podniósł głowę i uśmiechnął się. - Niewiele co było na niej powiesić, ale i tak ładnie.

- Wolałeś mieszkać w Oklahomie niż w Wirginii?

- Tam też nie był mój dom.

- Tu jest twój dom, Fate. Tyle że nie u Claiborne'ów. Musisz w końcu mieć własny.

Znowu się uśmiechnął.

- Co przyniosłaś?

Helen nieśmiało otworzyła dłonie i pokazała mu maleńkie patchworki.

- Nic wielkiego, ale sama uszyłam. Dla mamci.

Fate wziął jeden do ręki.

- Jakbyś je zeszyła razem, byłby quilt dla lalki.

- Lubię robić quilty, najbardziej ze wszystkiego właśnie to lubię.

- Dużo ich już zrobiłaś?

- Sporo. - Nie potrafiła potem powiedzieć, skąd wzięła się w niej nagle śmiałość, ale dodała: - Szyję ślubny quilt. Będzie już ładnych parę lat, jak go zaczęłam. Taki ze splecionymi obrączkami. - Starła się nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie.

- Czemu tak długo?

- Używałam tylko materiałów, które coś dla mnie znaczą. A teraz czekam aż uzbieram pieniądze, żeby kupić taki niebieski, co go mają

w sklepie w Toms Brook, Dużo go będę potrzebowała, to pewnie nieprędko kupię. - Wzruszyła ramionami.

- Niebieski?

Materiał był śliczny, błękitny jak jajko rudzika, w delikatną białą kratkę. Przy okazji każdego wyjazdu do miasta zaglądała do sklepu z nadzieją, że może przecenili jej materiał. Ale nie przecenili i nie mogła sobie pozwolić na jego kupno, chociaż Delilah jej przykazała, żeby sobie ciułała wszystkie pieniądze ze sprzedaży jajek. Gdyby miała go użyć na podbicie quiltu, a tak sobie wymarzyła, potrzebne by jej było sporo jardów, a jeden jard kosztował czternaście centów, prawie dwa razy tyle co zwykły materiał na sukienkę.

- Poczekam - powiedziała. - Taka moja głupota. Ale też nie spieszy mi się, bo na razie nie wybieram się za męża.

Zaczęła rozwijać bombki, Fate jej pomagał. Rozmawiali o tym, gdzie którą powiesić i co się teraz dzieje w Europie, że Anglia przystąpiła do wojny z Niemcami, i czy jutro będzie dość śniegu na sanie, ale Helen bała się, że to, co powiedziała o ślubnym quilcie, tak wystraszyło Fate'a, że już nigdy nie pokaże się na farmie i ten lęk popsuł jej całą radość z jego wizyty.

Poranek pierwszego dnia świąt sam w sobie był jak prezent. Helen nie wiedziała, czy matka powiedziała Tomowi i Obedowi to samo co jej i czy Cuddy bez mówienia wiedział, że dni jego żony na tej ziemi są policzone, ale tak czy inaczej, wszyscy starali się okazywać sobie jeszcze większą serdeczność, jeszcze większy szacunek.

Tom i Obed wyrosli na mocnych, porządnych chłopaków. Jeśli kiedyś Obeda trzymały się głupstwa, to wywietrzały mu dawno z głowy z powodu ciężkiej pracy i dzięki pięknej kobiecie, którą pokochał. Przy śniadaniu ogłosił, że wieczorem będzie prosił ojca Dorothy o jej rękę. Helen upiekła na śniadanie ciasto orzechowe, które rodzina zmiotła do ostatniego okruszka, po czym zaczęło się rozdawanie czekających pod choinką prezentów.

Były pomarańcze, peanut brittle i karmelki dla każdego. Tom zrobił dla matki nową deskę do krojenia i taką samą dla Helen, do jej skrzyni wyprawnej. Obed kupił obydwu paniom po buteleczce wody kolońskiej, a Cuddy zlew, z odprowadzeniem wody, żeby nie wylewać pomyj wiadrami, i obiecał go zainstalować przed Nowym Rokiem.

Helen dała ojcu i braciom koszule, które sama uszyła z materiału wytargowanego za jajka i mleko. Delilah i Mavis upiekły dla każdego małej keks.

- Dobre mamy święta - powiedziała Delilah, kiedy skończyło się obdarowywanie prezentami.

- Jesteśmy bogaci w to, co najważniejsze.

Helen czuła podobnie, ale brakowało jej do szczęścia jednej osoby, Fate'a Henry'ego. Miała nadzieję, że Fate ich odwiedzi. Cały dzień przez dom przewijali się goście, ale on nic nie powiedział, kiedy poprzedniego dnia ubierali choinkę. Żałowała, że go nie zaprosiła, ale po opowieściach o ślubnym quilcie bała się, że jeszcze bardziej go wystraszy, bo Fate był cichy i okropnie nieśmiały. Tak nieśmiały, że chyba musiałaby go spytać wprost, co do niej czuje, ale wtedy już na pewno wziąłby nogi za pas.

Nalewała właśnie gorący cydr do dzbana, kiedy usłyszała dzwoneczki przed domem, potem trąbkę i wesołe głosy:

- Kolędnicy! Kolędnicy!

- Ze dwa lata tego nie słyszałam - powiedziała Delilah, patrząc na córkę. - Nie stój tak, biegnij i wpuść ich.

- Ale cydr...

- Ja się zajmę cydrem. Biegnij.

Kiedy wybiegła do sieni, ojciec był już przy drzwiach.

- Wpuścisz ich, tato, prawda? - zawołała. Cuddy odwrócił się z uśmiechem na twarzy.

- Czemu miałbym ich wyrzucać?

- Żeby nie przeszkadzali mamci.

- Mama tylko się rozweseli. Dobrze jej to robi.

- Otworzył drzwi. W progu stało ośmiu przebierańców. - Wchodźcie, wchodźcie - zaprosił potwory, otwierając szerzej drzwi.

- Wiecie, kim jesteśmy? - zapytał jeden niskim głosem.

- Może wiemy, może nie. - Cuddy spojrzał na córkę. - Helen, jak myślisz?

Wszyscy mieli maski i kapelusze wciśnięte głęboko na czoło, ale Toma rozpoznała od razu, po starej koszuli, tak czymś wypchanej, że omal nie pękła na szwach.

- Nie wiem, co to za jedni. Żadnego nie znam - odparła, powściągając uśmiech.

- Wchodźcie, idźcie prosto do bawialni. Niech wszyscy zgadują, coście za jedni.

Rozpoznani kolędnicy po kolei zdejmowali maski. Helen zidentyfikowała Jacoba Sommesa, przyjaciela Obeda. Potem ujawnił się Tom i Obed. Delilah rozpoznała Dorothy, która ze śmiechem ściągnęła maskę.

Gusa wskazała Helen. Został już tylko jeden przebieraniec i mocniej zabiło jej serce. Domyślała się, kto kryje się pod czarną maską.

- Zgaduj, Lenny - zachęcał ją Tom.

- Myślę, że to Fate Henry - powiedziała, dotykając wypchanego jak dynia kostiumu. Już myślała, że się pomyliła, bo przebieraniec stał bez ruchu, dopiero po chwili ściągnął maskę i zobaczyła twarz Fate'a.

Wszyscy zaczęli się śmiać i klaskać, rozmawiać jedno przez drugie, sięgać po cydr, tylko Fate się nie ruszał i patrzył na nią.

- Możesz wyjść na chwilę ze mną?

Helen spojrzała niepewnie na matkę, ta zrobiła ponagląjący gest. W tej samej chwili Cuddy podszedł do chłopców; zapraszał ich na samogon do stodoły, zgodnie z utartym zwyczajem.

- Idź z chłopcami. Tata zabiera ich do stodoły na szklaneczkę domowej whisky. Nie szkoda ci?

- Wolę wyjść z tobą. Serce Helen zabiło mocniej.

- Poczekaj, założę palto. Tobie ciepło w tym przebraniu, ale ja nie chcę zmarznąć.

- Czekam na ciebie przed domem.

- W ilu domach byliście? - Zapytała, kiedy dołączyła do niego po kilku minutach. Starła się przybrać swobodny ton, ale język kołkiem stawał w ustach.

- Tylko w kilku. Obed chciał, żebyśmy się pokazali twojej mamie, że... - Odwrócił głowę.

- Że chora - dokończyła Helen. Nie była w stanie przyznać głośno, że matka umiera.

- Uhu. Podobało się jej, prawda?

- Na pewno. - Helen nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Co mężczyźni i kobiety mówią sobie w takich razach? Mogła rozmawiać o karmieniu kurcząt, sprzątaniu, o tym, jak krochmalic

niedzielne koszule. O czym jeszcze? A o czym rozmawiali Delilah i Cuddy, kiedy byli sami?

- Udane miałaś święta? - zapytał.

- Udane. A ty, Fate? Szkoda... Szkoda, że nie przyszedłeś wcześniej. Chciałam cię zaprosić, ale nie wiedziałam, czy...

- Czy co?

- Czy nie pomyślisz, że się narzucam.

Uśmiechnął się i w tej samej chwili zza domu wystrzeliła w niebo pierwsza petarda. Helen podskoczyła, przestraszona, otarła się o Fate'a i poczuła jego dłoń na ramieniu.

- Nie spodziewałaś się?

- Nie. Teraz kury przez cały wieczór będą niespokojne. - Podniosła wzrok i zobaczyła, że Fate zbliża usta do jej ust.

Nikt nie musiał jej mówić, co ma robić. Przysunęła się do Fate'a, uniosła twarz, zamknęła oczy...

- Teraz mogę powiedzieć, że mam udane święta - powiedział, odsuwając się po chwili.

- Fate... - Była oszołomiona, szczęśliwa.

- Mam coś dla ciebie. Prezent. Poczuła, że zaraz się rozplacze.

- Nie musiałeś. Ja nie myślałam...

- Wiem, Helen. Nie dałem ci żadnych powodów, żebyś myślała tak albo inaczej, ale to nie znaczy, że nie chciałem. Tylko że...

- Myślisz, że nie możesz się żenić. Fate skinął głową.

- Ale to się zmieni. Najpierw otwórz prezent, a potem ci powiem... jak.

- Dobrze, za chwilę... ale musisz na mnie poczekać... Tylko wpadnę do domu i zaraz wracam. Poczekaasz?

- Nigdzie się nie wybieram.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu, do swojego pokoju. Wróciła, ukrywając coś za plecami.

- Kto pierwszy? - zapytała. - Ty.

Podawała mu wełniane skarpety, które dla niego zrobiła, wierząc, że może któregoś dnia będzie mogła mu je dać.

- Ta wełna to z owiec pani MacNamara. Sama ją przędła. Naprawdę ciepłe, a twoje buty nie wyglądają na takie ciepłe jak powinny.

Fate uśmiechnął się.

- Zwracasz uwagę na moje buty?

- Zwracam uwagę na wszystko. Przyłożył skarpety do policzka.
- Mięciutkie. Nigdy nie miałem takich miękkich. Była taka szczęśliwa, że z tego szczęścia nie wiedziała, co mówić.

- A teraz coś dla ciebie. - Fate sięgnął za pazuchę, długo szperał pod kostiumem, tak niezdarnie, że zachichotała i własny chichot ją zdumiał. Gdzie się tego nauczyła?

Wydobył zawiniątko zapakowane w szary papier i przewiązane sznurkiem.

- Część kostiumu?

- Otwórz i zobacz.

Była zbyt podniecona, żeby poradzić sobie z supłami. Fate musiał jej pomóc.

Rozwinęła papier i zobaczyła całe jarde błękitnego materiału, który sobie wymarzyła do swojego quiltu. Ślubnego quiltu.

- Chcę, żebyś go skończyła - powiedział cicho. - I żebyś myślała o mnie, jak będziesz go szyła.

Spojrzała na niego przez łzy.

- Fate, tyle pieniędzy. To taki drogi materiał.

- Dałbym ci wszystko, Helen. Dam. Jeśli... jeśli mi pozwolisz.

Tym razem to ona pocałowała jego i Fate przytulił ją do swojego śmiesznego kostiumu, w którym wyglądał jak dynia, a który Helen wydał się najbardziej romantycznym kostiumem na świecie.

- Wyjdiesz za mnie?

- Wiesz, że wyjdę.

- Musisz wiedzieć, co sobie obmyśliłem. Wiesz, że tu nie mam czego szukać. Nie chcę być przez całe życie robotnikiem na farmie.

Skinęła głową i czekała.

- Zaciągnę się do marynarki. Rozmawiałem już z nimi, powiedzieli, że mnie wezmą. Z początku będziemy rozdzieleni, ale potem przyjedziesz do mnie i zamieszkamy razem, tam, gdzie będę stacjonował. Zobaczysz świat. To jedyny sposób dla mnie, żeby kimś być i stworzyć ci dom, na jaki zasługujesz. To będzie nasz własny dom.

- Nie mogę zostawić mamci, Fate. Nie mogę wyjechać. Nie teraz.

- Nie musisz. Zostaniesz z nią, dopóki... nie będziesz jej już potrzebna. Ja tymczasem zostanę skierowany do jednostki, potem ty przyjedziesz do mnie.

- Chciałabym, żeby była na moim ślubie. Nie chcę czekać, aż...

Fate dotknął jej policzka.

- Więc pobierzmy się jak najszybciej. Jak tylko skończę szkolenie. Będziemy małżeństwem, tylko nie będziemy na razie mieszkać razem.

Plan wydawał się tak prosty i doskonały. Helen nie przewidywała żadnych komplikacji. Wyjdzie za człowieka, którego kocha. Fate będzie marynarzem, ona zostanie w domu, będzie się opiekować Delilah.

Za jakiś czas, kiedyś, zamieszkają razem. Będzie z nim jeździła po świecie, poznawała nowych ludzi, będzie miała życie, o jakim nawet nie śniła.

Wiedziała, że Fate'owi się powiedzie. Był pracowity, inteligentny, zdecydowany. Otwierało się przed nimi szczęśliwe życie.

- Kiedy masz się zgłosić?

- Za dwa dni.

Wcześniej niż sądziła, za szybko, by zaplanować nawet najszybszy ślub.

- Kiedy skończysz szkolenie?

- Mówią, że za trzy miesiące.

- Zostaniesz dość długo, żebyśmy zdążyli się pobrać?

- Wystarczy kilka minut, żeby powiedzieć „ślubuję”.

- Ślubuję - powtórzyła. - Tak, chcę wyjść za ciebie.

Objął ją, niebo rozświeciły petardy, a przed dom wysypali się goście, żeby pogratulować młodym. Fate pocałował ją raz jeszcze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Początkowo Mack chciał spotkać się sam z sędzią, który orzekał w procesie Owensa. Znali się, uczestniczyli kilka razy w akcjach zbierania pieniędzy dla swojej partii, mieli wspólnych znajomych. Mack nie prowadził praktyki na terenie Wirginii i mógł kontaktować się prywatnie z sędzią, nie budząc niczyich podejrzeń. Avery Lutz zaproponował porę śniadania i zapytał, czy Tessa również będzie.

Mack nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział: tak.

Myślał, że przyjedzie do miasta wieczorem na dzień przed spotkaniem, ale wymówiła się; miała towarzyszyć babce na kolacji wydawanej z okazji którejś tam rocznicy powstania ochotniczej straży pożarnej w Toms Brook. Obiecała przyjechać wcześniej rano, jeszcze przed godzinami porannych korków i rzeczywiście: Mack nie zdążył jeszcze wstać, kiedy się pojawiła. Usłyszał otwieranie drzwi, kroki w holu. Tak jak się spodziewał - nie weszła do ich sypialni.

Wstał, ogolił się, wziął prysznic i ubrał. Dochodziła dopiero siódma, a on nie spał już od ponad godziny. Nie potrafił powiedzieć, ile spał tej nocy, ale Tessa spała z pewnością jeszcze mniej.

Kiedy wszedł do kuchni, poczuł zapach świeżo parzonej kawy i był to chyba jedyny ciepły akcent w skądinąd zimnym, urządzonym minimalistycznie domu. Czasami tęsknił za kanapami z kolorowymi poduchami, kwiatami, jakąś kolekcją secesyjnego szkła albo choćby muszli.

Kuchnia nie przedstawiała się lepiej od innych wnętrz. Całkowicie proste szafki z drewna klonowego, blaty z czarnego granitu, sprzęty z matowanej stali. Kiedyś kupił magnesy na lodówkę. Były to tandetne wzory z plastiku: jakieś banany, jabłka, pomidory, truskawki, i w ostatniej chwili schował je do biurka, speszony doskonałością stalowej powierzchni lodówki.

Dom wyglądał zupełnie inaczej, kiedy żyła tu Kayley.

- Napijesz się kawy? - zapytała Tessa. Sprawiała wrażenie odprężonej, spokojnej. Nikt nie powiedziałby, że cały jej świat zależy od decyzji Avery Lutz.

- Może się ocknę.

Patrzył, jak Tessa ujmuje kubek w dłoń, napełnia, dodaje mleka; każdy ruch płynny, pełen gracji, doskonale wyważony.

- Kawa ci się za chwilę skończy.

- Wszystko się kończy. Prawie nie jadam w domu.

- Gotowanie dla jednej osoby jest trochę kłopotliwe.

To akurat mu nie przeszkadzało. Po prostu nie chciał sam jeść posiłków w pustym, zimnym domu.

- Co u ciebie, Mack? - Usiadła na stołku przy wyspie, stopy oparła na dolnej poprzeczce.

- Praca.

- Tak dużo macie spraw?

- Za dużo. Nie dajemy sobie już rady. Chcemy zatrudnić jeszcze jednego aplikanta.

- To dobrze.

- Dla nas tak, ale nie dla ludzi, którzy przychodzą do nas ze swoimi problemami.

Tessa powoli sączyła kawę. Najwyraźniej skończyły się jej tematy do niezobowiązującej porannej pogawędki.

- Co słysząc w Fitch Crossing? - zapytał, by powiedzieć cokolwiek.

- Znalazłyśmy jeszcze jedną puszkę z pieniędzmi. Babcia była zachwycona. Jakby naprawdę znalazła skarb. Czasami myślę, że ona udaje przed sobą, że to nie jej pieniądze. Dzięki temu ma jeszcze lepszą zabawę.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że za trzy dni minie miesiąc od wyjazdu Tessy do Tom Brooks. Tak długo się nie widzieli i tak mało mieli sobie do powiedzenia.

- Chcesz tam zostać na sierpień? Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Ciągłe jest jeszcze mnóstwo do zrobienia. Jeśli babcia zdecyduje się przenieść do mamy do Richmond, dom musi być w stanie nadającym się do sprzedaży. Jeśli zostanie, też trzeba wszystko doprowadzić do stanu używalności. I znaleźć kogoś do pomocy. Nie może mieszkać sama.

- Nie spodoba się jej to.

- Wiem, ale nie ma innego wyjścia.

Mack oparł łokcie na blacie, nachylił się do żony.

- Avery uprzedzał mnie, że bym nie liczył na wiele. Zgodził się z nami spotkać, ale decyzja już zapadła.

Po raz pierwszy na jej twarzy odmalowały się jakieś emocje.

- Jak mogą wypuszczać tego potwora? Żeby zabił następne dziecko?

Co mógł na to odpowiedzieć? Prawo obowiązujące w Wirginii było wyjątkowo surowe, sędziowie skłonni orzekać wyższe niż niższe wyroki, ale jaki wymiar sprawiedliwości nie dałby drugiej szansy młodemu chłopakowi, który w zakładzie sprawował się bez zarzutu i aktywnie przykładał do programu resocjalizacyjnego.

- Nie mów mi tylko, że zgadzasz się z tą decyzją - natarła na niego Tessa, kiedy nie odpowiedział na jej retoryczne pytanie.

- Gdyby to ode mnie zależało, skazałbym go na całą wieczność i jeszcze jeden dzień, ale to mówi ojciec, nie sędzia.

- Czy Lutz zechce nas wysłuchać? Czy interesuje go to, co mamy do powiedzenia? Mam ze sobą zabrać zdjęcia maleńkiej Kayley?

- Mam jeszcze jakieś zdjęcia maleńkiej Kayley? Nie wiedziałem...

Tessa nie odpowiedziała. Podniosła się, wstawiła swój kubek do zlewozmywaka, wymyła go i dopiero po chwili się odezwała:

- Postaram się go przekonać. Mam nadzieję, że mi pomożesz.

Chciał ją objąć, przeprosić za złośliwość, ale wiedział, że tylko bardziej ją zdenerwuje.

- Owszem, pomogę, ale nie spodziewaj się, że zmieni zdanie. Avery Lutz doskonale pamięta tę sprawę, nie powiemy mu nic nowego. Jeśli zapadła decyzja o zwolnieniu warunkowym, nic nie zdołamy wskórać.

Po śniadaniu z sędzią Lutzem Tessa miała ochotę wsiąść do samochodu i wracać prosto do domu babki, ale że przyjechali na spotkanie samochodem Macka, była uzależniona od niego. Poza tym nie mogła wyjeżdżać bez słowa, powinni porozmawiać. Jeśli mieli jeszcze ratować swoje leżące w gruzach małżeństwo, powinni porozmawiać o tym, co się stało.

W drodze z restauracji żadne z nich się nie odezwało. Mack odezwał się pierwszy, kiedy wyłączył silnik na podjeździe przed domem.

- Przykro mi. Naprawdę mi przykro. Nie wierzyłem, że ta rozmowa coś da, a mimo to jestem zawiedziony.

- Nie sprawiałeś wrażenia zawiedzionego, kiedy ci mówił, że sprawa nie jest już w jego gestii. Byłeś bardzo rozsądny, pełen zrozumienia. Można by pomyśleć, że wręcz zgadzasz się z tą decyzją.

- Zgadzałbym się, gdyby Owens nie zabił mojej córki.

- Może powinieneś być zaakcentować to ostatnie zdanie. Powiedzieć, że Owens jest mordercą.

Mack odpiął pas, ale nie wysiadał jeszcze.

- Owens nie jest mordercą, nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nikogo nie chciał zabić.

- Tylko upił się do nieprzytomności i siadł za kierownicą. Nie chciał zabić? Co w takim razie zamierzał? Zatrzymywać się na każdym świetle? Łagodnie brać zakręty i nie przekraczać dozwolonej szybkości?

- Nic nie zamierzał. Pijacy nie planują. Mają zaburzoną zdolność oceny sytuacji. Nie pamiętają, jak się nazywają i gdzie mieszkają.

- Każdy to wie, Mack. Robert Owens, sięgając po alkohol, musiał zdawać sobie sprawę z konsekwencji. Tymczasem siadł za kierownicą. Nie mów mi, że nie jest mordercą.

- Nie będę sprzeczał się z tobą na temat subtelności w prawnych terminologiach. Decyzja zapadła i musimy ją uznać. Nic nie możemy zrobić.

- Możemy. Za jakiś czas możemy zakreślić sobie na czerwono informację w gazecie, że niejaki R.O. zabił dziecko, prowadząc po pijanemu.

- Zabrali mu prawo jazdy. Nie odzyska go tak prędko...

- Myślisz, że to go powstrzyma? - Tessa podniosła głos. - Wiesz, ile osób w Wirginii jeździ bez prawa jazdy? Prześlę ci statystyki, gdy tylko będę w biurze MADD. Robert Owen wyjdzie na wolność i zacznie normalne życie, a dla niego normalne życie, to wsiadanie do samochodu po pijanemu...

- On jest w AA, Tessa. Słyszałaś, co mówił Avery. Nadal będzie chodził na mityngi Anonimowych Alkoholików, to jeden z warunków przedterminowego zwolnienia.

- Na jego miejscu też zgodziłbyś się na każdy warunek, byle wyjść. Ten alkoholik to morderca!

Mack pokręcił głową.

- Przeszedł w zakładzie terapię. Robił wszystko, czego od niego wymagano, i jeszcze więcej. Będzie mieszkał z matką, która na pewno będzie go pilnowała.

- Dlaczego nie pilnowała go, kiedy zabił naszą córkę?

Mack milczał, czekał aż Tessa trochę się uspokoi. Znała historię Owensa równie dobrze jak on. Rodzice Owensa rozwiedli się, kiedy

miał trzynaście lat. Chłopak zaczął sprawiać kłopoty. Uciekł od matki, bo twierdził, że jest za surowa, i zamieszkał z ojcem. Matka przekonywała w sądzie, że mąż ma zły wpływ na Roberta, że nie jest w stanie go kontrolować, domagała się wyłącznej opieki nad synem. Na próżno.

- Nie radziła sobie z nim, kiedy miał naście lat - mówiła Tessa. - Dlaczego miałyby poradzić sobie teraz?

- Robert sam musi sobie radzić ze sobą, ale ona zapewni mu dobry dom, chłopak będzie mógł stanąć na nogi.

Tessa miała ochotę wysiąść z samochodu i skończyć tę rozmowę.

- Powiedziałeś to Lutzowi? Umawiając się na spotkanie, powiedziałeś mu, że w pełni rozumiesz, a nawet popierasz decyzję o wcześniejszym zwolnieniu mordercy naszej córki, ale chcesz, żebym usłyszała to z jego ust?

Tessie zrobiło się głupio. Mack był uczciwy do szpiku kości. Uczciwy i odważny. Nie zaciągnąłby jej na spotkanie z Lutzem, gdyby zgadzał się z decyzją, ale bał się powiedzieć jej to wprost.

Odwróciła głowę. Szukała winnego niesprawiedliwości, a Mack siedział obok. Po śmierci Kayley było podobnie. Gdyby odprowadził wtedy Kayley do szkoły... Gdyby nie spieszył się tak do pracy...

W końcu zrozumiała, że winny był tylko jeden człowiek, i oto ten człowiek wychodził teraz na wolność, korzystając ze zwolnienia warunkowego.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nic nie możemy zrobić. Musimy się pogodzić z decyzją i zdać na prawo. Avery obiecał, że osobiście porozmawia z kuratorem Owensa; jedno uchybienie, jeden fałszywy krok i chłopak z powrotem znajdzie się w więzieniu. Avery będzie mu się cały czas przyglądał. To znacznie więcej, niż można od niego wymagać. Nie odzyskamy Kayley. Trzeba uwolnić się od nienawiści, od złych wspomnień i spojrzeć w przyszłość. Należy się nam przyszłość. Myślisz, że Kayley chciałaby widzieć, że jesteśmy nieszczęśliwi?

- Wątpię, czy Kayley zastanawiała się nad istotą szczęścia. Miała dopiero pięć lat. Słowo śmierć też dla niej nic nie znaczyło, dopóki pijany łajdak nie pomylił hamulca z gazem i jezdni z chodnikiem.

Mack pochylił się do żony.

- Kochała nas, tak jak potrafi kochać dziecko w tym wieku. Cieszyła się, jak widziała, że jesteśmy szczęśliwi. Teraz jest gdzie

indziej. Nie wiem gdzie. Żałuję, że nie wiem. Żałuję, że nie potrafię wierzyć w to, że teraz spogląda na nas z nieba. Ale załóżmy, że spogląda... Chciałabyś, żeby oglądała nas takimi, jak teraz? Serce by jej pękło, Tesso. Mnie serce pęka.

Nie mogła na niego patrzeć. A więc takiej właśnie potrzebował rozmowy? Rozmowy, na myśl o której robiło się jej niedobrze. On chciał mówić o uczuciach, o przyszłości, o tym, że „trzeba żyć”. Ona chciała dochodzić sprawiedliwości.

Jeśli nie potrafili się porozumieć, jaki sens ciągnąć ten związek? Czemu go nie odgwizdać? Erin siedziała już na ławce rezerwowych.

W imię czego próbować?

- Nie rób tylko głupstw. Wiesz, że tutaj przestajesz myśleć racjonalnie.

- Mówimy o Robercie Owensie, czy o naszym małżeństwie?

- Nie mieszajmy tych dwóch spraw. Pomyślała, że da mu ostatnią szansę.

- One są pomieszane. Są tak splątane, że nie umiem ich rozdzielić. Robert Owens zabił naszą córkę, a teraz zabija nasze małżeństwo.

- Nie, sami to robimy. - Dotknął dłoni Tessy, ale natychmiast ją cofnęła.

- Dziękuję, że uwzględniłeś mnie przy dzisiejszym spotkaniu. - Chciała wysiąść.

- Nie jedź jeszcze. Zostań ze mną. Mam wolny ranek. Odwołałem wszystkie spotkania.

Zawahała się. Co będą robić? Kochać się? Dalej rozmawiać o sprawach, które nie powinny podlegać dyskusji? Pójdą na spacer, jak dwoje normalnych ludzi, zajrzą może do muzeum? Pójdą do kina, jakby ich własne życie nie było wystarczająco dramatyczne?

- Pobądźmy trochę razem. - Mack zdawał się czytać w jej myślach. - To do niczego nie zobowiązuje. Nie będziemy już rozmawiać o Owensie. Brak mi ciebie. Brak mi twojego towarzystwa.

Była gotowa się zgodzić. Być może to jedyny sposób, żeby ratować ich małżeństwo; godzina spędzona razem, potem następna... Jeden wspólny posiłek, potem następny i następny.

Na dłuższą metę nie zniosłaby tego. Zawsze obok byłoby puste miejsce, przerwa w rozmowie, jakby czekali na słowa Kayley, rozpaczliwa tęsknota za jej dziecięcym śmiechem.

Na dłuższą metę była zbyt tchórzliwa, by podjąć próbę.

- Muszę wracać. - Otworzyła drzwiczki. - Sąsiadka ma dzisiaj odwiedzić babcię, powinnam być w domu. Helen potrafi być okropna, nigdy nie wiadomo z czym wyskoczy.

- Twoja matka nie może cię zastąpić?

- Wiesz, jaka jest moja matka. Zaraz zaczną skakać sobie z babką do oczu.

Nie próbował jej zatrzymać.

- Pozdrów obie ode mnie.

- Dziękuję.

Stała już na podjeździe, kiedy usłyszała ostatnie słowa:

- Jak już zmęczysz się unikaniem mnie, wiesz, gdzie mieszkam.

Cissy miała na sobie bluzę w szerokie kolorowe pasy, która wyglądała jak parasol plażowy rozpięty nad wydatnym brzuchem.

- Babcia zaraz zejdzie. Szuka jeszcze czegoś na górze. - Przywitała ją Tessa i dodała już ciszej: - Jest bardzo przejęta, cieszy się. Nie zwracaj uwagi na to, co mówi. Od lunchu dobiera odpowiednie nici i igły dla ciebie, szuka wykrojów.

Cissy wtoczyła się na ganek i usiadła na tym samym żelaznym krześle co ostatnio, jakby już zaanektowała to miejsce dla siebie.

- Ja też nie mogłam już się doczekać. Chcę uszyć quilt dla maluszka. Nie wiem, czy będzie chłopiec czy dziewczynka. Prosiłam doktora, żeby mi nie mówił, a Zeke powiada, że dla niego bez różnicy, ale ja nie bardzo w to wierzę.

- Myślisz, że chce chłopca?

- Nie, proszę pani, dziewczynkę. I żeby była do mnie podobna. - Cissy zarumieniła się. - Dobry z niego chłopak. Pani chyba też złego słowa nie może na niego powiedzieć.

- Nie mnie go oceniać. - Tessa usłyszała własny głos: suchy, oficjalny, zimny, i zrobiło się jej nieswojo. Ciągle jeszcze nie mogła się otrząsnąć po spotkaniu z Lutzem i rozmowie z Mackiem. Źle spała ostatniej nocy. Koszmary znowu wróciły. Obudziła się o drugiej na przeraźliwy pisk hamulców i już nie usnęła.

- Chciałam powiedzieć, że to twoje życie, Cissy, i nikt nie ma prawa wydawać sądów - dodała już łagodniej.

- Wiem, ale martwię się, że ludzie mogą mieć o nim złe zdanie. Że żyje ze mną bez ślubu, że będzie dziecko.

Tessa wolała nie wkraczać na pole minowe. Była zbyt wyczerpana, żeby słuchać zwierzeń. Oby babka wreszcie zeszła i wyratowała ją z opresji. Na Nancy nie miała co liczyć, matka była zajęta sortowaniem pościeli.

To Cissy przyszła jej z pomocą, zmieniając temat:

- Przyniosłam książkę, którą mi pani pożyczyła. Tessę. Ładne imię. Mama dała je pani przez wzgląd na dziewczynę z powieści?

Tessa skrzywiła się.

- Mam nadzieję, że nie. - Tessa to zdrobnienie. Nancy wybrała pompatyczne Teresa Michelle, ale Billy, zobaczywszy pierwszy raz maleńką córeczkę, nazwał ją Tessą.

Cissy sięgnęła do dużej płóciennej torby, wyjęła kawałek starannie złożonego materiału, poduszeczkę ze szpilkami, w końcu znalazła książkę i podała ją Tessie.

Tessa nie spodziewała się ujrzeć książki tak szybko, a jeśli - to raczej nie przeczytanej. Ujęła ją słowność Cissy i teraz żałowała, że nie poszukała jakiejś lżejszej i bardziej strawnej lektury.

- Poszukam czegoś do czytania w bibliotece babki - zaproponowała. - Czegoś, co bardziej ci się spodoba.

- Ta bardzo mi się podobała. Trudno się czytało, ale dała mi dużo do myślenia. Lubię książki, przy których trzeba myśleć.

Tessa była zaskoczona.

- A więc skończyłaś ją. - Musiała uważać, żeby nie zabrzmiało to jak pytanie.

- W zeszłym tygodniu, ale potem jeszcze do niej zaglądałam, szukałam odpowiedzi na swoje pytania i dlatego trochę ją przetrzymałam. Chyba nie gniewa się pani? Mam nadzieję, że nie była potrzebna.

- Nie, nie. Jakie pytania? - W Tessie mimo woli odezwała się nauczycielka.

- No, czasy były wtedy inne. Wiem. A w Anglii szczególnie ludzie byli przypisani do swojego miejsca, niewiele mogli zmienić... To znaczy, z żebraka nie mógł się nagle zrobić książę.

Chyba, że u Marka Twaina. Tessa zachęcająco kiwnęła głową.

- Pan Hardy, ten pisarz... On chyba pisze właśnie o tym, że nic nie można zmienić, że człowiek tkwi w tym swoim świecie, no nie? I Tessa nie może się wyrwać. Co by nie zrobiła, to nie może, bo jej los

jest przesądzony. Dlaczego tak? I po co żyć, jak nic nie można zrobić ze swoim życiem?

Tessa uznała, że może sobie pozwolić na wyjaśnienia.

- Hardy żył w trudnych czasach. W czasach ogromnych przemian. Z jednej strony masz tu wieś, z jej tradycyjną strukturą dającą pewne poczucie bezpieczeństwa, z drugiej industrializację, która wprowadza poczucie chaosu w życie tamtych ludzi. Pisarstwo Hardy'ego jest...

- Mroczne? - podsunęła Cissy.

Tessę zaczęła wciągać rozmowa. Była niemal pewna, że Cissy nic nie zrozumie z powieści. Jak bohaterowie Hardy'ego pozwoliła, by jej sądy na temat pozycji, statusu społecznego, wykształcenia zaważyły na ocenie możliwości dziewczyny.

- Mroczne - przytaknęła.

- Wie pani, świat taki już jest. Weźmy tę wieś. Założę się, że jak zapyta pani swoją babcię, to powie, że nie warto robić planów, bo wszystko teraz zmienia się tak szybko. Choćby plany życiowe Zeke'a. Jeszcze kilka lat temu przejąłby farmę po panu Claiborne. To znaczy, we trzech by przejęli, razem z Gabem i Joshem.

- Z Gabem i Joshem?

- To jego starsi bracia. Gabe mieszka oddzielnie, ale razem z panem Claiborne'em prowadzi gospodarstwo, a Josh jest kierowcą tira i przyjeżdża do domu tylko wtedy, jak go bardzo potrzebują. W każdym razie dla trzech nie ma miejsca na farmie. Joshowi wszystko jedno, ale Gabe chce gospodarzyć i Zeke już mu po nic.

- Trudna sytuacja.

- Wcale nie - zaprzeczyła żywo Cissy. - Dla niego to dobrze. Bo Zeke nie chce być farmerem, tylko lutnikiem.

- Lutnikiem? Jak to?

- Bo on gra bluegrass, starą muzykę Południa i muzykę z gór Wirginii. Potrafi grać na skrzypkach, na mandolinie, na gitarze, ale chciałby sam robić instrumenty. Robić, naprawiać. Uczył się nawet u jednego lutnika w Zachodniej Wirginii.

- Piękne rzemiosło.

- Piękne. Widzi pani, świat się zmienia, ale każdy może znaleźć miejsce dla siebie i swoje szczęście. Sprawdziałam w encyklopedii. Ojciec pana Hardy'ego był budowniczym, stawiał domy, ale on został

pisarzem, prawda? Nie musiał robić tego, co ojciec. To dlaczego pisał, że ludzie nie mogą odmienić swojego losu?

Tessa po prostu pożyczyła Cissy książkę. Nie spodziewała się dogłębnej analizy literacko - socjologicznej, ani tego, że Cissy odczyta powieść przez pryzmat własnych doświadczeń i nadziei.

- I jeszcze jedno - ciągnęła Cissy, zanim Tessa zdążyła odpowiedzieć. - Nie wierzę, żeby Bóg karał dziewczynę za to, co zrobił jej jakiś mężczyzna. Nie wierzę w takiego Boga, w jakiego wierzy pan Hardy. Bóg jest dobry. Ludzie potrafią być źli, Bóg nie. Bóg nie sprowadza na nas nieszczęść, w to nigdy nie uwierzę. Cieszę się, że nie jestem Tessą, ale jeszcze bardziej się cieszę, że nie jestem panem Hardym.

Ze skąpych informacji zasłyszanych od Cissy, Tessa mogła sądzić, że dziewczyna nie miała lekkiego życia. A teraz była w ciąży, bez ślubu, bez widoków na kontynuowanie nauki. I stawiała w obronie dobrego Boga. Gdyby Tessa miała opowiadać się za Cissy albo za „panem” Hardym, opowiedziałaby się za Cissy.

Pomimo wszystko nie mogła się powstrzymać od komentarza typowego dla nauczycielki:

- Hardy nie jest tak surowy, jak go przedstawiasz. Chciał pokazać, że Tessa jest bez winy, nawet po urodzeniu dziecka. Jej los został przesądzony poza nią, przez ludzi, przez sytuację. Hardy nie czyni jej odpowiedzialną za wszystko zło i w tym różni się od wielu pisarzy swojej epoki.

- Może i tak, ale dziecko umiera, no nie? I Tessa też. Zabijają ją.

Rozmowa stawała się coraz bardziej osobista. Tessa nachyliła się i dotknęła dłoni Cissy.

- Tobie nic nie grozi, Cissy. Ani tobie, ani twojemu dziecku.

Cissy skinęła głową.

- Jesteś bardzo inteligentną dziewczyną. Spróbuj spisywać swoje przemyślenia. To ci pomoże je porządkować. Masz tyle do powiedzenia. - Tessa odchyliła się powoli w fotelu.

- Nie, ja nie umiem ładnie pisać. Nigdy się nie nauczyłam. Ciągłe się przeprowadzaliśmy, zmieniałam szkoły, zamiast się uczyć jak należy. Ja naprawdę nie...

- Pomogę ci, jeśli chcesz.

Tessa nie wiedziała, kogo bardziej zaskoczyła ta propozycja, ją samą czy Cissy.

- Pomoże mi pani z pisaniem?

Teraz już za późno było się wycofać. Tessa kiwnęła głową.

- Jeśli chcesz.

- Może bym i chciała, ale ja nawet nie wiem, od czego miałabym zacząć.

- Napisz po prostu, co myślisz o tej książce. Wypisz sobie w punktach, co chciałabyś powiedzieć na temat powieści, a potem rozwiń je w odpowiedniej kolejności, a potem porozmawiamy o tym, co napisałaś.

Żywa buzia Cissy zachmurzyła się.

- Będę się wstydziła.

- Nie ma czego. Jestem nauczycielką. Nie uwierzysz, jakie byki potrafią sadzić moi uczniowie. - Zamilkła na moment. - I jakie potrafią robić postępy. Poza tym pamiętaj, Cissy. Jak już odchowasz trochę dziecko i zaczniesz szukać pracy, umiejętność pisania bardzo ci się przyda. Umiesz wnikliwie czytać. Umiesz ubrać swoje myśli w słowa. Spisywanie ich nie będzie takie trudne, jak ci się wydaje.

Cissy spojrzała Tessie prosto w oczy.

- Naprawdę chce pani to dla mnie zrobić?

Tessa skinęła głową, ale nie potrafiła powiedzieć, dlaczego wystąpiła z tą propozycją. Komu chciała pomóc, Cissy czy sobie?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Helen nie mogła się nadziwić: jak można nie umieć szyć? Prawda, że dzisiejsze dziewczyny kupują gotowe rzeczy; suknie, pościel i tak dalej. Jadają po restauracjach albo połykają w przelocie hamburgera z MacDonalda. Ale każda musi czasami skrócić spódnicę, przyszyć guzik, nie mówiąc o tym, że również coś ugotować.

Helen była dumna ze swoich umiejętności. Matka mówiła, że to „kobiece arkana” i to ona nauczyła Helen być z nich dumną. A co to za kobiece arkana kupować ciuchy w centrach handlowych i jeść z tekturowego pudełka?

- Rozumiem, że biedna Cissy nie umie szyć... - Nancy dołączyła do siedzącej na ganku matki.

- A ty skąd niby wiesz?

- Słyszałam, jak robiłaś jej wykład. Wątpię, żeby pojawiła się tutaj jeszcze kiedyś. Ja musiałam wysłuchiwać twoich wiecznych pouczeń, ale ona nie musi.

- Wcale jej nie pouczałam. - Helen zastanowiła się nad własnymi słowami. - Może trochę. Uczylałam, nie pouczałam. Ona nawet nie wie, jak się robi supełek na nitce. A ty? Ciebie i tak za mało strofowałam. Miałaś dwie lewe ręce do roboty, jak mało kto.

- Wcale nie byłam leniwa. - Nancy oparła głowę o zagłówek fotela. - Tylko ty tak uważałaś, a ja po prostu byłam inna od ciebie. Chciałam inaczej żyć. Może wdałam się w ojca.

Helen nie potrafiła powiedzieć, czy rzeczywiście. Nie była pewna. Z latami wspomnienie Fate'a wyblakło.

- Myślisz, że jestem podobna do niego?

- Trzeba lat, żeby dobrze poznać człowieka, wiedzieć, jaki naprawdę jest, co w nim siedzi. Fate'a znałam jako chłopca i to mi wystarczyło, żeby chcieć go za męża. A mężem był tak krótko, że niewiele mogę o nim powiedzieć jako o dorosłym człowieku.

- Chryste, jak to smutno zabrzmiało.

- Tylko się nie rozpłacz.

- Wiem, wiem. - Nancy machnęła dłonią. - Wylałam więcej łez niż jakakolwiek dziewczyna w całym Shenandoah County. Nie musisz mi przypominać. Przynajmniej Cissy nie doprowadziłaś dziś do płaczu. Doprowadziłaś?

- To twarda sztuka, trzeba jej przyznać.

- Ja nie byłam twarda sztuka.

- Ty? Byłaś twarda, świat takiej nie widział. Może wylewałaś wiadra łez, ale w środku nie do skruszenia.

Nancy milczała. Helen zerknęła z ukosa na córkę; miała taką minę, jakby ktoś jej znienacka wrzucił lód za koszulę.

- Nie udawaj, że nie wiesz - mruknęła Helen.

- Teraz chyba naprawdę się popłaczę - stwierdziła Nancy. - To najmiłsza rzecz, chyba jedyna miła rzecz, jaką zdarzyło ci się powiedzieć na mój temat.

- Ojjoj. Myślałby kto.

- Naprawdę. Wyrastałam w przekonaniu, że jestem największą pomyłką w stanie Wirginia.

- Od razu największą. Zawsze lubiłaś we wszystkim przesadzać.

- A ty pouczać.

- Babcia znowu poucza? - Na ganku pojawiła się Tessa ze ślubnym quiltem pod pachą. - To może ja sobie pójdę.

- Myślałam, że robisz kolację - powiedziała Helen z urazą. - Umieram z głodu.

- Kolacja prawie gotowa, tylko brązowy ryż musi się ugotować. Wytrzymasz jeszcze pół godziny?

- Gdyby Bóg chciał dać nam brązowy ryż, to dałby brązowy.

- Jasne. - Tessa usiadła naprzeciwko babki. - Jak spotkanie z Cissy?

- Może być. Wybrała wzór z wiatraczkiem. Pokazałam jej, jak ma przycinać materiał. Jak poprzycina, ma przyjechać znowu.

- O ile twoja babka nie wystraszyła jej na dobre

- powiedziała Nancy.

- Ona nie z tych strachliwych. - Helen zamilkła na moment. - Chyba lubi tu przyjeżdżać.

- Czuje się samotna - przytaknęła Nancy.

- U Claiborne'ów nie ma chyba teraz nic do roboty.

- Będzie miała, jak się dziecko urodzi.

- Mówiła coś o dziecku? Chce je zatrzymać? - zapytała Nancy.

Dla Helen było to oczywiste.

- Robi przecież quilt, nie? Chyba nie po to, żeby zawinąć w niego dzieciaka i zostawić w koszyku pod szpitalem.

Nancy westchnęła teatralnie.

- Dla dziecka byłoby lepiej, gdyby je oddała. Jakie mu stworzy warunki? Cissy i Zeke nie mają przecież grosza przy duszy.

Helen też się nad tym zastanawiała, nie mogła wyrzucać córce, że poruszyła ten temat.

- Myślałaś kiedyś o adopcji? - zwróciła się do Tessy.

- Nie.

- Hrabstwo szuka takich ludzi jak ty i Mack. Nie powiesz, że nie przeszło ci przez głowę, że bylibyście lepszymi rodzicami niż Cissy i Zeke? - Helen czuła, że córka wbija jej coraz mocniej łokieć w bok, ale nie ustępowała. - Bo bylibyście. Mogliście się o tym przekonać.

- Nic już nie wiem. - Tessa mówiła przez zaciśnięte usta. - To normalne. Pewnie każda kobieta na widok takiej młodziutkiej Cissy mówi sobie, że byłaby lepszą matką.

Dla Helen ta odpowiedź była równoznaczna z przyznaniem, że Tessa pomyślała o adopcji. Choćby tylko przez moment, ale pomyślała.

- Jeśli Cissy zdecyduje się oddać dziecko, następnego dnia pod jej drzwiami ustawi się pięćset par spełniających wszelkie wymogi – powiedziała Nancy. - Coraz trudniej znaleźć zdrowe niemowlę do adopcji, jest mnóstwo bezpłodnych małżeństw, które chcą mieć dzieci i nie mogą.

- Wyczytałaś to w kolorowym magazynie? - zainteresowała się Helen.

- Nie. Mam informacje z pierwszej ręki. Jestem wolontariuszką na oddziale dziecięcym w szpitalu w Richmond. Rozmawiam z rodzicami chorych dzieci, którzy chcieliby mieć jeszcze jedno, dwoje i nie mają żadnych szans.

- Co to za wolontariat? - zapytała Tessa.

- Terapia zajęciowa. Pomagam terapeutce. Dzieci rysują, malują, wyrażają w ten sposób swoje odczucia. Oprawiam ich rysunki. Mogą potem powiesić je sobie nad łóżkiem albo zabrać do domu. Jeśli wracają do domu...

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Nigdy mnie nie pytałaś, Tesso. Mam zaprzyjaźnionego ramiarza w Carytown. Sprzedaje mi ramy i passe - partout po cenie kosztów. Zwykle, proste, ale dzieciaki czują się dowartościowane.

- W Carytown? Kiedy zaczęłaś? Nancy się zawahała.

- Jakiś czas temu.

- Przed trzema laty?

- Mniej więcej.

Zapadła ciężka cisza i Helen chwyciła się pierwszego tematu, jaki miała, dosłownie, pod ręką.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - wskazała na quilt, który Tessa trzymała na kolanach.

- Chcę usunąć tę część. - Tessa rozłożyła quilt i pokazała babce fragment z zielonym łukiem. - Materiał zupełnie sparciał. Wypruję te kawałki. A ty możesz wszyć na to miejsce nowe - spojrzała na matkę.

- Zostawiam to tobie - powiedziała Nancy i zwróciła się do Helen: - Pamiętasz, kto dał ci ten zielony materiał?

Helen zmrużyła oczy. Materiał był tak sprany i zniszczony, że w pierwszej chwili z niczym się jej nie kojarzył. Wreszcie przypomniała sobie.

- Ciotka Sally, niech ją Bóg błogosławi. Resztki z pierwszej sukienki, którą uszyła dla swojej córki Minnie. Śliczny zielony materiał w białe groszki.

- Tessa, powinnaś zachować skrawek każdego materiału, który wypruwasz. - Nancy przyszedł do głowy pomysł. - Założymy dziennik quiltu. Babcia będzie opowiadała o każdym materiale. Historia złożona z fragmentów...

- Raczej historia wypruta ze starego quiltu - fuknęła Helen.

- To niezwykły quilt. - Nancy zaczęła się bujać w fotelu. - Jestem ciekawa. Opowiadałaś, że przez całe lata szyłaś i zbierałaś poszczególne owale, kwadraty, ale nigdy nie powiedziałaś, dlaczego nie zszyłaś ich w całość.

- No, nie powiedziałam.

- Dlaczego nie skończyłaś?

Helen zastanawiała się nad odpowiedzią, ale żadna nie wydawała się właściwa.

- Nie skończyłam i już.

- Nie skończyłaś go na własny ślub?

- To było dawno temu. Chcesz, żebym wszystko pamiętała.

- Nigdy nie opowiadałaś mi o waszym ślubie, mamó. Opowiedz nam teraz - poprosiła Nancy. - Ryż i tak musi się ugotować.

- Ja też chętnie posłucham - włączyła się Tessa, zanim babka zdążyła zaprotestować.

A Helen zastanawiała się, co jest smutniejsze: to, że nigdy nie opowiedziała córce i wnuczce o swoim ślubie, czy to, że tak bardzo

bała się wracać pamięcią do tamtego dnia, że nawet teraz wzdragała się przed mówieniem o tym.

Wybrała możliwie najkrótszą wersję.

- Mówiłam wam, że postanowiliśmy wziąć ślub, kiedy Fate skończy przysposobienie wojskowe. No i Fate wstąpił do marynarki i wzięli go do obozu szkoleniowego Great Lakes Training Station w Illinois. On wyjechał, a mamcia na dobre zaniemogła.

Helen zamilkła, wspominała.

- Wtedy umarła? - zapytała Nancy.

- Nie, ale wiedzieliśmy, że to już koniec, że niedługo odejdzie. Napisałam do Fate'a, że musimy wziąć ślub jak najszybciej, dopóki mamcia jest z nami. Wiedziałam, że to dla niej ważne. Fate miał dostać dwadzieścia jeden dni urlopu po szkoleniu, ale nie dostał, bo w całej marynarce ogłoszono stan pogotowia i Fate miał wypłynąć na swoim okręcie.

- I twoja matka nie doczekała ślubu? - Nancy położyła dłoń na dłoni Helen i przywoływanie przeszłości stało się łatwiejsze.

- Pozwól mi opowiedzieć po swojemu.

Przyszedł w końcu taki ranek, że Delilah nie mogła już wstać z łóżka. Kiedy Helen zaniósła jej śniadanie, ledwie tknęła jedzenie.

Na dole w kuchni Tom wzuwał właśnie buty robocze. Miał tego dnia obcinać w sadzie połamane przez wiatr gałęzie jabłonek.

- Mamie gorzej - powiedziała Helen.

Cuddy godzinę wcześniej wyszedł do pracy. Obed i Dorothy, od miesiąca po ślubie, ten tydzień mieszkali u rodziców Dorothy, bo na ich farmie była mała chata, gdzie mogli być sami. Na gospodarstwie zostali tylko Tom i Helen.

- Chcesz, żebym wezwał doktora? Miejscowy lekarz uprzedził ich, że muszą się przygotować na najgorsze. Helen nie widziała sensu, by go wzywać, skoro i tak nic już nie mógł poradzić.

- Nie, nie wzywaj. Wróć tylko na obiad. Przyszykowałam ci jedzenie, ale raźniej mi będzie, jak zajrzysz do domu.

Tom uśmiechnął się i natychmiast spoważniał. Zawsze był poważnym chłopakiem i wyrósł na poważnego młodzieńca. Jeśli miał jakieś marzenia, to problemy materialne rodziny i choroba Delilah całkowicie je przekreśliły.

- Przyjdę, pewnie, że przyjdę. Uderz w dzwon koło południa albo i wcześniej, jakbyś mnie potrzebowała.

Kiedy Cuddy przywiózł z miasta stary szkolny dzwon i powiesił go na podwórzu, wszyscy uśmiechali się pod nosem, ale Cuddy już wtedy wiedział, że przyjdzie taki dzień, kiedy będą musieli nawzajem się alarmować.

Tom wyszedł, w domu zrobiło się cicho, pusto i Helen zabrała się do pieczenia chleba kukurydzianego. Zaczyniała ciasto i rozmyślała o liście, który dostała poprzedniego dnia.

Fate lubił do niej pisać. Długo układał list, zanim go wysłał. Nigdy nie było w jego listach błędów, przekreślonych słów, nigdy nie zabrakło mu miejsca na kartce. Pisywał regularnie, raz w tygodniu, opowiadał Helen o życiu rekrutów w obozie, o tym, jak zimno jest w Illinois i jak bardzo za nią tęskni. Cuddy odbierał listy w miasteczku i przywoził córce. Zbierała je wszystkie.

Najnowszy list przyniósł wielkie rozczarowanie. Fate nie dostał urlopu. Zamiast do domu miał jechać do Kalifornii i zamustrować się na „Oklahomę”, która stała w porcie w Long Beach. Termin ich ślubu odsuwał się więc w bliżej nieokreśloną przyszłość i Helen pomyślała, że widocznie matce nie miało być dane zobaczyć, jak jej córka idzie do ołtarza.

W południe zadzwoniła na Toma i z zastawioną tacą poszła na górę do matki. Wcześniej zaglądała do niej dwa razy; Delilah spała. Teraz Helen dotknęła jej ramienia i delikatnie potrząsnęła.

- Mamciu?

Delilah otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Miałam taki ładny sen.

- Przepraszam, że cię obudziłam.

- Chodziłam z twoją babką po łące, na której kwitło pełno kwiatów.

- Następnym razem zabierz mnie ze sobą.

- Nie wiem, Lenny, czy chciałabyś się tam wybrać. Jeszcze nie teraz.

Matka coraz częściej mówiła o niebie i o powrocie do domu. Była osobą bardzo religijną, o wiele bardziej niż Helen. Dobrze, że myśl o niebie dawała jej pociechę, ale dla Helen nie była żadną pociechą. Gdzie by Delilah nie poszła, nie będzie jej już tutaj, z córką.

- Przyniosłam ci chleb kukurydziany z mlekiem i trochę duszonych jabłek. Musisz jeść, bo zupełnie opadniesz z sił.

- Zostaw to i idź nakarmić Toma. Obiecuję ci, że zjem wszystko, do ostatniego kęsa.

- Wróć, jak tylko dam Tomowi obiad.

- I ty zjedz, nie spiesz się. Też musisz być silna. Twoja babcia kazała ci to powtórzyć. I to jeszcze, że masz być spokojna i niczym się nie martwić. I że wszystko zawsze obraca się na dobre. - Delilah uśmiechnęła się. - I żebyś sposobiła swoją skrzynię wyprawną.

Helen nic nie mówiła jeszcze matce, że Fate nie dostanie urlopu przed wypłynięciem w morze. Nie chciała jej martwić. Teraz też nie pisnęła słowa. Niech Delilah wierzy, że wszystko będzie dobrze.

Po południu Helen wyszorowała podłogi, zrobiła, co do niej należało, w obejściu, tyle ile mogła zrobić, nie oddalając się na długo od domu. Potem wstawiła zupę na kolację, na kości od szynki, z marchewką i cebulą, taką, jak lubiła Delilah. Kiedy Cuddy wrócił z miasta, a Tom z sadu, obrała kość do czysta z mięsa, pokroiła ciasto, które miała już przygotowane i dorzuciła łazanki do garnka.

Ucieszyła się, kiedy Delilah zeszła na dół wsparta na ramieniu Cuddy'ego. Bledziutka, ale wypoczęta.

- Zapachy czułam aż na górze, w sypialni - powiedziała. - I to jakie zapachy.

- Nikt nie gotuje tak smacznie jak mateczka. Ale Helen też sobie całkiem dobrze radzi, prawda? - wtrącił Tom i Helen rozpromieniła się na tę nieoczekiwaną pochwałę.

Przy stole nigdy nie rozmawiali wiele, ale tego wieczoru Cuddy opowiadał o ludziach w sklepie, a Tom o tym, jak to szeryf zlikwidował destylarnię w górach, przywiózł swoją furgonetką alembiki do miasteczka, a dwóch prawników, co ponoć z niej korzystali, zabrało całą aparaturę z powrotem.

Cuddy odczekał, aż zjedzą i po kolacji powiedział do Helen:

- . Miałem dzisiaj po południu telefon, Lenny.

W Fitch Crossing nie było jeszcze telefonów, a nawet gdyby były, Stoneburnerowie i tak obyliby się bez tego luksusu. Pan Fuchs natomiast, właściciel sklepu, bardzo nie lubił, żeby pracownicy korzystali z jego aparatu w sklepie. Więc jeśli ktoś dzwonił do Cuddy'ego, musiał mieć naprawdę ważną wiadomość. A ważne wiadomości to złe wiadomości.

- Ktoś umarł?

Ojciec uśmiechnął się szeroko.

- Gdzieżby.

Więcej nie powiedział, czekał, żeby zgadywała, więc Helen próbowała wyobrazić sobie, kto mógł dzwonić do ojca do sklepu.

- Minnie urodziła? - Jej siedemnastoletnia kuzynka spodziewała się już drugiego dziecka, ale to nie był powód, żeby telefonować.

- Nie, nie trafiłaś.

Helen spojrzała na Toma, szukając u niego pomocy, ale Tom wzruszył tylko ramionami. Delilah już wiedziała, bo się uśmiechała.

- To nie wiem. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

- Chodziło o ślub.

Zacząła się zastanawiać, kto może brać ślub, które z kuzynostwa mieszka tak daleko, że aż musiało dzwonić. Dopiero kiedy zobaczyła, że oboje rodzice promieniają ze szczęścia, zrozumiała.

- Fate? - Skrzyżowała dłonie na piersi. - Fate dzwonił?

- A jakże. Będzie tutaj dzisiaj wieczorem, a jutro wieczorem chce brać z tobą ślub, tu w naszym saloniku. Dostał trzy dni urlopu za to, że dobrze się sprawiał na przysposobieniu. Jeden dzień na dojazd tutaj, jeden dzień na powrót do obozu i jeden, żeby wziął ślub.

Pomyślała, jakie to poświęcenie: jechać kawał drogi, żeby potem, zaraz po powrocie, nie odetchnąwszy nawet, wsiąść w pociąg do Kalifornii. Robił to dla niej. Dla niej i jej matki.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- I pastor tu przyjdzie?

- Już go pytałem, powiedział, że przyjdzie. A pan Fuchs mówi, że Fate może jutro wziąć jego samochód, bo przecież musi jechać do Woodstock po licencję.

- Jest jeszcze czas, żeby zawiadomić kogoś?

- Pan Fuchs pozwolił mi zadzwonić do twoich ciotek, a one już rozpoviedzą po wszystkich. Kto będzie mógł, na pewno przyjdzie.

Ślub miał się odbyć w domu ze względu na Delilah. Od kilku tygodni nie jeździła już do kościoła, bo podróż za bardzo ją wyczerpywała.

- Nie będzie wystawnie - uprzedził Helen ojciec - ale będziesz mężatką.

- Nie chcę wystawy, chcę Fate'a. Podniosła się od stołu. Trzeba było pozmywać naczynia. Zaplanować ślub i wesele. Poczowała taki przypływ energii, że mogłaby zawojować cały świat.

Tego wieczoru stała w bramie, wypatrując starej furgonetki Claiborne'ów. Z niezwykłą u nich wielkodusznością zaofiarowali się odebrać Fate'a z pociągu w Woodstock. Tę noc miał przespać z Tomem, a jutro... Cóż, Helen nie była pewna, czy w ogóle potrafi wyobrazić sobie jutrzejszy dzień.

Nie widziała Fate'a trzy miesiące, ale kiedy chwycił ją w ramiona, całe zakłopotanie zniknęło w jednej chwili. Pocałował ją i ona go pocałowała, całowała do utraty tchu. Potem odsunęła się i przyjrzała mu się zachłannie. Miał białą czapkę, pisał jej, że nazywa się Dixie Cup, granatowy marynarski mundur i grubą wełnianą kurtkę. Kiedy zdjął czapkę i wcisnął do kieszeni kurtki, zobaczyła, że ma króciuteńko obcięte włosy, przy samej skórze.

- Wspaniale wyglądasz, Fate. - Helen ujęła jego dłonie. - Nigdy nie wyglądałeś lepiej. Jak mi tata powiedział, nie mogłam uwierzyć, że przyjedziesz.

- Musiałem trochę się naprosić, ale w końcu puścili. Przez wzgląd na twoją mamę.

- Ona tak się cieszy na nasz ślub. Jakby życie na nowo w nią wstąpiło.

- A ty? Cieszysz się? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- Tak się cieszę, że wprost trudno wyrazić.

- Ja też.

Zakłopotanie wróciło. Wiedziała, że nie jest piękna, ale dla Fate'a była najpiękniejsza. Kochał ją. Przyjechał wbrew wszystkiemu, żeby wziąć z nią ślub. Jutro będą mężem i żoną. Jutro w nocy...

- Myślałem o tobie cały czas. - Każde słowo było starannie przemyślane, tak jak przemyślany był każdy list Fate'a. - To wielkie szczęście, że mam ciebie, Helen. Przyrzekam, zrobię wszystko, żeby dobrze się nam żyło. Nie wiem, gdzie zamieszkamy, ale zawsze będziemy razem. A do domu będziemy przyjeżdżać tak często, jak to tylko będzie możliwe.

Pomyślała o rodzinie, o farmie. Tu było całe jej życie, wszystko, co sercu najdroższe. A potem pomyślała o świecie gdzieś daleko od Fitch Crossing, o tym świecie, który miała poznać i o którym dotąd nie śmiała nawet marzyć. Fate Henry dawał jej więcej niż samego siebie. Dawał jej nowe życie, nowe możliwości i była gotowa je przyjąć bez zastrzeżeń.

- Pojadę za tobą wszędzie. Gdzie ty, tam i ja. - Uścisnęła jego dłoń, a Fate objął ją znowu i pocałował. Już nie czuła ciężaru, który dźwigała od tylu miesięcy. Jedno życie się kończyło, zaczynało nowe. Matka zawsze tego dla niej pragnęła, właśnie tak wyobrażała sobie małżeństwo córki: gdzie Fate, tam i Helen.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Możecie sobie wyobrazić, co się działo następnego dnia, jakie było zamieszanie, ile do zrobienia. Okazało się, że ciotka Mavis ma dla mnie suknię ślubną. Pewnie myślicie, nic nadzwyczajnego, ale wam powiem, że to była najpiękniejsza suknia, jaką w życiu widziałam: w kolorze ecru, w drobniutkie fiołki. Sztuczny jedwab, prosto z Waszyngtonu. Ciotka Sally kupiła mi najprawdziwsze nylony, za dolara i dwadzieścia pięć centów, na tamte czasy to były straszne pieniądze. Dotąd pamiętam te pończochy. To były moje pierwsze nylony. Następne kupiłam sobie dopiero ładnych parę lat po wojnie.

Helen skinęła na Tesę, żeby podała jej quilt. Szybko znalazła fragment, który miała na myśli. Od początku wiedziała, że sztuczny jedwab w fiołki nie wytrzyma częstego prania, ale kiedy Fate już zamustrował na „Oklahomę”, zdecydowała się wszyć niewielki skrawek do jednego z owali.

- O, to ten. Tyle z niego zostało. Niewiele można zobaczyć. - Rzeczywiście, ze ślubnego materiału zostały strzępy trzymające się przy samym zszyciu.

Nancy słuchała z coraz żywszym zainteresowaniem niezwyklej historii. Helen powinna się wstydzić, że tak długo milczała.

- I mieliście ślub tutaj, w domu? - zapytała.

- W saloniku. Tom zniósł ramę do quiltów do piwnicy. Wstawiliśmy tyle krzeseł, ile tylko się dało. Pastor stanął przy oknie, ja z Fate'em przed nim. Fate był w mundurze. Tyle ludzi przyszło, że cisnęli się w sieni, w jadalnym, gdzie tylko kto mógł.

Helen patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, przed oczami miała znowu tamten wieczór.

- Każdy przyniósł coś do jedzenia. Nigdy nie widziałyście tyle pyszności na raz. Mamcia płakała. Ciotka Mavis płakała. Jak już pastor skończył, wyniosło się krzesła, mężczyźni chwycili za instrumenty. Tańczyliśmy i tańczyliśmy, aż trzeba było się rozejść, bo wszyscy rano musieli iść do pracy.

- Ale ty i Fate... i tata... zostaliście na noc w domu?

Helen zerknęła na córkę.

- Nie, tego byłoby za wiele. Obed i Dorothy odstąpili nam swoją chatę na farmie rodziców Dorothy. Dawno już rozebrana. Teraz stoi w

tym miejscu wielki kurnik. Skromna chata, ale mieliśmy ją tylko dla siebie.

- To była wasza jedyna noc sam na sam? - włączyła się Tessa.

Ku zdziwieniu Helen, jej wnuczka była tak samo pochłonięta opowiadaniem jak Nancy. Tak pochłonięta, że zapomniała o swoim zwykłym dystansie. Kolejny dobry znak, pomyślała Helen.

- Niezupełnie sam na sam. - Helen zobaczyła zdumione miny i miała ochotę parsknąć śmiechem.

- Chcecie pewnie, żebym wam opowiedziała?

- Jeśli... - Nancy nie była całkiem pewna. - Chyba że to zbyt osobiste.

- A tam, osobiste - Tessa machnęła ręką. - Jak już doszliśmy tak daleko, to ja chcę usłyszeć resztę.

- A co z ryżem? - zagadnęła Helen. - Nawet brązowy kiedyś robi się miękki.

- W takim razie dokończysz po kolacji, babciu. Idę robić risotto. - Tessa podniosła się i zniknęła w domu.

Helen spojrzała na córkę.

- Fate był skrytym człowiekiem. Jak Tessa. Ale kiedy już kogoś kochał, to całym sercem. Z tym też się wdała w niego. W ogóle wzięła po nim wiele. I ja to wiedziałam, jak tylko się urodziła.

Nancy pokręciła głową.

- I nigdy nie powiedziałaś słowa. Myślisz, że nie chciałam wiedzieć?

Helen dotknęła dłoni córki.

- Aż do dzisiaj nie byłam gotowa.

Fate i Helen wymknęli się z roztańczonego domu. Obed dał im kluczyki od swojego starego forda model T. Swobodniej odetchnęli dopiero ujechawszy dobrą milę. Z nikim się nie pożegnali poza Delilah.

- Była taka szczęśliwa - powiedziała Helen.

- Promieniała. Bardzo się zmieniła od twojego wyjazdu? Gorzej wygląda?

Fate długo nie odpowiadał.

- Ciesz się każdą chwilą, dopóki matka jest z tobą, Helen - powiedział wreszcie. - Nawet gdyby miała odejść jutro rano, ten wieczór był dla niej wielkim darem.

Zaparkowali u podnóża wzgórza, wąską ścieżką doszli do chaty, a potem Fate chwycił Helen na ręce i przeniósł przez próg.

Chata była maleńka, jedna izba z piecem pośrodku, i poddasze, gdzie się sypiało. Fate dorzucił polan do przygasającego ognia i oboje stanęli przy otwartym palenisku, grzejąc zgrabiące dłonie. Obed pomyślał o wszystkim, nawet o tym, żeby narąbać drewna na opał.

- Twoja rodzina jest wyjątkowa. Zawsze ci zazdrościłem - powiedział Fate.

- Teraz już nie musisz. To także twoja rodzina.

- Nie mogę narzekać na Claiborne'ów. Czasy teraz niewesołe, a oni przyjęli mnie pod swój dach, chociaż nie musieli.

Owszem przyjęli, ale Fate musiał ciężko pracować na swoje utrzymanie. Helen nie mogła im wybaczyć, że traktowali go zupełnie inaczej niż własnego syna.

- Nic mi jeszcze nie opowiedziałeś o twoim przysposobieniu wojskowym.

- Mamy całe życie przed sobą, wszystko jeszcze zdążę ci opowiedzieć. - Fate obrócił ją ku sobie. - Opowiem ci, co tylko będziesz chciała. Ale później.

Myślała, że będzie się wstydziła. Nie wstydziła się. Czuła się piękna, pożądana. W chacie zrobiło się ciepło, Fate poprowadził ją na górę, zaczął rozbierać, a ona zaczynała rozumieć, co znaczy szczęście.

Potem leżeli przytuleni, bliscy sobie, jakby byli razem od zawsze. W pewnym momencie Helen usiadła na łóżku, spuściła nogi.

- Dokąd idziesz? - zapytał Fate sennym głosem.

- Śpij. Zaraz wracam.

Podeszła do swojej torby, wyjęła swój ślubny quilt, tyle ile zszyła jego wierzchu, wróciła do łóżka i okryła nim oboje. Nie skończyła go jeszcze, daleko do tego, ale chciała, żeby tej nocy ich otulał.

Po kolacji wróciły na ganek.

Nancy czekała na dalszy ciąg opowieści i raptem zdała sobie sprawę, że to już wszystko, że Helen właściwie skończyła; opowiedziała o wszystkich chwilach spędzonych z Fate'em.

- Tamtej nocy ty się poczęłaś - podjęła Helen. - Twój ojciec wyjechał rano do Ohio, potem do Kalifornii. Pisywał do mnie tak często, jak mógł. Mamcia umarła miesiąc później, ale nie miałam jak go zawiadomić, zresztą i tak nie przyjechałby na pogrzeb. Pochowaliśmy ją na wzgórzu za domem, tak jak chciała.

- To dobrze, że dożyła twojego ślubu - powiedziała Tessa.

- I dobrze, że nie dożyła tego, co przyszło później. - Helen wpatrywała się w przestrzeń. - Po śmierci mamci Obed i Dorothy sprowadzili się na farmę, Dorothy mi pomagała. Wiedziałam już, że jestem w ciąży i z Dorothy było mi łatwiej. Tata po śmierci mamci był całkiem zagubiony, ale próbował się pozbierać. A ja? Zrobiłam do końca tylko wierzch quiltu i odłożyłam. Czekałam, aż skończy się żałoba po mamie.

- I wtedy przyszło Pearl Harbor - powiedziała Nancy. Reszta historii była wiadoma.

Helen spojrzała na córkę.

- Twój ojciec był taki szczęśliwy, kiedy dowiedział się, że będziemy mieli dziecko. W marynarce też mu się dobrze wiodło, szybko pisał się w górę. Nie miał wykształcenia, ale był bystry, dowódcy potrafili to docenić. Pisał mi o Honolulu. Chciał, żebym do niego przyjechała, choćby na tydzień. Nie było pieniędzy, ty niedługo miałaś się urodzić. Nie mogłam lecieć na Hawaje, ale twój tata zamierzał przyjechać do domu, jak tylko dostanie urlop. Żeby cię zobaczyć...

Helen zamilkła.

Fate, czyli Lafayette Henry zginął, kiedy 7 grudnia 1941 roku spadły pierwsze bomby na Pearl Harbor. Jako dziecko Nancy słyszała, że miał szczęście, bo zginął od razu, nie męczył się w ogarniętej ogniem wodzie, nie został uwięziony na tonącym okręcie.

- Potem zostawiłam quilt na dobre. Jak miałam go kończyć, ślubny quilt, kiedy mój mąż nie żył.

- A ja urodziłam się dwa tygodnie po jego śmierci. - Nancy nie była w stanie wyobrazić sobie, co wtedy czuła jej matka; urodziła córeczkę, której Fate nigdy nie miał zobaczyć.

- Obed i Tom nie czekali, aż dostaną karty powołania, sami się zaciągnęli. Ja też chciałam, żeby szli na wojnę, żeby odpłacili tym, którzy zabili mojego Fate'a. Ale oni też polegli. Obydwaj. Tom na Guamie w 1944 roku, Obed we Włoszech, rok wcześniej. Dorothy dostała pracę w zakładach zbrojeniowych w Quantico przy myśliwcach F4U i niewiele już ją widzieliśmy. Pod koniec wojny wyszła za chłopca z piechoty morskiej i przeprowadziła się gdzieś na północ.

- A twój ojciec, babciu? - zapytała Tessa.

- Zapracował się na śmierć. Umarł z przepracowania i z żalu. Na farmie nie było komu robić. Mężczyźni poszli walczyć, kobiety pracowały w fabrykach. Tata uważał, że produkowanie żywności to jego obywatelski obowiązek. Pomagałam mu jak umiałam, ale niewiele mogłam; musiałam zajmować się dzieckiem, domem. Rodzina się rozproszyła, jedni w mieście, inni w wojsku, zostaliśmy sami. Nawet ciotka Mavis przeniosła się najpierw do Norfolk, potem do Jacksonville i przestaliśmy ją widywać. Podróż za dużo kosztowała, a i czasu nie było na rozjazd. Tata powoli się wykańczał, w końcu umarł na zapalenie płuc. W tamtych czasach nie było jeszcze antybiotyków. To znaczy, od kilku lat niby była penicylina, ale nie dla takich jak my. A tata nie miał sił walczyć z chorobą.

Nancy nie zdawała sobie sprawy, jak radykalnie i raptownie zmieniło się życie jej matki. Helen wyrastała w biednym, ale w pełnym miłości i śmiechu domu. A potem, zaledwie w ciągu kilku krótkich lat, rodzina przestała istnieć. Zostało tylko maleńkie dziecko, efekt jednej miłosnej nocy.

- Jak udało ci się utrzymać farmę, nie mając nikogo do pomocy?
- zapytała Tessa.

- Miałam rentę Fate'a, niewielką, bo niewielką, ale zawsze, i to, co tata uciulał przez lata na czarną godzinę. Zanim wydałam grosz na życie, opłacałam podatki, żeby nie zabrali nam ziemi, jak zabierali w czasach wielkiego kryzysu. Jakoś przetrwałam. Kiedy wojna się skończyła i mężczyźni zaczęli wracać, wydzierżawiłam, ile mogłam, najęłam ludzi do roboty. Miałam chłopaka, który zajmował się sadem, zbierał owoce, dzieliłam się z nim zyskiem. Jedno poletko zamieniłam w warzywnik, co wyhodowałam, woziłam do miasta i sprzedawałam na straganie.

- I wychowywałaś mnie - dodała Nancy.

- Staralam się. Musiałam przeszłość zostawić za sobą i żyć dalej.

- Co dokładnie chciałaś zostawić za sobą? - spytała ostrożnie Nancy. Spojrzała na córkę i zobaczyła, że Tessa kręci głową, powstrzymuje ją, ale brnęła uparcie dalej. - Wspomnienia, mamciu? Uczucia? Miłość, nadzieję, radość?

Helen zastanawiała się. Nie wpadła w złość, jak przewidywała Nancy.

- Po śmierci twojego ojca nie chciałam oglądać się za siebie. Tyle mogę powiedzieć.

- Mam takie uczucie, jakbym słuchała o kimś obcym. Nie znałam kobiety, którą opisałaś. Nigdy nie pozwoliłaś mi jej poznać. Ani jej, ani ludzi, którzy ją kochali i pewnie mnie też by pokochali.

- Oni odeszli.

Nancy nachyliła się ku Helen.

- Ty też.

Helen nie próbowała udawać, że nie rozumie. Nic nie odpowiedziała, ale można to było wyczytać w jej oczach. Wstała i podeszła do drzwi. Odwróciła się jeszcze w progu.

- Straciłam wszystkich, Nanny. Wszystkich, których kochałam. Byłaś delikatnym dzieckiem, ciągle chorowałaś. Bałam się, że ciebie też stracę.

- Zajrzy do kur, a potem pójdzie nad staw

- powiedziała Nancy, gdy drzwi się zamknęły.

- Zawsze tak robi, kiedy coś ją wytrąci z równowagi. Jak byłam nastolatką, widziałam, że kury u nas miały rajski żywot.

Tessa już chciała coś powiedzieć na temat cynizmu, braku wrażliwości, ale usłyszała w głosie matki czułość. Czyżby ta czułość była zawsze, tylko nie dało się jej słyszeć, aż do dzisiaj?

- Trudno opowiedzieć coś takiego. - Tessa sama miała ściśnięte gardło. Podobnie jak wszyscy, widziała w babce starą kobietę, zdziwaczka, zamkniętą w sobie, niezdolną do kontaktu z ludźmi. Pierwszy raz dojrzała dziewczynę, która na progu dorosłego życia straciła wszystkich bliskich i musiała stawić czoło życiu, żeby zapewnić byt swojemu dziecku, pogrobowcowi po mężu, którym dane jej było cieszyć się jedną noc.

- Bała się mnie kochać. Dopiero teraz to rozumiem. Myślała, że zachowując dystans, chroni mnie. Jeśli nie będzie mnie kochać, uniknę wyroku. Przetrwam.

Smutne, ale Nancy miała prawdopodobnie rację.

- Ona cię kocha - powiedziała Tessa.

- Chyba tak. Ale dała mi straszny bagaż na drogę. Jeśli nie masz, nie czujesz miłości na co dzień, nie będziesz umiała jej później dawać. Borykałam się z tym całe życie i nadal borykam.

Nancy potrafiła domagać się zapewnień i upewnień, leżało to tak samo w jej charakterze, jak próżność i potrzeba ciągłego potwierdzania własnego statusu społecznego. Ale teraz po prostu stwierdzała fakt, nie oczekiwała niczego od Tessy.

Nancy nigdy nie potrafiła zrozumieć swojej matki i Tessa zastanawiała się teraz, czy sama nie popełnia dokładnie tego samego błędu.

- Babcia miała adoratorów - podjęła Nancy.

- Dwóch zapamiętałam szczególnie. Porządni, uczciwi ludzie. Jeden był wdowcem z trzema synami. Drugi, kawaler, mieszkał w Woodstock i przyjeżdżał w każdą sobotę zrobić zakupy na naszym straganie. Elegant, zawsze w muszce. Helen nie była piękną, ale podobała się mężczyznom.

- A ona zwracała na nich uwagę?

- Była zimna jak lód. Zawsze powtarzała, że mężczyzna nie jest jej potrzebny i dość ma zmartwień, żeby jeszcze jeden kłopot brać sobie na głowę.

- Nancy wstała, podeszła do balustrady. - Łatwo jest się zamknąć w sobie, jeśli człowiek się boi. Czasami myślę, że trzeba stracić absolutnie wszystko, żeby dojrzeć ludzi wokół siebie.

Tessa zastanawiała się, skąd bierze się w Macku pragnienie posiadania jeszcze jednego dziecka. Czyżby się bał, że jeśli szybko nie otworzy serca, zgorzknienie do końca? Czy dziecko miałoby być dla niego oznaką afirmacji życia, potwierdzeniem wiary w ład świata? Jeśli tak, to o czym świadczyły jej własne zastrzeżenia?

Nancy odwróciła się twarzą do córki. O dziwo, nie gestykulowała jak zwykle.

- Trudno jej było opowiedzieć swoją historię. Może powinniśmy zadać sobie pytanie, dlaczego się jednak zdecydowała.

- Nie wiem, czy to było aż takie trudne. Chciała, żebyś wiedziała, kim jesteś, skąd się wywodzisz.

- Słyszałaś, ile w tym brzmiało żalu?

- To rozumiałe. Jej świat się rozpadł.

- Nie. Nie możemy mieć żalu o coś, na co nie mamy wpływu. Twoja babka żałuje, że się zamknęła, odizolowała od świata. Jednak to dobrze o niej świadczy, że potrafiła się przełamać, nawet jeśli zrobiła to dopiero pod koniec życia.

Tessa nie chciała już ciągnąć tych introspekcji. Podniosła się z fotela.

- Idę spać. Jestem wyczerpana.

O dziwo, Nancy nie protestowała i nie wyglądała na urażoną.

- Śpij dobrze, skarbie. Duchy, które mieszkają w tym domu, to dobre duchy. Będą nad tobą czuwać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zgodnie z utartym zwyczajem Tessa raz w miesiącu spotykała się na kolacji z trzema znajomymi z MADD. Myślała, że w wakacje zrobi sobie przerwę, tymczasem w ostatni lipcowy piątek czekała wieczorem na dziewczyny w Maggiano's.

Jody, nigdy nie wygasający wulkan energii, zjawiała się pierwsza. Po niej przyszła cicha, rudowłosa Diana, a na końcu Gayle, babcia z seksapilem.

Popijając aperitify, prawie się nie odzywały, ale kiedy usiadły przy stoliku, wszystkie zaczęły mówić równocześnie, każda chciała opowiedzieć, jak mijają wakacje.

Zamówiły manicotti ze szpinakiem i kurczakiem, gnocchi w sosie na wódce, a kiedy zjadły już przystawki, pieczarki z farszem i karczochy, konwersacja zaczęła się toczyć w trochę wolniejszym tempie.

- Tylko ty nic nie mówisz, Tesso - zauważyła Gayle.

Tessa chwilę milczała. Co mogła powiedzieć?

Uważała je za najbliższe sobie osoby, ale nigdy się im nie zwierzała, a one szanowały jej izolację, zawsze w pobliżu, zawsze gotowe służyć pomocą, jeśli tylko by jej potrzebowała.

- Dostałam złe wieści - zaczęła i przy stoliku zaległa głucha cisza.

- Chcesz o tym pogadać? - zapytała Gayle, gdy Tessa nie podała im żadnych wyjaśnień.

- Robert Owen wyszedł z więzienia. O rok wcześniej, niż powinien. Mieszka z matką w Manassas. Mack mówi, że każdemu trzeba dać szansę.

- Cały Mack. Wierzy, że człowiek jest istotą z gruntu dobrą - prychnęła Jody.

Rzeczywiście Mack wierzył. Cała jego praktyka adwokacka opierała się na wierze w poprawę i szansę dla każdego.

Diana uściśnęła dłoń Tessy.

- Przynajmniej nie mieszka w Richmond. Nie natkniesz się na niego w spożywczym albo w pralni.

- Co z oczu, to z pamięci?

- Nie. Ale dwa lata po tym, jak zginął Jerry, zobaczyłam sukinsyna, który to zrobił. Odbierał swoją córkę ze szkoły. Kilka

miesiący wcześniej wyszedł z więzienia i nikt mnie nawet nie uprzedził.

Mąż Diany zginął w zderzeniu czołowym.

- I co zrobiłaś?

- Był ze swoją żoną. Miałam w portfelu zdjęcie całej naszej rodziny: Jerry, ja i dzieci. Wyjęłam je, dałam bydlakowi i powiedziałam, żeby sobie zatrzymał na pamiątkę. Trzy miesiące później aresztowali go. Prowadził po alkoholu, bez prawa jazdy. Tym razem zniszczył komuś tylko płot, nie życie.

- Diana westchnęła. - To było dawno, prawie dwadzieścia lat temu. Potem wyprowadził się na Florydę. Mam nadzieję, że zjadł go rekin.

Żadna się nie zaśmiała.

- Za szybko, za łatwo - powiedziała Jody.

- Żałuję, że nic nie mogłam zrobić po wypadku siostrzeńca - odezwała się Gayle. - Wszyscy byli zadowoleni, że Alex wyszedł cało. A że rehabilitacja trwała kilka lat, to już drobiazg.

- A kierowcy sędzia pogroził paluszkami i powiedział: „żeby mi to było ostatni raz” - dodała Diana z goryczą.

- Alex nie zginął. Dziewczyna, która go potrąciła, dostała wyrok w zawieszeniu. Jak się skończył czas zawieszenia, tak to uczciła, że po pijanemu trzasnęła w radiowóz. Tym razem wyrok był surowszy. Jak wyszła z więzienia, Alex właśnie kończył rehabilitację.

Tessa знаła te historie na pamięć, ale rozumiała, że przyjaciółki chcą ją w ten sposób pocieszyć, uświadomić jej, że przeszły przez podobne przeżycia, podobnie cierpiały.

- On znowu kogoś zabije - powiedziała Tessa.

- Wiem, że tak będzie. On potrafi ludziom mydlić oczy, mówić to, czego inni oczekują, dlatego go wypuścili. Za tydzień, najdalej dwa, siądzie pijany za kierownicą, jeżeli już tego nie zrobił. Szybko się zorientuje, ilu podopiecznych ma jego kuratorka i jak mało ma czasu dla każdego. Coraz rzadziej będzie do niego dzwonić, jeszcze rzadziej odwiedzać. Wiadomo przecież, jak kulawo działa nasz system.

- A ty, oczywiście, chcesz coś z tym zrobić - stwierdziła Jody, kiedy kelner zabrał talerze po przystawkach. - Słysząc w twoim głosie, że nie spoczniesz.

- Nie wierzę już w wymiar sprawiedliwości. Ten chłopak to bomba zegarowa. Nie widzicie tego? Gdybym wiedziała, co zrobić, zaczęłabym działać. Nie chcę, żeby ktoś inny przechodził przez to samo, przez co ja musiałam przejść. A tak będzie. On znowu spije się do nieprzytomności, usiądzie za kierownicą i znowu ktoś mu stanie na drodze. To nieuniknione.

- Może nie. - Diana nałożyła sobie sałatki na talerz. - Co się stanie, jeśli zostanie zatrzymany? Nie ma prawa jazdy, prawda?

- Nie ma, ale kto go powstrzyma? Matka? Koledzy? Policja go nie zatrzyma, dopóki nie przejedzie na czerwonym świetle albo nie przekroczy dozwolonej szybkości. Zresztą i tak ich nigdy nie ma tam, gdzie akurat powinni być. Złapią go dopiero, gdy znowu kogoś zabije.

- Jeśli jednak złapaliby go za kierownicą, choćby i trzeźwego, wróci do więzienia?

Tessa skrzywiła się.

- Sędzia twierdzi, że tak. Najmniejsze wykroczenie i wraca odsiedzieć wyrok do końca.

Jody i Diana wymieniły spojrzenia, kiwnęły głowami.

- Ja też w to wchodzę, nie róbcie takich ważnych min - fuknęła na nie Gayle.

- O czym ty mówisz? - Tessa się pogubiła. Jody postanowiła ją oświecić.

- Gdybyś nie była taka przybita, sama byś na to wpadła. Jesteś pewna, że Owens znowu siądzie za kółkiem. Gliny nie będą go pilnować dzień i noc na okrągło. Kuratorka też nie. Mamusia go nie zakabluje, a sąsiedzi najpewniej nie mają o niczym pojęcia. Ktoś zatem musi go pilnować. Jeśli Owens zrobi coś nie tak, wystarczy zadzwonić i poinformować panów policjantów. A sędzia zajmie się już resztą.

- Kto ma go pilnować?

- Ty. My.

Tessa siedziała nieruchomo, oswajała się z nową myślą.

- Mówisz poważnie?

- Najbardziej prawdopodobny czas to wieczór, po kolacji. Wtedy może zacząć go korcić. Będziemy na zmianę obserwowały dom jego matki, zobaczymy, co się wydarzy. Oczywiście nikomu ani słowa, to nie mieści się w zakresie działalności MADD.

Tessa rozważała pomysł. Owens ma zabrane prawo jazdy, jeśli zostanie zatrzymany w chwili, kiedy usiadł za kierownicą, wróci do więzienia. Ale czy one cztery, pilnując go, same nie będą działały nie całkiem zgodnie z prawem?

- Tesso, zapytaj męża, czy obserwowanie domu jest naruszeniem prawa - odezwała się Diana, jakby czytała w jej myślach. - Nikogo nie będziemy nagabywać. To tylko obserwacja z samochodu. A teraz dobra wiadomość. Mam znajomego w policji w Manassas. To mąż mojej koleżanki ze studiów. Powiem mu, co zamierzamy i będziemy miały bezpośrednie dojście do tamtejszych glin. Chłopak będzie za kratkami, zanim silnik zdąży ostygnąć.

Tessa była prawie pewna, że Mack będzie przeciwny pomysłowi. Już słyszała, jak jej tłumaczy, że nie tędy droga, że tak nie rozwiążą problemu Owensa. Ale ona szukała sprawiedliwości i nie potrzebowała pozwolenia Macka.

- Nie mogę prosić, żebyście poświęcały tyle swojego prywatnego czasu.

- Wcale nas nie prosisz - powiedziała Jody. Tessa podniosła dłoń, ale przez moment nie mogła

dobyć słowa z gardła. Zwierzyła się dziewczynom, niczego nie oczekując, a one od razu znalazły rozwiązanie, sposób na rozładowanie gniewu, złagodzenie bólu.

- Będę parkowała pod jego domem co drugi dzień, w ten sposób każda z was będzie miała dyżur tylko raz w tygodniu. Naprawdę macie dość czasu i cierpliwości, żeby się w to angażować?

Jody sięgnęła po koszyk z pieczywem i puściła go wokół stołu.

- Kochanie, my mamy nie tylko czas i cierpliwość, ale i poczucie misji. Spróbuj nas tylko powstrzymać...

- Jeśli Owen będzie się przyzwoicie zachowywał, jeśli naprawdę się zmienił, może będzie ci odrobinę lżej - powiedziała Diana. - Nam też.

Gdyby to było takie proste, pomyślała Tessa z przygnębieniem.

Nancy po raz kolejny zaproponowała Mackowi coś do picia i Mack po raz kolejny odmówił. Zamiast zmuszać się do bzdurnych konwersacji, najchętniej powiedziałby teściowej, żeby zostawiła go samego. Nigdy za nią nie przepadał, ale też rozumiał, że wyrastanie pod okiem Helen Henry z najdzielniejszego dziecka mogłoby zrobić pozbawiony smaku i konsystencji przecier pomidorowy. Rozumiał

zatem, dlaczego Nancy jest, jaka jest, ale nie był w stanie jej zaakceptować.

- Wiem, że mnie nie lubisz. Wiedziałam to od pierwszej chwili, kiedy się poznaliśmy - oznajmiła niespodziewanie, jakby miał żywą niechęć wypisaną na twarzy.

- Przepraszam? - Wyrwany z zamyślenia, przeraził się, że może dał głośno wyraz swojej antypatii.

- Och, Mack. Doskonale słyszałeś, co powiedziałam. Ja sama za sobą nie przepadam. - Uśmiechnęła się nieznacznie, widząc jego zbaraniałą minę. - Tak, tak. Jestem człowiekiem. Mam swoje myśli, swoje uczucia i jeszcze nie do końca zapomniałam, jak je wyrażać.

- Nigdy nie wątpiłem w twoje człowieczeństwo - bąknął.

- Czyżby? Być może inaczej to ujmowałeś w myślach. Chyba mi nie powiesz, że zawsze czułeś do mnie bezgraniczną sympatię.

Tego nie mógł powiedzieć, a Nancy nie przyjęłaby do wiadomości tak oczywistego kłamstwa.

- Dopiero tego lata dotarło do mnie, że przez całe lata tak byłam pochłonięta robieniem tego, co uważałam za słuszne i właściwe, że nie dostrzegałam oczywistych rzeczy. Wiem, że zawsze irytował cię mój stosunek do Tessy.

- To nie moja sprawa oceniać, jaką jesteś matką, Nancy.

- Kiedy Tessa się urodziła, nie posiadałam się ze szczęścia. Zachwycałam się nią, każdym szczegółem, każdym drobiazgiem. A potem dotarło do mnie, że to ja jestem matką tej cudownej istoty. Ja. Nie wiedziałam, jak się poruszać, jak poprawnie wyrażać. Nie miałam wykształcenia, żadnych szczególnych talentów. Byłam w miarę ładna, ładna raczej banalną urodą. Mała Nancy Henry gdzieś z zapadłej wsi w Wirginii, a moja córka, wnuczka Caroline i Harry'ego Whitlocków, miała cierpieć przeze mnie?

Mack sam nie wiedział, dlaczego chce słuchać historii jej życia, niemniej słuchał.

- I... ?

- I postanowiłam, że nie pozwolę na to. Kochałam ją tak, że gotowa byłam rzucić się dla niej pod pociąg. Musiałam się zmienić, całkowicie. Tak, żeby Tessa nie musiała się wstydzić za matkę prostytutkę.

- Dlaczego mi to opowiadasz?

- Nie wiem. I tak nie zmienisz o mnie zdania. Może opowiadam ci to z nudów. Tu wieczorami nie ma za bardzo co robić. - Uśmiechnęła się i nie było w tym uśmiechu ani prośby „polub mnie”, ani obietnic „będę dla ciebie miła”, tylko zwykła serdeczność.

Nie wiedział, co powiedzieć, jak zareagować, ale Nancy wybawiła go z kłopotu. Wstała, ziewając.

- Nie wiem, dlaczego Tessa jeszcze nie wróciła, ale niedługo powinna być. Zostań na noc, zrobię gofry na śniadanie.

Kiwnęła głową i zniknęła. Słyszał jeszcze jej kroki na schodach.

Przyjechał zobaczyć się z Tessą, nie z jej matką.

Głupio zrobił, że nie zadzwonił. Był na konferencji we Front Royal i, niewiele myśląc, prosto stamtąd przyjechał do Fitch Crossing, żeby usłyszeć, że jego żona ma spotkanie z przyjaciółkami w Richmond.

Rozejrzał się po bawialni, za sprawą Nancy pokój odmienił się nie do poznania. Jedno mógł powiedzieć o swojej teściowej na pewno: miała doskonałe wyczucie piękna, które Tessa odziedziczyła po niej, choć smak Tessy odznaczał się większą surowością, skłaniał ku minimalizmowi. Nancy natomiast kochała kolor, wystawność i taka była jej rezydencja w Richmond. Tutaj silenie się na wystawność byłoby śmieszne, wystarczyło trochę farby, niedrogie materiały, by zaniedbany dom ożył i nawet Helen, jak przypuszczał, musiała być zadowolona z efektów.

Zaczął chodzić niespokojnie po pokoju, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi frontowych.

- Mack?

Odwrócił się na powitanie żony.

- Powiniennem być zadzwonić.

- Jechałeś taki szmat drogi i nie uprzedziłeś mnie o swojej wizycie?

Wyjaśnił, gdzie był i skąd się wziął w Fitch Crossing.

- Konferencja skończyła się wcześniej, niż myślałem. Chciałem z tobą porozmawiać, więc wykorzystałem sposobność. Nie zadzwoniłem, bo widać uznałem, że zastanę cię w domu.

- Zwykle jestem. Założę się, że znowu nie zabrałeś komórki.

Kiwnął głową. Tessa nie wyglądała na nieszczęśliwą z powodu jego wizyty. Wziął to za dobry znak.

- Kolacja się udała?

- Tak. A ty jadłeś coś? Babcia i mama cię nakarmiły?

- Jadłem coś we Front Royal.

- Napijesz się kawy albo herbaty?

Znowu kiwnął głową, choć wcześniej odmówił Nancy chyba z dziesięć razy.

- Muszę niedługo jechać. Kawa mi się przyda. Chwilę milczała i potem rzuciła:

- Możesz przenocować tutaj.

- Nie mogę. Rano mam odprawę pracowników. Przeszli do kuchni, Tessa nastawiła ekspres do kawy i oboje usiedli przy stole.

- Nie przyjechałeś tutaj w celach towarzyskich - zaczęła Tessa.

- Dzwoniła do mnie Harriet Jenkins, ta z naszej biblioteki. Skrzydło dla dzieci jest na ukończeniu. Harriet mówi, że bez pieniędzy z Fundacji Pamiętajmy Kayley nie ruszyliby z miejsca. Skrzydło chcą nazwać imieniem Kayley. Proszą, żeby któreś z nas zabrało głos na otwarciu.

Bał się, że Tessa znowu się zamknie w sobie na wspomnienie córki, ale ona tylko westchnęła smutno:

- Kayley by się cieszyła.

- Zgadzasz się zatem, żeby nadali skrzydłu jej imię? Będiesz na otwarciu?

- Tak, ale nie chcę przemawiać. Nie wiem, co miałabym powiedzieć. Weź to na siebie, Mack.

- Jasne. To dobry pomysł. Kayley uwielbiała przesiadywać w bibliotece, ale dzieciaki miały tam zawsze strasznie mało miejsca dla siebie.

Tessa opuściła głowę.

- To okropne, ale ja nic nie pamiętam. Jak powstała fundacja, jak przekazywaliśmy pieniądze. Nic nie pamiętam poza tym, że chciałam umrzeć.

- Zgodziłaś się, ale byłaś w takim stanie, że gdybym chciał przekazać pieniądze sekcje Dnia Sądneho, też byś się zgodziła. Zresztą ja byłem w niewiele lepszym stanie. Tak naprawdę to Bill się wszystkim zajął. Bill i Nancy. - Podejrzywał, że to jednak Nancy wymyśliła sposób upamiętnienia Kayley przez ufundowanie nowego skrzydła dla biblioteki. Ta Nancy, w której dzisiaj zobaczył zupełnie inną osobę.

Kayley uwielbiała książki. Nauczyła się czytać, mając cztery lata, bez niczyjej pomocy i zachęty z niczyjej strony. Dyktowała Tessie swoje własne bajki, które Tessa potem drukowała jej dużą czcionką, żeby Kayley mogła je sobie czytać, kiedy będzie miała ochotę.

- Co się stało z tymi historyjkami, które wymyślała, a ty wstukiwałaś je do komputera?

Ekspres przestał perkotać i Tessa podniosła się, żeby podać kawę.

- Spakowałam wszystkie te wydruki razem z jej innymi rzeczami. Mack poczuł ogromną ulgę.

- Więc nie...

- Nie wyrzuciłam ich? Oczywiście, że nie. Jak mogłeś tak pomyśleć?

- Pamiętasz, jak po kilkudniowym wyjeździe wróciłem do domu? Wszystko było uprzątnięte, jakbyśmy nigdy nie mieli córki. Nawet Biskwit zniknął. Powiedziałaś, że nie mogłaś znieść jego widoku i że wyrzuciłaś wszystkie rzeczy...

- Powiedziałam, że wyrzuciłam część. I że możesz przejrzeć, co jest w pudłach w piwnicy.

Nie zajrzał, oczywiście, do tych pudeł. Nie był w stanie oglądać życia swojej córki zredukowanego do zawartości kilku kartonów.

- Wyrzuciłam tylko to, co nie miało znaczenia ani dla niej, ani dla nas. Reszta została.

- Książki? Zdjęcia?

- Oczywiście. Zdjęcia są w specjalnych pudełkach, w szafie. A Biskwit był nieszczęśliwy. Tęsknił. Potrzebował towarzystwa dzieci. Hitchcockowie tak się cieszyli, że mogą go wziąć. Sami się zgłosili.

- Nie zapytałaś mnie o zgodę.

- To było dwa i pół roku temu. Teraz mi o tym mówisz?

- Nie chciałem cię ranić.

- Nie robiliśmy nic innego, tylko się raniliśmy. Mack podniósł się i objął żonę, przytulił ją mocno.

- Chciałem dobrze - powiedział zdławionym głosem.

- Nie wiem, jak miałoby się to udać.

- Spróbujmy wspólnie.

- Mack...

Tessa opierała się o niego, jakby nie była dłużej w stanie dźwigać ciężaru własnego ciała.

- Mógłbym zostać na noc. Tak bardzo za tobą tęsknię, Tesso... Nie wracałaś tak długo, czekałem na ciebie i myślałem, że cię straciłem na dobre, że odeszłaś z mojego życia. - Pochylił głowę i pocałował ją, ale Tessa prawie natychmiast się odsunęła.

- Muszę ci najpierw powiedzieć, gdzie byłem. Zanim nastąpi ciąg dalszy.

- To takie ważne? - Nie wypuszczał jej z objęć, chociaż cofnęła się o krok. - Nie może zaczekać?

- Siedziałam w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko domu Owensa. Obserwowałam, czy nie wpadnie mu do głowy sięgnąć za kierownicą. Szpiegowałam go i nadal będę szpiegowała, dopóki nie przyłapię na naruszeniu warunków zwolnienia.

Słowa Tessy nie docierały do Macka. Nie mógł zrozumieć ich sensu.

- Co robiłaś?

Tessa cofnęła się jeszcze o krok.

- Kilka dziewczyn z MADD będzie mi pomagać. Nie robimy nic złego. Obserwujemy tylko, czy Owens nie złamie prawa.

- Czyś ty zwariowała, Tesso?

- Trzeba go powstrzymać, zanim znowu kogoś zabije.

- To nie twoja rola. - Miał wrażenie, że śni jakiś koszmar. - Zostaw go w spokoju i zajmij się swoim życiem. Sobą.

- To właśnie jest moje życie. Pilnować, żeby Owens nigdy już nikogo nie zabił.

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował, pokręcił głową.

- Tobie potrzebna jest pomoc.

W zielonych oczach Tessy błysnął gniew.

- Mnie potrzebna jest pewność, że Owens nie zabije już niczyjej córki.

- Szukasz zemsty. Możesz sobie wmawiać co chcesz, ale tak właśnie czujesz. Chcesz, żeby cierpiał jak ty. Trzy lata więzienia to dla ciebie za mało. Chcesz, żeby nigdy nie uwolnił się od kary.

- Masz rację, chcę! On zabił moją córkę!

- A teraz pozwalasz, żeby powoli zabijał ciebie. Będziesz mu deptała po piętach, zaglądała w okna. Odsunęłaś się od wszystkich, którzy cię kochają. Myślisz wyłącznie o tym, jak pomścić Kayley. Ale Kayley nie żyje! O nic cię już nie prosi. Niczego od ciebie nie żąda.

Nie poznałaby cię, gdyby żyła. Zamieniłaś się w kogoś, z kim nie chciałyby mieć nic wspólnego.

- Nie, to jestem ja. Taka właśnie jestem. Jestem jej matką i kocham ją na tyle, żeby o nią walczyć.

- Ona... ona nie żyje. - Mack odwrócił głowę. Oddychał z trudem. - Nie żyje, a ty zamieniasz wszystko, co po niej zostało, w nienawiść i odwet.

Milczała długo i Mack myślał, że już nie odpowie.

- Nie wszyscy potrafią być tacy tolerancyjni i skłonni do wybaczenia, jak ty, Mack - powiedziała lodowatym głosem. - Chcę, żeby Owens trafił z powrotem do więzienia. Chcę, żeby cierpiał, żeby się męczył, przyznaję. Ale nie dybię na niego z pistoletem w zanadrzu. Prawo jest dla mnie wystarczającą bronią przeciwko niemu i tej broni zamierzam użyć.

- Nie ty stoisz na straży prawa.

- Jestem obywatelką naszego wspaniałego kraju. Pomyśl, że to, co robię, to rodzaj straży obywatelskiej na kółkach. - Odrzuciła głowę i odwróciła się. - Wracaj do domu i żyj sobie po swojemu. I daj mnie żyć tak, jak uważam, że powinnam żyć.

Mack patrzył, jak Tessa wychodzi z kuchni, słyszał, jak jej kroki oddalają się powoli.

Kiedy wróciła do domu, mignęła mu nadzieja, że będą w stanie znów zbliżyć się do siebie. Tessa wydawała się serdeczna, bardziej otwarta. Nawet potem, kiedy doszło do scysji, mówiła wprost, co czuje i nawet jeśli nie zgadzał się z ani jednym jej słowem, powinien o tym pamiętać. Ale pamiętał tylko zły błysk w jej oku, usztywnienie całego ciała, kiedy wychodziła z kuchni.

Znowu to samo.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przez cały lipiec Billy trzy razy zajrzał do Toms Brook. Po pierwszym niefortunnym spotkaniu Nancy starała się zniknąć, gdy przyjeżdżał, w każdym razie nie być w domu przez cały czas jego wizyty. Nie była nawet pewna, czy Billy zauważa jej obecność lub nieobecność, bo przyjeżdżał wyłącznie z obowiązku, a jeśli nie z obowiązku, to tylko po to, żeby zobaczyć się z córką.

Po części chciała się na nim odegrać za obojętność, ale za tą grą kryło się coś jeszcze: bardzo nowa, kiełkująca potrzeba odnalezienia w pani Whitlock prawdziwej siebie - Nancy.

Być może najbliższym wydawała się pusta i próżna, ale zaczynała odkrywać w sobie osobę, której nawet ona sama nie знаła.

- Nigdy nie pojmowałam twojego sposobu rozumowania - stwierdziła Helen, kiedy po lunchu przeniosły się do jej pokoju. - Żyłaś w tym domu całe lata, z milion razy mnie tu odwiedzałaś i raptem wybierasz najgorszy, najgorętszy sierpień, jakiego najstarsi ludzie w Wirginii nie pamiętają, żeby oglądać moje quilty. A na mnie siódme poty biją.

- Już ci tłumaczyłam, mamciu. Nie każę ci ich pokazywać dla własnej przyjemności podziwiania. Chcemy je skatalogować. Widzisz, włączyłam już laptop. - Wskazała stojący w nogach łóżka komputer. - Nie musimy dzisiaj zrobić wszystkich. Wiem, że jest ich mnóstwo.

- Nie rozumiem. Quilty... to quility. Kogo obchodzi kto, co, jak i kiedy.

- Mnie, na przykład.

- No to do roboty. Im szybciej będę to miała z głowy, tym lepiej. - Helen pokręciła głową i sięgnęła po pierwszy quilt ze stosu leżącego na podłodze.

- Dlaczego trzymasz je tutaj? - Nancy spojrzała na matkę.

- Bo te są na rozdanie. Ktoś się spali, powódź go zaleje, najbliższa osoba umrze, dostaje quilt. Tylko się nie wzrusz, że taka ze mnie święta. Nie zależy mi na tych quiltach, jak pójdą między ludzi, nie będę żałować. - Helen rozwinęła pierwszy quilt.

- „Drabina Jakubowa”? - odgadła Nancy.

- Niezupełnie. Raczej wariacja na temat, panno wszyskwiedząca. Niektórzy nazywają ten motyw „Droga do Białego Domu”, ale ja bym tak go nie nazwała, za dużo republikanów, których tak kochasz, nią chodzi.

Nancy powściągnęła uśmiech.

- Ależ to quilt demokratów, mamciu. Popatrz, skosy idą w lewo.

Helen parsknęła śmiechem, a Nancy zaczęła powoli notować:

- Nazwa, data powstania, wymiary... Jest piękny - powiedziała po chwili, odsuwając laptop. - Pozbyłabyś się go bez żalu?

- Widać, że się nie znasz. - Helen pokazała, w których miejscach zszycie jest nierówne. - Światło musiało być tego dnia kiepskie albo myślałam o czym innym.

- Jesteś perfekcjonistką. A mówiłaś mi, że tylko Bóg ma prawo się nie mylić. I że twoja babka specjalnie popełniała błędy, odwracała aplikację do góry nogami albo wszywała pasek nie w tym, co trzeba kolorze.

- Pamiętasz?

- Przepraszam, jeśli ci się wydawało, że nie słucham, kiedy opowiadałaś o quiltach. Byłam wtedy smarkata.

- Po prostu jestem zdziwiona, że pamiętasz. Jeśli myślisz, że ten quilt to coś nadzwyczajnego, pokażę ci inne, ładniejsze. - Helen wstała, podeszła do skrzyni w kącie, wyjęła z niej trzy quilty, dwa odłożyła na łóżko, trzeci rozpostarła.

- To przecież „Baltimore Album” („Baltimore Album” - quilty wyłącznie aplikowane, często na białym albo kremowym tle, bez patchworku, szyte na specjalne okazje z nowych materiałów doskonałej jakości. Pierwsze tego rodzaju quilty tworzyły w połowie XIX wieku metodystki z Baltimore - przyp. tłum.), mamciu!

- A co ty wiesz o tego rodzaju quiltach?

- Widziałam taki kilka lat temu w Virginia Museum of Fine Arts. Chciałam cię wtedy zabrać na wystawę, ale powiedziałaś, że do Richmond pojedziesz w trumnie, nie wcześniej. Myślałaś, że chcę cię porwać.

Helen pokręciła głową.

- Myślałam, że będziesz się mnie wstydzić.

- Jesteś moją matką - wybuchnęła Nancy. - Jeśli urodziłaś taką idiotkę, jak ci się wydaje, trzeba było mnie od razu utopić.

- Kilka razy żałowałam, że tego nie zrobiłam. Spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem. Nancy objęła matkę w pasie.

- Nie wstydziałabym się, ale kupiłabym ci nową suknię na tę okazję.

- Nie odmówiłabym pewnie. Ale dla kogo tutaj się stroić?

Nancy przytuliła ją mocniej.

- Nie dokucz ci czasami samotność, mammo?

- Przywykłam.

- Tęsknię za tobą w Richmond i wtedy chciałabym, żebyś była bliżej.

- Nie przeniosę się do żadnego Domu Złotej Jesieni, wybij to sobie z głowy.

- Wiem.

Stały przytulone do siebie i przyglądały się pięknemu quiltowi.

- Ale to jest „Baltimore Album”? - upewniła się Nancy, wracając do tematu.

- Nie. To jest „Shenandoah Album”. Sama wymyśliłam nazwę, a motyw wzięłam ze starych fraktur (Fraktura (wł. fraktur) - popularny wśród niemieckich imigrantów z Pensylwanii zdobiony dokument (akty urodzenia, chrztu, itp.) drukowany lub odręczny, z ornamentami, motywami figuralnymi, ozdobne liternictwo - przyp. tłum.).

Nancy wpatrywała się z zachwytem w quilt. Nie mogła uwierzyć, że coś tak pięknego mogło powstać ze ścinków materiałów.

- Jego miejsce jest w muzeum, mamciu.

- Phi. Takie tam pomysły starej baby.

- Nie do wiary. Jak długo go robiłaś?

- Zbyt długo. Przez ten czas zrobiłabym pięćdziesiąt innych. Moja matka powiedziałaaby, że zwariowałam. Quilty robi się po to, żeby ich używać.

Nancy widziała quilty Delilah i ceniła je sobie, bo był to jedyny łącznik z babką, której nie znała, ale quilty Delilah były rzeczywiście proste, przeznaczone do użytku. Te Helen miały zupełnie inny charakter.

- Jesteś artystką, mamciu.

- Jaką tam artystką. Szyję dla zabicia czasu, jak już nic innego zrobić nie mogę.

- Powinnaś go przynajmniej pokazać na jakiejś wystawie - upierała się Nancy.

- Nie biorę udziału w żadnych wystawach, nie należę do żadnego kółka quiltowego, czy tam czego, po prostu robię quilty i nie dbam, czy je kto będzie oglądał.

Nancy słyszała pod pełnymi lekceważenia słowami coś jeszcze: niepewność, niewiarę Helen we własne możliwości; nigdy nie wystawiłaby swoich prac na widok publiczny.

Ale od tego są córki.

- Masz jeszcze jakiś równie spektakularny? - Nancy starała się nadać swojemu głosowi nonszalanckie brzmienie.

- Spektakularny? To frymuśne słowo i ono nic nie znaczy.

- Mamciu...

- Mam kilka, których się nie wstydzę. Nic wielkiego pośród dzieła stworzenia, ale miłe dla oka.

Nancy ciekawa była, co powiedziałby Billy, wytrawny kolekcjoner dzieł sztuki szkoły nowojorskiej, gdyby zobaczył quilty Helen. Uznałby je za dość prymitywny wytwór sztuki ludowej, robotę starej wieśniaczki, czy też dojrzałby w quiltach ogromną tradycję o bogatej symbolice, tradycję wielu pokoleń artystek budujących własny język ekspresji z tego, co pod ręką, posługujących się jedynymi dostępnymi przez wieki kobiecie narzędziami: igłą i nitką.

Ale czy miało dla niej jakieś znaczenie, co pomyślałby Billy? Czy w ostatecznym rachunku nie liczyło się to, co jej się podoba? Czy nie najwyższy czas, by wreszcie dostrzegła różnicę?

Tessa lubiła przychodzić na strych. Nazywała go swoją „pustelnią”. Miała ustalony rytm pracy: rano pomagała Nancy w pracach remontowych, potem wynosiły „odzyski”, a późnym popołudniem, kiedy robiło się chłodniej, szła na strych, gdzie odkrywała historię Stoneburnerów. Było tu wszystko: damskie kapelusze, szelki do spodni, kamizelki, popularne hymny z uproszczonym zapisem nutowym, tak zwane shapenote, i wyblakłe kwiaty zasuszone między szybkami szkła falistego. Wspomnienie po postrzępionej fladze konfederatów, która musiała brać udział w niejednej bitwie. Stare widokówki. Księga rachunkowa, w której czyjaś ręka skrzętnie odnotowywała wszystkie przychody i wydatki, dodając obok krótkie informacje na temat zbiorów kukurydzy i pogłowia bydła.

Tutaj na strychu mogła na chwilę zapomnieć, że wczoraj wieczorem odepchnęła od siebie Macka tak zdecydowanie, że wątpliwe, by znalazł teraz do niej drogę. A i ona by się pogubiła, gdyby próbowała do niego trafić.

Odsuwając na bok przykre myśli, zaczęła przeglądać zawartość skrzyni, w której schowane były pamiątki z czasów szkolnych jej matki. Starannie skomponowane wypracowania i albumy klasowe, wydawane przez szkołę na zakończenie roku.

Była zaskoczona, jak niewiele Nancy się udzielała; nie należała do kółka fotograficznego ani do teatralnego, nie śpiewała w chórze szkolnym, nie uprawiała żadnych sportów. Czego pragnęła, o czym marzyła, zanim poznała człowieka tak zupełnie różnego od siebie, w którym wbrew wszelkim przypuszczeniom zakochała się i za którego wyszła za mąż?

Tessa wyjęła kolejny album, z ostatniej klasy szkoły średniej. Uśmiechnęła się na widok zdjęcia Nancy. Na szyi miała obowiązkowe w latach sześćdziesiątych perełki, krótkie włosy podkrecone na szczytkę, wielkie oczy. Ulubiona książka: Przemięło z wiatrem, największe marzenie: być kimś.

Tessa zamknęła album i przycisnęła go do piersi. Już wtedy Nancy dokładnie wiedziała, czego chce. I proszę, W kilka lat później wyszła za richmondzkiego Wilkesa i zamieszkała w swoim Twelve Oaks. I stała się kimś w Richmond. „Stalowa magnolia” posiadająca wpływy i prestiż, które w końcu mogły ją usatysfakcjonować.

A może nie. Tessa przez ostatni miesiąc odbierała wyraźne sygnały, że Nancy nie jest zadowolona ze swojego życia. Co tydzień jeździła do Richmond, ale ani razu nie została na noc. Nie wspominała o Billym, on do niej nie dzwonił, a kiedy przyjeżdżał do Fitch Crossing, starała się go unikać.

Tessa nigdy nie zastanawiała się nad małżeństwem rodziców, ale teraz wszystko wskazywało na to, że w rezydencji Whitlocków klują się problemy. A może problemy były od zawsze, tylko ona ich nie widziała? Może małżeństwo trwało przez wzgląd na nią, a potem już tylko dla pozoru?

Dreszcz ją przeszedł na tę myśl. Nancy potrafiła być okropna, ale Tessa ją kochała. Nie wyobrażała sobie matki bez ojca. Wszystko, co osiągnęła, w jakiś sposób łączyło się z nim i z ich wspólnym życiem. Co by bez niego robiła, jak żyła?

Dawno wyrosła z wieku, kiedy rozwód rodziców staje się dramatem, ale smutno się jej robiło na myśl, że ich małżeństwo miałoby się rozpaść. Jej własne wisiało na włosku, być może rodziców też.

Miała nadzieję, że to tylko jej lęki. Może po wczorajszej scysji z Mackiem widziała wszystko w ponurych barwach.

Wstała z podłogi, miała już włożyć album do skrzyni, kiedy coś z niego wypadło. Akt ślubu rodziców. Dziwne. Czyżby Nancy nie wiedziała, gdzie on jest? Zapomniała o nim? Uznała za zaginiony? Chciała go zanieść matce, gdy nagle coś jej kliknęło w głowie. Jeszcze raz spojrzała na dokument, po czym powoli ruszyła ku schodom.

Nancy była zadowolona. Dzień mogła uznać za udany. Skatalogowały z Helen dwanaście quiltów i skończyły pracę w najlepszej komitywie. Niewiele miały wspólnych tematów, ale quilty były na pewno jednym z nich.

Teraz stała w stodole i obserwowała młodego człowieka, który robił przegląd „parku maszynowego” Stoneburnerów.

- Nawet w Smithonian w Waszyngtonie, a to przecież wspaniałe muzeum, nie mają takich starych traktorów jak ten, pani Whitlock. A takie pokłady rdzy to widziałem ostatnio chyba w Detroit.

Nancy uśmiechnęła się. Zeke Claiborne okazał się zupełnie inny, niż przypuszczała: dowcipny, bardzo inteligentny.

- Przywiozłam tu któregoś dnia pośrednika handlującego starymi maszynami, ale nie okazał jakoś zainteresowania.

- Mogę go wyciągnąć na podwórze, oczyścić z rdzy na ile się uda i wnuki będą miały zabawę.

Nancy ścisnęło się serce.

- Nie mam wnuków.

- Niedobrze. - Zeke zamyślił się. - Może go pani obsadzić kwiatami. Tu wstawić donicę i tutaj... - pokazywał.

- Nie, Zeke. Pozbądź się go, po prostu. Wywieź na złomowisko. Zapłacimy ci, oczywiście. Nie możesz pracować dla nas za darmo.

- Nie wezmę ani grosza, proszę pani. Chętnie pomogę. Panie były takie dobre dla Cissy. Cały czas o paniach opowiada. Proszę mi pozwolić się odwdziaczyć.

W stodole pojawiła się Tessa.

- Miałaś już okazję poznać Zeke'a? - zagadnęła ją Nancy. - Przyjeżdża, zabiera przyczepę i znika. Trudno go złapać.

- Nie, nie poznałam. - Tessa zmierzyła chłopca takim spojrzeniem, jakby zobaczyła twarz z listu gończego. Gdyby przyciął włosy, zgolił brodę, byłby całkiem przystojny, ale w tej chwili

prezentował się byle jak. Dla Tessy raczej podejrzenie. - Witaj, Zeke. Tessa MacRae.

- Dzień dobry, pani MacRae. Cissy dużo mi o pani opowiadała.

- Nie ma nic do opowiadania.

- Mówiła o książce, którą jej pani pożyczyła. Nie wiedziałem, że ona aż tak lubi czytać. Pojechaliśmy kilka dni temu do biblioteki i wróciliśmy do domu z całym stosem książek. - W głosie Zeke'a brzmiała duma. - Teraz będziemy jeździć tam co tydzień.

- To mądra dziewczyna. - Tessa zamilkła, po czym podjęła jeszcze zimniejszym tonem. - Źle się stało, że przerwała szkołę.

- Ja też żałuję, ale teraz, w ciąży, nie może chodzić do szkoły. Mówi, że nie dałaby sobie rady. Jak już urodzi się dziecko, będę ją namawiał, żeby uczyła się wieczorowo albo przez Internet. Już sprawdzałem, jest dużo możliwości, ale najpierw na pewno będzie chciała odchowić trochę maleństwo.

Nancy była pod wrażeniem, natomiast Tessa nie miała nic do powiedzenia.

Ustalili jeszcze, dokąd i kiedy Zeke wywiezie stare maszyny, chwilę sprzeczali się na temat zapłaty, ale Zeke uparcie powtarzał, że nie może przyjąć pieniędzy i Nancy w końcu skapitulowała.

- Jest zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam, nie sądzisz? - zwróciła się do Tessy, kiedy odjechał.

- Nie wiem, co sobie wyobrażałaś.

- Podejrzewam, że mniej więcej to samo, co ty.

- Wydaje się miły. Bardzo przejęty Cissy.

I to wszystko. Nancy zaczęła już zapominać, jak wygląda jej córka odprężona, pogodna, jakby tamta Tessa była wymagowaną postacią.

- Zróbmy sobie jutro wolne - zaproponowała, niewiele myśląc. - Znam miłą knajpkę w Woodstock, mają świetnego kucharza. Może uda się nam przekonać babcię, żeby pojechała z nami. Mogłybyśmy zajrzeć do sklepów z antykami, poszukać...

- Mamo, nic mi nie jest.

Nancy nie uwierzyła, ale, jak powiedzieć ukochanej córce, że kłamie?

- Mack nie został na noc. Słyszałam podniesione głosy - zaryzykowała.

- Może dla odmiany porozmawiamy o twoim małżeństwie? -
Tessa wyjęła z kieszeni zwinięty w rolkę papier i podała matce.

Akt ślubu, którego Nancy nie widziała od ponad trzydziestu lat.

- Gdzie to znalazłaś?

- W twoim albumie szkolnym.

Nie pamiętała, że go tam schowała. Ale to było tak dawno temu. Miała dwadzieścia dwa lata, marzenia pensjonarki i żadnych perspektyw. Dopóki nie pojawił się Billy.

- William Lee Whitlock i Nancy Ann Henry.

- Pokiwała głową. - Kiedy pastor wypowiedział: William Lee Whitlock, pomyślałam, że brzmi to bardzo dostojnie, a Nancy Ann Henry okropnie pospolicie. Kiedy ktoś po raz pierwszy powiedział Nancy Whitlock, w pierwszej chwili nie wiedziałam, o kim mowa.

- Pastor wypowiedział wasze nazwiska trzy miesiące później, niż przyjęta przez ciebie oficjalnie data ślubu.

- Wiem, kiedy brałam ślub.

- Byłaś w ciąży, prawda? Dlatego twierdziłaś, że pobraliście się wiosną.

- Nie jest to coś, o czym opowiada się swojemu dziecku. Wolałam milczeć. Kiedy poznałam twojego ojca, byłam młoda i głupia. Były wakacje, on miał rok do dyplomu. Dla niego miała to być letnia przygoda. Wyjechał i byłam pewna, że nigdy go już nie zobaczę. Wiem, że masz mnie za kompletną idiotkę, ale ja potrafię dostrzegać fakty. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że Billy się ze mną nie ożeni, pomimo że byłam już w ciąży. Ale Billy postąpił jak na dżentelmena przystało.

- Mamo, on nadal jest twoim mężem. - Głos Tessy brzmiał teraz łagodniej. - To trochę więcej niż dżentelmeneria.

Nancy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przeistoczyła się w kobietę, jaką chciał mieć, i Billy chyba to docenił. Jej znajomości, jej kontakty, pomagały mu bardzo w prowadzeniu kancelarii i w interesach. Nancy dbała o utrzymanie statusu rodziny, dzięki niej życie Williama Lee Whitlocka toczyło się gładko. I w gruncie rzeczy kochała tego niewdzięcznego drania.

- Rozumiem, że wszystko, co mi opowiadałaś, to jedno wielkie kłamstwo. Nie spotkaliście się na żadnym przyjęciu? Nie było szalonej miłości od pierwszego wejrzenia?

- To było tak dawno temu.

Tessa objęła matkę, bardziej jak przyjaciółka niż córka, i powiedziała ciepło:

- Chodźmy na spacer. Trochę się ochłodziło. Może znowu spadnie deszcz. Wykorzystajmy moment, dopóki jest ładnie. Opowiedz mi...

- Nie mam ci nic nadzwyczajnego do powiedzenia.

- Nie musi być nadzwyczajne. Wystarczy mi prawda. Albo ta część prawdy, którą zechcesz się podzielić.

Nancy pomyślała, że może przyszła pora. Zawsze wiedziała, że Tessa w końcu się dowie, jak została poczęta. I w końcu wyszło szydło z worka. Nowy zwrot akcji w ich mydlanej operze na chwilę przynajmniej odwróci myśli Tessy od Macka, jej własnego małżeństwa i Kayley.

- Chodźmy nad rzekę - zgodziła się. - Na wzgórzu nad rzeką. Kiedyś myślałam, żeby wybudować tam domek i czasami się w nim schronić, odpocząć od Richmond.

- Tata nie chciał?

- Chyba nie.

Nancy już nie pamiętała, czy rozmawiała na ten temat z Billym, czy po prostu z góry założyła, że będzie przeciwny pomysłowi. Po co Williamowi Lee Whitlockowi wiejska chata, skoro miał dwie rezydencje na czas wypoczynku. Letnią - na wyspie Hilton Head, zimową - w Vaile.

- Gdzie się spotkaliście? Na przyjęciu, jak mi opowiadałaś?

Ruszyły powoli w kierunku rzeki.

- Nie - odpowiedziała Nancy z ociąganiem. - Sprzedawałam pomidory na straganie. Powiedział coś do mnie, co uznałam za zbyt swobodne i cisnęłam w niego pomidorem. - Nancy pomyślała, jak mało tamtego lata obchodziła Billy'ego i zacisnęła usta.

- Żartujesz? - Tessa zatrzymała się w pół kroku.

- Mówisz, że żartuję? Pokażę ci któregoś dnia, jaki mam rzut na bazę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Czerwiec 1964

Szkoła się skończyła, pieniędzy na studia nie było, chociaż tak naprawdę Nancy nie myślała o pójsciu do college'u. Nie chciała być nauczycielką czy pielęgniarką, a psycholog szkolny zachęcał dziewczęta do podjęcia jednego albo drugiego zawodu. Mogłaby być dekoratorką wnętrz, ale nie wiedziała, gdzie się zdobywa takie umiejętności. Jednego była pewna, że powinna zrobić wszystko, by uciec z Toms Brook.

Minęły cztery lata, a ona ciągle tu tkwiła.

- Nanny, masz na pewno wszystko, czego ci trzeba? - zapytała jeszcze Helen, zanim zostawiła córkę przy ich nędznym straganie. - Herbata jest, kanapki są... I pamiętaj, nie trzymaj kasetki z pieniędzmi na wierzchu.

Nancy przewróciła oczami.

- Wiem, mamó. Myślisz, że ktoś będzie napadał na nasz stragan, żeby wzbogacić się o główkę kapusty? Powiedz lepiej, czy przyjedziesz po lunchu?

Helen, z siwiejącymi włosami, w prostej perkalowej sukni, w sznurowanych półbutach na płaskim obcasie, wyglądała starzej niż na swoje czterdzieści cztery lata. Nancy nie mogła zrozumieć, dlaczego matka zupełnie nie dba o siebie. Gdyby ufarbowała włosy, zrobiła makijaż, byłaby jeszcze całkiem efektowną kobietą.

- Powiedziałam, że przyjadę. Wtedy zaczyna się największy ruch. Pilnuj interesu i odłóż przejrzałe pomidory.

Kiedy matka odjechała, Nancy odetchnęła. Mogła być pewna, że nikt jej nie zobaczy przy straganie. Koleżanki i koledzy z klasy wyjechali z Toms Brook, wszyscy jakoś się urządzili, poznajdowali pracę w miastach. Ona sama zaraz po szkole pracowała trochę w szkolnej bibliotece i w biurze, skończyła kursy maszynopisania i stenografii, ale z miernymi wynikami. Wyglądało na to, że do końca życia będzie popychadłem w szkole, z minimalną pensją, a w czasie wakacji będzie sprzedawała pomidory na straganie.

Spojrzała na zegarek - prezent od Helen na zakończenie szkoły. Była ósma. Bite jedenaście godzin do zwinięcia kramu. Jedenaście koszmarnych, ciągnących się w nieskończoność godzin.

Mogłaby znaleźć sobie coś lepszego na lato, ale matka uparła się, że Nancy ma jej pomagać. Nie mogła odmówić. To, co zarabiały,

handlując warzywami, stanowiło pokaźną część ich budżetu. Toczyła wieczne wojny z matką, ale widziała, jak Helen ciężko pracuje i przynajmniej w ten sposób starała się jej ulżyć. Jeszcze w tym roku może być darmową siłą roboczą, ale to już ostatni raz, obiecywała sobie w duchu.

Przywiozła sobie dwa pisma do czytania. Z okładki jednego patrzyła na nią biedna Jackie Kennedy w żałobie, ale Nancy musiała odłożyć lekturę na później i zajęła się układaniem warzyw.

Lubiła ładnie wyeksponować towar, to była jedyna w miarę miła rzecz w byciu przekupką. Czerwone pomidory, fioletowoczarne bakłażany, różnokolorowa papryka, wszystko to można było komponować na różne sposoby.

Helen sarkała na te zabawy, ale co Nancy miała lepszego do roboty? Nie musiała zamiatać podłogi, myć okien, prowadzić księgi rachunkowej, pozostawało tylko układanie warzyw i słoików z przetworami.

Właśnie kończyła układać kolby kukurydzy, kiedy obok straganu zatrzymał się obcy samochód. Mimo że Skyline Drive znajdowało się niedaleko, niewielu turystów pojawiała się w Toms Brook, bo poza tym, że był tu urząd pocztowy, miasteczko nie posiadało żadnych innych uroków. Trochę starych domów z gankami. Człowiek siadał na ganku i przyglądał się sąsiadom, którzy przyglądali się jemu.

Samochód był szpanerski: czerwony kabriolet z błyszczącymi chromami i skórzaną tapicerką. Nikt, kogo Nancy знаła, nie miał takiej zabawki.

Z samochodu wysiadł młody człowiek, stanął na chodniku i zaczął uważnie oglądać oponę. Nancy wydał się równie egzotyczny jak jego wehikuł: wysoki, szczupły, króciutko ostrzyżony i emanujący pewnością siebie. Uśmiechnął się szeroko.

- Tak mną rzucało, jakbym złapał gumę, ale to pewnie wina nawierzchni. Przydałby się jej remont.

- Proszę to powiedzieć naszym władzom. - Nancy powstrzymywała się siłą, żeby nie gapić się na chłopaka. Wyglądał jak Ricky Nelson, nie miał tylko jego zmysłowych ust, ale poza tym był tak samo niesamowity.

- Skoro już się tu zatrzymałem, kupię trochę pomidorów. Pracuję w restauracji Dan - D, taka dorywcza praca na lato. Skończyły się nam właśnie pomidory.

Znała Dan - D. Próbowwała go sobie tam wyobrazić i nie była w stanie. Zwykła knajpa, niedaleko rzeki, do tego kilka domków kempingowych w lesie. Miejsce na kilkudniowy wypoczynek dla ludzi niewiele zamożniejszych niż jej matka.

- Mam tanie pomidory. - Starła się mówić nonszalancko. - Ale po południu będą ładniejsze.

- Wezmę, jakie są. Stary Wallace, kucharz znaczy się, nie ma już z czego robić sałatek.

- Wybiorę najładniejsze. - Nancy miała wrażenie, że rozmawia z jakąś znakomitością z okładek pism ilustrowanych. Samochód, idealnie wyprasowana koszula, cała postawa, wszystko mówiło o świecie, o którym sama mogła tylko marzyć.

Chciała go zapytać, skąd przyjechał, dlaczego pracuje w podrzędnej knajpie i czy jeszcze kiedyś przyjedzie po warzywa. Nie zapytała. Ona sprzedawała pomidory, a on jeździł samochodem, który pewnie kosztował więcej niż jej matka zarabiała w dobrym roku.

- Dobrze, że spadł deszcz - zagadał chłopak. - Tyle tylko, że będę musiał teraz pucować swoją covi.

- Covi?

- Corvette.

- To jest corvetta?

- A niech to. Każda dziewczyna wie, jak wygląda corvetta. Dlatego faceci je kupują.

- Hmm. Powiadasz, że w wolnym czasie pucujesz swoją covi.

Chłopak roześmiał się, jakby powiedziała coś bardzo zabawnego.

- Musisz mieszkać gdzieś w pobliżu. Do takich zajęć nie importują chyba pracowników?

- Ciebie importowali.

Oparł się o stragan, a Nancy zaczęła wkładać pomidory do papierowych toreb.

- Mój ojciec chodził do szkoły z Danem. Dan to właściciel Dan - D. No więc ojciec zadzwonił do niego i zapytał, czy nie miałby dla mnie pracy. Dan na moje nieszczęście miał dla mnie pracę.

- A ty nie chcesz tu tkwić. - Nie było to nawet pytanie. Jasne, że nie chce. Kto by chciał.

- Skądże. Nie o to chodzi. Mój ojciec się wściekł. W tym roku miałem skończyć uniwersytet, ale nie skończę, bo miałem za mało

punktów. I wylądowałem u Dana, żeby wiedzieć, co mnie czeka, jak w przyszłym roku też zawalę.

- I nauczyłeś się czegoś?

- Szczerze? Nie. Szoruję gary, obieram ziemniaki, Dan mnie goni do najgorszych robót. To mi się akurat mało podoba, ale po pracy mam czas na wędrówki po górach i wtedy jest okey.

- Czemu zawaliłeś rok?

- Balowałem, podrywałem - uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Powinienem robić kurs z ekonomii i księgowości, a ja wolałem wybrać inne przedmioty, ciekawsze, ale nie dawały tylu punktów, ile trzeba.

Próbowała sobie wyobrazić studenckie życie: swoboda, nowy świat, nowi ludzie. Jej kursy stenografii były przedłużeniem szkoły, na kursie maszynopisania trudno raczej spotkać chłopaka, o fajnych nie wspominając.

- Posmutniałaś. - Właściciel corvetty przyglądał się jej uważnie.

- Wcale nie.

- Owszem, tak. Studiujesz? To letnia praca? Już miała ochotę skłamać, ale Helen zawsze kładła jej do głowy, że ma być uczciwa. Poza tym miała taki zamęt w głowie, że pewnie pogubiłaby się w swoich kłamstwach.

- Pracuję w szkolnej bibliotece. Jeszcze nie wiem, co chcę robić w życiu.

- Nie spotykam tu w ogóle naszych rówieśników. To jej nie dziwiło. Do Dan - D przyjeżdżały rodziny z dziećmi, a nie młodzi ludzie szukający zabawy. Nie była pewna, czy w ogóle są takie miejsca. Chłopcy z Fitch Crossing kupowali piwo w sklepie, szli do lasu, pili i strzelali do wszystkiego, co się rusza. Taką mieli koncepcję rozrywki. Dziw, że przy tak prostej konstrukcji mózgu udawało im się kończyć szkołę.

- Po prostu krąż po okolicy, uśmiechaj się zza kierownicy i po kilku rundach będziesz znał wszystkie dziewczyny w Shenandoah County - poradziła mu życzliwie.

- Podoba ci się mój samochód i mój uśmiech?

- Tylko samochód. Zaśmiał się.

- Chcesz powiedzieć, że nic cię nie rusza? Na to pytanie wołała już nie odpowiadać.

- Dwa pięćdziesiąt.

Wyjął portfel z prawdziwego aligatora, brakowało mu tylko paszczy z zębiskami.

- Jested Billy Whitlock, a tee?

- Nancy. Nancy Henry.

- Milo mi, Nancy. - Potrząsnął mocno jej dłonią. Nancy szybko cofnęła rękę, otworzyła pudełko po cygarach, gdzie trzymała drobne i wręczyła mu resztę z trzech dolarów.

- Miłego pobytu w Dan - D. Baw się dobrze. Prawdopodobnie już nigdy nie będziesz miał okazji obierać ziemniaków.

- Chyba że mnie wezmą do wojska. Świetnie wyglądałby w mundurze, mogła to sobie wyobrazić. Oczywiście w oficerskim mundurze.

Odwrócił się, już miał odejść, ale jeszcze się zatrzymał.

- Masz chłopaka, Nancy?

Przez chwilę nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Nie znam tutaj żadnego, który by mnie interesował. - Było to w miarę bliskie prawdy.

- Za to na pewno niejednego ty musisz interesować.

- Skąd ten wniosek?

Spojrzenie Billy'ego na jeden króciutki moment powędrowało w kierunku wycięcia jej bluzki.

- Tutejsi faceci mają chyba oczy, nie? Zrobiła się czerwona. Studencik, który dba, żeby

przez wakacje nie wypaść z formy, i po powrocie na campus znowu rwać panny jak swoje. Została oceniona i uznana za niezły towar. Zirytowało ją to okropnie.

- Zapomniałeś o czymś.

Sięgnęła pod ladę, wyjęła ze skrzynki przejrzałego pomidora i cisnęła w niego, przedtem starannie wycelowawszy.

Niestety, Billy zdążył się uchylić i pomidor plasnął o bruk.

- A to za co?

- To na wypadek, gdybyś podejrzewał, że nie dowążyłam.

- Wiesz, ja nie dałbym się wystawić do wiatru. - Uśmiechnął się tym swoim zabójczym uśmiechem, zasalutował i ruszył do samochodu, szybko, jakby nie był pewien, czy Nancy nie cisnie w niego kolejnym pomidorem.

Patrzyła, jak czerwona corvetta znika i była pewna, że to finałowa scena ekscytującego epizodu.

Billy zaczął pojawiać się przy jej straganie codziennie. Przez pierwszy tydzień Nancy mówiła sobie, że pewnie z nudów, bo nikogo tu nie zna, nie ma do kogo ust otworzyć. Kiedy zastawał Helen, zamieniał z nią kilka uprzejmych, miłych zdań.

Kupował ogórki, pomidory, kukurydzę, kosze zielonej papryki. Twierdził, że w Dan - D wszyscy są zgodni, że pani Helen Henry ma najlepsze warzywa w całej okolicy, ale Nancy podejrzewała, że za tymi wizytami kryje się coś innego, niż rozsmakowanie gości Dan - D w kukurydzy ze straganu jej matki.

W piątek wieczorem siedziała na ganku. Helen, która od brzasku była na nogach, poszła już spać. Tego dnia Billy po raz pierwszy od tygodnia nie przyjechał po zakupy.

Ledwie to pomyślała, zobaczyła zbliżające się światło samochodowych reflektorów i po chwili na podjazd wjechała czerwona corvetta.

- Niech to diabli - zaklęła pod nosem. Miała jeszcze mokre po kąpieli włosy, wypłowiałe szorty na pupie, ani śladu makijażu na twarzy i wyglądała na lat dwanaście.

- Ładny wieczór. - Billy stanął koło klonów i czekał, aż go Nancy zaprosi. Chcąc nie chcąc, skinęła dłonią i niespodziewany gość wszedł na ganek.

- Tylko mi nie mów, że przejeżdżałeś obok.

- Mogę usiąść?

Wskazała mu fotel, ale on wolał usiąść obok niej na huśtanej ławce.

Od tygodnia wyobrażała sobie ten moment albo bardzo podobny, ale że miała bardzo skąpe doświadczenie, to i wyobraźnia nie miała czym się karmić.

- Dan mi powiedział, gdzie mieszkasz.

- Wszyscy wiedzą, gdzie mieszkam. Tu wszyscy wiedzą o sobie wszystko.

- To się nazywa prawdziwa wieś, prawda?

Wiedziała już, że Billy jest z Richmond, i to z tego bogatego Richmond, sądząc po ubraniach, manierach, akcencie.

- Spreż się w tym roku, bo jak zavalisz studia, wylądujesz tutaj i będziesz przerzucał gnój.

- Nie kpię ze wsi. Podoba mi się tutaj. To śliczna okolica.

Czego Nancy nie dostrzegała. Ona marzyła o wielkowiejskich ulicach i przyjęciach w ogrodach wytwornych rezydencji.

- Czemu tu przyjechałeś zamiast szorować gary?

- Mam wolny wieczór.

- W piątek?

- W weekendy pomaga Danowi ktoś z rodziny, nie jestem im potrzebny. Zasuwałem cały dzień i o piątej mogłem wyjść z pracy.

- I dlatego nie byłeś dziś na straganie?

- Zauważyłaś? Czekałaś na mnie?

Owszem, czekała. Wypatrywała go. Nienawidziła swojego zajęcia. Nienawidziła swojego życia. Nie wiedziała, jak je odmienić. Aż pojawił się Billy Whitlock i znowu warto było wstawać rano, robić plany. I nieśmiało marzyć.

- Nie odpowiedziałaś.

Zaczęły drżeć jej dłonie. Była taka zielona, tak niewiele wiedziała.

- Czego chcesz, Billy?

- Co masz na myśli?

Maska, którą dotąd udawało się jej zachowywać, opadła.

- Jestem nikim, ty jesteś kimś. Ja jestem biedna, ty bogaty. Ja jestem ze wsi, ty z miasta.

- Ty jesteś blondynką, ja brunetem - dodał z szerokim uśmiechem.

- Ja mówię serio, a ty żartujesz!

- Nancy, nie chcę niczego. Szukam towarzystwa. Będę tutaj jeszcze dwa miesiące. Możemy od czasu do czasu się spotkać, poznać trochę lepiej, to wszystko. Lubię cię. A ty, lubisz mnie?

Odwróciła twarz ku niemu i to był błąd. Jego usta były tuż obok, nie mogła się już cofnąć, nie narażając się na śmieszność.

Ten pocałunek był najwspanialszym doznaniem w jej życiu, chociaż nie miała pojęcia, gdzie podziąć nos, ani jak szeroko rozchylić usta.

- Podobało ci się? - zapytał Billy cicho, kiedy odsunęła głowę.

- Uhu.

Podobało się. Podobał się jej następny pocałunek i następny. A to, co działo się w następnych tygodniach, podobało się jej jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Przed śmiercią Kayley sobota była dniem specjalnym. Mack odkładał na bok najważniejsze nawet obowiązki i poświęcał czas córce. Po śmierci Kayley sobota stała się najdłuższym dniem tygodnia, a ta wedle wszelkich oznak miała się ciągnąć w nieskończoność.

Nie miał żadnych planów, nic do roboty, mógł ewentualnie jechać do Toms Brook, mógł, ale nie chciał. Czuł się straszliwie samotny, wypalony, zawieszony w próżni, bez widoków na przyszłość, bez przeszłości.

Bez przeszłości...

Rozejrzył się po pustym pokoju i już wiedział, czym wypełni dzień.

Zszedł do piwnicy i godzinę później salon wyglądał zupełnie inaczej. Na kominku stał gliniany wazonik zrobiony przez Kayley na letnim obozie. Na półkach i stolikach zdjęcia Kayley samej, Kayley z koleżankami, Kayley z rodzicami i z Biskwitem.

Na ścianie zawisł latawiec, który Mack dostał od niej pod choinkę w ostatnie wspólne święta.

Uwielbiali puszczać razem latawce na wzgórzach w Fitch Crossing. Tyle wspomnień łączyło się z latawcami Kayley...

Był szczęśliwy, że ożywił te wspomnienia, wydobył je na światło dzienne. I zarazem smutny, że tyle tylko może uczynić.

Usłyszał dzwonek przy drzwiach i uświadomił sobie, że dzwoni już od pewnego czasu.

Kiedy w końcu otworzył, ujrzał w progu Erin w szortach khaki, pomarańczowej koszulce, z kaskiem pod pachą. Uśmiechnął się.

- Cześć, Erin. Przejażdżka rowerowa?

- Dopóki temperatura znośna. Koło południa może być już za gorąco. Pomyślałam, że zajrzę i spróbuję cię wyciągnąć. Masz rower, prawda?

Miał rower. Nie wsiadł na niego ani razu po śmierci Kayley. Prawdopodobnie nie zdjął nawet fotelika, w którym ją woził. Kiedy miała cztery lata, przesiadła się na własny rowerek. Był z niej taki dumny...

- Zdaje się, że nie masz ochoty na rower. Nie przeszkadzam w takim razie.

- Nie. Po prostu nie wiem, czy mój rower nadaje się do jazdy. Wejdź, napijesz się czegoś. Mam mrożoną herbatę, sok...

- Nie będę ci przeszkadzać?

- Nie. - Powinien powiedzieć, że tak, że przeszkadza. Czuł się samotny, bezbronny, Erin go pociągała. Niebezpieczna kombinacja.

- W takim razie wejdę na chwilę.

Erin weszła do salonu i od razu zwróciła uwagę na zdjęcia Kayley.

- To dobrze, że trzymacie pamiątki na wierzchu - powiedziała ostrożnie. - Kiedy Jeff umarł, moi rodzice wszystko pochowali. Źle się czują, kiedy do mnie przychodzą i widzą jego zdjęcia na ścianach.

- Zobaczmy, co mam w lodówce. - Mack zaprosił Erin gestem, by przeszła z nim do kuchni.

Tu też obecna była Kayley; wróciły jej ulubione kubki, szklany klosz na ciastka z Cookie'em z „Ulicy Sezamkowej”, który sama wybrała w czasie jakiejś rodzinnej wyprawy na zakupy.

Mack otworzył lodówkę.

- Herbata, woda...

- Wodę poproszę. - Oparła się o blat kuchenny i upiła łyk. - Co u ciebie, Mack?

Nie widzieli się od tamtej nieudanej kolacji w Siam Palace. Był zdziwiony, że chciała go jeszcze zobaczyć.

- Praca i jeszcze raz praca. - Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Powinniśmy chyba porozmawiać o tamtym wieczorze.

- Wybacz, Erin. Powinienem był zadzwonić do ciebie, przeprosić, ale bałem się, że to jeszcze pogorszy sprawę. Nie zrobiliśmy nic złego, ale sytuacja była niezręczna.

- Dla ciebie również.

Cała Erin. Wspaniałomyślna i chyba w nim zakochana. Przyjmował jedno i drugie jak tonący chwytą koło ratunkowe.

- Ja - podjęła - nie nadaję się na tę drugą. - Uśmiechnęła się i łzy napłynęły jej do oczu.

Gdyby nie te łzy, nie dotknąłby jej pewnie. Nie pogłaskał po policzku. Nie zanurzył dłoni w jej włosach.

Gdyby nie oddała mu jego pocałunku...

Objął ją, przycisnął do blatu, poczuł, że trąca coś łokciem i szklany klosz na ciastka, klosz Kayley, roztrzaskał się o podłogę.

Erin odsunęła się raptownie, a on stał bez ruchu.

Lubił ją, może nawet trochę się w niej podkochiwał, ale nie pragnął jej tak naprawdę. Pragnął Tessy, życia, które dzielili. Pragnął tego, co przeminęło, tamtej małej rodziny, która kiedyś wspólnie wybierała i kupowała rozbity teraz szklany klosz.

Mack podniósł dłonie do twarzy, z gardła wydobył się głuchy szloch.

- Proszę cię, idź już, Erin.

Erin przesunęła się w stronę drzwi.

- Zniknę, Mack. Na dobre. Przychodziłam na mityngi tylko dla ciebie. Nie musiałam już bywać, ale przychodziłam. Żeby móc cię zobaczyć. Nie powinnam była. Więcej mnie już nie zobaczysz. Wracaj do niej, Mack. Powinieneś do niej wrócić.

Chciał jej powiedzieć, żeby się nie obwiniała, chciał podziękować za szlachetne słowa i nie mógł dobyć głosu.

Usłyszał zamykanie drzwi wejściowych i znowu był sam.

Tessa po drugim wieczorze spędzonym przed domem Roberta Owensa w Manassas przyznała się w końcu matce i babce, gdzie jeździ i dlaczego tak późno wraca. Obie panie nie były zachwycone, ale okazały większe zrozumienie niż Mack.

Tego wieczoru dyżurować miała Diana, ale wypadło jej jakieś przyjęcie urodzinowe, na które musiała iść, i do Manassas pojechała Tessa.

Tym razem odważyła się zaparkować tuż koło domu, po drugiej stronie ulicy. Zanosiło się na burzę i było mało prawdopodobne, żeby ktoś ją zauważył. Podjazdy przed domami były niewielkie, mnóstwo samochodów stało na ulicy, a dymne szyby w toyocie dawały dodatkową osłonę.

Przez ostatnie cztery dni Owens nie próbował siadać za kierownicą. W ogóle nie opuszczał domu. Kręcił się w pobliżu, wychodził do ogrodu, wyjmował pocztę ze skrzynki, ale nigdzie się nie oddalał.

Tego dnia, a była sobota, mógł jednak zdecydować się na wypad do baru, do znajomych na jakąś imprezę.

Minęły dwie godziny, niebo zaciągnęło się ciężkimi chmurami i pierwsze krople deszczu zaczęły uderzać o szyby. Tessa nie widziała jeszcze Owensa, ale wiedziała, że jest w domu, bo słyszała, jak matka coś do niego wołała, kiedy wyszła na chwilę do ogrodu.

Deszcz przypominał Tessie, jak Nancy i Helen tańczyły w czasie poszukiwania skarbu jej babki. Już nie musiały przekopywać całego podwórza. Nancy wynajęła w końcu wykrywacz metali i trzecia puszka znalazła się w ciągu kwadransa. Pieniądze Helen zostały umieszczone bezpiecznie w banku, a na świeżo skopanej ziemi rosły teraz barwinki.

Drzwi frontowe otworzyły się i pani Owens wyjrzała ostrożnie, jakby miała nadzieję, że deszcz w jednej chwili ustanie, po czym przebiegła szybko do samochodu i po chwili odjechała.

Tessa zastanawiała się, czy nie powinna wracać do Fitch Crossing. Padało, Owens nawet gdyby chciał gdzieś jechać, nie miał do dyspozycji samochodu. Zanim podjęła decyzję, zdrzemnęła się, zmęczona długim dniem. Spała może kilka minut, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła srebrnego vana. Zatrzymał się tuż obok jej wozu, z wnętrza wysypało się kilku młodych ludzi i pobiegło ze śmiechem na ganek: dokładnie pięciu, jak policzyła, dwóch z papierowymi torbami, w których musieli mieć zakupy. Błysnęło światło nad wejściem, drzwi się otworzyły, chłopcy zniknęli we wnętrzu domu, światło zgasło i na ulicy znów zapanował spokój.

Owens urządzał imprezę dla kolegów. Jeśli zamierzał się z nimi napić, oznaczało to złamanie warunków zwolnienia. Jeden kieliszek i wracał z powrotem do więzienia, w każdym razie tak twierdził sędzia Lutz. Owens codziennie przed pracą miał chodzić na mityng AA i zapewne chodził, bo to też był jeden z wymogów do spełnienia, a co robił i jak sobie poczynał we własnych czterech ścianach, tego już nikt nie wiedział.

Tessa przez deszcz słyszała dochodzącą z wnętrza domu głośną muzykę.

Mogła zadzwonić do kuratorki, ale co by jej powiedziała? „Siedzę w samochodzie pod domem Roberta Owensa i bardzo bym chciała odesłać go na powrót do więzienia. Podejrzewam, że właśnie pije. Niech ktoś przyjedzie sprawdzić mu poziom alkoholu we krwi, ale za chwilę, jak jeszcze trochę wypije”.

Musiała działać rozważnie. Miała tylko jedną szansę. Musi pod osłoną mroku i deszczu podkraść się pod okno i zajrzeć do środka. Jeśli upewni się, że Owens pije, zadzwoni do kuratorki. Miała jej numer telefonu. Diana go zdobyła, choć Tessa nie potrafiła powiedzieć, jak jej przyjaciółka tego dokonała.

Jeszcze się wahała: czy rzeczywiście ma wysiąść z samochodu, obejść dom, podglądać? W końcu sięgnęła po płaszcz przeciwdeszczowy leżący na tylnym siedzeniu.

Trzymając się żywo płotu, ruszyła na tyły domu, skąd dochodziła muzyka i głośne śmiechy, teraz słyszała je wyraźnie. Być może odwiedzili Owensa starzy kumple. Być może był wśród nich i ten, który tamtego ranka, kiedy zginęła Kayley, wsadził pijanego w sztok Roberta do samochodu i pozwolił mu ruszyć.

Przywarła do muru przy oknie i ostrożnie wychyliła głowę, tak że widziała niewielką część pokoju z włączonym telewizorem. W świetle szyby przesunęła się jedna postać w dżinsach, potem druga. Obaj chłopcy mieli puszki w dłoni, ale jakie, tego już nie widziała. Cofnęła się między krzewy, skąd mogła zobaczyć coś więcej.

W tej właśnie chwili do pokoju wszedł Owens, upiór z jej snów: nieproporcjonalnie zbudowany, z za krótkimi w stosunku do tułowia nogami, o jasnych, pozbawionych określonego koloru włosach, szerokim czole i zbyt blisko osadzonych oczach.

Czytała opinie na jego temat, kiedy toczył się proces. Początkowo był dobrym uczniem, skautem, dostawał dobre oceny, zdobywał kolejne sprawności. Miał kilkanaście lat, kiedy zmienił się diametralnie: bójki, drobne kradzieże, pierwsze zawieszenie w prawach ucznia, zmiana szkoły, kolejne zawieszenie, znowu zamiana szkoły...

Nie miał drinka w rękę, ale to nic nie znaczyło. Mógł przecież wypić już jedno, dwa piwa. Jeśli będzie cierpliwa, jeśli poczeka...

Robert ruszył w stronę okna, jednocześnie mówił coś do kolegów podniesionym głosem, zacisnął dłonie w pięści i gwałtownie gestykulował. Tessa przeraziła się, że zaraz ją zobaczy. Pochyliła się, cofnęła głębiej w zarośla i... zobaczyła tuż obok mężczyznę.

Zanim zdążyła krzyknąć, zasłonił jej usta dłonią.

- Tessa, ciszej, do cholery.

Była tak przerażona, że dopiero po chwili dotarło do niej, że to Mack.

Cofnął dłoń, położył palec na ustach i pociągnął ją w stronę ulicy. Zanosilo się na awanturę.

Kiedy wsiedli do jego samochodu, podał jej suchy ręcznik.

- Używam go do przecierania szyby, powinien być czysty.

- Jak mnie, na Boga, tu znalazłeś?

- Twoja matka prosiła, żebym spróbował przemówić ci do rozumu. Podobno tkwisz tutaj już drugi wieczór pod rząd. Boi się, że zalegniesz tutaj obozem.

- A ty się z nią zgadzasz? Pierwsze słyszę.

- Co chciałaś uzyskać, podkradając się tam pod okno? Wiesz, z ilu artykułów można ci postawić zarzuty? Bezprawne wejście na teren prywatny, to raz. Dwa, naruszenie prywatności. Już to wystarczy. Zwariowałaś?

- Widocznie. - Nie patrząc na niego, wycierała zawzięcie włosy.

- Tessa, skarbie, spójrz na mnie. Zaskoczyła ją nagła zmiana tonu. Położyła ręcznik na kolanach i zwróciła głowę ku mężowi.

- Mack, nie rób mi wykładów. I nie traktuj jak dziecka. Wiem, co robię.

- I na co się narażasz?

- Oczywiście. Uważasz, że nagle mi rozum odjęło?

- Robert Owens ma określone prawa.

- Nasza córka, niestety, już ich nie ma. Dla mnie Owens utracił jakiegokolwiek prawa, w momencie gdy ją potracił. Gdybym mogła sfabrykować dowód przeciwko niemu, wiedząc, że ujdzie mi to bezkarnie, zrobiłabym to.

- Nie.

Nie próbowała się sprzeczać, nie była wcale pewna, czy ma rację.

- Co tam zobaczyłaś? Warto było się narażać?

- Może byłoby warto, gdybyś mi nie przeszkodził. Impreza dopiero się rozkręcała.

- Inaczej mówiąc, nie działo się tam nic szczególnego. A czego się spodziewałaś?

Żałowała, że nie zobaczyła Owensa z puszką piwa w dłoni. Teraz mogłaby rzucić Mackowi w twarz fakty.

- Ledwie matka wyszła z domu, pojawili się kolesie Owensa. Myślisz, że to przypadek? Czekali, aż starsza pani się wyniesie, żeby urządzić sobie imprezę. A dla nich impreza to picie.

- Możesz tego dowieść? Nie mogła.

- Daj sobie spokój. - Mack położył jej dłoń na kolanie. - Martwię się o ciebie. Bardziej, niż przypuszczasz. To niepodobne do ciebie. Ty postępujesz zawsze fair. Jesteś rozważna.

- Jestem matką.

- Dużo myślałem o naszej ostatniej rozmowie. Ciągle jeszcze ją słyszę.

Tak jakby ona nie myślała, nie powtarzała jej sobie w głowie ciągle od początku.

- Nic się nie zmieniło. Nadal będę obserwowała jego dom.

- Coś się jednak zmieniło. Twierdziłaś, że nie robisz nic nielegalnego. Dzisiaj przekroczyłaś granicę prawa.

Odsunęła jego dłoń z kolana. Przymknęła oczy, rozważając, co przed chwilą powiedział.

- Zgoda, przekroczyłam - przyznała. Mack westchnął głośno.

- Cieszę się, że to zauważyłaś.

- Zadowolony?

- Obawiam się, że w końcu trafisz do więzienia, jak będziesz tak się zachowywać jak dzisiaj.

- Nie będę próbowała już podglądać Owensa, ale to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

- Dla mnie?

- Tak, dla ciebie. - Spojrzała na niego znowu.

- Mogę iść do więzienia, wszystko mi jedno. Chętnie pójdę siedzieć, jeśli dzięki temu Owens wróci za kratki.

- To nie jest sposób.

- Mack, przyznałam, że dzisiaj się wygłupiłam. Już dobrze?

Mack oparł głowę o zagłówek.

- Czasami myślę, że lepiej byłoby ci beze mnie. Ja jestem tylko przypomnieniem szczęśliwszych czasów. Czasami myślę, że jestem dla ciebie tylko tym, niczym więcej, i że powinienem się usunąć. Poradziłabyś sobie beze mnie? Gdybym odszedł, wróciłabyś do normalnego życia, przestała wreszcie oglądać się wstecz?

- Ja się nie oglądam wstecz, szukam sprawiedliwości, a to coś innego.

- Wiesz co? - Mack jakby nie słyszał jej słów. - Ciągle myślę o tym, że powinienem odejść, i nie potrafię.

- Nie? - To wszystko, co wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Szukam cię w innych kobietach. Stąd ta historia z Erin.

- Historia z Erin? Daj spokój.

- Popychałaś mnie ku niej.

- Nie znam nawet tej kobiety.

- Nie musiałaś znać. Każda byłaby dobra, żebyś mogła wreszcie zostać sama ze swoim bólem i nienawiścią.

- To ja jestem winna, że masz romans?

- Nie ma i nie było żadnego romansu. O nic cię nie obwiniam. Czułem się samotny, a ty na każdym kroku popychałaś mnie w ramiona Erin. Tym, co powiedziałaś i nie powiedziałaś, co zrobiłaś i czego nie zrobiłaś. Każda noc, kiedy się nie kochaliśmy, każde niewypowiedziane i wypowiedziane słowo oddalały nas od siebie. Ja już tak nie mogę żyć, Tesso. Jeśli chcesz, żebym odszedł, powiedz mi to. Wprost. Ja nie będę załatwiał za ciebie brudnej roboty. Nie wezmę winy na siebie, nie oznajmię, że się zakochałem w kimś innym i właśnie pakuję walizki.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Upieranie się, że Mack nie ma racji, byłoby nieuczciwe, ale czy miał? Czy rzeczywiście chciała, żeby Mack od niej odszedł, zabierając ze sobą rysunki, zdjęcia, pluszowego jednorożca, wszystko, co przypominało Kayley?

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Wszędzie ją widzę. Nawet kiedy patrzę na Owensa. Ten człowiek śni mi się po nocach. Samochód nadjeżdża, jest coraz bliżej...

- Przestań, Tesso. Nie mogę tego słuchać.

- Nie rozumiesz. To nie on prowadzi, ja siedzę za kierownicą. Ten sen wraca co noc. Ja siedzę w samochodzie, on stoi na chodniku. I ja najeżdżam na niego, Mack. Przyciskam gaz i jadę prosto na niego. Nie zatrzymuję się. - Ukryła twarz w dłoniach. Mack nie poruszył się, nie odezwał słowem. - Chciałabym, żeby cierpiał tak jak my cierpimy.

- Potrzebna ci pomoc.

- Nie. Potrzebna mi świadomość, że Owens siedzi w więzieniu. Tylko to może mi pomóc.

- To nic nie zmieni, Tesso. Nie rozumiesz tego?

Dość już przeszłaś. Musisz się z tym uporać, a sama tego nie zrobisz.

- Uporam się. Staram się coś robić. Dlatego tutaj jestem.

- Odrącasz wszystkich od siebie. Lato u babki niczego cię nie nauczyło? Nie widzisz analogii? Jeśli czegoś nie zrobisz ze swoim życiem, i to szybko, zamienisz się w starą, zgorzkniałą kobietę, jak Helen. Chcesz tego i dlatego odpychasz mnie od siebie, ale ostatni

krok będziesz musiała zrobić sama. Ja ci nie pomogę. Jestem przy tobie i będę, dopóki mi nie powiesz, że mam sobie iść precz.

Otarła oczy mankietem mokrego płaszcza i podniosła wzrok na Macka.

- Nie chcę cię. Nie chcę twojej pomocy. Mack pokręcił powoli głową.

- Nie wierzę ci.

Pochylił się i otworzył drzwiczki z jej strony.

- Wracaj do domu.

Stała chwilę na chodniku, patrząc, jak Mack odjeżdża. Z domu Owensa nadal dochodziła głośna muzyka, ale Tessa wsiadła do swojego samochodu i odjechała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy Nancy była mała, Helen, choćby nie wiedzieć jak była zmęczona, starała się nie opuszczać żadnego niedzielnego nabożeństwa i zawsze zabierała córkę ze sobą. Tej niedzieli to Nancy zawiozła matkę do kościoła.

Od jej ostatniej wizyty wiele się tu zmieniło; powstał nowy dom parafialny, nowe skrzydło dla dzieci, wyasfaltowano na nowo parking i rosarium, w którym latem mogły odbywać się śluby pod gołym niebem.

Coś powiedziała na ten temat przy kawie, po powrocie do domu.

- Rzadko bywam teraz w kościele - odparła Helen. - W moim wieku to niepotrzebne. Albo pójdę do nieba, albo nie. Niewiele już mogę odmienić.

Nancy wyjęła ciastka kupione po drodze w Woodstock.

- Może jednak powinnaś, żeby spotkać się z ludźmi, zamienić z kimś kilka słów. Za dużo czasu spędzasz sama.

- Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie. Ciągle się potykam o którąś z was.

Nancy puściła mimo uszu kąśliwą odpowiedź.

- Podoba mi się nowy pastor. Bardzo wypytywał o ciebie. Mówił, że był kilka razy u ciebie, ale nie wpuścił go do domu.

- Nie mieliście innych tematów do rozmowy?

- Powiedziałam mu, że teraz na pewno go przyjmiesz. Obiecał, że cię odwiedzi.

Helen zaczęła coś gderać pod nosem i Nancy odwróciła się, żeby ukryć uśmiech.

- Tessa dobrze się czuje?

- Dlaczego pytasz, mamó?

- Nie widziałam jej dzisiaj rano.

- Jest na strychu.

- Wczoraj późno wróciła.

Helen musiała czuwać w nocy, nasłuchując powrotu wnuczki, jak Nancy.

- Nie podoba mi się to szpiegowanie Owensa. Powiedziałam o tym Mackowi. To jak sól na żywą ranę, ale Tessa i tak robi, co uzna za stosowne.

- Jak jej matka - zauważyła Helen.

- Nie, Tessa jest bardziej podobna do Billy'ego niż do mnie. Obserwuje dom tego chłopaka, bo uważa, że to jej obowiązek, nawet jeśli miałyby zrujnować sobie życie. Billy ożenił się ze mną, bo uważał, że musi, bez względu na konsekwencje.

- Od lat tak już nie uważa.

Nancy usiadła wreszcie przy stole i sięgnęła po ciastko.

- Kilka dni temu Tessa znalazła na strychu nasz akt ślubu. Teraz już wie, że byłam w ciąży, kiedy się pobieraliśmy.

Helen nie zdziwiła się ani trochę.

- Wiadomo było, że kiedyś się dowie. Lepiej teraz niż po twojej śmierci. Przynajmniej mogłaś jej wytłumaczyć.

- Co tu tłumaczyć. Poznałam chłopaka, poszliśmy do łóżka, zaszłam w ciążę. Banał.

- Nie taki znowu banał, jakby się wydawało.

- Nie?

- Myślisz, że nie wiem? Nigdy nie widziałas miejsca dla siebie na wsi. Billy był dla ciebie szansą, żeby się stąd wyrwać.

- Nie zaplanowałam sobie, że zajdę w ciążę, jeśli to chcesz zasugerować. Tyle lat minęło, że mogłabym teraz powiedzieć prawdę, ale tak nie było.

- Nie, ale patrzyłaś na Billy'ego jak na księcia z bajki. Zawsze byłaś marzycielką, od małości. Wrażliwa na kolory, na dźwięki. Albo coś cię zachwycało, albo wprawiało w śmiertelne przerażenie. Nie było nic pomiędzy. Żyłaś w wyśnionym świecie.

- Jak wszystkie dzieci.

- Ja nie. W naszej rodzinie nikt taki nie był, może Tom. Może Fate taki był, dopóki los nie wziął się na niego. Nie wiem. Wiem tylko, że nie lubił wiejskiego życia, jak ty. Chciał podróżować, poznawać świat. Miał tęsknoty, których ja nigdy nie miałam.

Nancy była zaskoczona, że jej matka nie tylko ją zna, ale potrafi zaakceptować taką, jaka jest,

- Dlaczego więc próbowałaś ze mnie zrobić kogoś innego, niż byłam?

- Żebyś nie zginęła w życiu. Co innego mogłam ci dać? Miałam tę farmę i to wszystko.

- Byłoby mi miło, gdybym wiedziała, że mnie rozumiesz - powiedziała Nancy z przekąsem, ale Helen nie wyglądała na urażoną.

- Wtedy nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Wiedziałam, że może być ciężko i chciałam cię przygotować, gdybyś miała tu zostać. Tak myślałam, teraz wiem, że cię ograniczałam. Dobre intencje czasami przynoszą odwrotny skutek. I to najsmutniejsza rzecz w naszym życiu.

Nancy nie wiedziała, co powiedzieć. Zawsze sądziła, że matka ma ją za pomyłkę natury, teraz musiała spojrzeć inaczej na całe swoje dorastanie, zrewidować swoje spojrzenie.

Helen chyba to rozumiała. Dotknęła jej dłoni.

- A może chciałam podciąć ci skrzydła, Nanny, żebyś mi nie odfrunęła? I może to jest najsmutniejsze. Jeśli tak było, to bardzo mi przykro.

Tessa nie wiedziała dokąd Nancy chce ją porwać. Kiedy zeszła w południe na dół, matka chwyciła kluczyki do samochodu i posłała jej naglące spojrzenie.

- Nie będę rozmawiać o obserwacji domu Owensa - ostrzegła Tessa, kiedy wsiadły do samochodu.

- W porządku - zgodziła się Nancy i ruszyła drogą przez Fitch Crossing w spacerowym tempie.

- Mack mnie wczoraj znalazł. - Nie wytrzymała Tessa. - Podobno ty mu powiedziałaś, gdzie jestem.

Nancy skręciła na północ.

- Podobno nie chcesz o tym rozmawiać.

- Nie powinnaś była nic mu mówić.

- Miałam go okłamać?

Tessa nie odpowiedziała. Obudziła się rano z bólem głowy i ściśniętym gardłem, jakby zaraz miała się rozpłakać.

- On za tobą tęskni. Ty za nim też.

- Tylko bez psychoanalizy. - Tessa ponieważ ugryzła się w język. - Przepraszam. Nie chciałam. Nie najlepiej się dzisiaj czuję.

- To zamknij oczy i odpręż się. Mam dla ciebie niespodziankę. Spodoba ci się.

Żadnych wyrzutów, napomnień, tylko matczyzna troska. Kiedy samochód wreszcie się zatrzymał i Tessa otworzyła oczy, czuła się znacznie lepiej.

- Kościół babci? - Wyprostowała się i ogarnęła wzrokiem malowniczy obrazek: zadbane, stary kościółek pośród drzew. Ostatnie

nabożeństwo musiało się niedawno skończyć, bo przed kościołem grupka wiernych żegnała się z pastorem.

- Nazywa się Sam Kinkade. Miły chłopak i dobry kaznodzieja - powiedziała Nancy. - Dzisiaj mówił o tym, że człowiek powinien kochać siebie. Zanim zwrócimy naszą miłość ku Bogu i ku bliźnim, musimy pokochać siebie. Kazanie, które daje do myślenia.

Mack po śmierci Kayley regularnie chodził do kościoła. Wcześniej chodzili co niedzielę, całą rodziną, ale bardziej przez wzgląd na Kayley, niż z wewnętrznej potrzeby. Teraz Mack chodził, bo chciał, a Tessa nie przestępowała progu kościoła.

- Jesteśmy umówione - dodała Nancy.

Tessa zdrętwiała na moment. Już myślała, że matka przywiozła ją tutaj w celu dostarczenia duchowej pociechy przy użyciu „miłego chłopca”, Sama Kinkade'a. Ale Nancy położyła dłoń na jej ramieniu, jakby wyczuła opór Tessy.

- Mam pomysł i być może tutaj uda się go zrealizować. Chciałabym urządzić wystawę quiltów twojej babki. - Wysiadła z samochodu i Tessa ruszyła za nią.

- Babcia wie?

Nancy zaczęła się śmiać.

- Żartujesz chyba.

- To ma być niespodzianka?

- Dopóki ktoś się nie wygada. Potem będzie trzeba ją zwinąć, wrzucić do jej starej furgonetki i przywieźć tutaj.

- Ale pomysł wspaniały! Nancy zatrzymała się.

- Cieszę się, że akceptujesz.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Twoja babka nie miała w życiu zbyt wiele radości. Walczyła o utrzymanie farmy, sama wychowywała dziecko i jeszcze miała czas robić te niezwykle quilty. Kto o nich wie? Kto zna jej życie? Zasluguje na trochę uznania przed śmiercią, nie sądzisz?

- Ty to świetnie zorganizujesz. Masz talent, będziesz umiała wyeksponować jej prace.

- Przestań, bo zaraz się zarumienię.

I Nancy naprawdę się zarumieniła, a Tessa chyba po raz pierwszy uświadomiła sobie, że nigdy nie chwaliła swojej matki, nigdy za nic. Była to widocznie jakaś rodzinna ułomność.

Podszedł do nich wielebny Kinkade. Przystojny, ciemnowłosy, musiał być w wieku Tessy, może o rok, dwa młodszy.

- Oprowadzę was, potem zostawię, bo mam kilka umówionych wizyt u parafian, ale możecie zostać tak długo, jak chcecie.

Sam, bo prosił, żeby tak go nazywać, zapalił się do pomysłu Nancy.

- Wiem, że Helen tuzinami rozdaje swoje quilty potrzebującym. Nie znam jej prawie, ale z opowiadań wnioskuję, że to pani z charakterkiem.

Tessie spodobała się bezpośredniość pastora. Z takim duchownym chyba byłaby w stanie nawet się zaprzyjaźnić.

- Zgadza się, w obydwu przypadkach. Jest przy tym prawdziwą artystką.

- Gdyby to ode mnie zależało, dom parafialny mógłby stać otworem na wszystkie potrzeby wspólnoty, ale za każdym razem muszę mieć zgodę naszej rady. Z tym oczywiście nie będzie problemu, szczególnie jeśli pokaz przedłużymy do przyszłej niedzieli.

- Świetnie - ucieszyła się Nancy. - Więcej osób zobaczy quilty.

- Może ci, którzy dostali quilty od babci, mogliby je wypożyczyć na wystawę, z opisem, co ten dar dla nich znaczył, jak pomógł - podsunęła Tessa.

- Znakomity pomysł. - Nancy objęła córkę. - Może część powiesić na zewnątrz, jeśli będzie ładna pogoda? Na najniższych gałęziach drzew?

- Albo w pergoli rosarium - włączył się Sam. Kiedy się żegnał z paniami, sprawa wystawy była omówiona w najdrobniejszych szczegółach.

- Wejdę na chwilę do kościoła - powiedziała Tessa, kiedy odjechał. Spodziewała się, że matka zacznie się dopytywać, czy aby dobrze się czuje, szuka ochłody, może chce się napić wody, ale Nancy uścisnęła tylko jej dłoń i odeszła.

Chyba nie może być spokojniejszego miejsca na ziemi, niż wiejski kościółek. Klimatyzacja była wyłączona, ale we wnętrzu panował miły chłód. Pomyślała o Macku i zrozumiała, co odnajdywał w kościele. Sama jednak czuła się nieswojo, jakby cały czas wzbraniała się przed otwarciem na ów spokój, nie mówiąc już o próbie odpowiedzenia na pytania zasadnicze na temat Boga. W

każdym razie kwadrans w kościelnej nawie pomógł jej trochę lepiej zrozumieć Macka.

- Gotowa? - zapytała Nancy, kiedy Tessa wyszła na dziedziniec. - Umieram z głodu. Wracajmy do domu i zrobmy lunch.

- Nie. Daj się zaprosić. Wspominałaś o jakiejś knajpce w Woodstock. Dla babci weźmiemy coś na wynos.

Nancy wyraźnie się ucieszyła.

- Świetnie, jedźmy. Spodoba ci się tam. Zaparkowały w cichej bocznej uliczce i odnalazły bez trudu knajpkę. Usiadły przy oknie, zamówiły zwykłe sandwicze, bez żadnych udziwnień, które okazały się pyszne.

- Zabierałam cię tutaj często, kiedy byłaś mała.

- I uczyłaś mnie, jak ładnie jeść, trzymać łokcie przy sobie i tak dalej.

- Byłaś bardzo pojętna, a ja byłam bardzo dumna z ciebie.

Tessa roześmiała się. Nie przypuszczała, że jej mamie wyprawa do Woodstock sprawi przyjemność. Nie знаła takiej Nancy: żartującej, odprężonej.

- Kupowałaś mi zawsze lody Rocky Road, pamiętasz? Jeśli tutaj ich akurat nie mieli, szukałyśmy w pobliskich cukierniach.

- Byłaś strasznie uparta.

Tessa zastanawiała się, czy jest nadal. Mimo woli wracała ciągle do wczorajszej rozmowy z Mackiem. Czy rzeczywiście próbowała radzić sobie ze śmiercią córki przez zamykanie się na wszelkie uczucia? Czy tak bardzo bała się bólu, że w ogóle nic już nie czuła, popadła w jakąś emocjonalną atrofię?

- Jak mnie teraz widzisz, mamó? - Podniosła głowę. - Uważasz, że sobie radzę?

Nie musiała wyjaśniać, co ma na myśli, Nancy od razu zrozumiała.

- Mam ci powiedzieć prawdę?

- Tak.

- Nie, nie radzisz sobie.

Tessa czekała, że usłyszy coś jeszcze, ale Nancy ten jeden raz w życiu postanowiła być małomówna.

- Mack też tak uważa - podjęła, gdy Nancy uparcie milczała. - Jesteśmy o krok od rozwodu.

- Chcesz tego?

Tessa nie potrafiła powiedzieć, ale całą noc zastanawiała się nad słowami Macka i wiedziała na pewno, że miał rację, mówiąc jej poprzedniego wieczoru, że popycha go do rozstania.

- Mack mówi, że chcę uwolnić się od wszystkiego, co wiąże się w jakiś sposób z Kayley, także od niego.

- Pewnie oczekiwał, że zaprzeczysz. Tessa podniosła głowę znad talerza.

- Nie zaprzeczyłam.

- Nie znajdziesz lepszego człowieka, niż Andrew MacRae. Będziesz sama, bo nikt mu nie dorówna.

- Myślałam o tym, co mi opowiadałaś. Jak poznałaś tatę. Chyba zaraz potem musiałaś zajść w ciążę.

- Wychowałam się na farmie. O niczym nie miałam pojęcia. Niestety, zwierzęta nie używają prezerwatyw. Twój tatuś również.

Tessa parsknęła śmiechem.

- Powinien był być bardziej rozgarnięty od ciebie.

- Powiedzmy, że się zapomnieliśmy.

- Jak to było? Nie pytam o zapominanie się, tylko co czułaś, kiedy się dowiedziałaś, że jesteś w ciąży. I proszę mi nie serwować wersji odkażonej. Dobrze mi robi, jak posłucham o problemach i ich przewyciężaniu. - Powiedziała to półzartem, chociaż wcale nie żartowała.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie pokażemy ci się w najlepszym świetle.

- Naprawdę chcę wiedzieć. - Tessa kończyła swojego sandwicza.

- Jakoś sobie jednak zdołaliście poradzić.

- Mniej więcej. Ty byłaś naszą nagrodą. Nigdy nie żałowaliśmy, że mamy ciebie, nieważne, w jaki sposób sprowadziliśmy cię na świat.

- Ja też nigdy nie żałowałam, że mnie sprowadziliście.

- Aż do śmierci Kayley. Wtedy przeklinałaś dzień, w którym się urodziłaś.

Tessa zastanawiała się, czy rzeczywiście. Czy było jej gorzko? I dlaczego do tej pory nie przyjrzała się swoim reakcjom, odczuciom, nie próbowała ich zrewidować?

Podniosła się, wygięła do tyłu.

- Mam ochotę na cappuccino. Przynieść ci też? Nancy uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie. Idź po tę kawę, a ja pomyślę, jak ci wytłumaczyć, dlaczego byliśmy z twoim ojcem takimi idiotami trzydzieści osiem lat temu, kiedy sprowadzaliśmy cię na ten świat.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sierpień 1964

Nancy nie miała sprecyzowanych planów. Marzyło się jej, że jakiś łowca modelek odnajdzie ją pośród pomidorów i zaproponuje lukratywny kontrakt, ale wiedziała, że to tylko marzenia. Jeśli posiadała jakieś mocne strony, nie była ich świadoma.

Aż raptem w jej życiu pojawił się Billy Whitlock i układanie planów przestało być ważne. Lato z Billym, to był cały plan.

Ciągle nie mogła uwierzyć, że ktoś taki jak Billy, przystojny, bystry, ją sobie wybrał za partnerkę letniego romansu, nawet założywszy, że wybór miał mocno ograniczony. Billy był namiętnym, czułym kochankiem i Nancy, kiedy już pogodziła się z faktem, że przestała być „porządną dziewczyną”, odpowiedziała z całą miłością, dla której dotąd nigdzie nie znajdowała ujścia.

Bo była zakochana, choć wiedziała, że to głupie, i wymykała się na randki, kiedy tylko mogła.

Tego dnia nie tylko chciała, ale musiała spotkać się z Billym. Bo za trzy dni wyjeżdżał do domu. Nie mówił co prawda, że tęskni za swoją zwykłą egzystencją, ale nie musiał, widać było, jak mu spieszo wyrwać się z wiejskiej nudy. Nancy od początku nie robiła sobie złudnych nadziei, doskonale wiedziała, że zbyt wiele ich dzieli i że z chwilą, gdy Billy wróci na dobre do Richmond, zapomni o niej.

Dzisiaj jednak miała mu powiedzieć, że nie da się o niej tak łatwo zapomnieć.

Kiedy szykowała się do wyjścia, do pokoju wtargnęła Helen, jak zwykle bez pukania.

- Za dużo czasu spędzasz z tym chłopakiem - oznajmiła od progu. - Lepiej zrobisz, jak zostaniesz dzisiaj w domu.

- On za kilka dni wyjeżdża, mamó. Już nie będziesz musiała zrzedzić.

- Niech wyjeżdża. Nie wiadomo, po co przyjechał. Tacy jak on nie mają czego u nas szukać. Nanny...

Nancy zamknęła oczy, czekała.

- Uważaj, Nanny. To wszystko. Spóźnione ostrzeżenie.

Billy przyjechał po nią kwadrans później. Próbował wdać się w uprzejmą rozmowę z Helen, ale było jasne, że o żadnej niezobowiązującej rozmowie nie może być mowy.

Nie ujechali mili, kiedy Nancy zażądała, żeby zatrzymał samochód.

- Dlaczego?

- Stań. Natychmiast.

Wyskoczyła z samochodu. Trzeba przyznać, że Billy zachował się szarmancko, bo podsunął jej swoją chustkę. Na tylnej ławeczce znalazła się cola do przełukania ust.

- Trzeba było powiedzieć, że źle się czujesz. Nancy zaczęła płakać. Objął ją i poklepał po plecach.

- Już dobrze. Nie ma się czego wstydzić. Każdemu się zdarza.

- Facetom nie!

Nie od razu zrozumiał, a kiedy do niego dotarło, zeszywniał, przestał głaskać ją po plecach.

- Chcesz powiedzieć... ?

- Że jestem w ciąży.

- Jesteś pewna?

- Owszem. Nie mam okresu, już drugi raz, za to mam rano nudności. Boleą mnie piersi. Będę miała dziecko.

- Cholera.

- Nie przeklinaj go.

- Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś?

- Ponieważ miałam nadzieję, że to nieprawda. Nigdy nie wiadomo. Poza tym czułam się normalnie. Czasami okres się spóźnia, czasami w jakimś miesiącu może nie pojawić się w ogóle. Słyszałam, że takie rzeczy się zdarzają. Myślałam, że może organizm trochę mi się rozregulował. A ty na ogół uważałeś. Nie mogę po prostu uwierzyć, Billy.

- Cholera! - Billy uderzył pięścią w maskę samochodu.

Nie spodziewała się oczywiście, że Billy wpadnie w zachwyt, chwyci ją w ramiona i zaproponuje ślub, przysięgając miłość aż do grobowej deski, ale oczekiwała trochę cieplejszej reakcji.

Tego lata zaczęła wreszcie wierzyć, że zasługuje na lepsze życie, że wyrwie się w końcu z Toms Brook. Z Billym nie wiązała wielkich nadziei, ale ta znajomość uchyliła przed nią drzwi do innego świata, pozwoliła inaczej spojrzeć na siebie.

- Powinniśmy byli bardziej uważać. - Billy oparł się o samochód, ręce założył na piersi. - Musisz iść do lekarza, upewnić się, czy to prawda.

- Do naszego domowego nie mogę iść. Powie o wszystkim mamci.

- Nie sądzisz, że niedługo sama się domyśli?

- Lepiej później niż wcześniej.

- Jak ona zareaguje?

Nancy nie była pewna. Helen nie wyrzuci jej z domu, to wiedziała, ale wiedziała też, że nawet najśłodsze dziecko będzie dla nich obu ogromnym ciężarem i że matka będzie jej bez przerwy ciosała kolki na głowie.

- Będzie trudno - bąknęła. - Zastanawiałam się, czy ci powiedzieć. Nie chciałam psuć wspomnień. I żebyś sobie nie pomyślał, że próbuję cię złapać.

- Złapać?

Najwidoczniej mglista ewentualność ożenienia się z Nancy nawet nie przyszła mu do głowy. Nancy była jak praca w Dan - D, przedsmakiem tego, w co mogło się obrócić jego życie, gdyby definitywnie zawałił studia.

- Złapać na dziecko, żebyś się ze mną ożenił - wyjaśniła i odwróciła się do niego plecami. - Nie zrobiłam tego specjalnie.

- Ja muszę skończyć studia.

- Myślisz, że nie wiem?

- Właśnie postanowiłem... - przerwał. - Nieważne.

- Co postanowiłeś?

- Na pierwszym roku pozamieniałem wszystkie główne przedmioty. Ojciec chciał, żebym robił dyplom z ekonomii, ja chciałem zostać leśnikiem, no i pod tym kątem układałem sobie program studiów. Ojciec dowiedział się dopiero teraz, kiedy mu powiedziałem, że zawałiłem rok. Dlatego mnie tu przysłał. Powiedział, że albo skończę ekonomię i będę pracował w jego firmie konsultingowej albo w ogóle nic nie skończę, bo przestanie płacić za moje studia.

Billy wspominał o tym wcześniej, ale Nancy nie rozumiała zasad rządzących na uniwersytecie i nie bardzo wiedziała, na czym polega jego problem.

- I co postanowiłeś?

- Spieprzyć sobie życie. Sobie, tobie i dziecku. Na to wychodzi.

- Powiesz swoim rodzicom? Billy zrobił wielkie oczy.

- A jak ci się wydaje?

Nie wiedziała. Kochali się przez całe lato, żartowali, rozmawiali o rzeczach bez większego znaczenia i właściwie Billy był dla niej nadal kimś obcym.

- Załatwię wizytę u lekarza, gdzieś, gdzie nikt cię nie zna. To pierwsza rzecz. A potem zastanowimy się co dalej.

- Nie usunę ciąży. Billy wyprostował się.

- Nie powiedziałem nic takiego.

- Odwieź mnie do domu.

- Co powiesz matce?

- Że zaczyna ci się przeziębienie i nie chciałam się zarazić.

- Gdyby to było takie proste.

Następnego dnia Billy umówił wizytę u lekarza w Winchester. Doktor potwierdził, że Nancy jest w ciąży. Nie przewidywał żadnych komplikacji i to ostatnie stwierdzenie zabrzmiało w uszach Nancy jak ponury żart.

Billy odwiózł ją do domu.

- Odezwę się - rzucił na pożegnanie.

- Powinniśmy chyba porozmawiać? - zapytała nieśmiało.

- Muszę zastanowić się nad sytuacją. Daj mi trochę czasu, dobrze?

- Jak można się z tobą kontaktować?

Billy zawahał się, w końcu na świstku papieru zapisał jej numer telefonu domowego.

- Nie dzwoń, chyba że będzie coś ważnego.

- To chyba jest coś ważnego, nie sądzisz?

- Powiedziałem, że się odezwę, więc się odezwę. Była ciekawa, kto się odezwie: Billy czy jego prawnik.

Zadzwoił tydzień później, osobiście. Helen akurat nie było w domu. Najwyraźniej sprawdzał, czy nie zdarzył się cud i przypadkiem nie poroniła.

- To byłoby rozwiązanie, prawda? - powiedziała. - Przykro mi. Wiem, że to by ci odpowiadało.

- Nie powiesz mi, Nancy, że tobie nie.

- Jeśli nie wymyśliłeś nic poza poronieniem, to zajmij się może czymś innym. Niedługo zaczniesz być widać. Już ledwie mieszczę się w spódnice. Nie wiem, jak wrócę do pracy.

- Zadzwoię za kilka dni.

Nie zadzwonił. Pod koniec następnego tygodnia spanikowana sama zadzwoniła do niego. Odebrała jakaś kobieta, która mówiła o nim „młody pan Whitlock”. Nancy zostawiła wiadomość i już miała odłożyć słuchawkę, kiedy kobieta dodała:

- Nie pokaże się szybko w domu. Może spróbuje pani zadzwonić na campus.

Nancy osłupiała. Billy wrócił na uniwersytet, nie informując jej o tym. Miał nadzieję, że Nancy go nie odnajdzie, a dziecko jakimś cudownym sposobem zniknie.

Tego wieczoru długo płakała w poduszkę, w końcu zasnęła, a kiedy obudziła się rano, wiedziała już, że coś musi zrobić. Zanim powie matce, zanim całe jej życie się odmieni, musi spotkać się z Billym twarzą w twarz i zażądać pomocy. To było także jego dziecko. Dlaczego tylko ona miała ponosić konsekwencje?

W niedziele stragan był zamknięty. Nancy wyprawiła Helen do kościoła, sama wsiadła do starej furgonetki i podjechała do szkolnej koleżanki. Patricia nie chciała pożyczyć samochodu, ale zmiękła, kiedy Nancy wcisnęła jej do ręki swój zegarek i powiedziała, że albo Pat go sobie zatrzyma, albo dostanie dwadzieścia dolarów po odstawieniu wozu.

Jazda do Charlottesville trwała kilka godzin, ale Nancy w końcu jakoś dotarła na campus Universtisy of Virginia, zapytała, gdzie mieści się akademik Zeta Psi, którego nazwę zapamiętała z opowieści Billy'ego.

W holu od razu otoczyli ją studenci. Flirtowali, odgrażali się, że będą pojedynkować się o nią z Billym albo opowiadali, że nie słyszeli o nikim takim, wreszcie któryś zlitował się i poszedł po Whitlocka.

Billy grzecznie wyprowadził ją z budynku, zanim zdążyła powiedzieć do widzenia żartownisiom.

- Jak mnie znalazłaś? - odezwał się wreszcie, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość od akademika.

- Dzwoniłam do ciebie do domu i powiedzieli mi, że już wyjechałeś.

- Rozmawiałaś z moimi rodzicami?

- Chcesz wiedzieć, czy im powiedziałam, że będą mieli wnuka?

Nie,

Billy milczał, więc Nancy podjęła po chwili znowu:

- Obiecałeś, że zadzwonisz, i wierzyłam, że zadzwonisz.

- Tak mi wierzyłaś, że zaszłaś ze mną w ciążę.

Pięknie. Czyżby chciał jej powiedzieć, że nie powinna mu ufać i liczyć na jego pomoc? Rodzice Billy'ego byli bogaci. Stać ich było na drogich prawników. Być może nie powinna naciskać, być może będzie próbował odebrać jej dziecko, być może będzie żądał, żeby oddała je do adopcji. Najróżniejsze straszne ewentualności przychodziły jej do głowy.

- Przepraszam - mruknął, zanim ewentualności zdążyły się zwielokrotnić. - Zastanawiałem się, co robić. Powiniennem był zadzwonić i powiedzieć ci przynajmniej tyle. Ale przyjechałem tutaj, musiałem się zadomowić od nowa, przygotować, wytłumaczyć przed... - przerwał raptownie.

- Przed kim? Przed kim musiałeś się tutaj wytłumaczyć?

- Przed dziewczyną. Byliśmy spięci.

- Spięci? - Nancy nie zrozumiała.

- To takie głupie określenie. Dałem jej spinkę swojej korporacji studenckiej.

- Tak jakbyś się z nią zaręczył?

- Niezupełnie. Nie patrz tak na mnie.

- Miałaś dziewczynę i sypiałeś ze mną?

- Zerwaliśmy przed samymi wakacjami. W każdym razie byliśmy na progu zerwania. Teraz musiałem jej powiedzieć, że to definitywny koniec.

- Dlaczego?

- Dlatego, że będę ojcem. Myślisz, że chciałyby ze mną chodzić?

Powinien odpowiedzieć: ponieważ zamierzam ożenić się z tobą. Nancy męczyły nudności, była zmęczona, przerażona.

Oparła się o drzewo, przymknęła oczy. W głowie się jej kręciło. Cały dzień nie miała nic w ustach, poza jedną grzanką na śniadanie. Kilka godzin tłukła się tutaj w gruchocie jej koleżanki Patricii. Czowała, że jeszcze chwila, a zemdleje z wyczerpania.

- Wiesz, co to dla mnie oznacza? Będę panną z dzieckiem. Ludzie będą wytykali mnie palcami. Będą mówili o moim dziecku „ten bękart Henry”.

- Za kogo ty mnie masz? Nie pozwolę, żeby moje dziecko było narażone na ludzkie kpiny.

- Nie? - Nancy otworzyła oczy. - A co zamierzasz zrobić? - Wszystkie straszne ewentualności wróciły. - Tylko sobie nie myśl,

Whitlock, nawet nie myśl, że zabierzesz mi dziecko. Możesz być nie wiem jak bogaty, twoja rodzina może mieć nie wiem jakie wpływy, ale ucieknę tak daleko, że nigdy mnie nie znajdziecie. Jeśli cokolwiek będziesz kombinował, prędzej zabiję siebie i dziecko, niż ci pozwolę. Była bliska hysterii. Chciał zbliżyć się do niej, ale go odepchnęła.

- To moje dziecko, ty sukinsynu!

- Opanuj się. - Chwycił ją za rękę.

- I co, studenciku? Rzeczywistość sparzyła cię w tyłek?

W oczach Billy'ego błysnęła złość, puścił jej dłonie.

- Pobierzemy się, Nancy. Natychmiast. Próbowałem uporządkować swoje sprawy, zastanowić się nad jakimś wyjściem i to jest jedyne wyjście. Jedno tylko sobie zapamiętaj: nie jestem bogaty. Moi starzy są, owszem, ale się wściekną, jak im powiem, co zamierzam. Nie wynajmą dla nas przytulnego mieszkanca, żebym mógł spokojnie kończyć studia. Zakręca kurek z kasą, ot tak. - Strzelił palcami. - Zamienią nasze życie w piekło.

- Ożenisz się ze mną?

- To najlepsze rozwiązanie. Jedyne rozwiązanie. Wierz mi albo nie, ale bardzo długo się nad tym zastanawiałem.

- Dlaczego w takim razie do mnie nie zadzwoniłeś? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Bo ciągle niczego nie jestem pewny. Wiem tylko, że musimy się pobrać. Jutro załatwimy pozwolenie i od razu weźmiemy ślub. Znajdziemy kogoś, kto udzieli nam sakramentu. Już sprawdzałem, nie musimy czekać. Miną dwa tygodnie i wtedy powiemy, że jesteśmy po ślubie. Nikt nie będzie mógł nam przeszkodzić. A potem zobaczymy.

Ujął jej dłoń, jakby się bał, że znowu może go odepchnąć.

- Musimy teraz myśleć o dziecku, o jego dobru. Przede wszystkim będziemy mówić wszystkim, że pobraliśmy się dwa miesiące temu, zaraz potem, jak się poznaliśmy. Wiedzieliśmy, że nasi rodzice się nie zgodzą, więc zrobiliśmy to w tajemnicy.

Nancy płakała. Ten chłodno kalkulujący chłopak w niczym nie przypominał Billy'ego, którego pokochała, ale na kim miała się oprzeć? Tylko Billy mógł uchronić ją i dziecko od życia w biedzie.

- Dziękuję - powiedziała. - Znajdę pracę. Będę zarabiała. Może uda ci się skończyć studia bez pomocy rodziców.

- Znajdźmy teraz jakiś nocleg dla ciebie, a jutro załatwimy ślub.

- Muszę zadzwonić do matki, powiedzieć, gdzie jestem.

- Nie mów jej za dużo.

- Przyjechałam pożyczonym samochodem. Obiecałam, że wieczorem go odstawię z powrotem. - Mogła już pożegnać się z zegarkiem.

- Coś wymyślimy.

Billy nie wyglądał na szczęśliwego. Ona też wcale nie czuła się szczęśliwa. Nie w taki sposób chciała wchodzić w małżeństwo. Nie tak powinna wchodzić. Była młoda, niedojrzała, ale wiedziała, że jest to najgorszy możliwy początek.

- Lubiliśmy się - powiedziała zdławionym głosem. - Dobrze się bawiliśmy.

Billy puścił jej dłoń.

- Obawiam się, że już po zabawie.

Następnego ranka pojechali do sąsiedniego hrabstwa, gdzie nikt ich nie znał. Wieczorem ślubu udzielił im młodziutki pastor zielonoświątkowców. Byli mężem i żoną.

- Jak tylko będę miał za co, kupię obrączki - powiedział Billy, kiedy wyszli z kaplicy, która bardziej przypominała sklepik całodobowy niż przybytek boży.

Nancy skinęła drętwą głową.

- Niedaleko stąd widziałem motel. Nic nadzwyczajnego, akurat na naszą kieszeń.

Nancy ponownie skinęła głową. Pani Williamowa Withlock. Z mężem. W motelu.

Recepcjonista uniósł brwi na ich widok, ale Billy pokazał mu akt ślubu, facet uśmiechnął się obleśnie i dał im najlepszy pokój, co oznaczało, że karaluchy były tu trochę mniejsze.

Nancy bardzo chciała, żeby noc poślubna była szczególna. Pragnęła pokazać Billy'emu, jak dobrze może być im razem, ale zdenerwowanie i zmęczenie zrobiły swoje i prawie całą noc spędziła w obskurnej łazience.

Billy spał sam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W czasie porannego joggingu Tessa wracała myślami do wczorajszej opowieści matki. Nancy była rzeczowa, ale każde słowo było jawnym świadectwem, że rana nigdy się nie zagoiła. Ciągłe żyła w przekonaniu, że Billy ożenił się z nią wyłącznie z poczucia obowiązku. Tessa rozumiała ją teraz znacznie lepiej, wiele rzeczy zobaczyła w innym niż dotąd świetle.

Małżeństwo zawsze wydawało się jej sprawą prostą. Kobieta spotyka mężczyznę, dochodzi do wniosku, że to ten, rozpoczynają wspólne życie, po drodze wprowadzając konieczne korekty, ucząc się na błędach. To wszystko.

Teraz zdumiewała ją ta beztroska. Bo też do śmierci Kayley była osobą beztroską i nieskomplikowaną. Miała wszystko: kochających rodziców, pieniądze, status społeczny. Potrafiła głęboko kochać, szybko wybaczać, starała się nikogo nie osądzać pochopnie. Dobre życie nie przygotowało jej na śmierć Kayley. Zło, smutek, nienawiść były dla niej dotąd abstrakcyjnymi pojęciami, których nie miała okazji poznać z autopsji.

Nancy życie też nie przygotowało na sytuację krytyczną. Nie wiedziała, co to miłość, radość, nie miała przyjaciół. W pewnym sensie była jak księżniczka zamknięta w wieży, tyle że księżę Billy nie wpadł w zachwyty, gdy z tej wieży w końcu uciekła.

Nie, małżeństwo nie było wcale sprawą prostą. Tessa biegła teraz wolniej, pogrążona w myślach.

Nie rozmawiała z Mackiem od soboty, kiedy to przyłapał ją w ogrodzie Owensa, ale cały czas o nim myślała. Gdzie przebiega granica między świadomością a nieświadomością? Od jak dawna odpychała od siebie Macka? W którym momencie powiedziała sobie, że lepiej jej będzie samej?

Uświadamiała sobie teraz, że od śmierci Kayley robiła wszystko, żeby nie kochać Macka, bo miłość do Macka stała się dla niej teraz jakby tylko częścią tego uczucia, które utraciła. A może bała się, że pewnego dnia straci i jego? I że jeśli sama go od siebie odepchnie, będzie to jej gest, wynikający z jej decyzji.

Czy terapeutka pomogłaby jej zobaczyć rzecz wyraźniej? Wskazać zdrowsze sposoby wychodzenia z traumy? Naprawić to, co pękło? Czy coś jeszcze w ogóle da się naprawić?

Zatopiona w myślach omal nie wpadła na Cissy, która szła z przeciwka, od strony domu Helen.

Zatrzymała się i uśmiechnęła przepraszająco.

- Nie zauważyłam cię. Byłaś u babci?

- Nie. Wybieram się trochę później na lekcję szycia quiltu. Wyszłam na spacer, dopóki jeszcze temperatura jest znośna. Jak za długo siedzę, boli mnie kręgosłup.

- Ja miałam to samo. - Tessa zdumiała się. Dawno ukryła to wspomnienie gdzieś głęboko, razem z wieloma innymi.

- Wiem, że straciła pani córeczkę. Musiało być pani bardzo ciężko.

W takich chwilach Tessa zawsze zmieniała temat. Teraz też chciała to zrobić i zreflektowała się. Co się stanie, jeśli powie kilka zdań o śmierci Kayley? Nie była w stanie nic powiedzieć.

- Kiedy umarła moja babcia - podjęła Cissy - myślałam, że ja też umrę. Śmierć dziecka musi być o wiele gorsza.

- To prawda. - Zaledwie dwa słowa, jeszcze nie zdanie, ale Tessie zrobiło się trochę lżej na duszy.

- Napisałam kilka stron. - Cissy wbiła wzrok w ziemię.

- To świetnie. Chętnie przeczytam. Pokażesz mi?

- Naprawdę interesuje to panią? Nie chcę, żeby pani potem żałowała, że się do czegoś zobowiązała.

- Naprawdę. - Tessa mówiła szczerze. Wskazywanie Cissy kierunku przypominało, ile kiedyś znaczyli dla niej uczniowie i jak bardzo w ostatnich latach się zaniedbała.

- Przyniosę to, co napisałam, jak przyjdę na lekcję do pani Henry.

Kiedy Cissy pojawiła się po lunchu, Tessa odpoczywała akurat na ganku.

- Ale upał - jęknęła Cissy.

- Nie mów mi, że nie macie w swojej przyczepie klimatyzacji.

- Mamy, ale w nocy się zepsuła. Zeke ją naprawi, on wszystko potrafi naprawić, ale wróci dopiero wieczorem. Siedziałam trochę w domu, ale nie chcę komu... nie chcę nikomu przeszkadzać.

Tessa zastanawiała się, czy Nancy czuła się podobnie, kiedy zamieszkała u Whitlocków. Musi zapytać matkę. Miała jeszcze wiele pytań dotyczących początków małżeństwa rodziców.

Cissy zorientowała się, że jej uwaga zabrzmiała niewesoło.

- Nikt nie mówi, że przeszkadzam. Proszę nie myśleć źle o państwu Claiborne. Są dla mnie dobrzy. Naprawdę dobrzy. Traktują mnie, jakbym należała do rodziny.

Tessa miała ochotę zapytać, co oznacza to "Jakbym". Co powstrzymuje tych dwoje od ślubu. Zdrowy rozsądek? Bez troska? Przekonanie, że ślub nie ma większego znaczenia?

- Jak poznałaś Zeke'a? - zapytała, żeby zmienić temat.

- Grał z kapelą w Mt. Jackson, a ja przyszedłam ich posłuchać. I tak się zaczęło.

- Zastanawiałam się dzisiaj, jak ludzie się odnajdują. Co takiego było w Zeke'u, że się w nim zakochałaś?

- Był dla mnie dobry. Jak nigdy nikt. Nikt nigdy tak mnie nie traktował. Kiedy Zeke wchodzi do pokoju, to od razu wszystko jest tak, jak powinno być.

Może nie była to zbyt romantyczna definicja miłości, ale tak samo dobra jak każda inna. Sama kiedyś mogła powiedzieć coś podobnego o Macku.

- Napisałam o Zeke'u - powiedziała Cissy mocno zakłopotana.

- Chętnie przeczytam.

- Żadne ochy i achy, nic takiego. - Cissy zaczęła szperać w ogromnej płóciennnej torbie, w której mógł zmieścić się lunch, kolacja i kilka książek. - Jest. Proszę.

Tessa wyciągnęła rękę, prawie pewna, że Cissy w ostatniej chwili schowa swój tekst za plecy.

Cissy miała bardzo staranne kaligraficzne pismo, jakby latami ćwiczyła stawianie liter w zeszycie z podwójną linią. Tessa czytała, uśmiechając się do siebie.

- Masz świetne pomysły, Cissy.

Z dziewczyny w jednej chwili uszło całe napięcie.

- Naprawdę pani tak myśli? Jak chodziłam do szkoły, nikt mi nigdy nie powiedział czegoś takiego.

- Szkoda. Nie wiem, co to za nauczyciele. Pewnie zwracali uwagę tylko na gramatykę i ortografię. Bywają tacy. - Tessa coraz częściej bała się, że i ona tak skończy.

Cissy scharakteryzowała trzech głównych bohaterów Hardy'ego i porównała ich z Zeke'iem. Tekst wymagał oczywiście obróbki, ale sama interpretacja postaci była bardzo trafna i przenikliwa, a wnioski

ciekawe. Takie wypracowania Tessa lubiła najbardziej; w pełni samodzielne, świadczące o wysiłku intelektualnym i bystrym umyśle.

- Wiesz co, omówimy twój tekst w dwóch częściach - zaproponowała. - Najpierw gramatyka i interpunkcja, żeby mieć to szybko z głowy, a potem zajmiemy się samą treścią, bo treść jest w twoim tekście naprawdę ciekawa. Cissy rozpromieniła się.

- Nie mówi pani poważnie?

- Mówię poważnie. Nie mam siły kłamać. Nigdy nie kłamię, nawet przy niższych temperaturach.

Tego wieczoru Helen poszła do swojego pokoju zaraz po kolacji i już się nie pokazała. Tessa usiadła na ganku z quilem ślubnym, który cały czas latała w wolnych chwilach. Nancy jeszcze nie wróciła z miasta. Pojechała wczesnym popołudniem, po czym zadzwoniła do Tessy, aby powiedzieć, że wróci później i żeby zjadły kolację bez niej.

Kiedy w końcu wysiadła z samochodu, Tessa rozdziawiła usta.

- Obcięłaś włosy?

- Obcięłam.

Ale to nie było wszystko, w każdym razie nie to było najbardziej zaskakujące.

- Ty masz kręcone włosy?

- Chyba tak - zaśmiała się Nancy. - Tak je przez całe życie męczyłam i dręczyłam, że już zapomniałam, jakie są naprawdę. A teraz koniec dręczenia. Wystarczy przeczesać palcami i czuprynka sama się układa. Po prostu jestem już zmęczona ciągłym staraniem się o fryzurę. Rozumiesz coś z tego? - Nancy weszła na ganek.

- Rozumiem, że obcięłaś włosy, mamo. Tu jest gorąco jak w piecu. Sama chętnie pozbyłabym się swoich.

- Ani się waż.

- Aha, dawna Nancy się odezwała.

- Nie. Uwielbiam twoje włosy. Świetnie ci w długich. Zaczesej je gładko, zwiążesz w węzeł i masz spokój. A ja już miałam dość tych ciągłych zabiegów, udawania, że jestem zadbana i elegancka od rana do wieczora. Dość mam bycia starszą damą w pretensjach.

- Wspaniale wyglądasz. Ojcu na pewno się spodoba. Dzwonił niedawno, że będzie u nas. Chce z samego rana iść podglądać ptaki. Ma spotkanie z klientem w Harrisonburgu i prosto stamtąd przyjeżdża tutaj.

Tessa oczekiwała, że ta wiadomość wprawi matkę w pełną popłochu aktywność, ale Nancy nawet nie zareagowała.

- Czuję się doskonale. - Nancy odchyliła się w fotelu i wyciągnęła nogi przed siebie. - Babcia dostawała ataku zgrozy, kiedy tak siadałam.

- Miała czas zawracać sobie głowę takimi bzdurami?

- Nie babcia Helen, babcia Caroline.

To Tessa mogła zrozumieć. Babcia Caroline była drobniutka, szczuplutka, miała długą, smukłą łabędzią szyję i charakterek łabędzia. Z wyglądu delikatna, spokojna, nawet majestatyczna, potrafiła boleśnie dziabnąć, jeśli ktoś za bardzo się zbliżył. Tessa szybko nauczyła się nie wchodzić jej w drogę i nie zwierzać. Przestrzegając tych prostych reguł, jakoś ułożyła sobie z nią stosunki. Caroline zmarła w wieku pięćdziesięciu pięciu lat na raka piersi.

- Mieszkałaś z nimi przed moim urodzeniem - zagadnęła Tessa. O tym okresie prawie nic nie wiedziała. W rodzinie pomijało się ten rok taktownym milczeniem.

- To był najgorszy rok w moim życiu. - Nancy rzuciła plastikowe klapki. Plastikowe klapki za dwa dziewięćdziesiąt z Wal - Mart, supermarketu dla biedoty!

To też była zupełnie nowa Nancy, pomyślała Tessa. No więc rzuciła klapki za dwa dziewięćdziesiąt, kupione w Wal - Mart, i podwinęła nogi pod siebie, dokładnie tak, jak zawsze zakazywała siadać Tessie.

- Trudno było wytrzymać z babcią?

- Z dziadkiem też. Harry pił. Popijał. Od samego rana. Im robiło się później i więcej drinków miał zaliczonych, tym mniej mówił, bardziej się kontrolował. Poruszał się jak gejsza, ostrożnie, małymi kroczkami. Przy kolacji był już zupełnie wyłączony. Caroline mogła go poniżyć, a on nawet nie uniósł brwi. Poniżała mnie, a on chyba nawet nie słyszał.

- Nancy zawahała się. - Nie powinnam ci tego mówić, Tesso. To twoi dziadkowie.

Nikt lepiej nie wiedział, jakie spustoszenie może wyrządzić alkohol.

- Tata też sporo pił.

- Owszem, ale od wielu lat nie miał alkoholu w ustach.

- Dokładnie od trzech lat. - Po śmierci Kayley ojciec Tessy nie tknął kieliszka.

- Z tym, że Billy nigdy nie siadał za kierownicą, kiedy wypił. Harry podobnie. Harry miał kierowcę i lokaja w jednym, totumfackiego Randalla. Woził go wszędzie, układał spać, rano podawał pierwszego drinka. Przy kimś takim dziadek mógł pić spokojnie do utraty świadomości.

Tessa pracowicie wypruwała szew.

- Jak się z nimi mieszkało? Właściwie dlaczego tam zamieszkałaś? Mówiłaś, że chciałaś pomagać ojcu, zarabiać. Dlaczego nie zostałaś z nim w Charlottesville?

- Nie dość już opowiedziałam ci wczoraj? Wiesz, że zawsze są dwie wersje tej samej historii?

Tessa nie wyczuwała w opowieści matki chęci wyrównania dawnych rachunków czy zjednania sobie córki, przeciągnięcia jej na swoją stronę. Nie, Nancy po prostu opowiadała.

- Chcę zrozumieć samą siebie. Może to mi pomoże - powiedziała Tessa, podnosząc głowę znad quiltu.

- Dajesz mi zadanie do wypełnienia?

- Nie, po prostu opowiedz mi tak, jak to sama widziałaś.

- Mogę opowiedzieć - zgodziła się w końcu Nancy. - Nie będzie tu czarnych i białych charakterów. Po prostu ludzie uwikłani w jakąś sytuację.

- Ja byłam tą sytuacją - uściśliła Tessa.

- Nie, kochanie. Małżeństwo było sytuacją. Zszywałam je, jak ty teraz zszywasz ten quilt. I wiesz, co ci powiem? To bywa wredna robota. - Zaśmiała się, widząc zdumioną minę Tessy. - Może nie?

Tessa uśmiechnęła się, wróciła do quiltu, a Nancy zaczęła opowiadać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Grudzień 1965

Rodzice Billy'ego byli zachwyceni, kiedy na pierwszym roku studiów dał Mary Lou Stacourt swoją spinkę korporacyjną. Rodzina Lou z Alabamy uosabiała to, co na Południu najlepsze, łącząc stare korzenie i nowe pieniądze.

Rodzice Billy'ego nie byli zachwyceni, kiedy dał Nancy obrączkę ślubną. Padały takie słowa, jak „degradacja”, „anulacja”, „gratyfikacja” i Nancy już się zastanawiała, czy trafiła do jakiegoś quizu ze słowami kończącymi się na „cja”.

Sama mogłaby dodać jeszcze kilka: „nietolerancja”, „arogancja”...

Na dwa tygodnie przed drugim Bożym Narodzeniem po ślubie obudziła się w pokoju, który dzieliła z maleńką córeczką, i ostrożnie uchyliła powieki, mając nadzieję, tę samą co dzień, że zobaczy ściany swojej panińskiej sypialni na farmie.

Nic z tego.

Jej pokój u Whitlocków był przestronny, wysoki, z wielkim łóżem, stylową kołyską, garderobą, ogromnymi fotelami i dwoma komodami. Jeśli upuściła przypadkiem kocyk Tessy na podłogę, Hattie, gospodyni Whitlocków, podnosiła go, składała starannie i chowała do szuflady, zanim Nancy zdążyła przeprosić.

Rozległo się pukanie i Hattie weszła właśnie do pokoju z tacą. Miała ciemne włosy, nosiła służbową szarą suknię i Nancy nie potrafiła odgadnąć jej wieku.

- Przyniosłam pani te biskwity, które pani tak lubi, tylko proszę nic nie mówić pani Caroline.

Nawyki kulinarne Nancy były jedną z wielu rzeczy, które teściowa zamierzała u niej zmienić.

- Wyszła już? - zapytała Nancy.

- Jeszcze nie. Chce przed wyjściem zobaczyć małą.

Caroline lubiła oglądać Tessę wykapaną, pachnącą, wystrojoną w falbanki i koronki, uśmiechniętą. Kiedy dziecko zaczynało kaprysić, traciła natychmiast cierpliwość, a Tessie właśnie wyżywał się ząb, przepłakała całą noc i Nancy wołałaby jej nie budzić.

- Nie da się jej przetłumaczyć, że mała śpi, prawda?

Hattie przez lata służby u bogatych białych opanowała do perfekcji sztukę zachowywania własnych myśli oraz opinii dla siebie, ale przy Nancy stawała się na powrót sobą. Obie zbliżyły się do siebie

w ostatnich miesiącach, a połączył je wspólny cel: omijać Caroline szerokim łukiem, kiedy tylko to jest możliwe.

Hattie nie odpowiedziała, ale w jej wzroku Nancy mogła wyczytać jednoznaczną odpowiedź: „zartujesz chyba”.

- Niech pani weźmie teraz prysznic, ja dam małej butelkę i może nie będzie płakała - powiedziała na głos.

- Naprawdę?

Hattie nie miała obowiązku pomagać przy Tessie. Whitlockowie jasno dali Nancy do zrozumienia, że sama ma zajmować się córką. Była to jedna z kar, które musiała ponosić za to, że wyszła za ich syna.

- Pani idzie. I proszę zabrać biskwity, gdyby tu przypadkiem weszła.

Nancy wróciła po dziesięciu minutach wykapana, w pełni rozbudzona, w kwiecistej sukni, jednej z wielu, które wybrała dla niej teściowa. Tessa marudziła i wierciła się na rękach u Hattie.

- Moja maleńka córeczka. - Nancy wzięła dziecko od Hattie.

- Nieszczęśliwa, że ją obudziłyśmy, ale pani Whitlock mówi, że dziecko musi mieć na wszystko oznaczoną porę, jak w zegarku, i że to pani rzecz tego pilnować - przytoczyła Hattie i tu obie wymieniły konspiracyjne uśmiechy.

- Nie wiem, jak biedny Billy uchował się taki dobry - szepnęła Nancy.

- Młodego pana Whitlocka wychowywała moja mama, oto jak. Jego własna mama była za bardzo zajęta.

- Twoja mama? - zdumiała się Nancy.

- Firma rodzinna. Nancy parsknęła śmiechem.

- Dobrze go wychowała, nie sądzisz?

- Mama wychowała ósemkę własnych, wychowanie jednego Billy'ego to już była fraszka.

Hattie wyszła i Nancy posmutniała. Hattie była dla niej jedyną bliską osobą w Richmond.

Przez następny kwadrans przygotowywała córeczkę do porannej audiencji przed obliczem Caroline: kąpiel, strojenie w falbanki i koronki, czesanie. Skończyła, spojrzała na Tessę zachwycona i odebrała je gryzak.

- Przy babci Caroline nie ma żadnych gryzaczków, babcia tego nie lubi - poinformowała dziecko i zeszła z Tessą na dół.

Caroline stała już w drzwiach. Widać uznała, że Nancy się spóźnia i nie zamierzała już dłużej czekać.

- Właśnie wychodzę - oznajmiła.

- Przyniosłam Tessę, żeby się z nią mama mogła pożegnać. - Nancy chciała podać córeczkę Caroline, ale ta się odsunęła.

- Obślini mi suknię.

Osobiście Nancy była zdania, że trochę śliny wcale nie zaszkodziłoby sukni.

- Nie wiem, gdzie się mama wybiera, ale niech się mama dobrze bawi.

- Jadę na spotkanie mojego klubu ogrodniczego. Wzięłabym cię ze sobą, ale musisz zajmować się Tessą.

Caroline przedstawiła Nancy tylko kilku swoim starannie wyselekcjonowanym znajomym. Synowa nie nadawała się jeszcze do wprowadzania w świat, być może zresztą nigdy nie miała się nadawać. Nancy nie potrafiła powiedzieć, w jaki sposób Caroline tłumaczyła tę izolację, ale tłumaczenie musiało być przekonujące, bo Nancy nie otrzymywała żadnych zaproszeń.

- Ma mama jakieś specjalne życzenia?

- Przywiozę ze sobą znajome panie. Połóż Tessę spać przed pierwszą, żeby nam nie przeszkadzała. Będiesz musiała zostać z nią na górce, oczywiście, w razie gdyby się obudziła.

- Oczywiście - wycedziła Nancy.

- Przykro mi, że zajmowanie się dzieckiem tak bardzo ci ciąży, ale może powinnaś była pomyśleć o tym wcześniej.

- Zajmowanie się dzieckiem nie ciąży mi ani trochę, natomiast izolacja bardzo.

- Zatem powinnaś była pomyśleć wcześniej, jaki wpływ na życie innych będzie miało twoje pojawienie się tutaj.

- Może mamy syn również powinien był o tym pomyśleć.

Caroline zrobiła krok do tyłu, jakby chciała lepiej przyjrzeć się Nancy.

- Jesteś gościem w tym domu. Jeśli chcesz mi powiedzieć, że powinnam cię przedstawić swoim znajomym, to możesz sobie darować ten trud.

- Dla mamy każdy trud byłby próżny. Nigdy nie będę dość dobra.

- Nancy czuła, jak wzbierają pod jej powiekami łzy.

- William przyjeżdża za kilka dni. Porozmawiam z nim o twoim zachowaniu.

- Jakim zachowaniu? Co mnie może obchodzić, co mama zamierza powiedzieć Billy'emu? Co mama może jeszcze zrobić? Pozamykać wszystkie drzwi na klucz? Okratować okna? - Odwróciła się i szybko poszła na górę, zanim Caroline zdążyła zobaczyć, że płacze.

To Whitlockowie zgotowali jej piekło. Nie chcieli nawet słyszeć o tym, że Billy miałby rzucić studia i utrzymywać rodzinę, ale nie zgodzili się też wyasygnować pieniędzy, które pozwoliłyby młodym zamieszkać razem w Charlottesville, wybrali trzecie, najgorsze ze wszystkich wyjście. Zaprośili Nancy do siebie, żeby się nią „opiekować”, a Billy mógł swobodnie kończyć studia.

Nancy przebrała Tessę w bawełniany podkoszulek i wygodne ogrodniczki ze sztruksu, obmyła swoją zapłakaną twarz i zeszła do kuchni, aby dać małej śniadanie.

- Niech pani nie płacze. Niech pani nie zwraca w ogóle uwagi na to, co ona mówi - odezwała się Hattie, widząc zaczerwienione oczy Nancy. - Jak zobaczy, że potrafi panią doprowadzić do łez, będzie robiła to częściej.

Nancy nie próbowała nawet protestować.

- Dlaczego z nią wytrzymujesz?

- Muszę wykarmić rodzinę. Ja bym zapytała raczej, dlaczego pani wytrzymuje?

Nancy wiele razy myślała o wyjeździe. Mogłaby pojechać do Billy'ego do Charlottesville albo wrócić do Toms Brook. Problem w tym, że ani tu, ani tu nie zostałaby przyjęta z otwartymi ramionami. Helen wpadła we wściekłość, kiedy się dowiedziała, że Nancy wyszła za mąż i jest w ciąży, i od tego czasu, jeśli rozmawiała z Nancy, a były to rozmowy rzadkie i krótkie, miała dla niej tylko słowa krytyki. Tessę widziała raptem dwa razy i jakoś nie wpadła w zachwyt na widok wnuczki.

Billy nie mógł jej przyjąć; mieszkał w akademiku, w niewielkim mieszkanku, które dzielił z trzema kolegami, i gdzie nie było już miejsca dla żony i dziecka, szczególnie dla żony i dziecka, o które się nie prosił.

- Chcę, żeby nasze małżeństwo przetrwało, dlatego - odpowiedziała na pytanie Hattie.

- Pani Whitlock nie chce, żeby przetrwało. Dlatego taka jest na panią cięta.

- Gdybym odeszła, zabraliby mi dziecko? Hattie wzruszyła ramionami.

- Trudno powiedzieć.

- Ale jak myślisz?

- Gdyby to był chłopiec, to tak, mur beton, ale dziewczynkę? - Hattie ponownie wzruszyła ramionami.

- Przy rozwodzie to matka zwykle dostaje prawo opieki nad dzieckiem, prawda?

- Pan Whitlock zna wielu sędziów, gra z nimi w tenisa, w golfa.

- A ty co byś zrobiła?

- Złotko, to nie jest kłopot kolorowych. Jakiego sędziego w Wirginii obchodziłoby, z kim będą moje czarne dzieci?

Nancy musiała ze smutkiem przyznać, że Hattie miała rację, ale osobisty problem przysłonił jej kwestię praw obywatelskich.

Po powrocie na górę ułożyła Tessę w kołysce, a sama, nie mając nic innego do roboty, wyjęła z szafy pudło z częściowo zszytym ślubnym quilem, po czym usiadła w fotelu przy oknie i zabrała się do pracy, rozmyślając o Billym.

Była żoną Williama Lee Whitlocka od ponad roku, ale ciągle był dla niej niemal obcym człowiekiem. Ich małżeństwo istniało właściwie tylko na papierze. Mieszkali w innych miastach. Spali w oddzielnych łózkach, jeśli nie liczyć rzadkich, obowiązkowych wizyt Billy'ego w Richmond. Nie mieli wspólnych zajęć, wspólnych zainteresowań, poza dzieckiem, wspólnych marzeń na przyszłość. Billy był dla niej miły, nawet serdeczny. Czasami się kochali, ale Nancy miała wrażenie, że mąż odgrywa wyuczoną lekcję. Nie miała doświadczenia, wystarczyła jej intuicja, by to wiedzieć.

Za kilka dni miał przyjechać do domu, a ona zamiast się cieszyć, gryzła się z tego powodu. Uwielbiał Tessę, a to, w jaki sposób pojawiała się w jego życiu, nie miało żadnego znaczenia. Lubił się z nią bawić, kołysać ją do snu, zabierać na spacer. W miarę, jak stosunki w domu psuły się coraz bardziej, coraz bardziej też martwiło Nancy przywiązanie Billy'ego do córki. Mogło ono oznaczać, że będzie walczył

o prawo opieki nad dzieckiem. I co ona wtedy pocznie?

No właśnie, co zrobi? Kochała Billy'ego. Była w nim beznadziejnie zakochana. Sama siebie pytała, dlaczego, i nie potrafiła odpowiedzieć.

Tessa obudziła się krótko przed pierwszą, tak jak Nancy się obawiała.

W chwilę później pojawiła się Hattie z lunchem.

I z gotowym planem, jak się okazało, choć zdradzała go powoli, a obmyślać musiała od rozmowy przy śniadaniu.

- Ja na pani miejscu wzięłabym małą na dół, skoro nie chce spać, i pokazała wszystkim. Tylko ani słowa, że ja tak radziłam. Powinna się pani pokazać - zaczęła. - Te panie cię nie znają, skarbie. Pani Whitlock może im wszystko wmówić, że z ciebie zła matka, zła dziewczyna, a one tyle będą wiedziały, co od niej.

Hattie rozumowała logicznie. Przyjaciółki Caroline nie znały Nancy. Dla nich mogła mieć trzy głowy albo wredny charakter. Mogły sądzić, że jest tak rozpuszczona albo tak źle wychowana, że nie kwapi się zejść na dół i zamienić z nimi kilka słów.

- Muszę mieć jakiś pretekst.

- Świąteczne ciasteczka.

- Ciasteczka?

- Akurat piekę świąteczne ciasteczka. Pani zejdzie na dół, pomoże mi. Proszę tylko ubrać się ładnie i umalować. Jak przyjdą, weźmie pani tacę ze świeżutkimi ciasteczkami i powie, że upiekła je dla gości.

- Hattie, wszystko obmyśliłaś.

- Ma się rozumieć. - Hattie mrugnęła i Nancy wybuchnęła śmiechem.

Hattie ją naprawdę lubiła, a przy tym chciała dokuczyć pani Whitlock tak samo jak Nancy.

Nancy założyła najładniejszy moherowy sweterek, tweedową spódnicę, umalowała się starannie. Ubrała Tessę w czerwoną aksamitną sukienkę i zeszła do kuchni.

Dziesięć po pierwszej usłyszała otwieranie drzwi i kobiece głosy w holu. Hattie podsunęła jej srebrną tacę przykrytą śnieżnobiałą serwetką i Nancy ułożyła na niej najładniejsze ciastka. Odczekała kolejnych kilka minut i z Tessą na rękę, z tacą w drugiej ręce była gotowa zrobić swoje entre.

- Proszę iść. Ja zaraz przyjdę z kawą i ponczem. Zdziwisz się, złotko, ile te panie potrafią wypić.

Nancy uśmiechnęła się.

- Życz mi szczęścia.

- Poradzi sobie pani i bez życzeń. Wszystko będzie dobrze.

Nancy wzięła głęboki oddech i ruszyła w stronę salonu, skąd dochodziły głosy. Hattie uprzedzała ją, że będzie dziesięć pań, ale doliczyła się tylko siedmiu, razem z Caroline. Być może reszta miała pojawić się później.

Głowy się odwróciły w kierunku wchodzącej, tylko Caroline stała jeszcze odwrócona plecami do drzwi.

Jedna z pań, siwowłosa, o szerokich ramionach, podniosła się natychmiast z fotela.

- Och, oto i maleńka, spójrzcie tylko. Tak bardzo chcieliśmy ją zobaczyć.

Nancy rozpromieniła się.

- A ja tak bardzo chciałam ją pokazać. Siwowłosa pani wyciągnęła ręce, żeby wziąć

Tessę. Nancy wyczuła, że jeśli poda córeczkę, będzie miała w siwowłosej damie przyjaciółkę na całe życie, a Tessa ufnie szła do ludzi.

Nancy już nachyliła się ku miłej pani, w tej samej chwili Tessa zainteresowała się ciasteczkami, chwyciła brzeg tacy i wszystkie ciastka posypały się na dywan. Zrobiło się zamieszanie, panie rzuciły się zbierać ciasteczka, padały miłe, serdeczne słowa. Siwowłosa pani wzięła Tessę na ręce.

- Przepraszam - bąknęła Nancy speszona i też się nachyliła zbierać. - Zaraz przyniosę następną tacę.

Szczęknięły drzwi, znak, że do pokoju weszły następne panie i liczba świadków nieszczęścia zaraz się zwiększy.

- Nic się nie martw, kochanie - pocieszyła Nancy pani w drucianych okularach. - Podziwiałam cię, że w ogóle tu doszłaś, z dzieckiem na rękę i z tacą pełną ciastek. Masz doskonałą koordynację ruchową. Grasz w tenisa?

- Bardzo chciałabym się nauczyć.

- To musisz koniecznie pojawić się w naszym klubie. Będę cię uczyła. To moja pasja. Uwielbiam dawać lekcje początkującym.

Któraś z pań wzięła Nancy pod łokieć i zmusiła łagodnie, żeby się wyprostowała. Wszystkie żartowały i próbowały ją pocieszyć. Po raz pierwszy od bardzo dawna Nancy nie czuła się jak intruz.

I wtedy odezwał się dobrze znajomy głos.

- Mówiłam ci przecież, żebyś po lunchu położyła małą spać, Nancy.

Nancy odwróciła się do teściowej.

- Tessa spała dzisiaj przed lunchem. Pewnie dlatego, że źle spała w nocy.

- Ząbkuje? - odezwała się któraś z pań. - Nie rozumiem, dlaczego człowiek nie może się rodzić od razu z zębami. Tak byłoby znacznie wygodniej.

Wszystkie panie się zaśmiały, ale Caroline musiała oczywiście zważyć nastrój.

- Dziecko musi mieć na wszystko ściśle określoną porę. Mówiłam ci to, Nancy.

Nancy uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Obawiam się, że ktoś zapomniał powtórzyć to Tessie, proszę mamy. Ona ma na ten temat własną koncepcję.

- Cóż, dzieci uczą się różnych rzeczy od swoich opiekunów, prawda?

W pokoju zrobiło się zupełnie cicho. Nancy westchnęła.

- Nie, Tessa po prostu uczy się egzekwować to, co jej potrzebne, wszystko jedno od kogo. I dziś rano potrzebny był jej sen. Oczywiście mogę zaraz zabrać ją na górę, jeżeli przeszkadza.

- Zabrać na górę? - obruszyła się pani w okularach. - Ani się waż, moja droga. Chcemy ją poznać. Wyczuwam w niej przyszłą tenisistkę. Patrzcie na jej rączkę...

- Proszę, żebyś ją natychmiast położyła do łóżeczka - zażądała Caroline. - Hattie przyniesie nam ciasteczka, a ty będziesz mogła złożyć nam wizytę innym razem. W bardziej stosownym momencie.

Nancy na moment zacisnęła powieki. Nigdy przez nikogo nie została tak upokorzona.

- Obawiam się, że Nancy nikomu na razie nie będzie składała wizyt w Richmond - odezwał się od progu męski głos.

Nancy otworzyła oczy; w drzwiach stał jej mąż.

- Nancy zamieszka ze mną w Charlottesville. Nigdy nie widziała Billy'ego tak rozeźlonego.

Nawet wtedy, kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży. Teraz był śmiertelnie blady, drgały mu mięśnie twarzy. Podszedł do niej, pocałował ją w policzek i wyciągnął ręce po Tessę.

- Panie wybaczą, ale mamy coś do omówienia z Nancy. - Trzymając Tessę na ręku, drugą objął żonę, przygarnął do siebie i pocałował we włosy, po czym wyprowadził ją z pokoju.

Caroline ruszyła za nimi, ale atak przypuściła dopiero na piętrze, kiedy panie nie mogły jej już słyszeć.

- Jak śmiesz, Williamie, robić sceny w obecności moich przyjaciółek?

Billy odwrócił się do matki z wściekłym błyskiem w oku.

- To ja pytam, jak ty śmiesz? To jest moja żona, a ty nią pomiatasz. Wiedziałem, że dzieje się tu niedobrze, ale nie miałem pojęcia, że aż tak źle.

Caroline nie wytrzymała.

- Od roku toleruję tę... tę wieśniaczkę bez manier, bez wykształcenia, bez żadnych umiejętności. I dlaczego? Bo nie potrafiłeś trzymać zapiętego rozporka.

Billy zrobił krok w kierunku matki i Nancy przeraziła się, że ją uderzy.

- Przepraszam - wycedził. - Natychmiast. Albo nie zobaczysz nas już nigdy więcej. Czy wyraziłem się dość jasno?

- Przepraszam?

- Natychmiast. I zapomnimy o wszystkim. Znowu będziemy mogli udawać, że zależy nam na czymś więcej niż na pozorach. Nancy, Tessa i ja będziemy przyjeżdżać na święta. Ty będziesz udawała, że cieszysz się na nasz widok i będziesz się zachwycała, że masz taką śliczną wnuczkę. Będziesz opowiadała przyjaciółkom, jaką masz wspaniałą rodzinę, będziesz nawet mogła pokazywać im zdjęcia. Jeśli jednak nie...

Nie musiał drugi raz powtarzać. Caroline, jeszcze przed chwilą wściekła, przestraszyła się. W jakimś momencie przestała panować nad sytuacją, nie ona już decydowała i wiedziała o tym.

Spojrzała na Nancy, odwróciła wzrok, wysunęła brodę.

- Przepraszam, że się uniosłam.

Nancy szukała słów wybaczenia, ale nie znalazła żadnych.

- Ja też - powiedziała tylko.

Caroline spojrzała na syna, jakby chciała mu powiedzieć: „Widzisz?” Billy pokręcił głową.

- Masz szczęście, że nie zabrała Tessy i nie zniknęła. Masz wielkie szczęście, że stoi tutaj, bo nigdy bym ci nie wybaczył, gdyby z twojego powodu uciekła.

Zwrócił się do Nancy:

- A czy ty mi wybaczysz, że musiałaś tu mieszkać tak długo?

Wszystko by mu wybaczyła. Uśmiechnęła się blado.

- Nie wiedziałeś.

- Ale podejrzewałem. Łatwiej było nie reagować. - Ponownie zwrócił się do matki: - Te święta spędzimy sami. Teraz idziemy się spakować i wyjeżdżamy stąd na dobre.

Ku zaskoczeniu Nancy, Caroline łzy napłynęły do oczu.

- Nie pozwól, żeby cię nastawiała przeciwko nam. Jesteśmy twoją rodziną.

Billy spojrzał na Nancy i Tessę.

- Nie. To jest moja rodzina.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Tamto popołudnie było prawdziwym początkiem naszego małżeństwa - powiedziała Nancy do Tessy.

Zaczęło się ściemniać, a Nancy ciągle opowiadała swoją historię. Tessa dawno już odłożyła quilt. Słuchała zafascynowana. Teraz, gdy Nancy zamilkła, wezbrała w niej złość.

- Nie rozumiem, dlaczego to wszystko znosiłaś.

- Nie rozumiesz? - Nancy mocnym klepinięciem zabiła komara, który usiadł jej na udzie.

- Z tego, co mówisz, wynika, że babcia Caroline robiła wszystko, żeby się ciebie pozbyć.

- Tak, do tego chyba zmierzała. Chociaż nie była złym człowiekiem. Nie chcę, byś odniosła takie wrażenie. Nie miała w sobie tylko krzty ciepła i bardzo dbała o swój wizerunek. Nie pasowałam do tego wizerunku. To takie proste, a zarazem skomplikowane...

- I wytrzymałaś z nią ponad rok?

- Nie jesteś w stanie zrozumieć, jak niepewnie się czułam, sama nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłaś. Byłam wtedy młoda. Praktycznie zupełnie sama. Miałam ciebie. Mogłam tylko wrócić do domu, gdzie - jak myślałam - nie byłam mile widziana. Teraz wiem, że mama byłaby bardziej wyrozumiała, niż ją o to posądzałam. Ale nie zapominaj, że przez całe życie odpychała mnie od siebie. Poza tym była biedna. A ja sprowadziłabym jej jeszcze ciebie do wykarmienia. Nie wiem, czy dałybyśmy sobie radę.

Tessa usiłowała postawić się w położeniu Nancy: młoda, osamotniona, w ciąży... Czy Cissy czuła to, co Nancy? Czy była w domu Claiborne'ów, bo po prostu nie miała innego wyjścia?

Nancy zapatrzyła się w mrok.

- Tego wieczoru wróciliśmy z twoim ojcem do Charlottesville. Wyszukał dla nas pokój w domu jakiejś starszej pani w centrum miasta. Ucieszyła się, że w domu będzie małe dziecko. Billy sprzedał swoją corvette i kupił starego chevroleta, który co tydzień się psuł. Ja wzięłam pracę na pół etatu, żeby nastarczyć wydatkom. Nasza gospodyni opiekowała się tobą. Była to niemal idealna sytuacja. Harry nagle zmieknął i regularnie przysyłał nam pieniądze, więc twój tata mógł skończyć studia. Gdy zrobił dyplom, wróciliśmy do Richmond i podjął pracę w firmie. Kupiliśmy nieduży dom na drugim końcu

miasta i tam zamieszkaliśmy. Babka w końcu pogodziła się z sytuacją i już zawsze była dla mnie uprzejma. Stałam się nawet mile widziana w jej kręgu towarzyskim. Na swój sposób była dla ciebie dobra, szczególnie gdy podrośłaś, bo nie przepadała za małymi dziećmi.

- Żyli długo i szczęśliwie, tak się kończy twoja opowieść?

Nancy wzruszyła ramionami.

- Nie brzmiało mi to tak, mamó. Nancy nie odpowiedziała.

- Poprzestałaś na minimum - ciągnęła Tessa. - Poślubiłaś mężczyznę, który cię nie kochał. Znalazłaś się w sytuacji Kopciuszka przed balem. Przeżyłaś z tatą tyle lat, chociaż nic was nie łączyło, nie mieliście ze sobą nic wspólnego...

- Mamy ciebie. Mieliśmy Kayley.

Na wzmiankę o córce Tessa nie zamilkła, jak zwykle.

- Poprzestałaś na minimum - powtórzyła. Była zbulwersowana. Zawsze myślała, że rodzice są ze sobą, bo wiążą ich silne uczucia. Nawet jeśli ich sobie nie okazują, to te uczucia przecież są, zawsze można się do nich odwołać, tłumaczyła sobie przez lata. Teraz dowiadywała się, że małżeństwo Nancy i Billy'ego istniało niejako siłą bezwładu. Bezwładu i okoliczności.

- Jest wiele spraw w małżeństwie, których nie rozumiesz. - Nancy pochyliła się do przodu, a w jej oczach zabłysnął gniew. - Małżeństwo to praca nad wspólnymi celami. Miłość to nie wszystko. Oczywiście gra swoją rolę, ale małżeństwo utrzymuje się dzięki wspólnym celom i ideałom.

- Akurat! Dzielę milion celów i ideałów z milionem różnych ludzi. Jednak nie chciałabym poślubić żadnego z nich. Zrezygnowałaś z miłości i zadowoliliś się bezpieczeństwem. Czy to nie jest niesamowicie płytkie?

- A czy nie tak właśnie zawsze o mnie myślałaś? Że jestem płytka, głupia i bezużyteczna? Że zawsze zadawałam się byle czym, kiedy ty kierujesz się wzniosłymi celami? Że nie rozumiem, czym jest miłość i lojalność, czytając pisma ilustrowane?

Tessa nie panowała nad złością. Wiedziała, że kieruje swój gniew ku matce, bo Nancy jest łatwym celem. Ale mimo to nie umiała się powstrzymać.

- Nie - powiedziała - sądzę, że wygodnie ci tak żyć. Masz, czego chciałaś i nie chcesz tego stracić. Myślę, że bardzo się starałaś, ale tak

naprawdę to tylko domek z kart. W końcu... co masz oprócz adresu na Windsor Farms i członkostwa w swoim elitarnym klubie?

Nancy odchyliła się do tyłu i spojrzała na córkę. Przez jej twarz przemknął grymas bólu.

- Przepraszam, przykro mi - powiedziała Tessa. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. To w końcu nie moja sprawa, prawda?

- Może jest ci przykro, a może i nie - powiedziała spokojnie Nancy. - Prawda jest taka, że przez całe życie o coś walczyłam. Tak, wałka to jest właściwe słowo. Miałam zawsze na względzie dobro twoje i twojego ojca. Staralam się być dobrą żoną i matką. Chciałam wynagrodzić Billy'emu wymuszone małżeństwo, robiłam wszystko, co w mojej mocy, by jego życie było szczęśliwe.

- Ale tata był przecież cały czas obok. Nikt cię nie prosił, żebyś walczyła sama.

Nancy uniosła dłoń.

- Pomówmy dla odmiany o tobie. Jak możesz krytykować mnie, prawić morały, kiedy sama stchórzyłaś, przestałaś walczyć o swoje małżeństwo? Czy twoje wybory są mądrzejsze? Uważasz, że lepiej opuścić kochanego mężczyznę, gdy piętrzą się trudności? Być może należę do elitarnego country klubu, ale twój klub jest bardziej elitarny. Całkowicie ekskluzywny. Jesteś jego jedyną członkinią i nie otworzysz nikomu więcej drzwi.

Teraz Tessa nic nie odpowiedziała. Nancy wstała. Wzula swoje nowe, plastikowe klapki z Wal - Mart.

- Robi się późno, jestem zmęczona. Idę do łóżka. Dla ojca pościeliłam w pokoju na końcu korytarza. Łóżko w moim pokoju jest wąskie, a on woli spać sam. Będzie mu chłodniej.

Nie było późno, ale Tessa nie oponowała. W głowie huczała jej jeszcze zakończona właśnie rozmowa, jej ostatnie zdania. Patrzyła, jak matka z gracją idzie do domu i lekko zamyka za sobą drzwi i myślała, że teraz, na domiar wszystkiego, będzie jeszcze odpowiedzialna za rozdźwięki w małżeństwie rodziców.

Gdy w godzinę później ojciec zajechał pod dom, Tessa ciągle siedziała na ganku. Gdy wchodził po stopniach, w pomiętej koszuli i bez krawata, wyglądał na zmęczonego.

- Witaj, kochanie. Mam nadzieję, że nie wyczekujesz tu na mnie? Jestem później, niż myślałem. Nie mogłem się wcześniej urwać... - przerwał i rozejrzał się wokół. - Gdzie mama?

- Poszła spać.
- Och. Tak wcześnie?

Tessa, jak zwykle bezskutecznie próbowała coś wyczytać z wyrazu jego twarzy. Pomyślała, że ojca jako dziecko dobrze nauczono ukrywania uczuć.

- Mama pościeliła ci łóżko w pokoju na końcu korytarza.

Billy jakby leciutko się zdziwił, ale twarz natychmiast przybrała obojętny wyraz.

- Napijesz się czegoś? Przyniosę ci lemoniadę. - Tessa wstała z fotela.

- Byłoby miło. Powietrze jest gęste jak zupa. Chyba jeszcze większy upał niż w Richmond. Tu, na ganku, jest przynajmniej lekki przewiew.

Gdy Tessa po chwili wróciła z dwoma szklaneczkami lemoniady, zastała ojca w fotelu, z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Wyglądał starzej niż zwykle i był bardziej zmęczony, niż wcześniej myślała.

- Tato?
- Zdrzemnąłem się chyba - otworzył oczy i uśmiechnął się.
- Dobrze sypiasz?
- Nie tak dobrze, jak zwykle. Może przez ten upał?

Miała co do tego wątpliwości. Dom na Windsor Farms miał przecież cztery poziomy klimatyzacji i powietrze było kontrolowane niczym w Narodowej Galerii Sztuki.

- Spotkanie w Harrisonburgu się udało? - spytała.
- Rutyna.

Ta uwaga nie pasowała do niego. Billy rzadko się skarżył i nigdy nie czynił aluzji, że jest niezadowolony. Przypuszczała, że to milczenie oraz wielki ślepy punkt w lusterku wstecznym, w którym odbijało się życie rodziców, były głównymi przyczynami, które nie pozwoliły jej wcześniej zdać sobie sprawy z chłodu panującego w ich małżeństwie.

- Nie lubisz swojej pracy?
- Nie martw się. Najważniejsze, że jestem w tym dobry.
- Nie, to nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest, czy robisz coś, czego nie lubisz, bo tego od ciebie oczekują inni?
- Tego nie powiedziałem.
- Ale to pasuje do tego, co usłyszałam dzisiaj wieczorem.

- Co takiego usłyszałaś?
- Historię waszego małżeństwa. Jak ożeniłeś się z mamą, bo zaszła w ciążę, jak zawarłeś z nią ostateczny kompromis, gdy zdałeś sobie sprawę, że twoja matka znęca się nad nią.
- Nancy ci powiedziała?
- Znalazłam wasz akt ślubu. Mama wyjaśniła mi resztę. Uległa, gdy rozumiała, że nie dam się zbyć byle czym. W tym jesteście podobni, oboje dbacie o pozory.
- Jesteśmy małżeństwem prawie czterdzieści lat.
- To dowód na siłę inercji, tato. Nic więcej.
- Przypomnij mi, Tesso, kiedy z mamą daliśmy ci zgodę na wtykanie nosa w nasze życie i nasze małżeństwo?
- Wtedy, gdy w pewną letnią gorącą noc zapomnieliście użyć prezerwatywy.
- Przestań!
- Nie przestanę. Chcę zrozumieć, co trzyma was razem. Jeśli tylko ja, to dźwigam bardzo ciężkie brzemię i wolałabym się go pozbyć.
- To niepodobne do ciebie.
- Może właśnie taka powinnam być.
- Nie twoja sprawa.
- Tak? A czyja?
- Moja i twojej matki.
- Jak mogłeś ją poślubić i żyć z nią przez tyle lat, nie kochając jej? Czy nie zasłużyła na coś więcej? A ty i ja? Czy też nie zasłużyliśmy?
- Nie wiem, jak doszłaś do tych wniosków.
- Bo przez całe dzieciństwo starałam się ją zadowolić. A ona próbowała zadowolić ciebie i być może także twoją matkę. Ponieważ, do cholery, chciała, żebyś ją kochał. To wszystko, czego chciała. - Tessa była bliska płaczu. Ciężko przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.
- Ludzie całe życie próbują wzajemnie się zadowolić i nigdy im się to w pełni nie udaje - powiedział i zapatrzył się w gwiazdy. - Zawiedliśmy cię. Chociaż za wszelką cenę staraliśmy się tego uniknąć.
- Nigdy nie powiedziałam, że mnie zawiedliście.
- Nie powiedziałaś - spojrzał na nią - ale tak się stało. Tak bardzo staraliśmy się wszystkich zadowalać, a nie zadowoliliśmy nikogo,

nawet siebie. Nigdy nie pokazaliśmy ci, jak powinno wyglądać małżeństwo, dobre, udane małżeństwo, gdzie otwarcie mówi się o swoich uczuciach, o tym, co jest naprawdę ważne.

Wiedziała, dokąd prowadziły jego słowa i spróbowała zmienić kierunek tej rozmowy.

- Tato, nie chodzi o mnie.

- Właśnie powiedziałaś, że chodzi o ciebie. Albo albo, moja droga. Obserwując nas, nie nauczyłaś się, jak radzić sobie ze smutkiem. Próbowełaś sobie z nim radzić w ten sam sposób, w jaki my sobie radziliśmy. Nie nauczyłaś się, jak dzielić się uczuciami i teraz płacisz za to wysoką cenę.

- Nie zamieniaj naszej rozmowy w terapię. Mówimy o tobie i mamie.

- Jest milion rzeczy pomiędzy mamą a mną, których nigdy nie zrozumiesz. Bardzo długo jesteśmy małżeństwem. Istnieje wiele spraw, których nie mogę i nie chcę wyjaśnić. To powinno ci wystarczyć. - Wstał z krzesła. - Powiedziałaś, że na końcu korytarza?

- Nie próbuję przedstawiać rzeczy gorszymi niż są. Próbuję tylko... - przerwała, niepewna o co właściwie jej chodzi, czego naprawdę chce.

- Jeśli jutro mamy podglądać ptaki, muszę się trochę przespać. Ty też. - Zostawił ją i wszedł do domu.

Tessa została na ganku i zastanawiała się, dlaczego wybrała ten właśnie moment, to miejsce, sytuację, by w końcu zacząć zgłębiać swoje uczucia i uczucia ludzi, których kochała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

W czwartek rano Cissy przyjechała na lekcję szycia quiltu. Przed odjazdem pochwaliła się jeszcze Tessie postępami, jakie poczyniła przy komponowaniu wierzchu quiltu.

Tessa zaległa na kocu w cieniu pod klonami. Zanim pojawiła się Cissy, dotrzymywał jej towarzystwa jeden z kotów Helen, ten czarny z białymi łatkami. Siedział jak na warcie na balustradzie ganku. Dzień był chłodniejszy niż zwykle. Z północy wiał lekki wiatr, a kłębiaste chmury przesłaniały słońce. Cissy usiadła obok. Tessa miała na kolanach ślubny quilt i właśnie wypruwała kolejny zniszczony kawałek.

Cissy była naprawdę bardzo dumna ze swojego quiltu dla dziecka; z sześciu bloków zszyła idealny prostokąt, na którym promieniało sześć ognistych okręgów.

- Piękne kolory i świetnie dobrane. Fachowo to zrobiłaś - powiedziała Tessa.

Cissy podziękowała nieśmiałym uśmiechem.

- Usiadłam, ale nie wiem, jak wstanę, będę chyba gramoliła się na czworakach.

- Posiedź chwilę spokojnie. Babcia dała ci coś do picia?

- Poczęstowała mnie herbatą z mięty. Taką, jak parzyła moja babcia. Myślałam, że się popłaczę, jak mi podsunęła szklanę.

Helen pewnie nie zdawała sobie sprawy, że dla tego biednego dziecka zaczyna uosabiać rodzinę. Tessa miała nadzieję, że babka nadal będzie dawać Cissy trochę miłości, której dziewczyna tak potrzebowała. Byłoby to dobre dla nich obu.

- Nad czym pani pracuje? - zapytała Cissy. Tessa opowiedziała jej w skrócie historię ślubnego quiltu.

- Dzisiaj jest tak ładnie, że dałam sobie spokój z porządkami w domu i postanowiłam posiedzieć trochę tutaj. Kto wie, czy w tym miesiącu będziemy mieć jeszcze jeden taki dzień.

- To najpiękniejszy quilt, jaki kiedykolwiek widziałam - powiedziała Cissy. - Każdy blok jest inny. Od razu widać, że ten quilt powstał z miłości.

Tessa uśmiechnęła się, słysząc młodzieńczy entuzjizm w głosie Cissy. Sama kochała ten quilt z podobnych przyczyn.

- Zastanawiam się... - Cissy przerwała, jakby szukała właściwego słowa. - Po prostu pomyślałam, że może dziś wieczorem mogłaby

pani zajrzeć do nas. Urządzamy wieczór starej muzyki. Zbiorą się przyjaciele Zeke'a, będą grać na podwórzu Claiborne'ów. Będzie też jedzenie. Każdy coś przyniesie.

Tessa podniosła wzrok. Oczy Cissy błyszczały. Już miała odmówić, ale pomyślała, że nie może. Cissy chciała w ten sposób odwdziżyć się czymś tym, które się o nią troszczyły.

- Zaprosiłaś babcię?

- Powiedziała, że nie wychodzi wieczorami. Ale z panią może by przyszła.

Tessa też uważała, że babcia mogłaby pójść. I nagle pomyślała o Macku, który bardzo kochał muzykę country, tę prawdziwą, rdzenną country, nie tę, która zbliżała się do rocka. Tak często słuchał ścieżki dźwiękowej z filmu „Bracie, gdzie jesteś...” że w końcu muzyka country wryła jej się głęboko w pamięć.

- Szkoda, że nie ma tu mojego męża - wypowiedziała głośno swoją myśl. - Ucieszyłby się.

- Proszę zatelefonować do niego i powiedzieć, żeby przyjechał - podsunęła Cissy, z trudem powstając z koca. Rzeczywiście mało brakowało, a gramoliłaby się na czworakach.

Tessa nie miała zamiaru zapraszać Macka. Nawet nie bardzo rozumiała, dlaczego w ogóle wspomniała o nim przy Cissy.

- Przyjdę wieczorem i spróbuję przekonać babcię. Przyniesiemy ciasto truskawkowe z bitą śmietaną. Zrobiła je wczoraj i włożyła do lodówki. Jeśli je zjemy, każda z nas przytyje po dwadzieścia funtów.

- Pycha. Zostawię sobie na nie trochę miejsca

- Cissy wydawała się być z siebie zadowolona.

- Zaczniemy około szóstej, gdy wszyscy wrócą z pracy.

- Już z góry się na to cieszę.

Cissy ruszyła w stronę swojej furgonetki, ale jeszcze się odwróciła.

- Pani mama też jest zaproszona. Zapomniałam powiedzieć. Przepraszam.

- Na pewno jej przekażę - odpowiedziała Tessa. Spróbowała wyobrazić sobie Nancy na wieczorze muzyki country w farmerskim domu.

Cissy odjeżdżała. Stara furgonetka krztusiła się i prychała. Tessa oparła się wygodnie o pień klonu i spoglądała na chmurę pyłu, ciągnącą się za samochodem.

- Lubię tę dziewczynę.

Tessa podniosła wzrok i zobaczyła stojącą nad nią matkę. Nancy była w zielonej koszulce, na nogach miała plastikowe klapki, nabytek z Wal - Martu.

- Tak? Na początku nie byłaś tego taka pewna. - Tessa posunęła się i Nancy usiadła obok niej na kocu.

- Za bardzo mi przypominała mnie samą. Oto powód.

- A teraz?

- Teraz nawiązałam kontakt z moją wewnętrzną Nancy. - Matka uśmiechnęła się, by dać do zrozumienia, że żartuje. Trochę żartuje.

Tessa była ciekawa, czy to ta „wewnętrzna Nancy” ostatnio tak stanowczo ignoruje Billy'ego. Nie spędziła z nim sam na sam nawet paru minut podczas jego wizyty na początku tygodnia. Wstała późno, a gdy Tessa i Billy wrócili z podglądania ptaków, już była w kościele i doglądała przygotowań do wystawy Helen.

Tessa uznała, że nie może udawać, że tego nie widzi.

- Tacie jest przykro, że nigdy cię nie ma, kiedy przyjeżdża.

- Nie wtrącaj się do naszych spraw, Tesso. Tato i ja układamy nasz związek tak, jak chcemy, bez twojej pomocy.

- Czuję się tak, jakbym rozmawiając z wami obojgiem, powodowała nowe problemy.

Mimo że w czasie wspólnej wyprawy Tessa nie rozmawiała z ojcem o niczym ważnym, do ich wzajemnych stosunków wkradła się pewna powściągliwość, rezerwa.

- Odpuszczam ci wszystkie winy - powiedziała Nancy.

- Kocham was oboje.

- Wiesz co, Tesso? Kiedy kogoś kochamy, najtrudniejszą rzeczą jest stać obok i patrzeć, jak ten ktoś popełnia błędy. Przez ostatnie lata ja obserwowałam ciebie, teraz być może twoja kolej.

Tessa wiedziała, do jakiego błędu matka czyni aluzję. Jeszcze raz pomyślała, jak Mack by się cieszył, gdyby mógł być na imprezie u Claiborne'ów.

- Cissy zaprosiła nas na wieczór z muzyką i kolacją. Przyjadą przyjaciele Zeke'a.

- Brzmi ciekawie.

- Pójdziesz?

- Oczywiście. Być może babcia poświęci na tę okazję ciasto truskawkowe?

- To będzie muzyka country, mamó. Muzyka z gór. Głównie bluegrass, folk z Południa.

- Myślisz, że tego nie lubię? Dorastałam przy takich smyczkowych kapelach. - Nancy podniosła się i otrzepała ubranie z kurzu. - Dam ci jedną radę, o którą mnie nie prosiłaś. Zadzwoń do Macka. Będzie w swoim żywiole, mimo że jest chłopakiem z Kalifornii. Jeśli masz zamiar ratować swoje małżeństwo, to byłby dobry początek.

Gdy Nancy poszła, Tessa zapatrzyła się w widnokrąg, kurczowo przyciskając do piersi ślubny quilt. Dlaczego coś, co kiedyś było takie proste, teraz wydawało się niemożliwe?

Kiedy ostatni raz miała odwagę poprosić o coś Macka?

Późnym popołudniem Mack dojeżdżał do Fitch Crossing. W drodze nie przestawał myśleć o telefonie od Tessy. Gdy podniósł słuchawkę, oczekiwał czegoś zupełnie innego. Na przykład euforii, że złapała Owensa na picciu lub przekroczeniu prędkości. Albo prośby o spotkanie w sprawie omówienia rozvodu.

Możliwość, że Tessa zaprosi go, by spędzili razem miło czas, nawet nie przyszła mu do głowy.

Sam miał zamiar do niej zadzwonić, ale zwlekał ze zwykłego tchórzostwa. Teraz będzie miał okazję porozmawiać z nią osobiście, widzieć jej reakcję. Ale którą Tessę zobaczy? Tę, z którą się ożenił? Czy może tę, która skamieniała po śmierci ich córki? A może będzie to ktoś nowy, kto zaczyna na nowo oddychać?

Gdy dojechał do Fitch, zwolnił. Ciągłe panowała susza i drzewa tuliły korony, jakby próbowały ochronić tę odrobinę wilgoci, którą wysały z ziemi.

Dobrze wiedział, jak musiały się czuć, Tessa też wiedziała.

Gdy zajechał do Helen, przywitał go jeden wielki zamęt: trzy pokolenia gotowały się do wyjścia na zabawę. Nancy pocałowała go na powitanie w policzek, jak gdyby ich ostatnie spotkanie nie było pełne napięcia. Pochwalił jej nową fryzurę, za co odwdzieczyła mu się uśmiechem. Po chwili na ganek wyszła również Helen i też pocałowała go w policzek, ale o wiele chłodniej niż Nancy.

- Nie wiem, po co tam idę - utyskiwała. - Nigdy nie byłam u Rona Claiborne'a i miałam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała go oglądać.

- Jedziemy - powiedziała Nancy do Macka, nie zwracając uwagi na matkę. - Tessa powiedziała, że przyjdziecie spacerkiem. Zobaczymy się na miejscu.

Nancy mocno ujęła matkę pod ramię i sprowadziła zrzędzącą po stopniach.

- Wejść do środka - zawołała do Macka, widząc, że ciągle stoi przed drzwiami. - Tessa jest w kuchni.

Uderzyły go zmiany, jakie zaszły w domu. Wyobraził sobie, że Helen musiała psioczyć na córkę i wnuczkę, ale cieszyła się, że jest z nimi, tak jak cieszyła się na dzisiejszą muzykę.

Tessa była w kuchni. Właśnie kładła ciasto na talerz. Nie słyszała jego kroków. Mack stanął w drzwiach i przez moment przyglądał się jej niezauważony. Rozpuszczone włosy opadały jej na plecy. Miała na sobie letnią turkusową sukienkę, której nie pamiętał, i pantofelki przypominające baletki Kayley. Na szyi miała naszyjnik, który kupił jej w Arizonie podczas podróży poślubnej. Nie nosiła go przez wiele lat i nawet myślał, że on też zniknął w pudłach wyniesionych do piwnicy.

- Ślicznie wyglądasz.

Odwróciła się, zaskoczona i bezbronna, jakby nie wiedziała, jak się zachować. W końcu lekko się uśmiechnęła.

- Jeśli pojawiłbyś się chwilę wcześniej, złapałbyś mnie na podjadaniu okruszków z talerza. To ciasto to specjalność babci.

- Naprawdę? Nie pamiętam.

- Bo chyba nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby upiec je na nasz przyjazd.

Parsknęli jednocześnie śmiechem i zaraz spoważnieli.

- Naprawdę ślicznie wyglądasz - powtórzył. - Już zapomniałem, jak bardzo lubiłem cię w tym naszyjniku.

Uniosła naszyjnik.

- Pamiętasz tego złotnika z Navajo, który go nam sprzedał? - spytała.

- Powiedział, że kształt półksiężyca ma nam przypominać, że nawet dobrego małżeństwa przybywa i ubywa jak księżyc.

- Prawdziwy handlarz. Od razu zauważył, że jesteśmy nowożeńcami. - Opuściła naszyjnik z powrotem na piersi.

- Zauważył, bo cały czas cię obejmowałem.

- Myślę, że poznał to ze sposobu, w jaki na ciebie patrzyłam. - Odwróciła się do ciasta i sięgnęła po klosz przykrywający talerz. - Babcia i mama już pojechały?

- Tak. Ciągłe zręcząc.

- Która tak zrędziła?

- Twoja babka.

- Mama najwyraźniej uparła się miło spędzać czas - Tessa zerknęła na niego, marszcząc brwi.

- Gdyby nie pewna sprzeczność, mogłabym powiedzieć, że się o nią martwię.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział ją taką... - Szukał właściwego słowa. - Zadowolona?

- Tak i to jest dziwne. Myślę, że ona i tata zmierzają ku separacji.

- Twoi rodzice?

- Myślałeś, że mamy monopol? - Tessa przestała bawić się kloszem. - Ja też tak myślałam.

- To deklaracja, Tesso?

- Nie wiem. Czuję się tak, jakbym stąpała po ruchomych piaskach. Nie jestem już w stanie powiedzieć, kto jest kim.

- Włącznie z tobą samą?

- Tak. To się tyczy szczególnie mnie - spojrzała na niego. - Mnie, ciebie, Mack. Jesteś tak daleko ode mnie, że nawet nie jestem pewna, czy jeszcze cię widzę, a co dopiero rozumiem.

- A co z rodzicami?

- Pobrali się, bo mama zaszła w ciążę. Potem byli ze sobą, bo w ten sposób łatwiej mnie było wychowywać. I trwali tak z jakiegoś powodu, nawet kiedy się usamodzielniałam. Nie wiem, dlaczego. Nie rozumiem tego.

- Chcesz, żeby zdecydowali się na separację?

- I to jest właśnie najgłupsze - pokręciła głową.

- Jesteśmy wszyscy dorośli, a ja chciałabym, żeby zostali razem. Czuję się znowu jak mała dziewczynka.

- To wcale nie brzmi głupio - powiedział. Podszedł do niej, ale nie dotknął jej. Nie sądził, że mógłby znieść kolejny gest odtrącenia.

- Nic na to nie mogę poradzić, prawda? Jest tyle rzeczy, na które nie mam wpływu.

- Na pewne masz. - Mack przeszedł obok niej i wziął ciasto ze stołu. - Jak na przykład dzisiaj. Możemy po prostu spędzić razem

kilka godzin. Bez żadnych zobowiązań, oczekiwań. Bez analizowania spraw, których nie możemy zmienić. Na to możemy mieć wpływ, prawda?

- Chciałabym tego.

Jej odpowiedź zdziwiła go, lecz nie okazał tego.

- Więc umowa stoi - powiedział.

- Mack, jest jedna mała sprawa...

- Możemy iść. - Skinął głową w kierunku drzwi. - Możemy rozmawiać po drodze.

- Zamierzasz to nieść?

- Chcę dzielić z tobą ten ciężar.

- Zgoda.

Żadne z nich nie odezwało się, zanim nie doszli do drogi.

- Wczoraj znowu go obserwowałam - powiedziała Tessa, gdy byli poza obejściem. - I jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

Mackowi zrobiło się przykro, że ta „sprawa” dotyczy Roberta Owensa, ale również on miał pewną sprawę dotyczącą młodego człowieka.

- Jeśli byś go złapała na łamaniu prawa, już by siedział w więzieniu - powiedział.

- To zapewne było nielegalne. Chyba nie powinien odwiedzać barów.

- Widziałas go? - Mack przełożył ciasto do drugiej ręki.

Tessa przez chwilę milczała, jakby ważyła swoją odpowiedź.

- Widziałam, jak wychodzi z domu z kilkoma kolegami. Jechałam za nimi, ale nie zamierzałam wysiadać z auta i zaglądać w okna. Obiecałam ci, że nie zrobię nic niezgodnego z prawem.

- I co dalej?

- Zatrzymali się na chwilę przy barze z bilardem, jest kilka takich w pobliżu domu jego matki. Gdy odjechali, weszłam do środka i porozmawiałam z kelnerką, która ich obsługiwała.

- I co dalej? - powtórzył.

- Wszyscy pili alkohol. Z wyjątkiem Roberta. Kelnerka powiedziała, że zamówił colę, chociaż koledzy nabijali się z niego.

Mack poczuł ulgę. Nie tylko dlatego, że Owens dobrze się zachował, ale również dlatego, że Tessa nie miała okazji do zemsty, której tak bardzo szukała.

- Jak się z tym czujesz? - spytał po chwili, gdy już przetrwał tę wiadomość,

- Rozczarowana - zawahała się. - Przepraszam, ale tak właśnie się czuję.

Spłynęło na niego jeszcze większe odprężenie.

- Tesso - powiedział - znalazłem sposób, aby upewnić się, czy Owens jest na uczciwej drodze. Dlatego na razie powstrzymaj się od działania. Chcesz mnie wysłuchać?

Słońce zachodziło za górami. Ochłodziło się, wiał lekki wiatr. Tessa zastanawiała się nad tym, co przed chwilą usłyszała, a Mack pragnął jak najszybciej uporać się z tym tematem. Niech chociaż przez ten jeden piękny wieczór ich życie nie będzie uzależnione od człowieka, który zabił ich córkę.

- Chciałabym mieć już to za sobą - powiedziała w końcu. - Ale przedtem muszę się upewnić, czy on znowu kogoś nie zabije.

- Wynająłem prywatnego detektywa, który jest skłonny poprowadzić dla nas śledztwo. Ma swoich ludzi, którzy robią takie rzeczy.

- To może kosztować fortunę.

- Twój spokój jest ważniejszy. Poza tym jego agenci będą pracować za niższe stawki. On trochę mi zawdzięcza i wie o tym. Bierze od nas mnóstwo zleceń. Dzięki nam dorobił się letniego domu w Chesapeake.

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Zrobiłbyś to dla mnie? - spytała.

Spojrzał na nią. Między łukami brwi rysowała się głęboka bruzda. Ale nawet bez tej oznaki rozumiał, jaką wagę miały dla niej jego słowa.

- Osobiście nie zgadzam się z pomysłem śledzenia Owensa. Nie powinniśmy brać tej sprawy w swoje ręce. Z drugiej strony wiem, jakie to dla ciebie ważne.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnio, ledwie powiedzieliśmy sobie „do widzenia”.

- Tak to zapamiętałaś?

Pamiętał dokładnie swoje słowa. Powiedział jej, że powinna go od siebie odepchnąć. Nie odpychała zbyt stanowczo.

Miał nadzieję, że nie chciała.

Wzięła od niego ciasto.

- Zawsze, gdy jadę do Manassas, czuję się tak, jakbym cofała się w czasie do dnia śmierci Kayley.

- Dlatego nie powinnaś tego ciągnąć.

- Chciałabym móc tam nie jeździć, gdyby ktoś inny obserwował dom. Nie chcę już prosić przyjaciółek. To zbyt czasochłonne. Twoja propozycja to dla mnie prawdziwa ulga. Dziękuję.

Nachylił się i szybko, leciutko pocałował ją w usta.

Jedzenie było pyszne. Jedli pieczone kurczaki, sałatkę z ziemniaków, faszerowane jajka i słodką kukurydzę. Były też półmiski świeżych pomidorów i marynowany arbuz oraz zielony groszek z szynką. Ciasto truskawkowe wzbudziło powszechny zachwyt i Helen wydawała się bardzo zadowolona z pochwał i tempa, w jakim zniknęło.

Mack od razu wtopił się w towarzystwo. Tessa patrzyła, jak ze wszystkimi rozmawia - młodymi i starymi. Klaskał z dziećmi w dłonie i śpiewał z nimi piosenki, gawędził z miejscowym adwokatem, uważnie słuchał opinii starych farmerów, którzy - teoretycznie - ciągle prowadzili wojnę secesyjną.

Od razu zaprzyjaźnił się z Cissy i Tessa zauważyła, że jej protegowana jest nim urzeczona. Gdy muzyka zaczęła się na dobre, stał blisko muzykantów i kołysał się w takt dźwięków skrzypek i banjo. Ośmiu chłopców z instrumentami kolejno włączało się do gry. Tessa naliczyła trzy gitary, kontrabas, dwoje skrzypiec, mandolinę i banjo.

Mimo że sporo zjadła, czuła się lekko. Tego wieczora nie smuciła jej nawet myśl o Kayley, która odziedziczyła po ojcu miłość do muzyki i na pewno byłaby tym piknikiem zachwycona... Czuła więc z córką, jak zawsze, ale pierwszy raz myśl o Kayley przyniosła jej więcej radości niż bólu.

Pomogła Cissy i jej teściowej sprzątnąć i zanieść do lodówki pozostałości uczyty. Przyniosły jeszcze dzbany mrożonej herbaty i kawę w termosach i Tessa dołączyła wreszcie do Macka, który stał w grupce osób śpiewających ludową piosenkę i wybijał stopą rytm.

Ujął ją pod ramię tak naturalnie, jakby przez ostatnie trzy lata nic się nie zdarzyło. Przywarła do niego biodrem i razem kołysali się z boku na bok.

Zeke, który był ubrany w rozpiętą hawajską koszulę i obcięte dżinsy, grał na banjo. Gdy dostrzegł Tesę, zaimprovizował

skomplikowane solo, które wzbudziło powszechny aplauz. Zaczerwieniony z zadowolenia, uśmiechnął się i cofnął, żeby również basista mógł zagrać swoje solo.

- Zawsze to chciałem robić - powiedział Mack.

- Dlaczego nie bierzesz lekcji?

- Kiedy? W nabrzmiątych oczekiwaniem przerwach między „uznajemy oskarżonego...” i „za niewinnego”?

- Może powinieneś dać sobie trochę wolnego czasu?

- Zrobię to, ale razem z tobą. Czemu nie weźmiesz się za skrzypce? Moglibyśmy stworzyć zespół.

Roześmiała się. Oboje wiedzieli, że pomimo ośmiu lat żmudnych lekcji gry na fortepianie u jednego z najlepszych nauczycieli w Richmond, była zaledwie przeciętną pianistką.

Kapela zaczęła grać inną melodię.

- To jest „Black Mountain Rag” - od razu powiedział Mack.

- Skąd znasz ten utwór?

- Słuchałem go często, gdy ciebie nie było.

- I słuchasz, gdy jestem.

- Poślubiłaś człowieka z gór, kochanie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, chwycił ją i zaczął

obrać w tańcu. Tessa potknęła się i roześmiana odchyliła głowę, próbując utrzymać równowagę. Mack obejmował ją mocno. Czowała, jak jego dzinsy trą o jej nagą nogę i jak napiera na nią biodrami. Jej piersi przylegały do jego torsu, ręce zarzuciła mu na szyję.

Oddychała nierówno, szybko. Ale nie z powodu wysiłku. To nie było to. Po prostu czowała pożądanie. Jak kiedyś, gdy pierwszy raz była z Mackiem. W pierwszej chwili niemile zaskoczona, powoli zaczynała poddawać się magii tego uczucia.

Nie doznała czegoś podobnego od lat. Wszystko, co czowała do Macka, zgasił zimny wiatr, gniew i ból. Do oczu napłynęły jej łzy. Przyciągnęła go mocno do siebie, by rozkoszować się jego ciepłem.

Skończyli tańczyć, ale nadal ją obejmował. Niebo już pociemniało. Zrobił kilka kroków do tyłu, żeby wyjść poza krąg światła, oświetlającego kapele. Objął ją mocniej ramieniem i kołysali się razem, słuchając płaczliwych tonów skrzypiec, trelów mandoliny, banjo Zeke'a i gitary...

- Czuję się znowu młody - wyszeptał.

Czuła się podobnie. Jakby ktoś zabrał ją z ruchomych piasków i postawił na twardej ziemi. Wiedziała, że to nie potrwa długo, że znów zacznie się zapadać. Ale nawet ten krótki moment był cennym przeżyciem.

- Mamcia i babcia są bardzo zadowolone - wskazała głową Helen i Nancy siedzące w plastikowych fotelach na granicy świetlistego kręgu. Nancy rozmawiała z panią Claiborne, a Helen zawierała znajomość z dwoma „żołnierzami konfederacji”. W pewnym momencie usłyszała, jak wszyscy troje wychwalają cnoty generała Jacksona.

- Jak długo tu będą? - zapytał.

- Co masz na myśli?

- Zostaną tu jeszcze przez chwilę?

- Zostaną. Babcie trzeba by stąd wyciągać teraz chyba buldożerem - odpowiedziała.

- Dobrze. Dotrzemy do domu w ciągu, powiedzmy, dziesięciu minut?

Zrozumiała, do czego zmierza i serce zabiło jej mocniej.

- Nawet szybciej, jeśli chcemy.

- Świetnie. Uważaj, co się będzie działo. - Pociągnął ją dalej od światła. Chwilę odczekali i pociągnął ją jeszcze trochę dalej. W ciągu niecałej minuty byli daleko w cieniu, niewidoczni dla innych. Wtedy wziął ją za rękę i ruszyli w kierunku drogi.

Szli, śmiejąc się, na zmianę ciągnąc za rękę. Czasem dla zabawy gonili się, a potem on przyciągał ją do siebie i całował, a ona z rozkoszą odwzajemniała jego pieszczotę. Byli w domu wcześniej, niż się spodziewali - objęci, roześmiani, z oczami błyszczącymi w świetle sierpowatego księżyca.

Całowali się nadal, idąc po schodach na górę

i zatrzymując się na starych stopniach. Zanim dotarli do jej pokoju, miała rozpięty suwak w sukience, a on rozpiętą koszulę. Zdjęła naszyjnik i położyła go na toalecie. Otoczył ją ramieniem i chwilę trzymał przyciśniętą do siebie. Wtuliła się w niego mocniej i zaczęła się kołysać.

- Tęskniłem za tobą bardziej, niż możesz sobie wyobrazić - powiedział łagodnie.

Nie mogła mówić o przeszłości i tego wieczora nie chciała do niej wracać. Istniała tylko chwila obecna i te, które miały nadejść zaraz po

niej. Żadnych dni ani tym bardziej lat. Pragnęła tylko tych paru chwil, które pomogą jej wrócić do życia, do tego życia, od którego tak bardzo się oddaliła.

- Pragnę cię, Mack - szepnęła i obróciła się w jego ramionach.

Ściągnął jej sukienkę. Potem sam zdjął koszulę i dżinsy.

Łóżko było wąskie, ale to nie miało znaczenia. Ułożyli się w nim, jak to tylko potrafią kochankowie, którzy długo byli ze sobą i dobrze znają swoje ciała. Nie było potrzeby na nowo się poznawać i dopasowywać. Jego dłonie od razu odnalazły miejsca, które dawały jej przyjemność, a ona odpowiadała mu, całując jego kark, wrażliwe miejsca na piersi i niżej, aż westchnął i w odpowiedzi poruszył się. Moment później zespolili się ze sobą w rozkoszy. Kochając się z nim, zadawała sobie pytanie, jak mogła go odepchnąć, gdy tak potrzebowała jego bliskości?

I wtedy nagle przypomniała sobie, jak gdyby dotarł do niej komunikat z jakiegoś odległego lądu, że zapomniała założyć krążek, zabezpieczający przed zajściem w ciążę.

Chciała się wycofać, a on jej gwałtowny ruch uznał za miłosną odpowiedź. Zaczął poruszać się szybciej. Wtedy zagubiła się i pograżyła w głębokiej fali pożądania, któremu tak długo odmawiała zaspokojenia. Ale rozkoszy towarzyszył strach.

Długo jeszcze leżeli spleceni, zdyszani. W końcu Tessa usiadła na łóżku.

Mack od razu odgadł, że coś jest niedobrze. Chwycił ją za rękę, żeby nie mogła odejść.

- Tesso?

- Nie zabezpieczyliśmy się.

Nie odpowiedział. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Pamiętałeś?

- Szczerze mówiąc, nie - pokręcił głową. - Tak długo brałaś pigułkę...

Przeszła na pigułkę po śmierci Kayley, przerażona możliwością ponownego zajścia w ciążę. Przestała je brać sześć miesięcy temu. Bo w końcu jaki był sens zażywania pigułki, skoro ich kontakty zmniejszyły się do zera?

Popatrzyła w bok.

- Jak mogliśmy zrobić taki błąd?

- Błąd?

Wstała z łóżka, wyrywając rękę z jego dłoni.

- A jak inaczej to nazwiesz?

- Nazwałbym to nadzieją.

- Nadzieją? Mack zsunął nogi na podłogę.

- Chyba są w życiu gorsze rzeczy, niż posiadanie drugiego dziecka?

- Jak po tym wszystkim, co się stało, możesz w ogóle mówić o drugim dziecku?

- Nie możemy odtworzyć Kayley. Nie zamierzam tego próbować. Ale czy nie możemy przyznać, że to, cośmy z nią przeżyli, było tak wspaniałe, cudowne, że pragniemy dziecka, które znów by wniosło do naszego życia radość?

Ogarnięta coraz większą paniką, nie potrafiła powstrzymać następnych słów.

- Nigdy nie zechcę innego dziecka.

- Może „nigdy” to za mocne słowo? Drżącymi dłońmi wciągnęła na siebie sukienkę i odwróciła się. Obliczała, że szansa zajścia dzisiaj w ciążę była niewielka, lecz mimo to była zdenerwowana.

- Gdy zrezygnowałam z pigułki, rozmawiałam z moim ginekologiem o podwiązaniu jajowodów. Tak się rzeczy mają.

- Nie zrobiłaś tego?

- Jeszcze nie. Braliśmy pod uwagę jesień.

- Kiedy chciałaś mi o tym powiedzieć? Potem? Odwróciła wzrok. Rozmowa z lekarzem była luźna i nie zapadła żadna decyzja. Ale teraz, mając w sobie nasienie Macka i stojąc przed niewielką nawet możliwością zajścia w ciążę, nie widziała innego wyjścia. Nie chciała więcej ryzykować.

Jak miałyby żyć ze świadomością, że znowu może stracić dziecko? Jakby to zniosła?

Mack podniósł się.

- Wiesz, że pragnę mieć rodzinę - powiedział. - Ale widzę, że wyłączyłaś mnie na zawsze z decydowania o tym.

Patrzyła, jak zaczyna się ubierać. Nie była w stanie nic powiedzieć, uspokoić go. Owładnął ją taki lęk, że myślała wyłącznie o tym, co przed chwilą zrobili.

Stanął przed nią wyprostowany, w rozpiętej koszuli.

- Czy jestem wykluczony z decydowania? Podjęłaś decyzję za nas oboje?

- To moje ciało i moja decyzja - odparła. - Tak musi być. - Uniosła dłonie w błagalnym geście.

- Podjęłaś więc decyzję, a teraz ja mam podjąć moją? Mam wybrać Tesę, czy kogoś, kto nie boi się przyszłości i nie będzie się bał nowego życia?

Kusiło ją, by odpowiedzieć „tak, wybierz kogoś innego” i odepchnąć go; tym razem tak mocno, że pójdzie sobie na zawsze, zabierając ze sobą potrzebę normalności, którą inne małżeństwa uważają za rzecz oczywistą. Być może zrobiłaby tak na początku lata, zanim w głąb jej duszy z powrotem nie zaczęło się sączyć ciepło. Ale teraz nie mogła.

- Kocham cię - powiedziała łagodnie. - Chciałabym, żeby to ci wystarczyło.

Na moment zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, właśnie ją minął. W jednej ręce niósł buty, a drugą zapinał koszulę. Za chwilę usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi, a potem warkot silnika samochodu.

Ruchome piaski znowu zaczęły ją wciągać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W sobotę rano słońce wstało z taką energią, że przed dziewiątą temperatura w starym domu na farmie była nie do zniesienia. Tessa ledwie przebrnęła przez poranny jogging, a Nancy, mimo protestów Helen, już telefonowała w sprawie założenia klimatyzacji.

- Myślisz sobie, że dla twojej ochłody pozwolę im tu przyjść i przewrócić wszystko do góry nogami? - oburzała się Helen.

Tessa usłyszała jej głos i po chwili zobaczyła na ganku matkę i babkę. Obie ciężko oddychały.

- Pozwolisz im, do cholery! - warknęła Nancy.

- Inaczej będą musieli mnie wzywać, żebym cię zeskrobała z podłogi, jak się rozpuścisz z tego upału, tak jak rozpuściła się taka jedna jędza z Zachodu... wszystko jedno skąd.

- Nie przeklinaj przy mnie.

Nancy pocałowała matkę w ogorzały policzek.

- Rzeczywiście przekłety upał, mamó - powiedziała. - Pieprzone gorąco. Nie będziesz nawet musiała włączać tej klimatyzacji. To będzie działało samo.

- Całe życie obchodziłam się bez.

- Chcesz, żeby dom został w rodzinie, mamó?

- Co ma wspólnego jedno z drugim? - Helen zrobiła jędzowatą minę.

- Naprawdę myślisz, że będziemy tu przyjeżdżać na lato, gdy nie będzie klimatyzacji?

- Wcale tego od was nie oczekuję. I tak sprzedacie ten dom, ot tak... - Helen pstryknęła palcami.

- Nie. Jeśli mi go zostawisz, zatrzymam go. Tak postanowiłam. Potrzebuję własnego miejsca, żeby się czasem wyrwać z miasta. Może nawet kiedyś tu zamieszkam, kto wie? A Tessa też będzie chciała mieć tu swoje schronienie. Jest nauczycielką i musi mieć gdzie odpocząć w lecie. Dom powinien zostać w rodzinie.

Tessa była równie zdziwiona, jak babcia.

- Myślałam, że nie możecie się doczekać, kiedy wreszcie pozbędziecie się domu i farmy.

- Znowu się mylisz. W końcu wejdzie ci to w nawyk.

- Nie chcę już mówić o tej cholernej klimatyzacji - ostrzegła Helen. - Ale jeśli ma to was uszczęśliwić, niech ją zakładają.

- Tylko na najgorętsze dni - powiedziała Nancy, bez powodzenia próbując ukryć uśmiech.

Wszystkie trzy siedziały przez chwilę w milczeniu. Tessa z zainteresowaniem obserwowała czarnego minivana. W mieście nigdy nie zwróciłaby uwagi na jakiś samochód, tu był sensacją.

- Nigdy nie widziałam tego auta - powiedziała Nancy, która też powoli zaczynała nabierać wiejskich nawyków.

- Zwalnia - Tessa zmrużyła oczy. - Może zgubili drogę?

Auto powoli i ostrożnie wjechało na podjazd przed domem. Jakaś kobieta wysiadła i odsunęła boczne drzwi vana. Z auta wyskoczył znajomy pies. Tessa zerwała się na równe nogi i patrzyła, jak Biskwit pędzi ku nim z rozwianym futrem. Wskoczył na ganek, dopadł do Tessy i przednimi łapami oparł się o jej ramiona. O mało jej nie przewrócił.

- Biskwit! - Tessa osłoniła twarz i odepchnęła szaleńca. Biskwit obwąchał pozostałe damy i zaraz wrócił do Tessy, skoczył na nią ponownie, z entuzjastycznym uporem szukając kawałka ciała do polizania.

Tessie udało się trochę go uspokoić. Spojrzała w stronę nadchodzącej kobiety, która dźwigała torbę karmy dla psów.

- Bonnie? Jak mnie tu znalazłaś?

- Dostałam wskazówki od Macka. - Bonnie Hitchcock była niską kobietą o wysportowanej sylwetce i krótko ostrzyżonych ciemnych włosach. Położyła przed Tessą torbę. - Nie mówił ci, że przyjadę?

Nancy wstała.

- Nie powiedział jej, ale mnie powiedział. Tessa spojrzała na matkę.

- Zapomniałaś o tym wspomnieć?

- Nie. Po prostu się bałam. Tessa знаła Bonnie bardzo długo. Jej synek Danny chodził do przedszkola z Kayley i był jej najlepszym przyjacielem.

- O co chodzi?

- Myślałam, że wiesz - zaczęła Bonnie, coraz bardziej skrepowana. - Nie możemy dłużej trzymać Biskwita. Danny ma astmę i w dodatku dostał uczulenia na psią sierść. - Zawahała się. - A poza tym Biskwit nigdy nie czuł się z nami tak... w pełni dobrze. Tęsknił za tobą. Musieliśmy go ciągle pilnować, żeby nie uciekł. Lubił moje

dzieci i gdy były w domu, to wszystko było dobrze. Ale nigdy nie należał tak naprawdę do nas.

Tessa poczuła, że coś ściska ją w gardle.

- Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

- Miałaś dosyć kłopotów. Mack wspomniał, że mogłabyś wziąć psa na resztę lata. Mogę próbować znaleźć mu inny dom, ale to potrwa.

Biskwit był zachwycony. Siedział u stóp uspokajającej go Tessy i ocierał pysk o jej kolana.

- Nie kłopotz się. Zajmiemy się tym.

- Naprawdę mi przykro. Biskwit jest wspaniałym psem, naprawdę. - Bonnie trochę się odprężyła. - Ale on dobrze wie, do kogo należy.

- Należał do Kayley - powiedziała Tessa.

- Nie. Należał do was wszystkich - nie ustępowała Bonnie. Nie dała po sobie znać, że słowa Tessy zrobiły na niej wrażenie. - Jeśli miałaś co do tego jakieś wątpliwości, to po prostu na niego popatrz.

Wydawało się, że Bonnie chce jeszcze coś powiedzieć, ale tylko uśmiechnęła się z żalem i podniosła dłoń w geście pożegnania. Pomachała pozostałym kobietom i poszła do swojego auta.

- Psiakrew. Ten paskudny, rozpuszczony pies jest z powrotem! - powiedziała Helen.

Wstała i podrapała paskudnego, rozpuszczonego psa za uszami.

Po południu Biskwit rządził już w obejściu. Wybrał sobie ocieniony kątek na ganku, skąd przepędził dwa koty, które przyszły na żebry. Teraz drzemał, nieświadomy, że jest głównym tematem rozmowy między Tessą a babcią. Nancy pojechała do Claiborne'ów, miała zabrać Cissy na zakupy do Wal - Martu. Umówiły się na ten wypad już wcześniej, na wieczorne muzycznym. Nancy obiecała Cissy pomoc w skompletowaniu wyprawki dla dziecka, a poza tym chciała także kupić całą wyprawkę dla psa.

- Ten pies jest jak to coś, czym rzucają Australijczycy - stwierdziła Helen.

- Bumerang - prychnęła Tessa. - Co ja właściwie mam z tym psem zrobić?

- To bardzo proste. Będiesz dbać o niego. To nie jest lalka. Nie może siedzieć w domu cały dzień sam. Rano musisz z nim biegać. I

zawsze dotrzyma ci towarzystwa, gdy Macka coś zatrzyma w pracy. Potrzebujesz towarzystwa.

Za każdym razem, gdy Tessa spoglądała na psa, jej serce topniało.

- Oddałam go Bonnie - powiedziała - bo myślałam, że chce być z dziećmi. Był przecież ciągle z Kayley.

- Myślę, że oddałaś Biskwita, bo nie mogłaś znieść jego widoku, kiedy zabrakło naszej małej.

- Tylko ty potrafisz tak dotrzeć do sedna.

- Tylko ja.

- Jedno i drugie po trochu - przyznała w końcu Tessa. - Głównie dlatego, że jego obecność bolała. - Była zdziwiona, jak łatwo przeszły jej te słowa przez gardło.

- On wydaje się przy tobie bardzo szczęśliwy. Nieszczególnie lubię psy, ale jeżeli już mieć psa, to jakiegoś wyjątkowego.

Tessa pomyślała o Macku, o tym, co mu powiedziała.

- Mogłoby się wydawać - zaczęła - że wszystko, co przez te lata robiłam, obracało się wokół śmierci Kayley. - Spojrzała w górę i w oczach babki dostrzegła zrozumienie. - Wiera, że to, co mówię, ty zrozumiesz bardziej niż ktokolwiek inny.

- Jakiś czas temu spytałaś mnie, czego się nauczyłam po śmierci Fate'a i po tym, jak nagle straciłam całą rodzinę. Powiedziałam ci wtedy, że uważam, że chyba nie jesteś jeszcze gotowa poznać odpowiedź.

- Pamiętam.

- Oto, czego się nauczyłam, Tesso: na świecie jest tylko jedna rzecz gorsza niż śmierć lub opuszczenie, a jest to marnowanie życia, które dał nam Bóg.

Tessa nadal nie była pewna, czy chciała usłyszeć te słowa.

- Uważasz, że marnuję życie?

- Tylko ty możesz sobie na to odpowiedzieć, a ja mogę odpowiedzieć za siebie. Zmarnowałam mnóstwo czasu i żałuję, że nie mogę nic cofnąć. Twoja matka zapłaciła za ten mój błąd wysoką cenę. Teraz przede mną są już tylko miesiące i dni, a nie lata. I rozliczam się ze wszystkich błędów, które popełniłam.

Tessa położyła dłoń na dłoni babci. Ona najlepiej wiedziała, jak ciężko było Helen to przyznać.

Po zakupach z Cissy Nancy wróciła do domu. W sklepie oglądały dziecięce ubranka i inne rzeczy, a Nancy układała w głowie listę

zakupów. Wcześniej już planowała kupić całą wyprawkę dla dziecka Cissy, ale teraz nareszcie wiedziała, czego Cissy potrzebuje najbardziej. Rozmawiała nawet z panią Claiborne, która nie posiadała się z radości, że Nancy gotowa jest zająć się przygotowaniami.

Po drodze zajrzały jeszcze do kościoła, aby porozmawiać z paniami, które pomagały w urządzaniu wystawy prac Helen. Cissy została wtajemniczona w ich plany i włączona do spisku.

Nancy wtaszczyła na ganek wielkie legowisko dla psa. Przywiozła także jasnoczerwoną obrozę i wysuwaną smycz. Jednak Biskwita nigdzie nie było. Nancy ruszyła na poszukiwania. Helen znalazła w jej pokoju, ale Tessa i pies zniknęli.

- Są nad strumieniem. Zbierają jagody do placka. Ale nie idź tam i nie wołaj. Potrzebują trochę czasu, żeby odnowić znajomość - powiedziała Helen.

Nancy opadła na łóżko.

- Może powinnam jej powiedzieć o przyjeździe psa. Nie wiedziałam, co robić. Bałam się, że Tessa się nie zgodzi.

- Ona sama nie wie, co mówić i robić. Zupełnie jak ty. To jakaś rodzinna klątwa.

- A ty wiesz, co teraz robisz?

- Wiem. Segreguję moje stare rzeczy. - Helen przycisnęła do piersi coś, co przypominało bloki do quiltów.

- Co to jest?

- Trochę starych kawałków.

Nancy czuła, że coś nie jest w porządku. Helen wyglądała jakoś bezradnie. O ile Helen w ogóle mogła wyglądać bezradnie. Nancy zastanawiała się, czy matka nie znalazła równie wspaniałych bloków, jak te z „Shenandoah Album”, podobnych do tego niezwykłego quiltu, który miał być teraz centralnym akcentem wystawy.

- Mogę je zobaczyć? - wyciągnęła rękę. Helen zdawała się wahać.

- Nie zamierzałam pokazywać tego nikomu - powiedziała.

- Czy to są wzory porno? Nagie damy i nadzy dżentelmeni?

- Nanny, do kogo ty mówisz? - Helen zarumieniła się.

- Mamciu... - Nancy wyciągnęła rękę, ale Helen odepchnęła jej dłoń.

Gdy wreszcie zobaczyła, co jest na blokach, jej uśmiech zniknął.

- Och, mamciu...

Rozłożyła je na łóżku. Były to bloki z Sunbonnet Sue, z tradycyjnym motywem przedstawiającym małą dziewczynkę w staromodnej sukience i kapturku osłaniającym twarz. Helen zmodernizowała motyw.

U niej Sunbonnet Sue puszczała latawca. Sunbonnet Sue w białej spódniczce baletnicy i w baletkach. Sunbonnet Sue czytająca książkę, karmiąca pstrokate kurczęta, łowiąca ryby w stawie. Sunbonnet Sue bawiąca się z owczarkiem angielskim.

Życie Kayley zamknięte w blokach do quiltu.

Nancy nawet nie wiedziała, że płacze, dopóki łza nie kapnęła jej z podbródka na nadgarstek.

- Och, mamoo...

- To miał być prezent na Boże Narodzenie. Do jej pokoju. Kończyłam ten ostatni blok, z psem, gdy zatelefonowałaś, że została...

Nancy otarła oczy brzegiem dłoni.

- Wtedy je odłożyłaś - powiedziała.

- Nie mogłam skończyć tego quiltu. Jak bym mogła? Wiedziałam, w jaki smutek wpadłaby Tessa, gdyby go zobaczyła.

Historia, jak ze ślubnym quiltem.

- Była tylko małą dziewczynką. Nie zrobiła nikomu nic złego... - Głos Helen załamał się.

Nancy wstała, podeszła i objęła matkę.

- Mnie również bardzo jej brakuje - powiedziała. Próbowwała powstrzymać łzy, ale nie mogła.

Helen także otoczyła ją ramionami. Tak trwały przez długą chwilę.

- Powinnaś skończyć te bloki - powiedziała w końcu Nancy.

- Nie. Odłożę je i już.

Ale Nancy była innego zdania.

- Pozwól mi je wziąć.

- Po co?

- Nie wiem. Ale chciałabym je przechować. Ktoś powinien kiedyś móc spojrzeć na nie i przypomnieć sobie Kayley.

Helen najwyraźniej biła się z myślami, ale w końcu skinęła głową.

- Weź je.

Nancy odsunęła się, spojrzała na twarz matki i koniuszkami palców otarła jej łzy z policzka.

- Chodźmy zobaczyć, co się da zrobić na kolację.
- Jeśli Tessa nazbierała jagód, upieczemy placek.
- I od razu cały zjemy. To się nazywa kolacja!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W poniedziałek wczesnym rankiem kropił przelotny deszczyk. Tessa pomyślała, że lekkie zamglenie i delikatny zapach wilgoci w powietrzu to i tak postęp po koszmarnej suszy. Na szczęście chmury nie zapomniały, co mają robić. Wyszły tylko nieco z wprawy, ale deszcz, chociaż przelotny, był dobrym znakiem.

Usłyszała za sobą kroki. Nie obejrzała się, ale poznała skrzypienie kłapek matki.

Nancy dogoniła ją przy schodach.

- Jesteś na nogach wcześniej niż zwykle, kochanie. Za mokro na bieganie?

- Wiesz, gdzie dzisiaj miałam być? - Tessa uśmiechnęła się do matki.

- Zastanawiałam się, czy nie powinnaś już wracać do szkoły. Zaczyna się rok szkolny.

- Wzięłam urlop na cały semestr. Zadzwoiłam dwa tygodnie temu do dyrektorki. Poszła mi na rękę i znalazła zastępstwo. Znam tę dziewczynę i myślę, że będzie dobra. Dzieciaki nic nie tracą. Gdyby nie ona, dzisiaj zaczynałabym pracę.

- Wiesz, mogłabym sama dokończyć tutaj te porządki. Nikt nie oczekiwał, że...

- To nie jest tak.

- Więc jak?

Tessa patrzyła na deszcz. Ze spieczonej ziemi unosiła się mgiełka i w połowie drogi spotykała się z kroplami spadającymi z nieba. Klony chowały się za miękkim, szarym oparem. Świt trochę nierzeczywisty i niewidzialny. Taki, w który trzeba po prostu uwierzyć.

- Nie jestem dobra w tym, co robię - powiedziała w końcu Tessa.

- Nie jestem dobra od czasu śmierci Kayley.

- Powinnaś była wtedy dać sobie trochę wolnego czasu.

Tessa nie mogła temu zaprzeczyć. Wróciła do pracy już po trzech tygodniach, z chłodnym skinieniem głowy przyjmowała wyrazy współczucia, a listy kondolencyjne chowała nie przeczytane do szuflady biurka. Wobec uczniów zamknęła się w sobie; troska i niepokój o dzieci zbyt mocno ją raniły.

Spróbowała wyjaśnić Nancy swoją decyzję:

- Powiedziałam dyrektorce, że albo znajdę sposób, żeby znowu stać się nauczycielką potrzebną uczniom, albo ostatecznie zrezygnuję z nauczania. Ale żeby to wszystko przemyśleć, potrzebuję czasu.

- Co zamierzasz robić? - spytała Nancy. - Mniej więcej za tydzień nie będziemy tu potrzebne.

- Babcia ciągle nas potrzebuje.

- To się rozumie samo przez się. Ale nie potrzebuje nas bez przerwy, jako stałych rezydentek. Będziemy ją po prostu częściej odwiedzać, tak jak sąsiedzi i znajomi z jej kościoła.

- Więc zostanie w domu? - Tessa uważała, że babcia nie powinna mieszkać sama. Nie czuła się przecież dobrze i nie wyglądała najlepiej... Ale z drugiej strony inne rozwiązania nie wyglądały zbyt ciekawie.

- Właśnie tego chce. Pozostaje mi tylko wierzyć, że babcia wie lepiej, co jest dla niej dobre.

- Możemy ustalić plan wizyt, żeby nigdy nie była długo sama. Możemy także zatrudnić kogoś do sprzątanía i gotowania.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - powiedziała Nancy. - Co ty będziesz robiła? - zapytała, kładąc nacisk na słówko „ty”.

- Nie wiem. - Tessa splotła dłonie i uniosła ramiona. - Nie wiem, co będę robiła. Nie wiem również, co zamierza Mack. Nawet mu nie powiedziałam, że wzięłam urlop. Po prostu wiem, że nie powrócę do nauczania, zanim znowu nie będę tego dobrze robić.

- Znam pewną młodą kobietę, która uważa cię za najlepszą nauczycielkę na świecie.

Tessa też ją знаła, chociaż nie zasługiwała na jej uznanie.

- Tak - powiedziała. - Cissy ma przyjść dzisiaj... Poprosiłam ją, żeby napisała historię swojego życia. Chce mi to dać przeczytać.

- Przygotuj chusteczkę do ocierania łez. Tessa spojrzała na matkę.

- Ona musi komuś to opowiedzieć - odparła.

Nancy położyła jej rękę na ramieniu.

- Może potrzebujesz tego wolnego semestru, a może nie. Ale coś ci przepowiem: szybciej wrócisz do szkoły, niż babcia uzbiera jedną kupkę pism ilustrowanych z poczekalni jakiegoś doktora.

Drobniutka Cissy zamieniała się w coraz bardziej okrągłutkiego Buddę. Tyle że na jej buzi nie gościł łagodny, spokojny uśmiech. Od momentu, gdy pojawiła się pod niepewną osłoną zielonej parasolki, aż

do chwili, gdy zasiadła na sofie w salonie ze szklaneczką mrożonej herbaty i talerzykiem ciasteczek - Cissy wyglądała na zmartwioną.

- Droga jest strasznie śliska - powiedziała do Tessy. - Woda nie wsiąka, tylko gromadzi się na powierzchni. Powinnam wziąć furgonetkę, ale myślałam, że będzie fajnie przejść się po deszczu.

- Po naszej lekcji odwiozę cię do domu. Nie chcemy, żebyś się poślizgnęła i upadła.

- Prawie skończyłam wierzch mojego quiltu. Potem pani babcia ma mi pokazać, co z tym robić dalej.

Cissy wyglądała, jakby za chwilę miała zacząć rodzić, chociaż lekarz wyznaczył termin dopiero na koniec października.

- Cieszę się, że przyszedł pomimo deszczu. - Tessa posłała jej uśmiech. Nie powiedziała tego tylko z grzeczności. Co prawda początkowo nie chciała się angażować w sprawy dziewczyny, ale teraz cieszyła się na każde spotkanie z nią.

- Zrobiłam, o co pani prosiła - powiedziała Cissy. - Opisałam wszystko. Całe moje życie. Nie trzeba było dużo papieru. - Na moment w jej oczach błysnęły wesołe iskierki.

- Zawsze lepiej za bardzo się nie rozpisywać.

- To nie jest zbyt wesołe. - Cissy spoważniała. - Nie mogłam dojść, jak to napisać, żeby się nadawało do czytania.

- Nie oczekiwałam, że to będzie łatwe. - Tessa nachyliła się ku niej.

Cissy wzruszyła ramionami, jakby wyduszenie z siebie słowa było niemożliwe.

- Mogę przeczytać? - Tessa zaważała się. - Czy może to jest zbyt osobiste? Może lepiej po prostu schowaj to dla siebie?

Cissy przez chwilę zastanawiała się. Potem sięgnęła do plastikowej torby i wręczyła Tessie kartki lekko wilgotne na brzegach.

- Nie zajmie to pani dużo czasu - odchrząknęła. Tessa usiadła w fotelu, a Cissy wstała i chodziła

po pokoju, jakby nie mogła usiedzieć na miejscu. Od czasu do czasu pocierała ogromny brzuch, jakby chciała pocieszyć swoje nienarodzone dziecko.

Czytanie jej historii nie należało do przyjemności. Cissy przedstawiała zasadnicze sprawy prosto i bezpośrednio. Młoda matka, która nie chciała Cissy ani jej młodszego brata. Ojciec, który tylko czasem pokazywał się w domu i zawsze bez pieniędzy. Ukochana

babcia, która przygarnęła Cissy, ale nie mogła już przyjąć brata i gorzko płakała, gdy został umieszczony w rodzinie zastępczej. Dzień, w którym Cissy dowiedziała się, że brat będzie zaadoptowany przez obcych i zniknie na zawsze z jej życia. Śmierć babci. Przeprowadzka do zatłoczonego mieszkania, w którym musiała żyć pod jednym dachem z niezrównoważoną emocjonalnie matką i ojczymem, który pił na umór.

Potem Zeke, który przewrócił jej samotny świat do góry nogami, który wyciągnął do niej rękę, powiedział jej, że jest piękna, kupował kwiaty i pluszaki, a wreszcie przyjął ją do swego serca i łóżka.

Tessa przestała na chwilę czytać i wzięła głęboki oddech. Cissy wierzyła, że znalazła swojego rycerza w lśniącej zbroi. Tessa życzyła jej z całego serca, żeby to była prawda. Tessa lubiła Zeke'a, ale i on, i Cissy byli bardzo, bardzo młodzi. Poza tym miało się urodzić dziecko, a oni nie wspominali jakoś o ślubie.

Odwróciła stronę i zabrała się za czytanie ostatnich akapitów. Przez chwilę nie mogła zrozumieć zmiany tonu. Cała historia od początku była dobrze przemyślana, a odręczne pismo staranne i łatwe do odczytania. Tylko ostatnią stronę Cissy nagryzmoła, jakby pisała ją w ostatniej chwili. W niektórych słowach były błędy ortograficzne. Brakowało znaków przestankowych. A sama treść podziałała na Tessę jak nóż wbity w serce.

- Och, Cissy... - Odłożyła kartkę i spojrzała na dziewczynę. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Ja też. - Cissy stała przygarbiona tyłem do Tessy. - Dlatego nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nie mogłam...

- Kto to jest ten Lucas?

- To przyjaciel Zeke'a. Przynajmniej tak Zeke myśli, uważa go za swojego przyjaciela. Chodzili razem do szkoły średniej.

- Jak... jak to się stało? Chcesz mi powiedzieć?

- Zeke i ja byliśmy już jakiś czas ze sobą. Myślę, że około sześciu miesięcy. Byliśmy szczęśliwi. Pierwszy raz od śmierci babci byłam szczęśliwa. Chciałam z nim być. Sprawił, że czułam się taka dobra, wyróżniona. Uważaliśmy bardzo przez większość czasu, ale... no wie pani. Dobrze wiedzieliśmy, co to znaczy dziecko, jak się ma tyle lat, co my...

Cissy spojrzała na Tessę.

- Tej nocy byliśmy na party. Lucas też tam był. Zeke'a wezwano do domu. Jego mamę zawieziono do szpitala na ostry dyżur. Ugryzł ją pająk i strasznie spuchła. Tata powiedział Zeke'owi przez telefon, dokąd jada. Zeke chciał, żebym z nim pojechała do szpitala, ale nie byłam pewna, czy powinnam. Nie znali mnie dobrze i bałam się, że będę przeszkadzać. Krępowalam się...

Tessa pomyślała, że Cissy „przeszkadzała” komuś przez większość swojego młodego życia.

- Zostałaś na party?

- Lucas powiedział, że odwiezie mnie potem do domu, a Zeke był tak zdenerwowany, że się zgodził. Ale po zabawie Lucas był mocno pijany, więc ja usiadłam za kierownicą. Chciałam go odwieźć do domu i potem pojechać jego autem do siebie. Ale gdyśmy do niego przyjechali, powiedział, żebym mu pomogła wejść do środka...

Przez moment Tessa pożałowała, że poprosiła Cissy o napisanie historii życia, że zaczęła zadawać pytania, ale dziewczyna wyraźnie chciała zrzucić z siebie ten ciężar.

- I zgwałcił cię. - Tessa powiedziała to pierwsza, ułatwiając Cissy wyznanie.

- Próbowałam uciec. Ale jest duży i silny. Ma ponad sześć stóp wzrostu. I tyle wypił, że nie jestem pewna, czy wiedział, co robi.

- Och, myślę, że wiedział. Cissy odwróciła wzrok.

- Mocno go podrapałam... ale to wszystko, co mogłam zrobić. Potem mnie przeproszał i prosił, żebym nic nie mówiła Zeke'owi.

- Powiedziałaś?

Cissy pokręciła przecząco głową. Wyglądała żałośnie.

- Nie wiem, czy potem by mnie chciał. Wie pani przecież...

- Myślałaś, żeby pójść na policję? Cissy znów zaprzeczyła, przerażona.

- Jak mogłabym udowodnić, że nie chciałam z nim tego zrobić? Powiedział, że jak spróbuję złożyć doniesienie, to on przysięgnie, że chciałam z nim spać. Dlaczego miałiby uwierzyć mnie, a nie jemu? Jestem w tej okolicy kimś bez znaczenia. Nikim.

Tessa żałowała, że dziewczyna nie zgłosiła tego gwałtu. Ale rozumiała, dlaczego Cissy przez tyle miesięcy trzymała swój sekret zamknięty na dnie serca. Rozumiała, jak duże szkody mogło wyrządzić wyjawienie tajemnicy.

- A dziecko? - spytała.

- Jeśli urodzę dziecko w podanym przez doktora terminie, wtedy ojcem jest Zeke. Jeśli później... to... to Lucas.

- Powiedziałaś doktorowi?

- Nie. Spytałam go tylko, kiedy dziecko mogło być poczęte.

Słowa Cissy brzmiały dziwnie. Dorosłe tematy w ustach małej dziewczynki, która po mękach, których nikt nie powinien przechodzić, próbowała sprowadzić swój świat do właściwych proporcji.

- I co ci powiedział?

- Że poczęcie nastąpiło, zanim zostałam zgwał... przed Lucasem. Dwa tygodnie przed. Może nawet trzy.

Tessa wzięła ją za rękę.

- Czy dlatego nie chcesz wyjść za Zeke'a?

- Prosił mnie o to od samego początku. On naprawdę chce się ze mną ożenić.

- A ty?

- A co będzie, jeśli to nie jego dziecko? Jeśli doktor się myli? - Cissy powiedziała te słowa tak cichutko, że Tessa ledwie ją słyszała.

- Miałaś ostatnio badanie ultrasonograficzne? Cissy przytaknęła ruchem głowy.

- Tym badaniem można określić wiek. Szczególnie w późniejszym okresie ciąży. Jeśli doktor mówi...

- A jeśli się myli?

Tessa przyciągnęła dziewczynę i posadziła obok siebie.

- Co się stanie - spytała - jeżeli powiesz Zeke'owi prawdę, kochanie?

- Nie wiem. - Cissy żałośnie pokręciła głową.

- Ale myślałaś o tym?

- Nie od razu. Myślałam, że nigdy nie będę mu mogła powiedzieć. Bo co by było, gdyby uznał, że sama chciałam z Lucasem... No, wie pani co.

- Czy kiedykolwiek dałaś mu powody do takich przypuszczeń?

- Nie!

- Co teraz o tym myślisz? Cissy zaplotła palce na brzuchu.

- Mam trzy wyjścia. Mogę mu to powiedzieć i czekać, co odpowie. Mogę za niego wyjść i przez resztę życia go okłamywać. Lub mogę po prostu odejść, zanim dziecko przyjdzie na świat.

Istotnie, Cissy miała kilka możliwości. Tessa próbowała dalej:

- Nie sędę, żebyście żyli zgodnie, jeśli wybierzesz wariant numer dwa.

- Próbowałam już żyć, nie mówiąc mu prawdy, ale to się nie sprawdza.

- Wiem. Natomiast wybór numer trzy oznacza, że mu nie ufasz, nie wierzysz, że stanie po twojej stronie, gdy usłyszy prawdę.

- Chcę mu powiedzieć... - Cissy patrzyła na swoje palce. - Tylko, że nie umiem tego zrobić sama.

Tessa od samego początku wiedziała, że dziewczyna przylgnie do niej, i że ta znajomość skomplikuje jej życie. Że zostanie postawiona przed pytaniami, na które nie jest gotowa odpowiadać. A mimo to siedziała teraz z Cissy z własnego, świadomego wyboru.

- Oczywiście pójdę z tobą - powiedziała. - To coś pomoże?

Cissy potaknęła głową.

- A co, jak mnie odrzuci? Tessa ścisnęła jej dłoń.

- Wtedy wrócisz do nas i wspólnie pomyślimy, co robić dalej. Nie pozwolimy, żeby coś ci się stało. Żadna kobieta w tym domu na to nie pozwoli. Dopilnujemy, żebyście, i ty, i dziecko, mieli dobrą opiekę.

- Nie zrobiłam nic takiego, żeby zasłużyć sobie na taką pomoc.

- Nie musiałaś nic robić. Tu nie chodzi o to, żeby na coś zasłużyć. Nigdy o to nie chodzi. Po prostu troszczymy się o ciebie. To proste.

Na pomalowanych rzęsach dziewczyny skrzyły się łzy.

- W takim razie jestem naprawdę szczęśliwa - powiedziała.

Zeke miał małą pracownię w kącie stodoły Claiborne'ów. Naprawiał tam instrumenty smyczkowe. Widząc Tessę z Cissy, tak bardzo się ucieszył, że natychmiast chciał zapoznać ją ze swoim królestwem, ale Tessa odmówiła. Nie chciała odwlekać ważnego wyznania. Cissy była w tej chwili gotowa wszystko powiedzieć i Tessa bała się, że jej odwaga stopnieje.

- Możemy gdzieś tutaj spokojnie porozmawiać? - spytała.

Zeke spojrzał na nią zdziwiony, ale zaprowadził gościa i Cissy na drewnianą ławkę pod wierzbą, nieopodal stawu. Deszcz już nie padał. Zeke wytarł ławkę chustą, ale one wołały stać.

- Źle się czujesz, Cissy? - spytał. Jego wylewność ulotniła się, był zaniepokojony. Zauważył zaczerwienione oczy swojej dziewczyny.

Cissy stała ze spuszczonego wzrokiem, dłonie zacisnęła na brzuchu.

- Zeke, muszę ci coś powiedzieć i muszę to zrobić szybko. Pozwól mi, proszę.

Nie odpowiedział. Dotknął tylko jej dłoni, jakby chciał jej dodać odwagi. Tessa była tym poruszona. Z tego gestu, jak i z innych jego zachowań wynikało, że jest wrażliwy i dojrzały.

- Chodzi o tamtą noc w zimie, kiedy pojechałeś do szpitala do mamy i zostawiłeś mnie na party. Pamiętasz? Więc tamtej nocy po zabawie odwiozłam Lucasa do domu, bo był pijany. Wsiadłam, żeby mu pomóc wejść do domu i on... on... - Zacisnęła dłonie i zaczęła płakać.

Zeke wyraźnie zbladł.

- Co? Co zrobił?

Ale Cissy zaniósł się płaczem i nie była w stanie nic powiedzieć.

- Zgwałcił ją - powiedziała Tessa. - A ona bardzo się bała powiedzieć ci o tym.

- Ja... walczyłam. Broniałam się. Mocno go podrapałam, ale...

Zeke pochwycił ją i przyciągnął do piersi.

- Cissy... Czemu mi nie powiedziałaś?

- Po prostu... nie mogłam.

On też się rozplakał i mocno ją przytulił.

- Wiedziałem... Wiedziałem, że coś się stało. Ale nie chciałaś mi powiedzieć. Próbowałem cię pytać...

- Bałam się.

- To on powinien się bać!

- On wyjechał. Pojechał zaraz potem. Myślał pewnie, że ci powiem i że lepiej się ulotnić...

- Zastanawiałem się, dlaczego tak nagle zniknął. - Zeke przełknął ślinę. - Nikt nie wie gdzie... Znajdę go!

- Nie! - oderwała się od niego. - Nie. Lucas zrobił nam już dosyć złego. Jeśli go zranisz lub zabijesz, staniesz przed sądem. Śmiertelnie bałam się ci to powiedzieć. Może jeszcze bardziej, niż wyjść za ciebie.

Dopiero teraz prawda w pełni do niego dotarła.

- A dziecko?

Pokręciła głową. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

- Doktor mówi, że ty i ja, że to nasze dziecko... Przed Lucasem, zanim się na mnie rzucił. Ale co będzie, Zeke, jeśli doktor się myli?

Jeśli to nie twoje dziecko? Rozumiesz teraz, dlaczego nie chciałam wyjść za ciebie za męża? Możesz to zrozumieć?

Spojrzał na nią osłupiały. Raz i drugi pogładził jej brzuch. Z głębi gardła Cissy wydobył się szloch.

- To moje dziecko. - Spojrzał na nią.

- A co, jeśli nie?

- Powiedziałem, że to moje dziecko. Żaden inny mężczyzna nie ma do niego prawa. Ja jestem tym, który cię kocha, dba o ciebie, trzyma cię w ramionach w nocy, gdy masz złe sny. Ja jestem tym, który przyniósł ci krakersy i colę, gdy nie mogłaś podnieść głowy z poduszki. To wszystko czyni to dziecko moim.

Wyglądało na to, że Cissy nadal chce się spierać. Tessa wyczuła, że nadszedł czas, żeby się wtrącić.

- Zeke, Cissy miała badanie ultrasonograficzne - powiedziała. - W dzisiejszych czasach można bardzo dokładnie ustalić datę poczęcia. Doktor mówi, że dziecko zostało poczęte kilka tygodni przed... party.

- To nie ma znaczenia. Nie słuchacie mnie uważnie. Żadna z was mnie nie słucha. Słuchajcie więc. To jest moje dziecko. Chodzę z Cissy do doktora. Tylko ja słucham bicia małego serduszka. Tylko ja czuję, jak to małe ciało rusza się i kopie w brzuchu Cissy.

- Nie miałeś czasu tego przemyśleć - powiedziała Cissy.

- Nie miałem czasu? Myślisz, że nie zadawałem sobie w kółko pytania, czemu nie chcesz za mnie wyjść? - Pokręcił głową. - Jakiś miesiąc temu w końcu zacząłem się zastanawiać, że może nie ja jestem ojcem. Nie myślałem, że mogłaś zostać... Sądziłem tylko, że był ktoś przede mną, jakiś mężczyzna, o którym bałaś mi się powiedzieć. Wiedziałem, że to musi być jakaś bardzo poważna sprawa, bo wiem, że mnie kochasz, Cissy.

- Kocham cię, Zeke.

- Więc zapytałem siebie, czy to ma dla mnie znaczenie. Dałem sobie trochę czasu... a więc miałem czas to przemyśleć. I doszedłem do tego samego wniosku co teraz, że jedna noc nie czyni człowieka ojcem. Potrzeba na to o wiele więcej czasu.

Tessa patrzyła, jak Cissy przytula się do Zeke'a, a on głaszcze ją po włosach. Powinna się teraz odwrócić i dać im chwilę dla siebie. Zanim to uczyniła, jeszcze raz zapatrzyła się na nich oboje, jak gdyby pragnęła na zawsze utrwalić ten widok w pamięci.

Właściwie dzieci. Zbyt młodzi, by być rodzicami. Za biedni, by łatwo sobie poradzić. A jednak oboje posiadali wszystko, czego potrzeba, by przebrnąć przez trudne czasy: uczciwość, szacunek dla prawdy, zdolność do dawania miłości wbrew trudnościom prawie nie do pokonania. Dwoje młodych ludzi gotowych sobie zawierzyć i skoczyć w życie jak w głęboką wodę, ufni w to, że potrafią pływać, że nie utoną.

Od początku była pewna, że Cissy i Zeke nie są gotowi zostać rodzicami, że ich dziecko powinien adoptować i wychować ktoś starszy, lepiej sytuowany i doświadczony. Na przykład ktoś taki, jak ona i Mack. Teraz, patrząc na nich, zaczynała rozumieć. Docierała do niej prawda, że dla małżeństwa nic nie jest równie ważne, jak ten ostatni skok, pełen nadziei skok w nieznaną.

- Zostawiam was - powiedziała przez ściśnięte gardło. Oczy miała wilgotne. - To będzie szczęśliwe dziecko.

Odwróciła się i poszła przez trawy ku podjazdowi, gdzie stał samochód.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tessa przyglądała się, jak matka wsuwa stopy w swoje piękne skórzane sandały na wysokich obcasach. Był sobotni poranek. Słońce dopiero zaczynało wspinać się ponad horyzont, ale Nancy wyglądała rześko, gotowa na przyjęcie nowego dnia. Wstała i wygładziła dżersejową spódniczkę.

- Te panie z komitetu tak się zaangażowały w zorganizowanie wystawy, że niech to śniadanie będzie formą podziękowania dla nich. Szkoda, że nie możesz jechać ze mną.

- Wiesz, czemu nie mogę.

- Uhu.

- Tata tu niedługo będzie - powtórzyła Tessa na wszelki wypadek, chociaż Nancy i tak nie chciała słuchać. - Idziemy podglądać ptaki. Ojciec przyjdzie i zobaczy, że znowu cię nie ma.

- Mam swoje życie. - Nancy nonszalancko wzruszyła ramionami.

- Co mam ci jeszcze powiedzieć?

- Czy to nie jest egoizm, mamo?

Nancy dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Jest sobota, Tesso - powiedziała wreszcie. - Niektóre z tych pań pracują. Poświęciły swój wolny czas, aby pomóc w zorganizowaniu wystawy babci. Sobota jest jedynym dniem, kiedy mogę im wyrazić swoje uznanie.

- I nie chodzi tu wcale o unikanie taty?

- Może i chodzi. Ale, mówiąc szczerze, co to ma za znaczenie? Widzę go przez pięć minut, po czym wyprawiacie się razem na wzgórze. To nie jest warte wyczekiwania na niego.

- Kilka razy już proponował, że po naszym powrocie zabierze cię na lunch, ale tobie zawsze udaje się gdzieś urwać.

- Akurat dzisiaj mam ważny powód. Za tydzień otwarcie wystawy. Kiedy babcia w końcu zwęszy prawdę, trzeba będzie ją uspokajać i zabraknie czasu na dopracowanie szczegółów.

Tessa była zdziwiona, że babcia dotąd nie dowiedziała się, że będzie gwiazdą. Wynikało to może z jej świadomej izolacji. Wkrótce jednak na pewno się dowie. Tessa i Nancy zbierały siły na odparcie napadu złości seniorki rodu.

- Co powiedzieć tacie?

- Powiedz mu prawdę. Powiedz, że nawiązałam tu przyjaźnię i musiałam z kimś się spotkać.

- Nie mówiłaś mu o wystawie?

- Nie zamierzałam robić z tego tajemnicy. Tylko po prostu nie widziałam się z nim sam na sam. Poza tym nie będzie go to interesować. Zostawię mu w domu wiadomość, na wypadek, jeśli chciałby przyjechać i okazać babci trochę zainteresowania oraz wsparcia. Ale na pewno znajdzie jakąś wymówkę.

- Myślę, że to nie jest fair.

- Czy ojciec przejawiał kiedyś jakiegokolwiek zainteresowanie quiltami?

- Nie. Ale bardzo obchodzi go babcia. Nancy zamyśliła się.

- Powiedz mu to sama - zaproponowała. - Oczywiście, jeżeli wybierze się tu w następny weekend, to jest zaproszony. Lecz idę o zakład, że tylko pośle babci kwiaty.

- To ty zajmujesz się wysyłaniem kwiatów. Czy tata chociaż wie, jak wybrać telefon kwiaciarni?

- To by było dla niego coś nowego. Zobaczymy, jak sobie poradzi.

Nancy machnęła ręką i ruszyła do drzwi wyjściowych.

Tessa nie wątpiła, że matka rzeczywiście zaprosiła panie z komitetu na śniadanie, tyle że o tej porze wszystkie restauracje były jeszcze zamknięte! Nancy po prostu wychodziła z domu, żeby nie spotkać się z mężem. Woląca piec się w samochodzie na rozgrzanym parkingu i czekać na otwarcie restauracji, niż spotkać Billy'ego.

Tessa poszła wziąć prysznic. Gdy skończyła, ojciec już czekał w bawialni. Nalała mu kawy i teraz popijał z filiżanki, czytając poranne wydanie „Richmond Times - Dispatch”. Dziennik oczywiście przywiózł ze sobą, bo Helen, przyzwyczajona do odzysków, nadal nie zamawiała gazet.

- Gotowa? - Wstał i pocałował ją w policzek.

- Oczywiście. Odkryłam nowe miejsce nad rzeką, zaprowadzę cię tam.

- Rozumiem, że mama jeszcze nie wstała?

- Wstała, ubrała się i wyszła.

- Wyszła? - Billy zmrużył oczy.

- Właśnie.

- Tak wcześniej?

- Podejmuje śniadaniem kilka pań. Spojrzał na zegarek.

- Albo późną kolacją.

- Śniadaniem.
- Może zacznę przyjeżdżać w nocy, żeby ją zastać.
- Może tak zrób.

W drodze przez wzgórze nie odzywał się. Szedł zamyślony, od czasu do czasu przystawał, słuchając głosu ptaka lub nagłego łopotu skrzydeł. Sprawdzili budki dla modraszek, umieszczone na metalowych słupach wzdłuż ogrodzenia z potrójnego drutu. Myśleli, że będą mieli okazję wygarnąć stare gniazda, ale ptaki w tym roku w ogóle nie skorzystały z budek.

- Większość tych budek jest spróchniała - powiedziała Tessa. - Są bardzo stare. Powinniśmy kupić babci nowe.

- Któregoś lata, gdyśmy tu przyjechali z wizytą, pomagałem jej zakładać te budki. To było tak dawno, że chyba mieszkałaś jeszcze razem z nami. Babcia mówiła, że jej brat zawsze zakładał budki dla modraszek. Sprawdzała je w tamtych czasach co tydzień.

- Gdzie wtedy byłem?
- Staralaś się jej unikać. Tessie zrobiło się przykro.
- To miłe pamiątki, prawda? Ciekawe, który brat? Założę się, że Tom. - Zastanowiła się, co właściwie wie o nich obu.

Szli równym krokiem. Tessa wskazała na kępę drzew w połowie wzgórza, nad rzeką.

- To dobre miejsce do obserwacji. Widać stamtąd cały teren do brzegu rzeki.

Ale Billy nie zareagował.

- Tessa, nie chcę cię stawiać w niezręcznej sytuacji, ale co się dzieje z mamą?

- A co się ma dziać?
- Z kim ona naprawdę spotyka się dzisiaj rano? Przez chwilę Tessa nie zrozumiała pytania, a potem nagle uśmiechnęła się.

- Myślisz, że spotyka się z mężczyzną?
- Nigdy jej nie ma.
- Jest cały czas, tato. Tylko nie wtedy, kiedy ty jesteś. - Chwilę milczała, pozwalając, żeby te słowa do niego dotarły. - Dziś rano ma podjąć śniadaniem kilka pań z kościoła. Za tydzień jest otwarcie wystawy quiltów babci. Pracowały nad tą wystawą przez ostatnie dwa tygodnie. Babcia o niczym nie wie i dlatego nic się na ten temat nie mówi, żeby przypadkiem nie usłyszała.

- Planujecie wystawę quiltów babci i nikt się nie pofatygował, aby mi o tym powiedzieć? - Ojciec chociaż raz okazał swoje uczucia.

- Do dzisiaj nie sądziłam, że o tym nie wiesz. Myślałam, że mama powiedziała ci to przy jakiejś okazji. Dzisiaj ją zapytałam, a ona oznajmiła mi, że mocno wątpi, byś się tym zainteresował. Powiedziała, że w tym tygodniu zadzwoni do domu i zostawi ci wiadomość.

- W porządku. To rzeczywiście cholernie przyzwoicie z jej strony, że chce zostawić wiadomość na mojej automatycznej sekretarce.

Tessa uniosła brew.

- Mówiąc ściśle, nie przyjechałeś do niej. Przyjeżdżasz do mnie. To jasne. Mama nie jest głupia. Potrafi odczytać brak zainteresowania jak mało kto.

- Byłem zajęty. Jestem doradcą finansowym. Ekonomia...

- Och, do diabła z ekonomicą. Posłuchaj. Mama tego lata dokonała w sobie kilku znaczących zmian. Jest teraz o wiele mniej chętna zadowalać ludzi niż dawniej. Jest znacznie swobodniejsza, nie walczy już na każdym kroku o twoją uwagę, akceptację czy uznanie. Po prostu nie potrzebuje tego.

- Chcesz powiedzieć, że nie potrzebuje mnie? Tessa uniosła rękę. Powiedziała już chyba zbyt dużo.

- Popatrz, w jakiej sytuacji nagle się znalazłam. Mam być pośrodku wszystkich cudzych emocjonalnych kryzysów? Akurat wobec waszego problemu stoję z boku. Wyłączam się. Nie chcę już rozmawiać z żadnym z was na ten temat. Wasze małżeństwo, wasza sprawa. Mam dość własnych problemów. To zależy od was, czy rozejdziecie się, czy wreszcie zbliżycie do siebie. Nie mój wybór. Jeśli chcesz znaleźć mamę, spróbuj poszukać jej w kościele. One po śniadaniu pojedą tam na pewno, żeby spojrzeć, jak idą przygotowania do wystawy.

Billy patrzył na córkę. Uspokoila się, przynajmniej pozornie.

- Tato. To nie jest czas, żeby wszystko kończyć.

- Masz rację, Tesso. Nie powinienem cię w to wciągać.

Oparła dłonie na jego biodrach.

- Chcesz, żebym narysowała ci mapę? Kościół nie jest tak daleko.

Zastanawiał się. Jak na dobrze urodzonego dżentelmena z Południa, był bardzo poruszony.

- Niby czego mam tam szukać? - spytał w końcu.

- Nie wiem. Może samego siebie?

Lekko skinął głową i ruszyli w dół zboczem wzgórza.

Nancy była bardzo zadowolona z postępu przygotowań do wystawy. W piątek wieczorem panie miały zakończyć prace. Zamierzały powiesić trzydzieści quiltów, w tym osiem, które Helen w ciągu ostatnich lat podarowała rodzinom z parafii. Każda rodzina obiecała opisać historię swojego quiltu: czym było dla nich otrzymanie go, u kogo jest teraz i jakie znalazł zastosowanie. Trzy historie zostały już spisane i wzruszyły Nancy do łez.

Helen była pewna, że nie zrobiła w życiu nic ważnego. Ale przecież jej szczodrość poruszyła wielu ludzi. Nadszedł czas, żeby odczuła dumę z tego, co osiągnęła.

Nancy stała w cieniu wielkiego dębu, blisko kościoła. Cathy, jedna z wolontariuszek, emerytowana agentka ubezpieczeń, podeszła do niej i stanęła obok.

- Mamy jeszcze tydzień do otwarcia, prognozy nie zapowiadają ani kropli deszczu. To oczywiście żadna gwarancja, ale biorąc pod uwagę pogodę tego lata, myślę, że możemy urządzić także ekspozycję kilku quiltów na zewnątrz.

Nancy lubiła Cathy. Była bezpośrednia, angażowała się we wszystkie poczynania i starała się pomagać. Miała słabość do czekolady. Sama robiła quilty, ale dopiero zaczynała i dlatego szczególnie ekscytowała się wystawą Helen.

Nancy oceniała odległość między drzewami i kalkulowała w myślach, ile prac można będzie wyeksponować na dziedzińcu.

- Gdy byłam małą, mama prała swoje quilty dwa razy w roku. Czekala na pochmurny dzień, a potem prała je w starej balii na podwórzu i wieszala w jednej linii. Uwielbiałam na nie patrzeć. Kołysały się na wietrze niczym swingująca tęcza.

- Właśnie tak będą wyglądać w sobotę. Wezmę trochę starych, drewnianych klamerek. To będzie świetnie wyglądało.

- Myślisz, że wszystko już omówiliśmy? - upewniała się Nancy.

- Każda z nas ma listę zadań. Myślę, że będziemy gotowe. Helen nadal nic nie wie?

- Gdy się dowie, z daleka usłyszysz jej ryk.

- Każde stowarzyszenie i każdy klub w naszej dolinie wie już o wystawie. Przyjdzie mnóstwo ludzi. I to nie tylko ludzie związani z naszym kościołem.

Cathy zrobiła wyjątkowo piękną ulotkę i rozesłała zaproszenia wszędzie, gdzie tylko mogła. Odebrała kilka tuzinów telefonów z prośbami o więcej informacji. Wiadomość o wystawie Helen zaczęła krążyć między ludźmi i Nancy była z tego bardzo zadowolona.

- Wszystkie dużo się nauczyłyśmy, patrząc, jak pracujesz - powiedziała Cathy.

- Jak to? - Nancy była zdziwiona.

- Nigdy nie widziałam kogoś tak dobrze zorganizowanego i przekonującego. Gdybyś sprzedawała polisy, byłabyś teraz prezeską którejś z potęg ubezpieczeniowych.

Nancy przepełniło uczucie zadowolenia. Helen najwyraźniej nie była jedyną osobą w rodzinie, która nie doceniała własnych talentów.

- Nic mnie tak nie cieszy, jak robienie wystaw. Pomyślała o tym, jak w młodości eksponowała warzywa i owoce na straganie Helen. Nie zmieniła się tak bardzo przez te wszystkie lata. Większość zmian to była po prostu zmiana dekoracji w witrynie. I nie zawsze na lepsze.

- Przykro pomyśleć, że z końcem lata znikniesz - powiedziała Cathy. - Cieszę się, że cię poznałam. Wszystkie się cieszymy.

- Nie zniknę tak zupełnie. Będę przyjeżdżała, gdy tylko będę mogła, a ty przyjedziesz odwiedzić mnie w Richmond.

- To brzmi jak plan działania. - Cathy pomachała ręką na pożegnanie i ruszyła w stronę kościoła.

Nancy zerknęła na zegarek i skrzywiła się, że jest nadal tak wcześnie. Jeśli teraz wróci do domu, Billy może tam jeszcze ciągle być. Rzeczywiście unikała go w taki sposób, jak to przedstawiła Tessa. Jej nowa wizja siebie była zbyt krucha, by się nią dzielić. Niegdyś zrezygnowała ze swojej tożsamości - odrzuciła ją z taką siłą, że teraz była zdziwiona, że odnajduje jeszcze jej ślady. Wiedziała, że nie jest silna. Bała się. Tak bardzo potrzebowała miłości i akceptacji, że łatwo mogła roztrwonić to swoje przeistoczenie. Wystarczyło, by znowu zaczęła szukać aprobaty Billy'ego...

I oto nagle pojawił się Billy, jakby wyczarowała go swoimi myślami. Wyłonił się właśnie zza węgła kościoła, najwyraźniej kogoś szukając. W pierwszym odruchu miała ochotę schować się przed nim za drzewo i zaraz omal nie parsknęła śmiechem na tę dziecinadę.

Zrobiła kilka kroków i czekała na niego. Były to chyba najdłuższe chwile w jej życiu.

- Tessa powiedziała, że cię tu znajdę - pochylił się i pocałował ją w policzek na przywitanie.

Zastanawiała się, ile par w ich wieku w takich momentach obdarza się czymś więcej niż szybkim cmoknięciem w policzek. Czy ją i Billy'ego łączyło kiedyś coś więcej? Ledwie mogła sobie przypomnieć. Uniesienia w sypialni - owszem, to było nie do zapomnienia. Lecz w innych chwilach wspólnego życia?

- Czy coś dzieje się w domu? - spytała. - Masz coś do mnie?

- Nie. Wszystko w porządku. - Cofnął się i spojrzał na nią, jakby po raz pierwszy zauważył w niej zmiany. - Inaczej się czujesz - powiedział.

- Zmęczyło mnie przejmowanie się włosami.

- Tak jest bardzo ładnie.

Czekała na falę uczucia wdzięczności, które zawsze ogarniało ją po jego komplementach i ucieszyła się, że tym razem zdołała się od tego powstrzymać.

- Cieszę się, że w domu wszystko dobrze. Jak w pracy?

- Nieźle, zważywszy, że jakbym się nie wysilał, sytuacja na rynku i tak jest ponura.

Znów nie odczuła szczególnej fali zrozumienia i empatii, raczej ciepłe zainteresowanie.

- Musisz się czuć, jakbyś próbował zatkać tamę palcem. Chociaż... co możesz więcej zrobić?

- Dokładnie... - Lekko się uśmiechnął. Czekała, że powie coś więcej, na przykład,

po co przyjechał. Tyle razy drżała ze strachu, że zacznie się kolejna przemowa typu: „Nancy, wiesz, że nasze małżeństwo się sypie, prawda?”. Teraz znów ogarnął ją lekki niepokój, że usłyszy coś podobnego, że będzie chciał to wszystko skończyć raz na zawsze i znowu obudzi się w niej ten stary lęk, który przecież zaczynał ją już powoli opuszczać.

Lecz zamiast tego powiedział:

- Tessa wspomniała mi o wystawie quiltów. To miły pomysł.

„Miły”. Nie użyłaby takiego określenia. Brzmiało trochę protekcjonalnie, chociaż nie była pewna, czy miał taką intencję.

- Tak. Helen zasługuje na uznanie. Ale na pewno się wścieknie, gdy się dowie.

- Znajdziesz sposób, by to zaakceptowała. Zawsze ci się to udaje.
- Pierwszy raz szczerze się uśmiechnął.

- Nie chcę jej ani nikogo innego nakłaniać do akceptacji czegokolwiek.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Chcę tylko, żeby była szczęśliwa - ciągnęła. - Mam nadzieję, że będzie. A jeśli nie, to zapewne przez resztę życia będę ją przepraszała. Ale nie sądzę, że to będzie konieczne.

- Czemu mi nie pokażesz, co planujecie? Zastanawiała się, jak zareagować. Chciała mu

powiedzieć, że to nie jest konieczne, że nie musi, ale pomyślała, że tak postąpiłaby dawna Nancy. Ta stara Nancy zapewniała Billy'emu komfort emocjonalny. Mówiła mu to, co według niej najbardziej mogło go zadowolić; bez względu na to, ile by ją to kosztowało i oczywiście nie chodziło tu prawie nigdy o pieniądze.

- Chętnie - powiedziała. - Możemy zacząć od tego miejsca. - Pokazała na drzewa. - Zamierzamy urządzić część wystawy tutaj, na dworze. To śliczny teren i chcemy to wykorzystać. Tam... - wskazała palcem - będą ustawione drewniane drabiny, a między nimi żerdzie. Część quiltów będzie wisiała na tych żerdziach. Dodamy jeszcze inne elementy dekoracji. Będzie stara prasa do cydru z masą wczesnych jabłek, drewniana taczka pełna quiltów i trochę kwiatów w donicach.

- To bardzo w stylu południowców i takie typowo wiejskie w charakterze - powiedział.

Najeżyła się, ale zaraz się opanowała.

- Pokażę ci, co chcemy zrobić w środku - powiedziała.

W milczeniu przeszli do domu parafialnego. Panie stały w holu gotowe do wyjścia. Nancy szybko przedstawiła im Billy'ego. Gdy w końcu poszły, kościół wydawał się śmiertelnie cichy, jakby gotowy na pogrzeb starego małżeństwa.

- Mają tu nową salę, bardzo prostą, o białych ścianach i szerokich oknach. Powiesimy w niej osiem quiltów w jednej linii. - Poprowadziła go i pokazała miejsca, gdzie będą wisiały. - Mamy szczęście - mówiła dalej. - W tej sali już były wystawy. Widzisz tam wysoko metalowy wysięg? Przypniemy do quiltów haczyki i zawiesimy je na tym wysięgu. Najwyżej dwa.

- Myślę, że quilty Helen znacznie rozjaśnią i ożywią to miejsce - powiedział Billy.

Jego słowa znów ją rozdrażniły. Różowe flamingi i hotelowe neony spełniłyby mniej więcej to samo zadanie. Czy zdawał sobie sprawę, jak protekcjonalnie brzmi to, co on mówi? Łaskawca! A może po prostu próbowała znaleźć w nim winę, by łatwiej znieść to, co za chwilę nadejdzie?

Zaprowadziła go dalej, do miejsca, gdzie miały być wystawione darowane przez Helen quilty z powieszonymi obok, oprawionymi w ramki, świadectwami rodzin, które je otrzymały.

- Quilty Helen wiele dla tych ludzi znaczyły - powiedziała.

- Czasem nawet mała, niepozorna rzecz może oddziaływać z dużą siłą - zauważył.

Znów się najeżyła.

- Mała? Niepozorna? Quilty mamy nie są ani małą, ani niepozorną rzeczą. Zrobienie każdego, nawet najprostszego, zabierało jej wiele godzin.

- Chciałem tylko powiedzieć, że w trudnej chwili nawet prosty akt życzliwości, taki jak ofiarowanie quiltu, może spowodować, że czyjeś życie staje się bardziej szczęśliwe.

Odpowiedź Billa była dobrą zasłoną dla jego protekcjonalnej arogancji. Dorastał w domu, w którym obowiązywał takt i dobre maniere, w środowisku, w którym mówi się rzeczy, które ludzie pragną usłyszeć. Teraz właśnie próbował obrócić swoją upokarzającą uwagę na temat quiltów Helen w psalm pochwalny. Nie wierzyła w ani jedno jego słowo.

- Pokażę ci resztę. Doszliśmy do wniosku, że wykorzystanie świątyni jako miejsca ekspozycji musi mieć swój sens, więc wybrałyśmy takie wzory quiltów, które będą tutaj pasować. „Cierniowa korona”, „Drzewo życia”, „Cierpienia Hioba”.

Billy z aprobatą kiwał głową.

- W tym miejscu nie ma nic słodkiego i łatwego - powiedziała z przekąsem. - W tym kościele jest realizowany dobry program socjalny. Tu udzielana jest pomoc potrzebującym, tu spotykają się różne grupy dyskusyjne, owszem, dużo rozmawia się o teologii liberalnej, ale tuż obok odbywają się głośne Seminaria Jezusowe. Sam, tutejszy wielebny, wziął parafian ostro do galopu. Niektórzy z nich obrazili się na niego, lecz większość zaczęła częściej tu

przychodzić. Mama nie jest pewna, czy Sam jest aniołem, czy diabłem.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Popatrzył na nią zdumiony, jakby go dziwiła jej przenikliwość.

Wtedy wybuchła.

- Skąd wiem? Po prostu patrzę, co się wokół mnie dzieje! Interesuję się wieloma rzeczami. Z prostaczki, której niechcący zrobiłeś dziecko, awansowałam do roli prezeski szanowanego stowarzyszenia. James River Historical Association to bardzo wysoko ceniona lokalna organizacja społeczna.....

Dotknął jej ramienia. - Nancy, co się z tobą dzieje? Odtrąciła jego rękę.

- Po prostu jestem zmęczona tą twoją wieczną protekcjonalnością, Billy. To nie jest wystawa szmat zszywanych przez wieśniaczkę. To wystawa o sercu i duszy mojej matki, o tym wszystkim, co ją otacza, o sposobie, w jaki życie ograbia cię ze wszystkiego, co ma znaczenie, a ty mimo to ciągle idziesz naprzód i tworzysz piękno.

Patrzył na nią długą chwilę bez słowa.

- Nie sądzę, żeby twój gniew dotyczył życia Helen. On dotyczy twojego życia. Czy naprawdę uważasz, że zachowuję się wobec ciebie protekcjonalnie?

Roześmiała się krótko, nerwowo.

- Myślę, że zachowywałeś się w ten sposób tak długo, a ja równie długo zachęcałam cię do tego, że teraz żadne z nas już nie rozpoznaje, co to właściwie znaczy. Ale, jak przez mgłę tych zbyt wielu lat małżeństwa, wyczuwam ten stale obecny smrodek protekcjonalności.

- Zbyt wielu lat małżeństwa?

Odwróciła się od niego i spojrzała w okno stanowiące ramę dla odległej góry.

- Tak, zbyt wielu... Wiele lat czołgania się, płaszczenia i bycia zawstydzaną, Billy. Zbyt wiele lat, przez które pragnęłam, żebyś naprawdę zaczął o mnie myśleć. Ty tymczasem wmawiałeś sobie, że trwać w małżeństwie ze mną to twój święty obowiązek, powinność i misja dżentelmena, człowieka honoru. Jest mi bardzo wstyd, że się na to nabrałam, chociaż teraz rozumiem, dlaczego. Wiem, czego szukałam i czego nigdy nie znalazłam w domu. Ale gdy cofam się w tamte lata, widzę, że za to, kim jestem, mogę winić tylko siebie. Nie

mamę i nie ciebie. Po prostu trzymałam się dawnych uczuć i pragnień. Tak więc, patrząc w przeszłość, mogę winić tylko siebie.

- Winić? - Wziął ją za ramię i przyciągnął do siebie. - Za co?

- Za trwanie w małżeństwie, w którym nie byłam doceniana. W ciągu ostatnich tygodni tutaj, w domu mamy, robiąc coś konstruktywnego i do szpiku kości potrzebnego, jeszcze raz przemyślałam wiele spraw i dużo zrozumiałam. Lepiej rozumiem ludzi. Doszłam do wniosku, że przestałam być autentyczna od momentu, gdy powiedziałam „tak” w tamtym kościele w hrabstwie Nelson. Próbowałam stać się kimś lub czymś, czego nawet nie szanowałam. Próbowałam naśladować kobietę, której nie lubiłam.

- Moją matkę?

- A kogo jeszcze?

- Nikt nie wymagał, byś była taka, jak mama. - Puścił jej ramię.

- Och, wiem. I biorę odpowiedzialność za swoje wady. Ale również po raz pierwszy widzę, że jestem lepsza niż członkowie twojej rodziny; wszyscy oprócz ciebie. Odkryłam w sobie talenty i uczucia, które są ważne i mam wiele miłości do zaoferowania temu, kto naprawdę jej chce.

Jego spojrzenie jak zwykle było nieodgadnione. Nie miała pojęcia, co myśli.

- Czy to ma być pojedynek? - spytał w końcu. - Twoje pochodzenie przeciwko mojemu, twoje drzewo genealogiczne w cieniu mojego? Nikt mi o tym nie mówił.

- Bo nikt nie musiał.

- Jak długo jesteś nieszczęśliwa? Wolałaby, żeby to było tak oczywiste, by mogła na przykład powiedzieć: „byłam nieszczęśliwa od lata 1976 roku lub od 1984”. Ale oczywiście rzeczy nie przedstawiały się tak prosto.

- Chciałabym móc ci powiedzieć - rzekła, patrząc przez drugie okno. - Ale zupełnie nie orientowałam się w tym, co w tamtych czasach czułam. Dlatego nie mogę. Bo było również dużo dobrych wydarzeń w naszym wspólnym życiu... wydarzeń, które dały mi szczęście. Tessa i Kayley. Praca w różnych komitetach nie zawsze była ważna, ale jednak czasem to miało znaczenie. Miałam szansę coś zrobić. To dla mnie dużo znaczyło.

- A co ze mną?

Co z nim? Tyle rzeczy w Billym kochała.

- Ożeniłeś się ze mną, bo musiałeś. Próbowalam o tym zapomnieć, ale mi się nie udało. Bardzo chciałam ci dorównać, zdobyć twoją miłość, ale im bardziej się starałam, tym bardziej oddalaliśmy się od siebie. Nie chciałam spojrzeć prawdzie w oczy, chociaż powinnam to zrobić dawno temu.

- Nie chciałaś mierzyć się z problemami, bo nie chciałaś zmieniać życia, które sobie stworzyłaś w Richmond.

Jego słowa raniły ją, ale uznała, że zasłużyła na nie. Przynajmniej częściowo zasłużyła. Ale ciągle była jeszcze inna sprawa, może istotniejsza, której nie poruszył.

- Nie chciałam stracić ciebie - powiedziała. - Wygody życia były dla mnie drugorzędne. Zadowalałam się okruciami uczucia, które mi dawałeś, bo myślałam, że nie jestem więcej warta. Teraz wiem lepiej.

- To brzmi jak deklaracja.

- Lepsze to, niż tłumaczenie się. To dla mnie ważny krok.

- Dlaczego nie chciałaś mnie stracić? Bo niby co sobą reprezentowałam? Bo byłem ojcem Tessy? Bo w Richmond, kiedy mówisz Whitlock, otwierają się przed tobą wszystkie drzwi?

Krażyła wokół prawdy. Kiedy przychodziło do wyrażenia najgłębszych uczuć, nie radziła sobie, zresztą tak samo jak Billy. Ta refleksja bardzo ją zasmuciła. Dwoje ludzi, którzy są małżeństwem od kilkudziesięciu lat i ciągle nie potrafią być wobec siebie emocjonalnie uczciwi.

Teraz nadszedł ten czas. Wiedziała to, ale były to najtrudniejsze słowa, jakie kiedykolwiek przyszło jej powiedzieć.

- Roіłam sobie, że pewnego dnia spojrzysz na mnie i zobaczę, że czujesz to samo, co ja czuję do ciebie. Kocham cię, ale dłużej nie mogę żyć z tą iluzją. Wstyd mi, że się przed tobą płaszczyłam. Jestem warta więcej.

Gwałtownie opuścił ramię. Billy, który zazwyczaj trzymał się prosto, wyglądał teraz, jakby urósł o kilka centymetrów.

- Myślałem, że chcesz mnie poprosić o rozwód - powiedział.

- Mogło do tego dojść. Nie mogło?

Pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się swoim najcieplejszym uśmiechem. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Nie daję ci rozwodu, Nancy. Zresztą wcale go nie chcesz. I ja też nie chcę. Mieliśmy dużo czasu, by to przemyśleć i chyba przyznasz mi rację. Dlatego w końcu rozmawiamy. Ja też cię kocham.

Może nie od początku, chociaż nadal nie jestem tego pewien. Byłaś taka inna od kobiet, które znałem. Niepewna? Zgadza się. Trochę próżna, czasem głupia? Owszem. I zawsze próbowałaś być kimś więcej niż trzeba...

Otworzyła wilgotne oczy i spojrzała na niego.

- To, co teraz mówisz, nie brzmi jak ocena kogoś, kto mnie kocha.

- Chwileczkę. Jeszcze nie skończyłem. Obok tych wszystkich słabostek miałaś również gorące serce, byłaś bezwzględnie lojalna i wierna, bystra i spostrzegawcza, tylko nie wtedy, gdy szło o twoją własną osobę...

- A co z twoją spostrzegawczością? Nie pomyślałeś, że kiedyś przez chwilę chciałabym usłyszeć, że mnie kochasz? Jeśli naprawdę mnie kochałeś?

- Kochałem, Kocham i będę kochał. Ale mówiąc uczciwie, nie byłem całkiem pewny, co ty czujesz. Masz rację, wyszłaś za mnie, bo musiałaś. Bo oznaczałem bezpieczeństwo. Bo przyszła na świat Tessa. Nigdy nie byliśmy chyba zdolni do rozmowy o czymś tak poważnym, jak nasze uczucia. Nie wiedziałem, jak o to zapytać.

Przeciągnął dłonią po jej włosach i ujął z tyłu za kark.

- Było coś jeszcze - powiedział. - Uważałem, że to po prostu jest. Że nasze małżeństwo po prostu jest. To były dla mnie oczywistości. Zauważyłem to dopiero z perspektywy tego samotnego lata. Właśnie dlatego trzymałem się z daleka. Potrzebowałem czasu, żeby dokładnie pomyśleć, jak spędzimy resztę życia. A teraz będę potrzebował więcej czasu, żeby zrozumieć, kim jest nowa Nancy.

- Nie jest nowa. Po prostu odrzucam kolejne warstwy.

- Szkoda, bo Kocham te warstwy. Ale może nie tak mocno, jak kobietę, która przed laty rzuciła we mnie pomidorem?

Z pewnym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że jego słowa wcale jej nie zdumiały. Nie czuła również wielkiej ulgi. W ogóle czuła niewiele oprócz radości, że w końcu wszystko zostało powiedziane.

Ponieważ gdzieś głęboko, pod wszystkimi warstwami, przez wszystkie te lata, była mądrzejsza i bardziej spostrzegawcza, niż by to sama przed sobą przyznała. Nagle, u progu starości, jej wiara w Billy'ego i samą siebie zachwiała się, a złe nawyki dawnego życia wprawiły w zmieszanie.

Ale czy nie wiedziała, że Billy cały czas o nią dbał? Pomimo jej wszystkich lęków i niedoskonałości, pomimo jego niemożności powiedzenia jej tego, mimo jej niezdolności do zmierzenia się z własnymi uczuciami. Czy nie wiedziała, że ich miłość rosła i w końcu zakwitła? Czy nie dlatego właśnie wytrwała w małżeństwie?

Ponieważ, pomimo wszystko, wiedziała?

- Wiesz, długo mnie trzymałeś w niepewności. Wiele czasu było ci trzeba, żeby wreszcie powiedzieć mi to, co powiedziałeś. Masz sporo do nadrobienia.

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Starzeję się, Nancy. Jeśli mam coś do nadrobienia, muszę się do tego zaraz zabierać.

- Na obrzeżach Woodstock jest śliczna mała gospoda. Ciekawe, czy wszystko mają zarezerwowane?

- Mam telefon komórkowy.

- A ja oczywiście mam numer - powiedziała, zanim zdążył ją pocałować.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Tessa patrzyła, jak Nancy zajeżdża pod dom, jak zwykle za szybko, ale z desperacką wprawą. Udało się jej ominąć przywiedłe lilie i głębokie koleiny. Wyłączyła silnik, wyskoczyła z auta we wczorajszym ubraniu, i ruszyła ku córce niemal biegiem.

- Wcześniej jesteś na nogach - zawołała, nim przebiegła połowę drogi do werandy.

Słońce niedawno wzeszło i Tessa była zdziwiona, widząc matkę tak wcześnie. Nie wiedziała, skąd ten nagły zwrot w relacjach między rodzicami, ale miała nadzieję, że teraz będą spędzać ze sobą więcej czasu.

- Gdzie tata?

- W drodze do Richmond. Dzisiaj wieczorem leci do Bostonu. Musiał wcześniej wyjechać, żeby się spakować. Przeprasza, że się z tobą nie pożegnał.

Tessa nie wiedziała, co powiedzieć. Była zdumiona, widząc matkę tak szczęśliwą.

- Właśnie wychodziłam. Wczoraj kupiłam nowe budki dla modraszek. Chcę je pozakładać, dopóki jest chłodno. Stare są już do niczego. - Trzymała plastikową torbę, a druga leżała koło niej na podłodze ganku.

- Pomóc ci? Tessa zawahała się.

- Nie lubisz pieszych wędrówek, a to dość daleko.

- Wychowałam się tutaj, Tesso. Zapomniałaś? Wiem, gdzie są budki.

- Przepraszam. Jasne, że wiesz.

- Chętnie się przejdę. Mogę nieść jedną torbę. Tylko pójdę na górę zmienić buty.

Po kilku minutach wróciła w szortach i tenisówkach. Tessa podała jej torbę.

- Powiesz wreszcie, co się wydarzyło? - spytała w końcu Tessa, gdy już były blisko stawu.

Nancy roześmiała się.

- Nie stać cię na inne pytanie? Oczekiwałam więcej finezji.

- Najpierw w ogóle z tatą nie rozmawiasz, a potem spędzasz z nim noc w hotelu.

- Nawet nie w hotelu. W zajeździe. Ale bardzo miłym. Polecam ci go z całego serca. Dam ci ich wizytówkę.

- Nie chcę wizytówki. Chcę wyjaśnień.
- Jesteś moją córką, nie matką. Nie muszę ci wszystkiego mówić.
- Nie mów wszystkiego. Po prostu rozwiej moje obawy.
- Kochanie, czy wyglądam, jak kobieta, która właśnie przeprowadziła rozmowę ze swoim adwokatem na temat rozwodu?
- Więc pogodziliście się?

Nancy przełożyła torbę do drugiej ręki.

- Nie byliśmy pogniewani, Tesso, tylko nie rozmawialiśmy ze sobą. Kiedy wreszcie zdobyliśmy się wczoraj na szczerą, uczciwą rozmowę, zrozumieliśmy się lepiej nawzajem. Okazało się, że się kochamy, ale przez te wszystkie lata baliśmy się o wielu rzeczach rozmawiać. Nasze mamusie nie nauczyły nas rozmawiać o uczuciach.

Tessa odczuła czystą, prawdziwą ulgę.

- Ale teraz już rozmawiacie?
- Najwyższy czas, nie uważasz? Byłaś zdumiona, że tak długo jesteśmy małżeństwem i nie komunikujemy się, a teraz pewnie się zastanawiasz, jak wiele radości straciliśmy tylko dlatego, że żadne z nas nie umiało powiedzieć, co czuje.
- Przeszła mi taka refleksja przez głowę.
- Powinna była. Podejrzewam, że skądś to znasz, Tesso.

Helen nie mogła uwierzyć własnym oczom. Spoglądała na zaproszenie dołączone do biuletynu kościelnego i miała wrażenie, że źle widzi przez swoje stare okulary. Biuletyn przysłano wczoraj, ale otworzyła go dopiero teraz. Ciekawa była, jaki temat kazania wybrał młody wielebny i czy warto jechać dzisiaj do kościoła. Lecz pomimo, że mrużyła oczy, widziała ciągle to samo.

Wystawa quiltów? Zrobili wystawę jej quiltów i nikt nie pofatygował się powiedzieć jej o tym?

Nancy i Tessa mieszkały pod jej dachem, oddychały tym samym co ona powietrzem, piły jej wodę, wyjadły jej najlepsze przetwory, nie mówiąc już o cieście truskawkowym i placku jagodowym, i nawet mimochodem o tym nie wspomniały?

Ale, oczywiście, nie wspomniały o tym, bo to ich robota! Czuła w tym rękę Nancy. Nancy, która nigdy, przez całe życie nie zostawiła jej w spokoju. Która zawsze chciała, żeby jej matka była kimś więcej, niż jest. Która teraz chce z niej na siłę zrobić artystkę, jakby nie mogła pogodzić się z tym, że jej matka jest zwykłą wiejską kobietą, która szyje, ponieważ jest za stara, żeby robić cokolwiek innego.

- Nancy!
- Pani Henry?

Helen zdjęła taką złość, że nie była pewna, czy rzeczywiście usłyszała swoje nazwisko. Głos odezwał się znowu i dopiero wtedy zobaczyła stojącą w drzwiach Cissy.

- Co tak stoisz! - ryknęła.
- Mogę sobie pójść - Cissy wślizgnęła się do środka.
- Najpierw powiedz, po coś przyszła!

Cissy uniosła płócienną torbę, którą dostała od Helen.

- Powiedziała pani, żebym przyszła wcześniej dziś rano. Pamięta pani? Zszyłam wszystkie bloki razem. Miała mi pani pokazać, co dalej.

- Nic dalej. Nie ucz się szycia quiltów. Wiesz, co ci zrobią, jak się nauczysz? - Pchnęła w jej stronę zaproszenie z kościoła. - Zobacz sobie.

Cissy zerknęła.

- Och - westchnęła.
- Wiedziałaś o tym?
- Mam złe przeczucie, proszę pani. Jak powiem, że wiedziałam, to mnie pani wyrzuci.

Helen jakby trochę ochłonęła na te słowa.

- Wiedziałam - ciągnęła Cissy. - I myślę, że to jest wspaniałe. I pani Nancy, i pani Tessa włożyły mnóstwo pracy w tę wystawę. Pani Whitlock spędzała w kościele każdą wolną chwilę. Dużo osób pomagało. Mama Zeke'a piecze dziesięć tuzinów swoich najlepszych kruchych ciastek na tę okazję, a ja robię cytrynowe batoniki. Panie organizują zbiórkę pieniędzy i przekażą to, co zbiorą, kobietom w Indiach, które utrzymują się z szycia quiltów...

Helen machnęła ręką, by ją uciszyć.

- Pani jest strasznie zła - powiedziała Cissy po chwili.
- One po prostu nie rozumieją.
- Kto?
- Moja córka! I moja wnuczka. Tessa też miała z tym coś wspólnego, prawda?
- Nie chcę nikogo narażać na kłopoty.
- One już mają kłopoty.
- Pani quilty są naprawdę wyjątkowe. Wszyscy to widzą oprócz pani. Dlatego chcą, żeby i pani to dostrzegła.

- Wszyscy po prostu będą się śmiać. - Helen podniosła wzrok i spostrzegła, że Cissy jest bardzo blada. - Usiądź, dziewczyno - powiedziała. - Jeszcze mi tu zemdlejesz.

- Już nie chce pani, żebym sobie poszła?

- Powiedziałałam, że pokażę ci, jak się robi quilty, i pokażę. A teraz siadaj!

- Tak, madame. - Cissy przysunęła sobie krzesło, wzięła pismo ilustrowane i zaczęła je przeglądać. - Tylko, jeśli mam zostać, muszę najpierw coś powiedzieć.

- Co musisz powiedzieć?

- Że nikt nie będzie się śmiać. Pani quilty są takie piękne, że aż serce mi się ściska.

Helen znów miała zacząć pomstować, ale dziewczyna rozbroiła ją. Nie wiedziała, co teraz powiedzieć. Ściska jej się serce?

Cissy z powagą pochyliła się.

- Myślę, że jeśli robi pani coś, co czyni świat pięknym, powinna pani pokazać to ludziom. To jest talent. Bóg dał pani talent. I teraz będzie pani mogła podzielić się tym talentem z innymi, sprawić radość ludziom.

- Radość?

Cissy zarumieniła się.

- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. To dar od Boga, nie wolno go ukrywać.

- Nie wolno?

- Tak, madame. Nie wolno.

- A jeśli ja nie chcę?

- To już nie zależy od pani. Quilty są w kościele.

- Są w kościele?!

- Tak, madame. Już je zabrały, bo wiedziały, że się pani sprzeciwi, jak się pani dowie.

Helen opadła na krzesło i wpatrywała się w Cissy.

- Wiedziały, że będę zła, a mimo to wzięły quilty?

- Zaprosiły mnóstwo ludzi i nie mogą ich rozczarować, nawet jeśli pani wpadnie w pasję.

- Nie wpadam w pasję!

- Ależ tak, madame.

- Wykradać moje quilty, jak złodziej po nocy?

- Tak. Nie, madame. Tylko je pożyczyły na czas trwania wystawy. Nie widzi pani różnicy? Ma ich pani tak dużo, że nawet pani nie zauważyła.

Helen na moment odebrało mowę. W końcu wybuchła gorzkim śmiechem.

- Sama nie wiem, czemu się martwię. I tak nikt nie przyjdzie.

- Myli się pani. Z tego, co słyszałam, przyjedzie mnóstwo ludzi, z całej doliny. Mówili o tym nawet w radio. Sama słyszałam, jak ogłaszali, że ma się odbyć pani wystawa.

- W radio?

- No. I w gazetach.

Helen wbiła wzrok w podłogę.

- Wszyscy, którzy dostali kiedyś quilt od pani, też będą - ciągnęła Cissy. - A przecież dużo jest takich osób, prawda? I ludzie z kościoła, których pani zna, ludzie z Fitch Crossing i...

Helen znów próbowała ją uciszyć machnięciem ręki, ale tym razem Cissy nie zamilkła.

- Mnóstwo ludzi przyjdzie na otwarcie. Niech im tylko pani pozwoli się cieszyć. Musi pani się zgodzić.

- Niczego nie muszę, dziewczyno. Absolutnie niczego. Nie będzie mnie na tym cholernym otwarciu. Będę siedziała tu, na tym krześle, z założonymi rękami. - Helen skrzyżowała ręce na piersi.

- W porządku, pani Henry. Może pani siedzieć.

- Myślisz, że tak nie zrobię? - Helen była zadowolona, że Cissy wydawała się brać jej stronę.

- Nie myślę. Wcale tak nie myślę. Po prostu jest pani wściekła. Ale niech pani zapyta samą siebie, dlaczego one tak postąpiły?

- Bo wiedziały, że odmówię.

- Dokładnie tak. Ale chcą coś dla pani zrobić, mimo pani złości i uporu. A to dlatego, że panią kochają.

Helen nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nancy i Tessa chyba naprawdę ją kochały. Dawniej nie zaprzętała sobie tym głowy, ale tego lata wszystko się zmieniło. Może dawniej Nancy i Tessa też nie zaprzętały sobie tym głowy?

- Po prostu będę tu siedzieć w swojej starej kiece - oznajmiła Helen. - Tak jak w tej chwili. I niech ludzie zastanawiają się, gdzie...

Cissy milczała.

Drzwi frontowe otworzyły się i weszły Nancy i Tessa. Helen spojrzała na uśmiechniętą twarz córki i na wnuczkę, która najwyraźniej zauważyła leżący na stoliku biuletyn kościelny.

Helen westchnęła.

- Dobrze, że wróciłyście. Najwyższa pora.

- Poszłyśmy dużo dalej, niż planowałyśmy - powiedziała Nancy.

- Witaj, Cissy. Jak się masz?

Cissy spojrzała niepewnie na Nancy i Tesse.

- Dziękuję - bąknęła. - To ja już chyba...

- Zostań! - burknęła Helen. - Zostaniesz, a ja pokażę ci parę sposobów, jak z tego wierzchu, co go zszyłaś, zrobić prawdziwy quilt.

Helen wstała i wskazała palcem na córkę.

- A ty, Nanny...

- Tak, mam?

- Zastanów się, gdzie mogę kupić nową suknię. I zamów mi wizytę u fryzjera, u tego samego, co cię ostatnio strzygł. - Uniosła podbródek. - To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Cissy!

- Tak, madame? - Cissy podniosła się z fotela.

- Idziemy na górę.

Gdy Helen wchodziła po schodach, na plecach czuła dwie pary wpatrzonych w nią oczu.

- Ale im pani pokazała - powiedziała Cissy teatralnym szeptem.

Helen uśmiechnęła się pierwszy raz tego poranka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Helen uścisnęła kolejną dłoń. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy wszystkich sześciu hrabstw doliny zjechali obejrzeć jej quilty. Widocznie ich życie musiało być strasznie nudne. Czy ludzie nie mają już lepszych rozrywek?

Rudowłosa kobieta, której Helen nigdy wcześniej nie spotkała, trzymała jej dłoń i bez przerwy nią potrząsała, nie przestając mówić o quilcie ze wzorem pod nazwą „Nieszczęścia Hioba”.

- Moja babcia miała taki na swoim łóżku aż do śmierci - opowiadała kobieta. - Jej był czerwono - zielony, sama go uszyła. Gdy odeszła, dostał go mój kuzyn, ale spróbuję go odzyskać. Pani quilty po prostu zapierają dech w piersi.

Helen niecierpliwie czekała, kiedy tej tokującej bez chwili przerwy kobiecie wreszcie zabraknie tchu.

Ale ona mówiła dalej:

- Te brązy są przepyszne, jak Pustynia Południowo - Zachodnia o zachodzie słońca. Od przejścia na emeryturę mieszkamy z mężem w Arizonie. Przyjechaliśmy tylko na Dzień Pracy. Ten quilt wyglądałby pięknie w naszym domu. Wygląda jakby powstał w Arizonie.

Helen prawie wyłączyła się. Po trzech godzinach rozmawiania z zupełnie obcymi ludźmi była wyczerpana. Jednak ostatnie zdanie kobiety dotarło do niej mimo zmęczenia.

- Nie oddam żadnego mojego quilta, chyba że powodzianom albo pogorzelncom.

Kobieta roześmiała się.

- Oczywiście, niech ich pani nie rozdaje - powiedziała. - Chociaż czytałam te wszystkie hołdy i podziękowania od ludzi, którzy dostali pani quilty w prezencie. Nie. Ja pytam, czy mogłabym kupić ten quilt. Obiecuję, że będę się nim opiekowała najlepiej, jak tylko można. A gdy odejdę, przejmie go moja córka. Podoba jej się tak samo, jak mnie.

Helen była zmęczona, ale chyba się nie przesłyszała? Ta kobieta chce kupić od niej quilt!

Nancy zauważyła, że matka jest wyczerpana i ruszyła z odsieczą.

- Mamciu, pora chyba na lunch i chwilę odpoczynku.

- Ta pani chce kupić „Nieszczęścia Hioba” - powiedziała Helen, wskazując głową emerytkę z Arizony, która nie puszczała jej dłoni.

- Chce kupić? - Nancy uśmiechnęła się. - Jestem córką pani Henry. - Wyciągnęła dłoń na przywitanie.

- Powiedzmy, osiemset dolarów? - spytała kobieta. Nancy nie odpowiedziała od razu. - Może dziewięćset? - poprawiła się tamta.

- Jasna cholera - powiedziała Helen. - Nawet nie wiem, dlaczego tak wyeksponowali ten quilt. Może z powodu biblijnego tematu. Ja...

- Niech mi pani da swoje nazwisko i adres - powiedziała Nancy, przerywając wyjaśnienia matki. - Zastanowimy się i damy znać, co mama zdecydowała. Powiedzmy... w przyszłym tygodniu?

Kobieta była bardzo przejęta.

- Proszę ustalić tylko cenę. Jeśli będzie mnie stać, kupię. Ot tak! - Pstryknęła pulchnymi palcami.

Po lawinie powitań i gratulacji Helen i Nancy na chwilę zostały same.

- To nawet nie jest jeden z moich najlepszych quiltów - powiedziała Helen. - Nie wart tych jej zachwyków.

Nancy zapisała sobie coś na wizytówce arizońskiej emerytki i schowała ją do kieszeni.

- To cudowny quilt - powiedziała. - Zamierzałaś go podarować, pamiętasz? Leżał na stosie quiltów do rozdania.

- Myślisz, że poszedłby drożej? Nancy roześmiała się.

- Myślę, że po wystawie powinniśmy porozmawiać o tym, co zamierzasz zrobić ze swoimi quiltami. Wtedy pomówimy o sprzedaniu tych, do których jesteś najmniej przywiązana.

- Chcę, żebyście... ty i Tessa... wzięły sobie te, które wam się podobają.

Nancy objęła matkę.

- Może nie zwróciłaś uwagi, ale „Wielka dalia” leży na moim łóżku od dnia, kiedy ją zobaczyłam.

- Myślisz, że nie wiem?

- Chodźmy na zewnątrz. Jest lemoniada i kanapki z kurczakiem. Panie z parafii za pieniądze z lunchu chcą kupić ramę do quiltów. Będą prowadzić w kościele warsztaty quiltingu. Powiedziałam im, że będziesz ich stałym gościem.

- Za dużo na siebie bierzesz.

- Uczę się od mistrzyni. Popatrz, czego się podjęłaś przed laty. Stworzyłaś zbiór najwspanialszych quiltów w Wirginii.

Helen wiedziała swoje. W każdym swoim quilcie widziała skazy i wady. W jednym była to nieco za pomarańczowa czerwień, w innym szwy aplikacji były zbyt widoczne. Dzioby orłów na quilcie poświęconym tragedii 11 września były za mało wyraźne i nie dość wygięte. A w quilcie, który Nancy nazwała „Niebieską Galaktyką”, gwiazdy powinny być obszyte różnokolorową nicią.

Mimo to Helen musiała przyznać, że jej quilty zdobyły kościół i dodawały mu blasku. Jeśli istniało życie w niebie po śmierci, czego zresztą wcale nie była pewna, być może jej matka i ciotki spoglądały dzisiaj z góry na to jej dzieło, dumnie kiwając głowami.

Nancy poprowadziła matkę ku drzwiom.

- Billy na nas czeka na dworze. Tessa całe rano wręczała programy i bawiła ludzi rozmową, ale może na chwilę przyłączy się do nas.

- Nie widziałam Macka. - Mimo całego zamieszania Helen zwróciła uwagę, że mąż Tessy jeszcze się nie pojawił. Bała się, że może to być zły znak.

- Och, na pewno już jedzie - powiedziała Nancy. - Dzwonił rano, że się spóźni. Zatrzymała go jakaś ważna sprawa. Jakiś polityk trafił czy ma trafić do więzienia. Ale Mack powinien zdążyć na lunch.

- Ten chłopak ma interesujące życie.

- Pytanie, czy będzie je nadal dzielił z Tessą, kiedy za kilka tygodni wrócimy do domu.

- Tygodni? Zostajecie kilka tygodni? Myślałam, że będę miała wreszcie swój dom dla siebie.

- Wkrótce będziesz miała.

Zanim doszły do drzwi, zatrzymała je kolejna grupka entuzjastów. Helen usłyszała tego jednego dnia więcej komplementów niż przez całe życie.

Wreszcie wyszły i przyłączyły się do czekającego już koło wolnych krzeseł Billy'ego. Helen nie była pewna, co zaszło między córką a jej mężem, ale nie pytała, żeby nie zapeszyć. Widziała, że uśmiechają się do siebie, wymieniają czułości, patrzą na siebie jak zakochane małolaty.

- Przyniosę lunch. Wolisz ciastka czekoladowe czy kawałek tortu orzechowego? - spytała Nancy.

- Jedno i drugie, i nie brońcie mi.

- Ja przyniosę ciastka - powiedział Billy. - Wy trochę odpocznijcie. Zasłużyliście na to.

- Widziałaś Tessę? - Helen spytała Nancy.

- Rozmawiała z kimś, dałam jej znak, że tu będziemy. Pewnie zaraz przyjdzie.

Helen zzuła nowe czerwone pantofle. Były sztywne, chociaż przez cały tydzień próbowała je rozchodzić. Pomyślała, że zanim staną się naprawdę wygodne, ona dawno będzie na tamtym świecie. Ale nie mogła się nimi nacieszyć, takie były ładne. Miały swój blask, jak żadna z rzeczy, jakie sobie przez ostatnie lata kupowała. I pasowały do nowej sukni: granatowej, z bołerką wyszywaną w kwiaty, na którą namówiła ją Nancy. Helen czuła się w nowym stroju młodo i swobodnie.

Nie kosztowało to wszystko szczególnie dużo. Pomyślała, że może kupi sobie jeszcze coś nowego. I mogłaby od czasu do czasu strzyc się u fryzjera. Wyglądała teraz lepiej. O wiele lepiej.

- Czy widziałaś quilty, które wiszą w salach na dole? - spytała Nancy.

- Ledwo zdążyłam zerknąć do kaplicy. Ciągłe mnie otaczają jacyś ludzie.

- Wiem - powiedziała Nancy z udanym współczuciem. - Biorą cię za jakąś znakomitość z pierwszych stron gazet.

- Powiesiłaś na dole moje quilty dziecięce?

- Powinnaś sama zobaczyć. Helen postarała się to zapamiętać.

Billy wrócił z tekturowymi talerzykami, na których miał kurze udka i sałatkę ziemniaczaną. Tessa szła za nim, niosąc napoje.

- A gdzie moje ciastka? - upomniała się Helen.

- Pójdę jeszcze raz - obiecał Billy. - Chcesz zacząć i skończyć na deserach?

- Mądrała. Zupełnie jak pewien studencik, którego kiedyś znałam.

- Mam nadzieję, że nie - uśmiechnął się ciepło. Tessa podała babci szklanekę z lemoniadą.

- Babciu, pewna pani chciałaby cię poznać. Powiedziałam jej, że trochę odpoczniesz i po lunchu z nią porozmawiasz.

- Jeśli chce kupić „Nieszczęścia Hioba”, to się spóźniła.

- Nie. Ta kobieta upatrzyła sobie „Shenandoah Album”.

Dłoń Helen ze szklanką lemoniady znieruchomiła w połowie drogi do ust.

- Wykluczone - oznajmiła. - Ten quilt należy do twojej matki. Chyba że Nancy go nie chce?

Nancy przestała jeść.

- To najpiękniejszy quilt na świecie - powiedziała. - Oczywiście, że go chcę, jeśli jesteś gotowa dać mi go.

- To dobrze - powiedziała Tessa, zanim Helen zdążyła odpowiedzieć. - Powiedziałam jej, że raczej go nie sprzedasz. Ale to jej nie zniechęciło. Ona go chce kupić albo wziąć w depozyt.

- W depozyt?

- To kuratorka z Virginia Quilt Museum. Powiedziała, że jeśli go nie wypożyczysz, to powinnaś koniecznie ubezpieczyć, bo wart jest więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Tessa stała w drzwiach sali i przyglądała się, jak kuratorka z Virginia Quilt Museum z Harrisburga dyskutuje z babką o każdym quilcie po kolei. Helen ciągle wyglądała na zszokowaną. Po dzisiejszym dniu nigdy nie będzie mogła myśleć o sobie, jak o zwykłej wiejskiej kobiecie robiącej quilty. Kuratorska używała mądrych terminów: świetlistość, rezonans emocjonalny, centrum kompozycji, a Helen potakiwała tylko w milczeniu.

- Pełen sukces, co?

Tessa odwróciła się i zobaczyła obok siebie męża. Jej serce zabiło szybciej. Pragnęła, żeby Mack tu był i brał udział w święcie babki. Po prostu pragnęła jego obecności. Cały czas, od ostatniego rozstania.

- Tak, to jest sukces - zgodziła się. Przyglądała mu się uważnie. Zastanawiała się, co by było, gdyby nigdy więcej nie miała go zobaczyć, nie doznawać tego radosnego podniecenia, nie dzielić z nim każdej chwili, nie widzieć zmian, jakie w nim zachodziły.

- Oprowadzisz mnie?

Pomyślała, że niczego bardziej nie pragnie. Ale obiecała matce, że dopilnuje, żeby nikt nie przeszkadzał Helen w rozmowie z kuratorką muzeum.

- Muszę kilka minut postać przy drzwiach - wyjaśniła. - Może zejdziesz tymczasem do sal na dole? Tam też są wyeksponowane quilty. Dołączę do ciebie, jak tylko będę mogła, a potem obejrzymy razem ekspozycję na górze.

- Dobrze wyglądasz.

- Nie pracuję. Chyba już o tym wiesz.

- Tak, ale tylko dlatego wiem, że rozmawiałem z dyrektorką twojej szkoły. Zadzwoiła w sprawie drobnych formalności dotyczących twojego ubezpieczenia.

Tessie było teraz głupio, że nie omówiła z Mackiem swojej decyzji.

- To tylko urlop bezpłatny. Kilka miesięcy odpoczynku. Bałam się powiedzieć ci o tym.

- Dlaczego? Bo jestem takim tyranem? Bo mógłbym nie chcieć zarabiać na nas dwoje?

Spojrzała w bok, jakby sprawdzała, co robi babka.

- Nie - odparła. - Ponieważ byłoby to przyznaniem się, że ciągle jeszcze nie radzę sobie z moimi sprawami.

- Radzenie sobie ze sobą to nie są zawody sportowe. Człowiek po prostu próbuje powoli posuwać się do przodu. My obydwójce bardzo staramy się posuwać do przodu. Jesteśmy tu. Rozmawiamy ze sobą. To już coś.

Zrozumiał ją, zawsze rozumiał. Tessa poczuła, jak napięcie znika, opuszcza jej ciało.

- Muszę odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Myślę, że już zacznę powoli odzyskiwać.

- Wiem.

Nie musiała dodawać, że jeszcze niedawno niemal tonęła i mogła w ogóle nie dopłynąć do brzegu.

Ale Mack wiedział o tym. Nikt nie znał faktów lepiej od niego.

- Pędź na dół - powiedziała. - Jak tylko babcia skończy tę swoją fachową rozmowę z kuratorką muzeum, dołączę do ciebie.

Ledwie znikł, zaczęła za nim tęsknić. Mimo że niby przywykła do jego nieobecności, wystarczyło jedno spojrzenie i już za nim tęskniła.

Powinna o tym pamiętać, brać to pod uwagę, zanim jeszcze raz go odepchnie. Wiele rzeczy trzeba było brać pod uwagę, ale ta była najważniejsza.

Quilty dziecięce były jasne i tajemnicze. Umieszczono je na poręczach łóżeczek w sali przykościelnego żłobka i na oparciach bujanych foteli. Niektóre wisiały na ścianie. Mack był szczególnie zachwycony cytrynowo - zieloną żabą siedzącą na liściu lilii wodnej i czekającą na jakiś smaczny kąsek na kolację. Boki kompozycji

zdobiły motyle, ważki i biedronki. Gdyby miał jeszcze jedno dziecko, bardzo by chciał mieć ten quilt. I zamierzał powiedzieć to Helen.

Usłyszał za sobą hałas. Pomyślał, że to Tessa, ale w drzwiach stała Nancy.

- Dowiedziałam się, że tu jesteś - powiedziała. Podeszła, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Czy to nie cudowne?

- Kayley miała quilt od Helen, z kociakami. Bardzo go lubiła. Kochała po prostu. Zanim przeniosła się z kołyski do łóżeczka, był już chyba nie do użytku.

- Nie wiem, czy da się żyć z mamą po dzisiejszej wystawie.

- Zrobiłaś wspaniałą rzecz.

- Cieszę się, że to doceniasz - uśmiechnęła się.

- Nigdy cię nie doceniałem, prawda? Nie byłem wobec ciebie całkiem fair...

- Raczej byłeś fair - odpowiedziała po chwili zastanowienia. - Widziałeś mnie taką, jaką chciałam się pokazywać ludziom. Ale wierzę, że naprawdę jestem trochę inna.

Mack uściskał ją serdecznie.

- To co, Nancy? Rozejm?

- Bądźmy przyjaciółmi i zakończmy ten temat. - Odwzajemniła uścisk i ruszyła w stronę wyjścia.

- Och, Mack, byłeś w sąsiedniej sali? - zapytała.

- Zaraz tam pójde.

- Tam wisi ważny quilt.

Jeszcze jakiś czas podziwiał dziecięce quilty, czekając na Tessę. Wreszcie wyszedł ze żłobka i przeszedł do sali przedszkolnej, mieszczącej się tuż obok.

Usiadł tam i patrzył na jedyny quilt, zawieszony na ścianie. Tak znalazła go Tessa.

- Hej. Przepraszam, że to trwało tak długo - powiedziała. - Dopiero przed chwilą skończyły rozmowę, a ja musiałam pilnować, żeby im nikt nie przeszkadzał. Babcia wygląda na bardzo zmęczoną, ale jest bardzo szczęśliwa.

- Widziałaś ten quilt? ~ Wskazał na ścianę. Dopiero wtedy Tessa spojrzała. Długo patrzyła na

quilt. Gdy odwróciła się z powrotem do Macka, jej oczy lśniły od łez.

- Nie - powiedziała łagodnie. - Nie znałam tej pracy.

Quilt przedstawiał małą dziewczynkę w kapturku. Dziewczynka robiła te same rzeczy, co jej córka. Pod pracą widniał napis: Quilt Kayley, zaprojektowany przez Helen Henry, zszyty przez Nancy Whitlock.

- Mama go zszyła - powiedziała wzruszona Tessa. - A babcia zaprojektowała bloki. Zastanawiam się, jak długo...

- Spytamy o to twoją mamę. Specjalnie chciała, żebyśmy to obejrżeli. Upewniała się, czy tutaj wejść.

- Kayley spodobałby się ten quilt. Dużo by dla niej znaczył... - Po chwili dodała: - Nawet Biskwit wygląda jak żywy.

- Słyszałem, że Biskwit wrócił.

- Wszystko słyszysz od innych, a nie ode mnie.

- Wolałbym bezpośrednio.

- Tak, Mack. Zatrzymam Biskwita. Nie mogłabym go oddać. Jest taki szczęśliwy, że wrócił do mnie. Cieszę się, że przysłałeś do mnie Bonnie.

Dwa razy użyła liczby pojedynczej i Mack posmutniał.

- Biskwit będzie jeszcze szczęśliwszy z nami obojgiem - poprawiła się.

- Wracasz do domu? - Wziął ją za rękę.

- Nie wiem. Jeszcze nie.

- Chcę, żebyś wróciła. - Lekko ścisnął jej dłonie i puścił.

- A może nie.

Wiedział, że teraz nie była właściwa pora na taką rozmowę. Zmienił temat, jak to robił wiele razy przez wiele lat.

- Jeśli babcia i mama się zgodzą, ofiarowałabyś ten quilt bibliotece, do nowego skrzydła?

- Doskonale. - Przełknęła ślinę.

Patrzył, jak walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać. Przygarnął ją do siebie i objął. Wtedy się rozplakała i przytulił ją mocniej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Na wystawę Helen przyszło prawie dwieście osób. Gdy nadjechała ekipa porządkująca, Nancy wreszcie poprosiła Tessę, aby zawiozła wyczerpaną Helen do domu. Reszta rodziny została, żeby pomagać. Mack otrzymał zadanie pilnowania demontażu zewnętrznej ekspozycji i pakowania quiltów wystawionych na dworze i w podziemiach. Pozostałe dzieła miały wisieć jeszcze do następnego wieczoru.

Nancy podziękowała wszystkim ochotnikom i dała każdemu mały woreczek potpourri zawinięty w blok quiltu ze stosiku odrzuconych przez Helen. Nawet te odrzucone bloki stanowiły bardzo atrakcyjne podarki.

Właśnie kończyła ustawiać na ołtarzu dwa wielkie bukiety polnych kwiatów, gdy nadszedł Billy.

- Te kwiaty wytrzymają z powodzeniem do jutrzejszego nabożeństwa - powiedziała. - To podziękowanie dla kościoła. Chciałam się upewnić, że dobrze wyglądają. Nie miałam rano czasu ładnie ich ułożyć.

Billy otoczył ją ramieniem i lekko do siebie przyciągnął.

- Mam coś dla ciebie - powiedział.

Oparła się o niego, rozkoszując się tym prostym gestem bliskości.

- Co to takiego?

Nadal ją obejmował, a drugą dłoń zanurzył w kieszeni. Wreszcie wyjął coś i pokazał jej. Małe, ślicznie zapakowane pudełeczko.

- Billy, ono jest zbyt ładne, by je otwierać - westchnęła.

- Specjalnie dla ciebie zapakuję je jeszcze raz. Teraz otwórz.

W przeszłości dawał jej prezenty świąteczne. Były drogie, ale chłodne, bezduszne. Podarki kupowane spontanicznie były równą rzadkością, jak czułe słowa.

Wiedziała, że w pudełeczku jest klejnot. Wskazywał na to rozmiar paczuszki. Może bransoletka? Powoli rozpakowywała, smakując ten moment. Starannie złożyła papier, schowała do kieszeni, otworzyła wąskie pudełko i odkryła wewnątrz dwa mniejsze pudełeczka.

Otworzyła pierwsze z nich. Była tam obrączka w znanym japońskim stylu mokume gane. Nancy dość wiedziała o biżuterii, by od razu docenić misterną ręczną robotę, cyzelowane złoto w kilku odcieniach.

- Jest piękna - powiedziała. Robota była rzeczywiście cudowna, a obrączka prosta, lecz niepowtarzalna.

- To moja - powiedział Billy. - Zjrzyj do drugiego pudełeczka.

- Twoja? - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Nigdy nie miałem obrączki. A przecież też jestem żonaty.

Tydzień po ślubie Billy wsunął jej na palec wąską złotą obrączkę. Po latach zamienił ją na pretensjonalną, wysadzaną brylantami; tej nigdy nie lubiła. On sam nigdy nie miał obrączki.

Sięgnął i otworzył drugie pudełeczko. Była tam druga obrączka - węższa, wysadzana małymi brylantami głęboko zatopionymi w metalu, niby skrzące się gwiazdy.

Nigdy czegoś takiego nie widziała. Wzięła od niego pudełeczko i natychmiast zakochała się w tej obrączce.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekła.

- Wyjdź za mnie jeszcze raz. Tu i teraz. Bez duchownego, bez świadków i gości. Nasze śluby nie powinny nikogo obchodzić. Po prostu wsuń mi mój pierścionek na palec, a ja zrobię to samo z twoim.

- Poślubię cię znów, gdziekolwiek zechcesz, Billy. Nawet w błotach tropikalnej dżungli.

Uśmiechnął się i sięgnął po pierścionek, gdy ona tymczasem zdejmowała z palca starą obrączkę.

- O tropikalnych dżunglach pomówimy za chwilę - powiedział.

Tessa usłyszała trzask drzwiczek samochodu, a potem dźwięk klaksonu. Po chwili do domu weszła matka, ale bez ojca.

- Gdzie jest tata?

- Jesteśmy zbyt zmęczeni, by szykować kolację, więc zamówiłam jedzenie. Tata pojechał po nie do miasta. Szykuje się kolejne świętowanie. Gdzie mama? Drzemie?

Helen wyszła z kuchni i ruszyła prosto do swojego ulubionego fotela.

- Z tych emocji chyba przez tydzień nie będę mogła zasnąć. Ledwie pamiętam, jak się nazywam.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedziała Tessa do matki. - Usiądźcie obie wygodnie, a ja przyniosę herbatę.

Nancy opadła na sofę. Tessa już z kuchni usłyszała łoskot pantofli spadających na podłogę. Uśmiechnęła się. Przecież babcia, gdy wróciła, dokładnie tak samo pozbyła się butów. Te dwie kobiety były do siebie bardziej podobne, niż chciały przyznać.

Gdy wróciła z herbatą, Nancy siedziała z podwiniętymi pod siebie stopami. Wyglądała na zmęczoną, ale bardzo szczęśliwą. Tessa chyba nigdy nie widziała jej takiej radosnej.

Podawała matce i babce herbatę. Nowy klimatyzator działał bez zarzutu. Helen osobiście - oczywiście zręcząc - włączyła go zaraz po powrocie z dobrze chłodzonego kościoła.

- Co myślisz, mamó? Udał się dzień? - spytała Nancy.

Tessa spojrzała zdziwiona na matkę, ale odpowiedź babki również ją zaskoczyła.

- Z tymi ludźmi jest coś nie w porządku, że wybierają taki sposób spędzenia Dnia Pracy - powiedziała babcia. - Ale jeśli dzięki mnie przyjemnie spędzili czas, niech im będzie.

- To był wielki sukces. - Nancy uśmiechnęła się promiennie. - Cieszę się, że jesteś zadowolona.

- Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego to muzeum chce moje quilty. Zapraszali, żebym ich odwiedziła. Ale jak tam pojedę?

- Przyjadę i zawiozę cię. Sama chciałabym to zobaczyć.

- Więc niedługo wyjeżdżasz?

- Nie od razu - odparła Nancy. - Ale niedługo. Chcemy z Billym dokonać w naszym życiu wielkich zmian.

Z uśmiechu matki Tessa wywnioskowała, że nie będą to niedobre zmiany.

- Jakich? - spytała.

Nancy postawiła szklankę z herbatą na brzegu stołu.

- Sprzedajemy dom - powiedziała.

Przez chwilę Tessa nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

- O nie! To sprawa akcji, tak? Tata jest w kłopotach? Chodzi o pieniądze?

- Tata jest dobry w tym, co robi jak nikt inny na świecie. To nie sprawa giełdy. Po prostu mamy dość obowiązków związanych z utrzymaniem domu. Jest nas tylko dwoje i któregoś dnia możemy się pogubić w tym labiryncie pokoi. Chcę czegoś mniejszego i łatwiejszego do utrzymania. Może w północnej dzielnicy, tak, żebyśmy mogli omijać największe korki, jadąc do ciebie, mamó. - Ostatnie słowa Nancy skierowała do Helen.

Tessa próbowała wyobrazić sobie życie rodziców bez domu, który był dumą i radością Nancy.

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie mieszkającej gdzie indziej - powiedziała.

- Martwi cię to, kochanie? - Uśmiech Nancy osłabł. - Liczyłaś na to, że kiedyś odziedziczysz rezydencję Whitlocków i w niej zamieszkaż?

- O Boże! Nie! - Tessa przeraziła się na samą myśl o tym. - Chciałam powiedzieć, że ładnie go urządziłaś. To piękny dom, choć przypomina trochę muzeum.

Nancy poczuła ulgę.

- Komuś może się spodoba. Komuś z jeszcze większymi pretensjami niż moje. Chciałabym mieć coś mniejszego, po prostu, żeby zmieściły się nasze ulubione meble i obrazy. Dom, który Sara mogłaby sama posprzątać. Ostatnio odgrażała się, że chce przejść na emeryturę.

- A tata nie ma nic przeciwko temu? To jego rodzinny dom, urządziłaś w nim zawsze jego biznesowe przyjęcia.

- Czuje się szczęśliwy, że się go pozbędzie. Poza tym jest jeszcze coś. Tata idzie na wcześniejszą emeryturę. Przekazuje stery wspólnikom.

Sprzedaż domu. Emerytura. Tessa poczuła, że znów wkracza na ruchome piaski.

- Co on, na miłość boską, zamierza robić?

- Dobrze, powiem ci. Wreszcie zaczniesz robić to, co najbardziej lubisz. Podróże. Piesze wyprawy. Kajaki. Do tej listy dodaj jeszcze ptaki. Jedziemy w podróż do Kostaryki na bardzo spóźniony miesiąc miodowy. Mamy zamiar włączyć się na dwa tygodnie do akcji ochrony żółwi morskich. Potem przez miesiąc chcemy odkrywać samych siebie, siebie nawzajem. Czy nie za długo będziemy poza domem, mamo?

- Wcale nie chcę, żebyś się tu bez przerwy kręciła, Nanny; Nigdy o to nie pytaj. Jak coś się wydarzy, Tessa sobie poradzi.

- Twój tata chce ze mnie zrobić obserwatorkę ptaków, Tesso. - Nancy kończyła swoje wyjaśnienia. - W następną podróż zabiorę go do Paryża. Dwa tygodnie spędzimy w Luwrze. Mamę też zapraszamy, jeśli pozwoli się stąd wyciągnąć. Jak już jestem przy głosie, jeszcze coś wam powiem. Tata przechodzi na emeryturę, ale ja idę do pracy. Zaproponowano mi pracę na pół etatu w galerii w Craytown, o której wam już kiedyś mówiłam. Będę się zajmowała między innymi

organizowaniem comiesięcznych wystaw. We środę dostanę oficjalną ofertę. Trochę czekałam z podjęciem tej decyzji, bo chciałam się najpierw poradzić z tatą. Ponieważ to praca tylko na pół etatu, będę mogła brać wolne dni, kiedy będę chciała.

- Tata był tym pewnie przerażony - zauważyła Tessa.

- Przeciwnie. Był bardzo zadowolony. Chce, żebym partycypowała w kosztach utrzymania nas dwojga. - Nancy roześmiała się, wyraźnie z siebie zadowolona.

- To duże zmiany - powiedziała Helen. - Całe mnóstwo zmian naraz.

- Mamo. Chcemy kupić dom z gościnnym aneksem dla ciebie. - Uniosła rękę, żeby powstrzymać protesty matki. - Tylko na czas twoich wizyt. Wiem, że nie chcesz ze mną mieszkać, ale pragnę, żebyś przyjeżdżała i zostawała, kiedy zechcesz. Możemy to w każdej chwili zorganizować.

- Ale żadnych luksusów? - Helen zacisnęła lekko wargi.

- Coś zwykłego i prostego, z pokojem, w którym zmieści się rama do robienia quiltów. Odłączę nawet klimatyzację...

- Ani mi się waż.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała Nancy. - Jak dobrze czuć się szczęśliwą.

- Wiem, o czym mówisz - mruknęła Helen. - Ale nie będę się nad tym rozwodzić.

Mack zastanawiał się, czy oprócz niego ktoś jeszcze przy stole zdaje sobie sprawę, jakie niezwykle jest to ich dzisiejsze spotkanie. Można by je tylko porównać ze świątecznymi wizytami u jego matki, kiedy wybierał się do niej z Tessą, jej rodzicami i czasem z babcią Tessy. Lecz nawet wtedy nie było takiego odprężenia i radości.

Tessa wzięła go na bok i opowiedziała o wszystkich zmianach planowanych przez rodziców. Szczerze podziwiał ich nowe, śliczne obrączki ślubne. Jedzenie było wyborne, a po kolacji rodzina zasiadła razem na ganku. Biskwit, bardzo podekscytowany obecnością Macka, ułożył się na werandzie u jego stóp. Wiał lekki wiatr, w powietrzu czuło się już jesień i wszyscy powoli umilkli, podziwiając rozgwieżdżone niebo. Gdy Helen w końcu ogłosiła porę snu, Nancy i Billy, zmęczeni po pełnym przeżyć dniu, poszli z nią na górę. Mack dostrzegał również zmęczenie w oczach Tessy. Sam też był znużony.

Zamierzał zostać na noc, ale musiał wcześniej rano wyjechać, bo czekał już na niego klient, któremu groziła eksmisja.

- To był niezwykle dzień - powiedział.

- Pod każdym względem. - Tessa odwróciła się, by go lepiej widzieć.

- Kto by pomyślał, że lato tak się skończy? W każdym razie nie ja. - Nie chciał zepsuć nastroju, ale wiedział, że jeżeli teraz nie powie Tessie prawdy, będzie tego żałował. - Nie chcę psuć tego pięknego wieczoru, ale muszę ci coś powiedzieć.

Chwilę milczała, jakby rozważała, czy nie powinna się sprzeciwić.

- Chodzi o Roberta, tak? - spytała.

- Barry, ten detektyw, zaleca śledzenie tylko dwa razy w tygodniu. Częściowo dlatego, że uważa to za wystarczające. Ale także dlatego, że na miesiąc wyjeżdża i jego ludzie będą mieli więcej pracy. Poza tym przez ostatnie trzy tygodnie nie zauważył niczego, co mogłoby posłać Owensa z powrotem do więzienia.

- Dwa razy w tygodniu?

Biskwit odczuł zmianę w głosie Tessy, usiadł i patrzył uważnie na państwa. Mack poklepał go po głowie i pies znowu się położył.

- Sugerował raz w tygodniu, ale wiedziałem, że się nie zgodzisz.

- Zmusił się do mówienia spokojnym, cichym głosem.

- Może za mało mu płacimy.

- Nie chodzi o pieniądze. On mówi, że jeśli Owens zejdzie na złą drogę, odkryją to, nawet jeśli śledzą go wyrywkowo. Zacznie na dobre pić i przestanie uważać. Wtedy będzie łatwiej go na czymś złapać. Albo nie będzie pił, będzie spełniał wszystkie warunki i nie będzie potrzeby go śledzić.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała cicho, ale z oczywistą złością.

- Tu nie chodzi o posłanie go do więzienia. Chcę go nakryć, zanim znowu kogoś skrzywdzi. Wystarczy jeden wieczór i znowu może kogoś zabić.

- Zamierzasz go śledzić do końca życia? W którym momencie przyznasz, że stara się nie pić i żyć zgodnie z wymogami sądu?

- Nigdy. A na pewno nie w tej chwili. - Walczyła, by zachować spokój, ale zbladła, na jej twarzy malowało się napięcie. - Chcesz mnie odwieść od śledzenia go? Przekonać, żeby to robił ktoś inny, a potem ograniczać nadzór?

Czego się spodziewał? Teraz już niczego nie był pewny. Ale próbował być z nią uczciwy.

- Sądzę - zaczął - że albo wkrótce przyłapiemy Owensa, albo odechce ci się go pilnować. W każdym razie nigdy nie zamierzałem odwieść cię od czegokolwiek. Po prostu chciałem, żebyś zobaczyła światło nadziei.

- Widziałam światło, błyskające czerwone światło karetki, która zabierała ciało mojej córki!

Zapadła długa cisza.

- Chcesz, żebym wynajął kogoś innego, zanim ekipa Barry'ego będzie mogła wznowić codzienną obserwację? A może zgodzisz się na trzy wieczory w tygodniu?

Oczekiwał, że jeszcze raz go odrzuci. Ale po namyśle założyła ręce, jakby próbowała się uspokoić.

- Które wieczory proponujesz? - spytała.

- Barry sugerował piątki i soboty, bo wtedy jest najwięcej okazji do wypicia. Ja proponuję dodatkowo czwartki.

Znowu milczała. Już myślał, że się nie zgodzi, gdy krótko potaknęła głową.

- Dasz mi znać, jeśli w czwartki nie będą mogli?

- Wycofujesz się?

- Nie. Po prostu chcę wiedzieć, co się dzieje. Nadal była zła, ale pomyślał, że stara się być

rozsądna. Uznał to za dobry znak - jeśli zachowuje rozsądek w sprawie Owensa, może w końcu przestanie żyć przeszłością. Nigdy nie myślał o końcu lata jako ostatecznym terminie nadejścia chwili prawdy, ale czuł, że ten moment się zbliża, tak jak czuł chłodny wiatr zapowiadający nadejście jesieni.

Nie mogli żyć dłużej tak jak dotąd, ale nie wiedział, czy Tessa chce lub potrafi żyć inaczej.

Wstała.

- Idziesz na górę? - spytała.

- A chcesz?

- Wolę, niż gdybyś miał teraz po nocy jechać do domu.

Zgrabnie zamieniła pytanie o ich związek w jeszcze jedną uwagę o pijanych kierowcach. Nie dał się zbyć.

- Czy zawsze już, Tesso, wszystko, co powiesz, będzie odnosić się do Owensa? Może w końcu nastąpi taka chwila, że ważniejsze będzie dla ciebie, kim jesteśmy i co czujemy?

Tessa pokręciła głową.

- Gdybym potrafiła przewidywać przyszłość, nigdy nie pozwoliłabym Kayley tamtego ranka wyjść samej z domu.

- Ale do tej pory powinnaś już była zrozumieć, że są rzeczy, na które nie mamy wpływu. I są takie, na które mamy wpływ.

- Przede wszystkim dlatego zaczęłam obserwować dom Owensa.

Zamilkł, zmęczony tą utarczką słowną.

- Muszę wyjechać wcześniej rano. Nie chciałbym cię obudzić. Prześpię się na kozetce.

- Śpij ze mną - wyciągnęła rękę.

Przyjął jej dłoń i pozwolił się poprowadzić po schodach. Ale w podwójnym łóżku, na którym kochali się po party u Claiborne'ów, tej nocy spali odwrócenieni do siebie plecami. O świcie wstał i odjechał, nie budząc jej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Od strony domu Owensa dobiegł trzask drzwiczek samochodu. Tessa aż podskoczyła. Długo zastanawiała się, czy dziś wieczorem tu przyjechać. Poprzedniej nocy, leżąc obok Macka, kręciła się i przewracała z boku na bok, zadając sobie pytanie, czy powinna przystać na sposób śledzenia Roberta zaproponowany przez detektywa. Powinna zająć się sobą, swoim małżeństwem. Życie było zbyt cenne, żeby marnować je na zemstę.

Mimo to była tu znowu. Rano, zamiast jak zwykle ruszyć na przebieżkę, zabrała Biskwita na długą wędrowkę po wzgórzach. Po południu przyniosła z piwnicy ręczną maszynkę i pomogła ojcu ukreślić galon lodów z ostatnich tego sezonu brzoskwiń od Claiborne'ów.

Dzień Pracy, dzień zabaw i pikników, najlepszy wieczór na picie piwa i alkoholowe imprezy bez obaw, że nazajutrz trzeba będzie wstawać do pracy na kacu.

W tę niedzielę Tessa była równie daleka od podjęcia decyzji o powrocie do domu, co na początku lata. Stała się więźniem swojego pragnienia osadzenia Owensa na powrót za kratkami.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał parę minut po dziewiątej, ale była pewna, że jest później. Czowała się wyczerpana. Ostatniej nocy bardzo niewiele spała, a długa jazda do Manassas odebrała jej resztkę energii. Na ulicy Owensa panował spory ruch. Ludzie kończyli albo zaczynali wizyty u krewnych, znajomych, przyjeżdżali i odjeżdżali z miejsc parkingowych. Oczekiwała, że zaraz ktoś zapuka w szybę samochodu i zapyta, czemu ona tu siedzi. Ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

W domu Owensa panowała cisza. W oknach, zapewne bawialni, paliło się światło. Na podjeździe stał samochód. Była pewna, że za kotarami w oknie ktoś się porusza. Zastanawiała się, czy przejechała taki kawał drogi tylko po to, by mieć na oku matkę Roberta. Oczywiście nie było gwarancji, że on jest w domu. Mógł przecież spędzać ten dzień z przyjaciółmi. Jeśli tak, to czy zdoła się powstrzymać przed pokusą wypicia alkoholu?

Powieki same jej opadały, w samochodzie zrobiło się duszno. Gdy będzie za gorąco, włączy silnik i uruchomi klimatyzację. Ale w tej chwili ciepło wprowadziło ją w senność.

Włączyła radio. Nadawano jakąś dyskusję o polityce. Oparła się wygodnie w fotelu, przysłuchując się rozmowie dwóch ekspertów, omawiających potrzebę obecności agentów specjalnych w samolotach odlatujących z lotniska Reagana. Zanim rozmówcy ustalili stanowisko, zapadła w sen.

Obudził ją warkot uruchamianego silnika samochodu. Przez moment nie wiedziała, gdzie jest i dlaczego. Zmusiła się do otwarcia oczu i spojrzenia przed siebie. Czuła się, jakby płynęła z głębi toni ku odległej powierzchni i jak gdyby pękały jej płuca. W aucie nie było czym oddychać. Z radia płynęły jęki saksofonu.

Zanim zdążyła zebrać myśli, ktoś zapukał w szybę tylnych drzwi.

- Tesso!

Rozpoznała głos Macka. Po omacku szukała guzika zwalniającego blokadę drzwi. Gdy nań natrafiła, kątem oka dostrzegła samochód ruszający z podjazdu Owensów. Za kierownicą siedział Robert.

Mack otworzył drzwi i wskoczył na siedzenie dla pasażera.

- Jedź za nim.

Tessa była już całkiem rozbudzona. Wcześniej włączyła silnik. Ruszyła z piskiem opon, zanim Mack zdążył zapiąć pas.

Próbowała zrozumieć, skąd wziął się tutaj jej mąż.

- Co...?

- Po prostu jedź - przerwał jej.

W pogoni za Robertem ścięła zakręt i zobaczyła jego samochód przed sobą. Jechał co najmniej pięćdziesiątką w strefie, gdzie dozwolona prędkość to trzydzieści mil na godzinę. Pędziła wąskimi uliczkami osiedla, próbując się za nim utrzymać cały czas w tej samej odległości.

- Wyjmij mój telefon komórkowy. Jest w torebce. Mam tam numer miejscowego policjanta. To ten pierwszy numer. On zna sytuację. Powiedz, gdzie jesteśmy i co się dzieje.

Skoncentrowała się na prowadzeniu. Słyszała, jak Mack szpera w jej torebce. Weszła w kolejny zakręt na szerszej drodze. Tymczasem Mack wyjaśniał przez telefon sytuację, dając policjantowi dokładne wskazówki.

- Mówi, żebyśmy nie tracili Owensa z pola widzenia, ale bez podejmowania ryzyka. Jest w wozie patrolowym niedaleko od nas i

podaje dane przez radio. Jeśli będzie trzeba, natychmiast przekażę mu poprawki.

- Co tu robiłeś?

- Obiecywałem ci codzienną obserwację.

- Ale powiedziałeś...

- Wiem, co powiedziałem. I wiem, co obiecałem. Nie ma znaczenia, czy uważam to za dobry pomysł. Chciałaś, żeby Owens był śledzony. Zdecydowałem więc, że dostaniesz to, czego chcesz.

W tym momencie poczuła, że w jej małżeństwie wszystko wraca na swoje miejsce. Miała rację co do Owensa, lecz równie dobrze mogła się mylić. Pomimo to Mack wyczuł jej pragnienie i wbrew własnym wątpliwościom próbował ją zadowolić.

Zobaczyła, jak mocno ją kocha i ile ta miłość znaczy. I zrozumiała, jak bliska była odrzucenia jego uczucia.

- Nie pomyliłaś się co do niego - powiedział. Nie czuła z tego powodu radości, co trochę ją dziwiło.

- Jadąc tak jak teraz, znowu kogoś zabije. Mack, który rzadko używał ostrych słów, w tej chwili klął na czym świat stoi.

Wzięła kolejny zakręt. Robert był daleko przed nimi. Co jakiś czas jego auto zbaczało z toru jazdy. Zastanawiała się, czy wie, że jest ścigany. Z pewnością był pijany. Musiał być pijany, prowadząc tak nierówno.

- Nie wiem, czy dam radę utrzymać się za nim - powiedziała.

Mack podawał policji przez telefon nowe namiary.

- Po prostu skup się na drodze. Będę ci mówił, gdy skręca. Ale nie jedź już szybciej. Policja go złapie. My tylko musimy się za nim utrzymać.

Gwałtownie skręciła, by nie wpaść na psa i jego pana, który wkraczał ze swoim czworonogiem z krawężnika na jezdnię. Walczyła z kierownicą, by wyprowadzić samochód na prostą. Omal nie uderzyła w przeciwny krawężnik. Za sobą słyszała ciężki oddech Macka. Dłonie i czoło miała mokre od potu. Oddychała szybko, serce waliło jej jak młotem.

- Tesso, zwolnij.

Chciała zwolnić, ale wiedziała, że to niemożliwe, że tego nie zrobi.

- Nie chcę mieć następnej śmierci na sumieniu

- powiedziała. - Jeśli Robertowi uda się uciec i przez to w przyszłości ktoś znowu zginie, to będzie moja wina.

- Zwolnij!

Zobaczyła, jak samochód Roberta gwałtownie skręca w czteropasmową arterię. Między nim a ich samochodem nikt nie jechał. Znow zaczęła przyśpieszać, gdy z tyłu zawyła policyjna syrena. Jeśli teraz się zatrzyma, Robert ucieknie. W panice mocniej wcisnęła pedał gazu, ale wóz policyjny był szybszy i jak się okazało, nie ścigał jej samochodu. Po prostu wyprzedził ją.

Lekko nacisnęła hamulec i wkrótce ich auto jechało z bezpieczną prędkością.

- Złapią go - powiedział Mack. Łapczywie chwytając ustami powietrze. Czowała, że się dusi.

Mack dotknął jej ramienia.

- Powiedziałas, że nie chcesz mieć następnej śmierci na sumieniu? Następnej?

Bez powodzenia próbowała uspokoić oddech. Przed sobą miała policyjny samochód, a dalej, dużo dalej, uciekającego Roberta.

- Była moim dzieckiem - wydała stłumiony okrzyk. - Powinnam była przewidzieć, co się stanie. Powinnam wiedzieć. Powinnam ochronić ją. Jestem jej to winna!

- Tesso... - W jej głosie słyszał łzy. Niemal płakała. Zastanawiał się, czy poczuje się teraz rozgrzeszona. Robert Owens dziś wieczorem może trafić do więzienia. Przez okres odsiadki wyroku nie będzie mógł nikogo zabić.

Ale ona nie odczuwała z tego powodu spodziewanej radości.

- Nie zatrzymuje się - powiedział Mack. - Nie zwraca uwagi na syrenę.

- Boi się.

Pijany czy nie, wiedziała, że chłopak musi być przerażony. Zasługiwał na to, ale mimo to rozumiała jego panikę, żądę ucieczki, strach przed przyszłością za kratami. Pomyślała, że może wolałaby się mylić. Wolałaby wierzyć, że się zmienił. Że w czasie spędzonym w więzieniu i na resocjalizacji dokonał w swoim życiu zwrotu. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że na jakimś poziomie świadomości w ciągu ostatnich tygodni życzyła sobie właśnie takiego pozytywnego obrotu rzeczy. Chociaż z drugiej strony życzyła mu jak najgorzej.

- Drugi wóz policyjny! - Mack pokazał na samochód patrolowy, który z rykiem syreny wyjeżdżał z bocznej ulicy.

Robert znowu skręcił. Dwa auta patrolowe zbliżały się do niego. Tessa nie chciała znowu wdawać się w pościg. Trzymała się daleko za nimi i powtarzała te same manewry. Chciała zobaczyć, jak to się skończy. Pragnęła ujrzeć Roberta prowadzonego przez policjantów i tak zakończyć ten tragiczny rozdział.

Wtedy ujrzała ładny budynek z czerwonej cegły, a nad nim napis: „Szpital księcia Williama”.

- Zwalnia - powiedział Mack.

Robert skręcał we wjazd do szpitala. Jak zdołała zauważyć, zatrzymał się, natychmiast wyskoczył z auta i biegiem je okrążył.

Pierwszy wóz patrolowy zrównał się z nim i zatrzymał obok z wyłączoną syreną. Policjant wysiadł. Tessie wydawało się, że Robert macha rękami.

- Poddaje się? - Nie była pewna.

- Nie wiem. Wjedź na parking. - Pokazał jej drogę. - Możemy to wszystko zobaczyć do końca.

Już skręcała. Wyszli z Mackiem równocześnie. Drżała i ledwo trzymała się na nogach. Mack podtrzymał ją.

- Mdli mnie - powiedziała. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Schyliła głowę, a on masował jej plecy.

Gdy się w końcu wyprostowała, Mack stał pochylony i palcami rozcierał sobie czoło.

- Już mi lepiej - oznajmiła.

- Wnieśli kogoś do środka - powiedział.

- Do środka?

- Na izbę przyjęć. Policjant wyciągnął kogoś z fotela pasażera.

Nie mogła w to uwierzyć.

- On kogoś wiozł do szpitala. Gdy dotarłem pod jego dom, zobaczyłem twoje auto. Pojechałem kawałek ulicą i potem poszedłem do ciebie. Właśnie wtedy zobaczyłem, jak Owens wyprowadza samochód. Nic więcej nie zauważyłem. Nikogo innego. A ty?

Na chwilę odebrało jej mowę.

- Jego matka - wykrztusiła w końcu.

- Nie wiem. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodźmy, musimy się dowiedzieć.

Nie mogła się poruszyć. Jeśli było tak, jak przypuszczał Mack, popełniła straszną omyłkę. To nie była żadna pijacka eskapada...

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała.

- Chodźmy się przekonać.

- Ale jeśli tak rzeczywiście jest, złożę doniesienie o...

- Nie zgaduj. Wejdziemy tam i przekonamy się. Mógł sobie mówić „my”, ale oboje wiedzieli, które z nich chciało śledzić Roberta i złapać go na gorącym uczynku.

Szła za nim od samochodu przez parking, weszli na izbę przyjęć. Przy recepcji stało dwóch policjantów w ciemnych spodniach i niebieskich koszulach. Młody człowiek, którego Tessa nigdy więcej nie chciała widzieć, siedział obok, z głową ukrytą w dłoniach.

Usłyszała, jak Mack bierze głęboki oddech, jak człowiek szykujący się do walki. Dotknęła dłonią szyi. Żałowała, że na parkingu powstrzymała odruch wymiotny. Kręciło jej się w głowie i cały czas zbierało się na mdłości...

Mack podszedł do policjanta.

- Jestem Andrew MacRae - przedstawił się. - To ja wzywałem policję.

Policjant, mocno zbudowany Afroamerykanin o szerokich barach, odwrócił się i spojrzał na niego.

- Matka zasłała. Pewnie atak serca. Wzięli ją na intensywną terapię.

Drugi policjant, biały, tęgi i przynajmniej piętnaście lat starszy, zwrócił się do Tessy.

- Jestem przyjacielem Diany - powiedział.

- Uprzedziła mnie, że może pani dzwonić.

Robert podniósł głowę i spojrzał. Nie był zdziwiony ich obecnością. Tessa sądziła, że drugi policjant już mu wyjaśnił, dlaczego gonili go i przyjechali tu za nim.

- Obserwowaliście mój dom, tak? - zapytał.

- Czekaliście, aż popełnię błąd.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Ktoś musiał ją tu przywieźć - powiedział.

- Wyglądała na umierającą. Zrobiłbym to jeszcze raz bez chwili wahania.

Tessa na chwilę zamknęła oczy, ale mimo to ciągle miała przed sobą jego twarz. Niezbyt ładna, bez szczególnego wyrazu. Po prostu

twarz chłopca przerażonego, że straci jedyną osobę, która zawsze w niego wierzyła.

- Jestem tu tylko z jej powodu i dzięki niej - powiedział Robert łamiącym się głosem. - Gdy zrozumiałem, co zrobiłem tamtego dnia, chciałem umrzeć. Widzę waszą małą w snach. Widzę ją każdej kolejnej cholernej nocy. Gdybym miał pewność, że to może komuś pomóc, chętnie bym tu umarł, w tej chwili.

Jego żal nie był udawany. Nie była to dobrze wyuczona scenka zagrana przed sędzią. Tessa była pewna, że jest szczery.

Odwróciła wzrok. Coś w niej umarło i wiedziała, że to żądza odwetu odeszła na zawsze. Bo cóż jeszcze mogłaby zrobić? Owens sam się dostatecznie ukarał. Jaka kara mogła być gorsza od tej, którą musiał przeżywać przez resztę życia? W tym jednym byli towarzyszami niedoli. Żadne z nich nigdy nie zapomni tamtego feralnego poranka. W pewnym sensie nigdy nie wyjdą poza tamto zdarzenie.

Lecz oboje mogli na nowo poskładać swoje życie, nawet dźwigając ciężar śmierci Kayley. Oczywiście, jeśli takie wyjście wybiorą.

Nie czuła wyrzutów sumienia ani woli wybaczenia. Nie sądziła, by mogła kiedykolwiek wybaczyć Owensowi to, co zrobił. Lecz po raz pierwszy dostrzegła, że ten chłopak nie jest potworem, za jakiego go uważała. Walczył, żeby stać się kimś więcej, niż był, chciał wykorzystywać swoje możliwości, być dobrym i lojalnym synem, prowadzić lepsze życie.

Odczuła dreszcz na myśl, że chyba mu współczuje. W tym także byli towarzyszami niedoli.

- Nic tu po nas, Tesso. - Mack delikatnie otoczył ją ramieniem.

Wiedziała, że to nieprawda. Było coś, co mogła jeszcze uczynić przed wyjściem.

- Chwileczkę - powiedziała.

Podeszła do zajętych rozmową policjantów. Czekala, aż znowu ją zauważą.

- Ten chłopak miał ważny powód, żeby szybko jechać. Chciał zdążyć - powiedziała łagodnie.

- Powinien zatelefonować na „112” - odparł młodszy.

Kurczowo zacisnęła dłonie, by opanować drżenie, ale to nie pomogło.

- Może dzwonił - powiedziała - ale bał się, że zbyt długo będzie czekał na karetkę. A może wpadł w panikę? Zatelefonowaliśmy do was, bo byliśmy przekonani, że Robert jest pijany, ale tak nie jest. Zasługuje na kolejną szansę. Próbował uratować życie matce. Nie powinien za to wracać do więzienia.

Przyjaciół Diany pokręcił głową.

- Ale było wezwanie, madame. Musimy złożyć raport o tym zdarzeniu. Od tej chwili sprawę przejmą kurator i sędzia.

- A co, jeśli mój mąż i ja złożymy oświadczenie na jego korzyść?

Policjant wzruszył ramionami.

- Nie mogę powiedzieć na pewno, ale może to będzie miało jakieś znaczenie. Pani jest...

- Matką Kayley - powiedziała. - Ta kobieta, którą zabrali na oddział, to jego matka. On powinien być teraz przy niej.

Mack wziął ją za rękę na znak, że pora iść.

- Umieści pan w raporcie to, co powiedziałam? Że rodzice jego ofiary nie chcą, żeby wrócił do więzienia.

- Dopilnuję, żeby te słowa zostały umieszczone. Skinęła głową obu policjantom. Gdy wychodziła

z Mackiem, unikała patrzenia w stronę Roberta. Miała nadzieję, że nigdy go więcej nie zobaczy.

- Chcesz, żebym poprowadził? - zapytał, gdy byli przy samochodzie.

- Proszę.

Podawała mu kluczyki i usiadł za kierownicą. Wygodnie oparła się w fotelu i zamknęła oczy. Mack jechał w stronę domu Roberta, gdzie stało zaparkowane jego auto.

Wjechał na krawężnik i wyłączył silnik. Siedzieli w milczeniu.

- Czy w razie potrzeby znajdziesz kogoś, kto reprezentowałby w sądzie Roberta? - odezwała się wreszcie.

- Porozmawiam jeszcze raz z sędzią. Powiem mu, co się wydarzyło i czego chcemy. Myślę, że wszystko będzie w porządku. Więzienia są zbyt przepełnione, by zamykać kogoś, kto nie musi tam siedzieć. Robert nadal powinien być wolny. Ale ma przed sobą ciężką drogę, Tesso.

Chciała wierzyć, że Robert sobie poradzi. Na świecie było za dużo ludzi, którzy sobie nie radzili. Omal i ona nie znalazła się wśród

nich. Gdyby Mack nie trwał przy niej, prawdopodobnie nigdy nie wróciłaby do życia.

Ale przed nią też była ciężka i długa droga. Tego lata przebyła tylko jej część. Niewielką część.

- Chcę się zgłosić na psychoterapię - powiedziała. - Potrzebowałam tego od dawna.

Położył dłoń na jej dłoni.

- Istniało wiele przyczyn, dla których nie byłam w stanie funkcjonować - powiedziała. - Przede wszystkim jednak bałam się, że kiedy uwolnię się od cierpienia i wściekłości, stracę Kayley na zawsze. To wszystko, co mogłam jej dać. Jedyną rzeczą, jaką mogłam dla niej zrobić, było szukanie rewanżu.

- Zrozumienie tego jest wielkim krokiem naprzód, Tesso.

Ciągle nie mogła na niego spojrzeć.

- Myliłam się - powiedziała. - Odwet nie przybliżył mnie do córki. Może któregoś dnia znajdę w sobie miejsce na dobre uczucia.

- Chcesz, żebym chodził z tobą na terapię?

- Potem tak. - Wreszcie odwróciła się ku niemu i mógł widzieć jej twarz. - Musimy przepracować dużo rzeczy, Mack. I wiem, że potrafimy. Ale na początku pozwól mi popracować samej. Mogę cię prosić o jeszcze trochę cierpliwości? Możesz poczekać?

- Poczekaam, jak długo będzie trzeba.

Miłość pod różnymi postaciami była przy niej całe lato; krążyła wokół, wybaczała wady i błędy. Ale tylko ta jedna, miłość do ojca Kayley jest kluczem do powrotu do zdrowia.

- Pragnę szczęśliwego i długiego życia z tobą - powiedziała. - Przepraszam cię za wszystko.

Przyciągnął ją do siebie. Wiedziała, że daje jej czas na powiedzenie wszystkiego. Ale cóż więcej mogła powiedzieć? Miłość w końcu przywiodła ją do tamtego strasznego momentu.

I miłość teraz ją uratowała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Jesień nadeszła późno tego roku. W końcu spadły spóźnione deszcze, które zapewniły dalsze lata życia bliźniaczym klonom na farmie. Woda w stawie podniosła się o kilka cali. Modraszki zadomowiły się w nowych budkach. Kurczaki Helen czyściły mokre piórka i wyciągały szyje w oczekiwaniu następnego deszczu.

Sala Kayley została uroczyście otwarta w końcu września. Quilt z Sunbonnet Sue umieszczono w kącie bajek. Mack wygłosił mowę, a Tessa ścisnęła dłonie i dziękowała wszystkim za przybycie. Były jej przyjaciółki z MADD, a także znajomi Macka z grupy wsparcia.

Erin zadzwoniła tydzień wcześniej, żeby się pożegnać. Wracła do rodzinnego stanu, by podjąć pracę na Uniwersytecie Minnesota.

Z końcem października dokonana się następna zmiana.

- Nikt nie powinien brać ślubu w takim stanie. - Cissy studiowała swoje odbicie w lustrze, które pamiętało jeszcze Delilah i Cuddy'ego

- Nikt nie powinien nie iść do ślubu w takim stanie - zripostowała cierpko Helen. - Mało brakowało, a spóźniłabyś się do ołtarza.

- Jeszcze czas. - Cissy położyła dłonie na wielkim brzuchu.

Tessa dokonywała ostatnich poprawek w kwietnym wianku, który Cissy miała włożyć na głowę zamiast welonu. Wybrała długą białą suknię, ale jej strój z konieczności bardziej przypominał luźną suknię hawajską niż tradycyjną suknię ślubną. Nie było wątpliwości co do jej zaawansowanej ciąży.

- Usiądź i pozwól mi to przypiąć - powiedziała Tessa.

Włosy Cissy miękko opadały na ramiona. Wianek z gardenii, pomarańczowego kwiecica i drobnych gałązek biało kwitnącej gipsówki prezentował się ślicznie, ale w długiej luźnej sukni Cissy wyglądała bardziej na przedstawicielkę generacji Woodstock niż na współczesną pannę młodą.

- Gdy byłam małą dziewczynką, marzyłam o takim ślubie. - Cissy potarła brzuch. - Może niezupełnie takim, ale prawie.

Tessa męczyła się z wiankiem, starając się jakoś go przymocować do gęstych, pięknych włosów dziewczyny. W ciągu ostatnich tygodni wzięła na siebie rolę matki panny młodej. Nancy odnalazła nawet prawdziwą matkę Cissy, ale ta nie okazała zainteresowania ślubem. Gdy Nancy delikatnie o tym Cissy powiedziała, dziewczyna nie była zdziwiona ani rozczarowana. Było to bardzo smutne.

Ze strony Claiborne'ów stawili się wszyscy. Wczoraj, doglądając przenoszenia dobytku młodych z przyczepy do domu Helen, Tessa spotkała z tuzin przyjaciół Zeke'a i Cissy.

Cissy i Zeke mieli zamieszkać u Helen po spędzeniu poślubnego tygodnia w zajeździe w Woodstock, który Nancy tak bardzo lubiła. Nikt nie był pewny, kto ma się kim opiekować. I nikt o to nie dbał. Porozumienie, zaaranżowane przez Nancy, odpowiadało wszystkim. Cissy i Zeke będą niezależni od jego rodziców. Helen będzie miała towarzystwo i w razie potrzeby pomoc, a i okazję, by przypilnować, czy młodzi rodzice dobrze zajmują się maleństwem.

Na razie nikt się niczym nie martwił.

Ktoś zapukał do pokoju panny młodej i Helen poszła otworzyć.

- To Mack - powiedziała, lekko uchylając drzwi. Tessa podała szpilki matce, która formowała wstęgę w wianku Cissy.

- Skończysz to?

Nancy, ubrana w zielony jedwabny kostium, z zapalem zajęła się upinaniem wianka. Teraz nie było obawy, żeby choć trochę zsunął się z głowy.

- Cokolwiek macie do omówienia, pospieszcie się - zawołała.

Tessa wyslizgnęła się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Pokój panny młodej był usytuowany obok gabinetu pastora. Drzwi były uchylone. Tessa zerknęła i ujrzała Sama Kinkade'a w czarnej todze. Obok stał Zeke i jego dwaj bracia w ciemnych garniturach. Zeke był błydy z wrażenia. Tessę cieszyło, że chłopak tak poważnie traktuje swój ślub.

Mack przyciągnął Tessę do siebie i szybko pocałował. Poczowała odprężenie. Był dla niej oazą spokoju wśród tego ślubnego rwetesu.

Ponad miesiąc temu wróciła do domu i rozpoczęła psychoterapię. Gdy myślała o Owensie, zazwyczaj żywiła nadzieję, że chłopak dochodzi do siebie i nigdy więcej nie skrzywdzi żadnej żywej duszy. Ostatnio usłyszała, że jego matka powróciła do zdrowia, a jego nie wzięto do więzienia. O ile nie zawsze potrafiła dobrze mu życzyć, to przynajmniej nie pragnęła jego krzywdy.

Nie do końca jeszcze radziła sobie ze złością i wiedziała, że ból nigdy jej nie opuści. Czyniła jednak postępy. Znowu mogła się cieszyć bliskością Macka, wróciły ciepło i zaufanie. Uczyła się powoli, że ból jest niszczącym uczuciem, że izoluje ją od otoczenia,

od bliskich. Razem z Mackiem patrzyła już znacznie pewniej w przyszłość. Wierzyła, że sobie poradzą.

- Przywiozłeś pudełko? - zapytała.
- Przecież mnie prosiłaś, nie pamiętasz?
- Prosiłam... - Dotknęła jego policzka.
- Wyglądasz cudownie.

Była szczęśliwa, że tak myślał. Mama na zakupach z Helen odkryła dla niej kostiumik w kolorze zielonego świerka. Był doskonały na dzisiejszy dzień.

- Jesteś pewna, że chcecie to podarować? - spytał i schylił się, by podnieść pudło.

- Oczywiście - potwierdziła. Ten prezent był także od babci i mamy. Planowały wręczyć go Cissy na przyjęciu. Ale gdy Tessa zobaczyła, jak dużo jest gości, zmieniła plany. Mogą dzisiaj nie mieć już okazji być sam na sam z Cissy. Lepiej było dać prezent, tak osobisty, już teraz.

- Będę czekał z twoim ojcem - powiedział.

- Na przyjęciu będziemy się dobrze bawić - obiecała. Przygrywać miał zespół Zeke'a. Macka powinno to Ucieszyć.

Znów go pocałowała i patrzyła, jak idzie do gabinetu pastora, jak dodaje otuchy zdenerwowanemu Zeke'owi. Potem wzięła pudło i weszła do pokoju panny młodej.

Dziewczyna stała przed lustrem. Jeszcze raz zerknęła na swoje odbicie i odwróciła się. Helen, ubrana w kostium koloru szałwi, który wybrały z Nancy, spojrzała na pudło i skinęła głową. Nancy dała sobie spokój z wiankiem i położyła go ostrożnie na stole.

- Mamy coś dla ciebie. To od nas trzech. - Tessa wyciągnęła pudełko do Cissy.

Cissy promiennie się uśmiechnęła. Tessa wiedziała, że dziewczyna nie dostawała w życiu zbyt wielu prezentów, i że za ten podarunek będzie niezmiernie wdzięczna.

- Mogę teraz otworzyć?

- Gdybyś nie otworzyła, byłybyśmy rozczarowane. Ale mamy mało czasu.

Cissy tylko czekała na pozwolenie. Jak dziecko na przyjęciu urodzinowym, szybko rozdarła papier okrywający pudło. Na widok jej radości Tessa poczuła skurcz w gardle. Ona nigdy nie przeżyje takiej

chwili z Kayley. Ale ta myśl nie psuła wszystkiego dobrego, czego doświadczała. Ta chwila była bardzo specjalna.

Cissy zdjęła pokrywę z pudła i jej oczom ukazał się zreperowany, odnowiony quilt ślubny... Na chwilę zamarła z wrażenia, a potem podniosła oczy pełne łez.

- Och, nie mogę - powiedziała.

- Możesz i musisz - odparła Helen stanowczo. - To jest nasz quilt. Myśmy go zrobili. I tylko my decydujemy, komu go przekazać.

- Chcecie, żebym go miała? - Cissy była co prawda młoda, ale w pełni doceniała znaczenie tego podarunku.

- Wiemy, że dobrze się nim zaopiekujesz, a może coś dodasz od siebie - powiedziała Tessa. - Sądzymy, że po nas trzech ty jesteś następna w kolejności.

Cissy rzuciła się Tessie na szyję, a Tessa pogłaskała ją po włosach. I ona miała łzy w oczach, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że nie jest sama.